

**Dzieje Kyrridejskie**

\*\*\*

Pakt nad Porzuconym



Do ciebie co sercem oddanej tajnicy umysłu,  
cieszy mnie tobie zawdzięczany szlif w sztuce piórem,

Tobie co wdziewał pospólstwo w brązy,  
wdzięcznym jestem, żeś uznał pierwsze me zamiary,

I ci co szeroko wzrokiem swym sięgnąć jest zdolny,  
cenię twój entuzjizm, od dni gdy stronnice mniej pewne były,

I tobie, córko Perły Orientu, bardzo ci dziękuję,  
choć tusz już dawno zdobił stronnice gdyśmy się poznali,

Trojga z wielkowiejskiej wyprawy,  
za czas spędzony i aprobatę,

Obcej mowy jednemu, co odległe wydmy zwie swym domem,  
dziękuję za uznania wyrazy,

Również wam co chętnie, choć rzadko widywanym,  
miło wam było streszczać moje postępy.





## I.

Nastał świt u zarania Fvaernasu. Wschodzące słońce rzuciło blade światło powoli odsłaniając skaliste wybrzeże. Pokryte było ono topniejącym śniegiem spod którego przebijała się zeszłoroczna trawa o pożółkłym kolorze. Spośród niej sterczały szare, chropowate głazy.

Horyzont od strony przeciwnej morzu zasłaniały samotnie rosnące drzewa iglaste o krótkich koronach, kołyszące się pod silnym morskim wiatrem. Wzdłuż wybrzeża biegła ścieżka prowadząca do nieopodal osady. Rannuldun – bowiem tak zwała się miejscowość – niewiele różniła się od innych nadmorskich wiosek w Jätynjodrze. Składała się z garstki drewnianych chat, centrum osady stanowił prostokątny totem z ciosanego drewna przedstawiający postać z czterema rombami przy wysokości serca.

Miejscowi żyli z tego co zapewniała im okolica – parali się rybołówstwem, wypasem owiec, czy szkutnictwem. Pieniądz w takich miejscach ustępował barterowi czy drobnym usługom rzemieślniczym. Złota używali jedynie podróżujących, których w stronach zdecydowanie nie widywano. Osada była zatem miejscem cichym i pozbawionym niespodzianek, sielankę tą nie zakłóciło nawet przybycie tajemniczego mężczyzny imienia Geonrod, mężczyzny średniego wieku, żyjącego skromnie w Rannuldun już od kilkunastu lat.

Geonrod nie miewał specjalnie skomplikowanego życia po przybyciu do Rannuldun, żył samotnie w chacie, nieco oddalonej od reszty osady. Zapewniał sam sobie wyżywienie i inne podstawowe dobra, rzadko go spotykano w ciągu dnia wśród reszty mieszkańców, widywany był jedynie rankami, zwykł on bowiem przechadzać się dookoła wioski czy oglądać morskie fale, wracając bez żadnych zmartwień czy interesujących obserwacji do swojego domu.

Pewnego jednak dnia jego uwagę od codziennej przechadzki oderwał płacz niemowlęcia. Zainteresowany tym łkaniem dostrzegł, że przy centrum wioski – drewnianym pomniku – leżało zawiniątko. Był to oserek owinięty w biały materiał. W momencie, gdy Geonrod zbliżył się do dziecka, przerwało ono natychmiast pozbawiony łez płacz i utkwilo w mężczyźnie swoje spojrzenie. Nie jedynie nienaturalne zachowanie dla niemowlęcia zdezorientowało mężczyznę, lecz sama jego uroda –

twarz dziecka mimo pobytu na mrozie nie była zarumieniona i choć, że część jego główki zakrywał materiał, jego rysy podpowiadały, że wyrośnię na kogoś niewiarygodnie urodziwego. W obliczu malca drzemała niewytłumaczalna dostojność i powaga, jego oczy o czarnym kolorze były utkwione wyłącznie w zbliżającym się do niego Geonrodzie, nie zdradzając żadnego lęku przed nieznajomym.

Mężczyzna powoli nachylił się nad dzieckiem i wziął je na ręce, materiał, w które je owinięto był zaskakująco miękki. Geonrod zdał również sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu ma w rękach niemowlę. Myśli te szybko zastąpił instynkt podpowiadający mu, że jest obserwowany.

I słusznie, skupiony na samym osesku nie spostrzegł, że do totemu zbliżała się reszta wioski, widocznie również usłyszała płacz malca.

– Geonrod? – zawołał jeden z przybytych. – Cóż ty za dzieciuszko w rękach trzyma?

– Chwilę temu je znalazłem. O nim wiem tyle co wy. – odparł Geonrod, szczedząc w słowach.

– Skretw z tobą to nie miara, więc lepiej by ty prawdę gadał. – wieśniak rzucił w stronę mężczyzny prowokujące spojrzenie.

Geonrod nie odpowiedział, ignorując mierzącego go wzrokiem wieśniaka.

– A nie przejmuj się ty ów bezrozumnikiem, Geonrod. Dobrze, że ty go znalazł. – z przejęciem powiedziała jedna z gromadki, przerywując zapadłą ciszę. – Zorotny pewnie by zamarzył na ziąbie. Pozwól ty go do mnie na ręce.

Mężczyzna bez słowa podał kobiecie zawiniątko z dzieckiem.

– Na baczenie moje to dziecina nie z tutaj, tylko któżby go porzucił, w takie strony niwydywane? – skwitowała doglądająca niemowlę.

– Ja po jego gąbce stawiam, że szlachcian jest. – zaglądający przez jej ramię kowal zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Ta derka, która go okala też taka porządniejsza. No, i właśnie, czemu wylądowało tutaj, w Ran-nuldun?

– Mądrze ty gada, Harivir. – mruknął jeden z zebranych, którego jak wszystkich sprawa malca zaintrygowała. – Brodały nasz mawiał że dziatwa co wstyd przynosi dworu zwykle poza grodny próg leci, by, no wiecie, nie nieść rodowi hańby.

– Jużyty! Skandal to na południowe pomysły, Ulryk! – warknął kowal stukając się palcem w czoło. – Nasi by czego takiego się nie dopuścili!

– Ty gównu wie! Braknie to za murami warowni co pańskie takich co to się zachłysłęli czarami visildejowego znieprawienia? – pewny swego Ulryk ciągnął dalej: – Ile ci mam takich koron wymieniać? Earl Dileren jak tamtego starszego wsi powiesił bo nie chciał ugościć legionistów? Albo jak się rozeszło gdy listowo dobrej pamięci już Earl Terlog z visildejskim urzędasem naszych od niepiśmiennych prostaczków zwyzywał?

– Cichy ty już będzie! Dość mi, gada ty ciągle za pierwotnym porządkiem, do wyrzygu. Na Łądzie Przodka byłoby nam lepiej, garmatka i jej mać jeszcze. – Harivir pokręcił głową ze złości. – Znowu zacznie ty bzdurzyć że..

– Ależ wy tam, pyski już! – syknęła wieśniaczka z dzieckiem na rękach. – Takie darcie gęb to sobie na chłanie miodu zostawić. Zaraz go wybudzą bo im dreć mus!

– A może lepiej będzie – wtrącił się Geonrod, zbierając na siebie spojrzenia całej wioski – Jak pójdziemy w sprawie dziecka do Zielarza? Jego wiedza mogłaby wyjaśnić nam pochodzenie i powód porzucenia dziecka. Dajcie mi małego, ja się z nim wybiorę do mędrca.

Słowa Geonroda spotkały się z falą kiwnięć głową i pomruków zgody. Nim jednak dziecko trafiło z powrotem w ręce mężczyzny, zebrani mieszkańcy pospiesznie rozstąpili się przed zmierzającym do nich starcowi.

Zapadła głucha cisza, przerywana jedynie rytmicznym stuknięciem kostura o wydeptaną ziemię. Trudno było ocenić gdzie przybywszy Zielarz mierzył wzrokiem, gdyż tak jak zwykł, głowę skrywał głębokim kapturem, spod którego wystawała jedynie jego długa, siwa broda.

– A zatem to powód tego całego zamieszania. – rzekł przerywając dotychczas panującą ciszę.

Głos Zielarza brzmiał sucho lecz zarazem doniośle. Starzec podszedł bliżej do dziecka, gestem prosząc wieśniaczkę by przekazał mu je w dłonie. Oględziny trwały parę sypnięć klepsydrą, któremu towarzyszyło kilka mruknięć zaciekawienia Zielarza.

– A i co? Cóż to za dzieciuszka? Z jakiegóż miejsca to je niesie? – kowal przerwał analizę, nie kryjąc swojej dociekliwości.

– Cierpliwości, Harivirze. – głos Zielarza nie zdradzał żadnej urazy wobec przerwane go badania. – Zdołałem jedynie przyjrzeć się oczom tego dziecka. Są one, cóż, niezwykle. Hm, wygląda więc na to, że niewielkie ciało naszej znajdy skrywa w sobie doprawdy silnego ducha.



– Po czymże ty to wysnuł, Zielarzu? To zasługi twojego czarowania?  
– zapytała chłopka z większą od poprzednika uprzejmością.

– Och, nic z tych rzeczy, moja droga Brisko. Moje „czarowanie” ogranicza się jedynie do znajomości ziół. Malec zdradził swoją siłę mentalną wspomnianym wcześniej wzrokiem. Czuć w nich pewną nieugiętość, którą, jak już rzekłem, poszczycić się może tylko poniektóry męźniejszy duch. Hm, a co dopiero niemowlę. Bogowie zapewne wiedzą, jakie sekrety skrywa to kruche i niewielkie ciało.

Briska kiwnęła tylko niepewnie głową w podziękowaniu, po czym odwróciła do zebranych. Między nimi zaczęły snuć się zdradzające niecierpliwość oraz dociekliwość szept.

– Z pewnością dla was ta sprawa jest równie fascynująca, lecz musicie mi wybaczyć, zmuszony jestem was poprosić o parę chwil ciszy. – donośny głos Zielarza przerwał w moment szeptaninę między wieśniakami.

W zapadłym bezgłosie zwrócił głowę ponownie ku dziecku trzymanemu w dłoniach. Ostrożnym ruchem rozwiął materiał okalający głowę dziecka odkrywając jego długie, przylegające do głowy uszy, przywołujące na myśl owadzie czułki. Zebrani wezbrali powietrze w szoku.

– Serdeczne bogi, toż to je czystej krwi Inkarn! – wyrwało się głośniejszemu Harivirowi. – Jak sprzed wieków..

Wśród reszty rozszedł się ponownie szum szeptu, ci stojący z tyłu wyciągali głowy by ujrzeć oseska. Zielarz już jednak nie zwracał uwagi na zamieszanie za jego plecami, kontynuując analizę.

Gestem przywołał Geonroda, któremu podał malca by trzymał go pod pachy, sam zaś chwycił rąbek zawiniątka mając zamiar przyjrzeć się barkom niemowlęcia. Za sprawą tego odsłonił dwa symbol przy szyi – jeden intuicyjnie dający na myśl kroplę wody, drugi zaś wir wiatru.

– Moi drodzy, zagościł do nas potomek mieszkańców niebios. Dziecię naznaczone jest symbolami Yane i Tidvrona. W starych podaniach symbolami elementu piętnowani byli hybrydowie, potomkowie dwóch różnego żywiołu Niebian. – prawie szeptem oznajmił Zielarz.

Zebrani za sprawą tonu Zielarza, bądź lęku uchyliili głowy zdejmując nakrycia głowy, by chwilę później dać wziąć górę swojej ciekawości, przez co między sobą zaczęto wyjaśniać jak niezwykle rzadko spotykani są hybrydowie. Szeptaninę przerwała Briska, która wystąpiła nieco bliżej Zielarza.

– Więc jeśli je to dziedzic dwóch mieszkańców nieba to dlaczego pozostawili go na ziemi a nie gdzieś u siebie? I dlaczego wygląda on, z całym szacunkiem wobec bogów dobrych, no, mało niebiańsko? – spytała.

– Społeczność Niebian, a zarazem bogów nie jest znana nam, Ziemcom, zwłaszcza z tak pospolitego statusu. Wiemy jedynie, że ich rasę rozdziera wielowieczny konflikt, co sugerują nam ustne przekazy o wojnach między frakcjami niebiańskimi. Ale ile w tych powiastkach prawdy, tego nie wiemy. Być może nam nie dane jest i będzie to poznać jako ziemskie istoty.

Wypowiedź Zielarza pozostawiła na twarzy Briski jedynie mało pojętny wyraz. Wykorzystując jej obecność, starzec przekazał niemowlę kobiecie z prośbą, by stwierdziła płeć dziecka – okazało się ono dziewczynką. Starzec następnie stanął przodem do zebranych i zasugerował głosowanie, kto z mieszkańców powinien zająć się znalezionym niemowlęciem.

Dwudziestu z dwóch tuzinów zebranych odpowiadała rola Geonroda jako ojca, z racji, że to on je znalazł. Pozostali z początku wskazali Zielarza, ale pod wpływem opinii większości przystanęli na ich decyzję.

Geonrod zgodził się z decyzją Rannuldun, jednakże nie ukrywał swojej niepewności w kwestii przydzielonej mu właśnie roli.

– Pragnę dobrze wypełnić przydzielone mi zadanie, lecz za całego mojego życia nie miałem w opiece żadnego dziecka. Nie chciałbym go skrzywdzić z mojego niedoświadczenia w tej sprawie. – oznajmił mężczyzna.

– Nie musisz tym zadręczać swojej głowy, Geonrodzie. Jestem pewien, że inni mieszkańcy u początku twojej opieki podzielą się swoją wiedzą wychowawczą. – Zielarz dodał również cicho: – Wiesz co uczynić odnośnie dalszego kształcenia dziecka. Przekaż jej wiedzę którą sam doskonale pojmujesz. Wyucz jej ramiona chwytania broni, nogi wędrówek, a głowę rozpoznawania skarbu otaczającego ją świata. Z pewnością ci będzie za to wdzięczna, płynąca w niej krew Aeirjona pobudzi ją do wielu tułaczek już za młodu.

– Coś sporo wiesz o tej rzekomo nieznanej społeczności, „Zielarzu”. – Odszepnął Geonrod rzucając mu nieco rozbawione spojrzenie.

– Dobrze wiesz, że nie chcemy wywołać paniki wśród mieszkańców. Dla nich lepiej, żeby myśleli, że ziemscy mieszkańcy i hybrydowie są na równi społecznej.

– Hm, brzmi rozsądnie. Rację mawiasz jak zwykleś, stary druhu. Niech zatem się spełni wola twoja i mieszkańców.

Zielarz skwitował słowa mężczyzny pogodnym uśmiechem.

Zebrani ruszyli za Geonrodem, gdy ten bez słowa począł się oddalać w kierunku swojego domu. W centrum osady został jedynie Zielarz, którego głowa pod kapturem skierowana była ku rombom na piersi pomnika. Cicho mruczając w dźwięcznie brzmiącym języku skinął z szacunkiem głowę w kierunku totemu, po czym powolnym krokiem ruszył do swojego domu, w towarzystwie szumu wiatru i cichego stukotu laski.

## II.

Minęło osiemnaście lat<sup>1</sup> od minionych wydarzeń. Dziewczyna pod opieką Geonroda wyrosła na osobę równie lubującą się w wędrowczym życiu co jej przybrany ojciec.

Od małego dziecka wspólnie wybierali się na wielodniowe tułaczki po okolicy, ucząc się rozpoznawać rośliny i owoców leśne, jako nastolatka zaczynała towarzyszyć mężczyźnie w łowach na zwierzęta. Pod czujnym okiem swojego ojca uczyła się pętać węzły, poruszać w terenie, krzesać ogień, rozpoznawać oznaki pogodowe, a także wiele innych umiejętności niezbędnych by przetrwać w dziczy. Kiedy nie uczyła się poruszania w terenie ćwiczyła pod okiem ojca sztukę fechtunku. Geonrod, jako wieloletni znawca miecza prezentował jej wiele technik walki, sugerując by na jego podstawie wykreowała swój własny styl.

– Twe ręce i ciało ci powie, jakim ruchami masz władać orężem. Wsłuchuj się i wykonuj jego prośby, a poczujesz swój miecz jako część swojego ciała – mawiał jej wielokrotnie, co z biegiem lat zaczynała głębiej pojmować, kształtąc z biegiem czasu swoją własną technikę walki.

W domu bywali rzadko, częstokroć zastawali jego wnętrza okryte kurzem czy kłębami pajęczyn, powstałymi pod ich długą nieobecność. Gdy już wracali do osady, zawsze miało to miejsce o świcie, chcąc unikać niepotrzebnej sensacji.

Choć mieszkańcy, jak zwykli, szanowali prywatność mężczyzny, to sama dziewczyna nie raz spotykała się z ich wzrokiem wyrażającym od niechęci po zaciekawienie, co z czasem utrzymało ją w stronieniu od towarzystwa miejscowych.

Jej niecodziennie spotykany w Jätynjodrze wygląd również przykuwał uwagę – niezmienione przez lata czarne oczy o czujnym spojrzeniu, atletyczna sylwetka na sześć stóp i kruczoczarne włosy, gęste na tyle by zakryć jej długie uszy, co choć trochę pomogło ją czynić ją mniej odstającą od tutejszej ludności.

Pobyt w Rannuldun często też wiązał się z wizytami Zielaarza – pomimo jego trudności z chodzeniem, chętnie odwiedzał swojego

---

1 Jeden rok liczy sobie 400 dni

dawnego przyjaciela, okazjonalnie też uczył małą hybrydkę pisać oraz czytać.

Starzec częstokrotnie nazywając ją „Dzieciem Gwiazd” przyczyniając się tym do nadania jej imienia Iseren, co określało gwiazdę w prastarym języku, stosowanym już jedynie w modłach do bogów.

Co niepokoiło jej opiekunów był fakt, iż Iseren choć wykazywała zainteresowanie lekcjami Geonroda i Zielarza, to z własnej woli nie pytała o tematy niezwiązane z ich naukami, wliczając proste i budzące ciekawość pytania, jak chociażby swoje pochodzenie.

Cały jej sposób bycia zdawał się być od małego dziecka nienaturalnie spokojny; Geonrod sięgając pamięcią nie pamiętał czy kiedykolwiek na twarzy dziewczyny widział łzy albo uśmiech. Jednak ani jemu ani nawet Zielarzowi nie w sposób było zagłębiać się w powody jej zubożenia, mogli liczyć jedynie na to że, któregoś dnia jej stan się poprawi. Stary mędrzec zapewnił jedynie Geonroda, że dziewczyna być może chociaż nabierze potrzeby odkrycia prawdy o swojej tożsamości.

Jednego dnia mężczyznę naszała potrzeba dowieść, co stało za jej apatycznym podejściem. Ciągnięty nagłą myślą odłożył kawałek drewna, którym miał zamiar ostrugać, spieszny wzrokiem rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu dziewczyny. Wystarczyło mu jednak wychylić się zza stołu, przy którym chwilę temu spokojnie siedział – zastał bowiem Iseren u progu chaty, wpatrzoną w ciszy na niebo. Myśli najwidoczniej tak pogrążyły dziewczynę, że nie usłyszała cichego trzeszczenia drewnianej podłogi, towarzyszącego zbliżającemu się w jej kierunku Geonrodowi. Ocknięta odwróciła głowę na twarz stojącego nad nią Geonroda.

– Och, witaj, ojczu. Wybacz, że cię nie słyszałam. – głos miała melancholijny, o niskiej tonacji.

– Cóż to oglądasz w chmurach, Iseren? – oparty plecami o framugę zaczął również spoglądać na nieboskłon. – Czy coś z nich wnioskujesz?

– Ja.. Ja czuję, że tam kiedyś byłam. – wzrok dziewczyny nie odrywał się od strzępiastych chmur na niebie. – Jak byłam mała, Zielarz zwał mnie Dzieciem Gwiazd. Czy to ma związek z tym o czym teraz myślę?

Geonrod nie odpowiedział od razu, wglądając się w błękit nieba.

– Dlaczegoż to teraz się nad tym rozwodzić? – zapytał po chwili ciszy.

– Trudno mi rzec, nie wiem. Myślę że mój umysł zajęty był mieczem i wędrówkami – odparła Iseren, delikatnie marszcząc brwi w namyśle. – Ale teraz, gdy to wszystko już pojmuję..

– Och, Iseren, nie jesteśmy w stanie pojąć wszystkiego – pouczył ją Geonrod. – Żywot naszy jak wspinaczka w górach, pniemy się półka po półce, lecz droga nasza ciągnie się pod same szczyty, do których nam nie w sposób dojrzeć.

– Jeśli tak, to czuję, że wspierałam się na tyle stabilne stopnie, by móc na jednym zasiać i odwrócić się ku drodze którą pokonałam. Bowiem pragnę poznać podnóża tejże góry. A następnie powstanę i znów wrócę do swojej wspinaczki.

Geonrod lekko się uśmiechnął w wyniku jej odpowiedzi.

– Całkiem całkiem ta twoja retoryka. Jeśli takaś pewna swego poglądu, to myślę, że Zielaar może ci pomóc przygotować się do twej wspinaczki. Udaj się do niego, a on napewno zaspokoii twoją ciekawość. – powiedziawszy to, Geonrod udał się z powrotem do wnętrza chaty.

Iseren znając drogę do domu starca nie zastanawiała się zbyt długo, nim wstała z progu i udała w kierunku serca Rannuldun. W towarzystwie szumu wiatru i skrzeku leśnego ptactwa szła spokojnym krokiem ku chacie mędrca. Przechodząc przy domach innych mieszkańców czuła na swoim karku spojrzenia ciekawskich wieśniaków, słysząc okazjonalnie szepty za plecami.

Dziewczyna nie przystawała by im się przysłuchiwać, mijanych na ścieżce ignorowała, aż w końcu dotarła pod próg Zielaarza. Zapukała kilkukrotnie w solidnego wykonania drzwi, zza których po chwili wyjrzała twarz młodej wieśniaczki.

– A? Kogo to niosło? – jej nieco nonszalancki ton głosu zmienił się, gdy wypatrzyła kto stał pod drzwiami. – Ażesz! Wybacz mi, droga. Ja Grothe jestem, się Zielaarzem zajmują, ostatnimi stródnymi się źle przeczuwa. Pierwego lepszego bym jak psi pogoniła, ale panicza Geonroda i jego córę nakazano zawsze wprosić, was zawsze z chętką ustrze on. Proszę ja cię, czuj się jak u swój.

Grothe uchyliła szerzej drzwi, robiąc wystarczająco miejsca dla Iseren by mogła wejść do środka.

Wystrój wnętrza w niczym nie wyróżniał się od reszty domów w Rannuldun – pośrodku domu ognisko, dookoła niego rozstawione ciosane w drewnie meble o prostej konstrukcji, podłoga wyłożona sztywnymi matami lub futrami zwierząt, a wszelkie przedmioty codziennego

użytku pouporządkowane w koszach, ceramice czy workach. To co jednak dom wyróżniało od reszty w osadzie były porozstawiane na stole różne przyrządy alchemiczne, zapiski węglem na pergaminie dotyczące badań czy podwieszane półki z księgami, z między których zaglądały gliniane słoje i misy wypełnione różnej maści reagentami alchemicznymi. We wnętrzu domu panowała magiczna atmosfera, podsycona unoszącą się w powietrzu wonią suszonych ziół i grzybów.

Gospodarza domu dziewczyna ujrzała zgarbionego w kącie chaty na stołku, dopiero po przyjęciu do świadomości ogromu dotychczas niewidzianych przez nią rozmaitych urządzeń, zwykle bowiem to Zielaarz przychodził do Geonroda i Iseren w odwiedzinach.

Mimo że starzec nie miał założonego kaptura, spod burzy siwych włosów okalających jego głowę trudno było określić rysy czy chociażby mimikę twarzy. Okrywające go szaty częściowo odsłaniały wychudzone dłonie pokryte plamami wątrobianami.

Słyszając rozmowy przy wejściu Zielaarz podniósł głowę, ukazując swoje bystre i błyskliwe oczy w odcieniu szarego, które kontrastowały z bladym i schorowanym ciałem ich posiadacza.

– Wiele śniegów się stopiło, od czasu gdyś cię ostatnio widział, Iseren. Cóż cię do mnie sprowadza? – po chacie rozległ się zachrypnięty głos Zielaarza.

– Pragnęłam się od ciebie dowiedzieć więcej o moim pochodzeniu, Zielażu. – odrzekła Iseren podchodząc nieco bliżej do staruszka. – Ale widzę tu poważniejszy problem. Cóż ci dolega?

– Wiek mi dolega Iseren, ot co. Nawet moja wiedza nie zna sekretu na przedłużenie ziemskiego życia. Któregoś zatem dnia zamknę oczy i więcej już ich nie otworzę.

– Brzmisz dosyć spokojnie o tym mówiąc. Nie lękasz się śmierci?

– Tylko człowiek pozbawiony duszy nie odczuwałby tego strachu, Iseren. Boję się i unikam śmierci, albowiem jest to wryte w nasze serca. Jednakowoż, ziarno zboża, które zasiał Nyren musi w końcu zostać ścięte jako dorodny kłos. A nim to nastąpi, zaspokoję potrzeby wiedzy mego gościa.

Gestem wskazał krzesło Iseren, prosząc również Grothe by wróciła na razie do swojego domu. Ta, nieukrywając rozczarowania usłuchała Zielaarza i z niechęcią opuściła pomieszczenie. Chwilę po trzaśnięciu zamkniętych drzwi, stary mędrzec sięgnął z jednej z półek po manuskrypt i wysłużony kawałek zgiętego pergaminu.

– Nim zacznę, Iseren, pamiętasz podstawy naszej wiary? – zapytał Zielarz, kładąc książkę i pergamin na blacie stołu.

– Tak, dobrze ją pamiętam. Według niej pięciu bogów dysponowało kryształami żywiołów, którymi się dzielili by co swoją kolej kreować czyste formy tego elementu. Jeden z tych bogów, Nyren pragnął by na tworzonej przez nich materii zagościło życie. Zatem, gdy nadeszła kolej by przekazać następnemu kryształowi odmówił, co spowodowało resztę z bogów do odebrania kryształów siłą. Każdy z nich ciągnął jeden kryształ w swoją stronę, za sprawą czego Nyren został rozerwany na części, a z jego ciała uwolniły się pokłady esencji życia, a bogowie stopniowo się od siebie oddalili, od tamtego dnia władając już tylko jednym, przeciwnym innemu żywiołem.

– „Według niej”, ha, paru tutaj by się srogo pogniewało za taki tekst, ładnie rzecząc. – zaśmiał się sucho. – Ale racji trudno ci nie odmówić Isaren. Ile prawdy w tym podaniu to nawet stary Zielarz nie wie. Choć ta historia nam daje trop dotyczący samych Niebian. Bowiem z części treści wynika, że gdy pozostali bogowie chwytają po jednym kryształ, zostaje na zawsze zaburzona harmonia między i kryształami jak i bogami. Ci w obawie przed samymi sobą wykreowali pierwszych Niebian, odkrywając jak działa energia życiowa łączona z ich żywiołem.

Zielarz zgarnął ze stołu węglowy rysik i zaczął nim skrobać po blacie.

– Iriam, bóg mrozu i gorąca, Yane tego co ciekłe, Tidvron oparu i Gerana, masywu wszelkiego. – nazywał kolejno rysowane symbole

– Zatem Niebianie są podporządkowaniu poszczególnym żywiołom? – wysnuła dziewczyna.

– Otóż to, Iseren. Co wskazuje, że powstała więź między dwoma śmiertelnymi wrogami, a tu mam na myśli twoich rodziców. Mam niestety zbyt szczątkową wiedzę o tej rasie, myślę jednak, że przez lata na uniwersytecie w Visildeii mogli natknąć się na jakieś poszlaki.

– Visildeia, pierwsze słyszę. Daleko stąd do niej?

– Oj, bardzo. Spójrz z resztą sama o jakiej odległości mówię. – po tych słowach Zielarz rozłożył pergamin na stole ukazując prosto wyrysowaną mapę, przedstawiającą szkic kawałka kontynentu.

I faktycznie jak powiedział starzec, mapa przedstawiała obszerne terytorium. Naturalnie zaczęła od znalezienia Jätynjodru. Nie ukrywała zaskoczenia, gdy odkryła, że stanowił ledwie ułamek Senvoldu, który dotychczas stanowił dla Iseren cały znany jej świat. Sam region zajmo-



wał niewielki skrawek mapy w porównaniu reszty lądów. Jej uwagę przykuła również nazwa samego lądu – Kyrridea.

„Zatem tak się nazywa ląd na którym mieszkam.” – zdała sobie sprawę.

Po tej myśli ukłuła ją nagła chęć zobaczenia choć części z wypisanych krain na mapie. Oglądając nazwy prowincji dokładniej zauważyła, że część z nich, w tym część Senvoldu, znajduje się w fioletowej otoczce. Zerkając do legendy znalazła odpowiedź – wskazywała ona tereny wchodzące w skład Visildeii. Sama myśl, że jeden region potrafi sprawować władzę nad takim dużą krainą wprowadził ją w niemały szacunek wobec jego władcy.

– Imponujące. – szepnęła, zdając po czasie sprawę, że powiedziała to na głos.

– Doprawdy Iseren, świat jest imponujący. – równie cicho odparł Zielarz rzucając jej wesołe spojrzenie, zobaczywszy jej zafascynowanie mapą.

\*\*\*

Iseren nie pamiętała ile ślęczyła nad mapą; słońce podczas jej wizyty u Zielarza przesunęło się z pewnością o dłoń a być może nawet o dwie. Po podziękowaniu mu za wizytę i skierowaniu się do wyjścia, starzec wcisnął jej w dłonie mapę i dotąd nietkniętą w trakcie spotkania książkę twierdząc że z pewnością zrobi z tego większy użytek niż on sam.

Dziewczyna zatem podziękowała drugi raz za hojność gospodarza i ruszyła z powrotem do chaty Geonroda. Minęła garstkę gapiów, którzy zaczęli udawać, że są czymś niezwykle zajętymi w momencie gdy złapali kontakt wzrokowy z Iseren. Jak zwykła, nie zwracała uwagi na wieśniaków wskazujących na nią palcami szeptaając między sobą, odzwajemniała jedynie kiwnięcia głową w powitaniu tym uprzejmniejszym.

Będąc już na miejscu zastała ojca przed domem, strugającego w drewnie wizerunek bożka. Mężczyzna podniósł wzrok znad struganki słysząc zbliżającą się Iseren.

– Ha, widzę że Zielarz jak zwykł, hojny i chętny do zaspokajania wiedzy innych. – rzucił nieco dziarsko Geonrod, spoglądając na trzymane w rękach dziewczyny podarki. – Co u niego słychać?

– Nienajlepiej. Czuje że zbliża się kres jego życia.

Twarz Geonroda przybrała przybity wyraz, marszcząc nieco brwi.

– Na wszelką zmore.. Strata Ziellarza odbije się na Rannuldun, ludzie bez niego wrócą stopniowo do tubylczego nastawienia do każdego kto nie jest Jätynem. No nic, nacieszymy się tym spokojem póki Ziellarz jakoś trzyma w zgodzie tą osadę.

Iseren nie powiedziała nic więcej odnośnie nadchodzącej sytuacji, weszła tylko do domu, czując że nie ma co z sobą teraz począć.

– Na natłok myśli dobra będzie przechadzka. – zaproponował Geonrod, rozpoznając jej zakłopotany wyraz twarzy. – Pójdź po pelerynę, to ja zajdę po łuki.

Ta kiwnęła bez słowa głową. Zostawiwszy książkę na stole, odwiesiła z belkowania wysłużoną almawiwę. Ojca zastała czekającego na nią w progu.

Ten jak oznajmił przyszykował dwa łuki – jeden przewieszony przez ramię, drugi trzymał w ręce, wraz z garścią strzał o krzemieniowym grocie.

– Niby tylko się przejść, ale głupio by było przepuścić okazję by coś upolować na obiad, czyż nie? – zagaił widząc gdzie mierzyła wzrok Iseren.

Iseren nie odpowiedziała

– Przyda też ci się przypomnieć szycie z łuku, skoro wkrótce poznasz nieco świata. – ciągnął, niewzruszony jej ciszą.

– Coś masz konkretnego na myśli, ojcze? – spytała Iseren.

– W rzeczy samej. Jak zapewne pamiętasz, mieszkańcy Rannuldun co jakiś czas zabierają karawanę do Galundharr, tego grodziska kilka godzin stąd. Musimy opłacić strażę od władzyki dobrem, potem może starczy na handle. Mnie tam też było co często, za garść monet pilnowałem by nic po drodze ich nie dopadło, czy zwierzęta czy bandyci. Ale cóż, moja władza nad mieczem już z wiekiem niewiele się różni siłą od pachółka earla czy krzepkiego chłopaka któregoś z Rannuldun. Jednakże widzę potencjał w tobie, jako członka eskorty. Co ty na to Iseren?

– Brzmi dobrze, trochę srebra przyda mi się na przyszłe podróże.

– I na tym nie koniec. Bowiem, będąc za bramami miasta masz już pełne prawo by opuścić eskortę, płacą ci tylko za jedną stronę.

– Więc tak sprawa wygląda.. – podsumowała dziewczyna powoli kiwając głową. – Z chęcią skorzystam z tej okazji, ojcze. I dziękuję za nią.

Geonrod miał wrażenie, że spojrzenie dziewczyny stało się nieco cieplejsze na moment. Ten tylko odpowiedział słabym uśmiechem i zwrócił ponownie swoją uwagę ku drzewom w oddali.

Resztę wędrówki spędzili w ciszy, przerywanej wrzaskami przelatującego nad nimi morskiego ptactwa. Geonrod w pewnym momencie stwierdził, że dotarli są nieopodal dobrego terenu łowieckiego. Z zadowoleniem również pochwalał wiatr działający na ich korzyść – wiał on bowiem w kierunku osady, dzięki czemu zwierzęta nie wyczują ich zapachu.

Nim zaczęli szukać zwierzyny mężczyzna przypomniał Iseren jak naciągnąć cięciwę łuku i chwycić odpowiednio lotkę strzały między palce. Z satysfakcją obserwował jak bez większego wysiłku Iseren napinała łuk do strzału. Problem jedynie pojawiał się przy samym oddawaniu strzału – choć naciąg miała silny, to brakowało jej celności. Oddawszy parę pewniejszych strzałów Geonrod oznajmił, że jest już gotowa do łowów.

\*\*\*

Na polowaniu spędzili całe południe; Geonrod zdołał upolować małego rogacza, a Iseren kaczkę. Z przewieszonymi łukami i zdobyczami przez ramię wrócili do osady by przyrzadzić z upolowanych zwierząt posiłek. Z racji, że jedzenia było więcej niż dla nich dwóch, podzielili się mięsem między ludźmi w osadzie, prosząc też by przygotować posiłek dla Zielarza. Gdy wrócili do swojego domu z paroma podarkami w podzięce, Geonrod przygotował potrawkę na wieczерę, zagryzaną chlebem. Po posiłku, siedząc przy stole oświetlanym płomieniami ogniska Iseren wertowała księgę od Zielarza, z jej treści wywnioskowała, że jest to przewodnik podróżniczy po Kyrridei. Co stronę poznawała coraz to ciekawsze miejsca, ogrom treści jednak powodował, że wiedza o tych regionach dosyć szybko ulatywała jej z głowy. W trakcie czytania fragmentu o Jätynjodrze przypomniała sobie o propozycji eskorty wozu wieśniaków.

– Ojczy, mam pytanie co do tej oferty co mi złożyłeś. Kiedy właściwie wyrusza ta karawana? – spytała Geonroda, zajętego rzeźbieniem w kościach upolowanych zwierząt.

– Ano właśnie, powinni wyjechać jutro, jak pogoda pozwoli – odparł mężczyzna. – Za dnia zobaczymy zresztą, raczej nam nie umknie widok

miejscowych ładujących się na wóz. Ale dobrze, żeś wspomniała. W międzyczasie powinniśmy cię jakoś doposażyć. Mam coś w sam raz na taką okazję.

Geonrod wstał od stołu, zaczął grzebać między siećmi na ryby zawieszonymi na suficie. Wyjął z między nich owinięty w sztywny materiał pakunek, który położył na stole. Odwijając materiał zawiniątka odsłonił miecz oraz okrągłą tarczę z połyskliwego metalu.

– Fakt, że wiele gwiazd pewnie już zgasło gdy były nieużywane, ale powinny nadal dobrze ci służyć. Napewno lepiej się tym ochronisz, niż mieczem który ci zwykle dzierżyć. – tu ręką wsazał na leżące w kącie wyszczerbione miecze pokryte plamkami rdzy.

Iseren zaciekawiona wypróbowała w chwycie nowy miecz, po chwili poczuła jak w pełni nad nim włada. Gdy Geonrod podał jej tarczę ta odmówiła.

– Wystarczy mi miecz, dziękuję. – powiedziała krótko.

Mężczyzna mimo początkowego protestu dał zaufać dziewczynie jej instynktowi.

– Zatem, jak uważasz. Zwykle ćwoczyłaś z użyciem tarczy. – zauważył.

– Owszem, nigdy jednak nie czułam że jest mi ona potrzebna. Mieczem łatwiej mi odbijać atak. – odparła, na co mężczyzna kiwnął bez słowa głową, przekonany słowami dziewczyny.

I faktycznie jak powiedziała, Geonrod nie pamiętał by kiedykolwiek widział Iseren z własnej woli osłaniającą się tarczą.

– To tyle co mógłbym ci zaoferować, Iseren. Wiem, że nie jest dużo, lecz chociaż bezbronna już nie jesteś. – rzekł Geonrod po chwili ciszy.

– Jest więcej niż mogłabym potrzebować, ojcze. – odpowiedziała z uniżonym wzrokiem w podzięcie.

Nie czekając na odpowiedź Geonroda, dziewczyna zaczęła wiązać materiał w prowizoryczną torbę na ramię. Spakowała do niej parę niezbędnych jej rzeczy jak prowiant, nóż, pęto sznurów, a także otrzymaną od Zielarza książkę i mapę. Nowo darowany miecz położyła schludnie przy torbie. Leżąc już w łóżku, oglądała gasnący powoli płomień ogniska, oddając się bezwiednym rozmyśleniom w towarzystwie rosnącego pragnienia do wędrówek. Dziewczyna zasnęła nim ogień zdążył całkowicie wygasnąć, nie pamiętając również o czym dokładnie rozmyślała przed snem. Nie wiedziała również, że jest obserwowana przez Geonroda, którego wyraz twarzy w migotliwym świetle ogniska nie

zdradzał żadnego wyrazu. Mężczyzna widząc, że Iseren już zdołała zasnąć posłał jej ciepłe spojrzenie, po czym sam położył się spać.

\*\*\*

Następnego dnia obudziła ją rozmowa prowadzona przed domem. Po założeniu ubrania podeszła w kierunku obejścia, przed którym stał Geonrod uzgadniający coś z drugim mężczyzną. Widząc że jego rozmówca spojrzał zza jego ramienia do głębi chaty przesunął się od progu robiąc miejsca dla Iseren.

– Baramirze, poznaj się z Iseren. To ona będzie cię strzegła w trakcie drogi. – Geonrod położył dłoń na ramieniu Iseren, która w związku z tym posłała mu zaskoczone spojrzenie. Ten widząc jej zmieszanie szybko cofnął rękę do siebie.

– No znam to dziecko, co mi gadać wicy. A co do cię, Geonrod, to nadzieję mam, że ci twe spore lata na umysł nie psoci. – Baramir zaczął oceniać wzrokiem Iseren nie ukrywając swojej sceptyczności. – Desperat jestem, że siostrę miecza, jeszcze inkarską robić zamierzam.

– Jeśliś zdołał mi zaufać przed laty, jej z pewnością też zdołasz to uczynić. – zapewnił krótko Geonrod, widząc, że Iseren zaczynała posyłać Baramirowi coraz to bardziej lodowate spojrzenie.

– No dobra, na bogi dobrotliwe.. Nie widzi mi ona za ci, ale na słowo ci wierza. Każda brzytwa to wortna brzytwa, nawet jeśli ma na jedną stronę być tylko. – pożegnał się z Geonrodem uściskiem dłoni, nim skierował głowę na Iseren: – A ty, dziewczuś, gotowa?

– Daj mi parę chwil, jak będę gotowa to się udam pod wasz wóz. – odpowiedziała dziewczyna siląc się na spokojny ton.

Baramir ścisnął usta, znowu z chęcią by coś powiedzieć, ale po chwili ponownie zrezygnował i bez słowa wrócił do Rannuldun. Iseren w tym czasie zjadła pospiesznie śniadanie, zabrała swoje wyposażenie, po czym w pośpiechu wyszła z chaty.

Stojący nadal przy progu Geonrod zatrzymał Iseren.

– Z racji, że raczej się tu już nie wrócisz, chciałbym ci coś podarować na drogę. – z sakiewki przywiązanej do swojej tuniki wyjął dosyć osobliwie wyglądającą biżuterię.

Był nią naszyjnik zdobiony kośćmi, którego główną część stanowiła drewniana figurka przedstawiającą dwógłową postać o szpiczastych

uszech. Co było w niej osobliwe to, że głowy postaci wyrastały jej z przeciwnych stron torsu, zastępując nogi.

– Jak widzisz te dwie głowy przedstawiają dwóch różnych Bógów, Tidvrona i Yane – wymieniając imiona bogów sunął palcem po figurce wskazując symbole żywiołów wyryte w czołach głów postaci. – Pragnę byś przyjęła to ode mnie, na szczęście i pamięć o mnie.

– Pamięć o drugiej osobie mam w głowie, nie w figurkach. Ale doceniam trud, który włożyłeś w tą pracę, jak i opiekę nade mną. Wypada mi za niego podziękować.

Geonrod posłał jej ciepły uśmiech.

– A teraz idź już zanim doprowadzisz starego Jätyna do łez. Powodzenia. Niech ci droga łatwą będzie, Iseren.

Mężczyzna wziął na pożegnanie Iseren w objęcia, która z początku próbowała się jakoś uwolnić, ale po chwili niezgrabnie odwzajemniła gest.

– A zatem żegnaj. – szepnęła uwalniając się z ramion mężczyzny. Geonrod otarł łzę z oka.

– Ech, i tak się poryczałem. – skomentował, siląc się na rozbawiony ton.

– Zdarza się.

\*\*\*

Nie zajęło jej wiele czasu znaleźć karawanę. Gdy dotarła, załoga dopiero kończyła ładować towary na furmankę, wstąpiła zatem między nich, by pomóc wnosić ładunek. Pracujący nie wdawali się z nią w dyskusje, jedynie wskazywali, gdzie ustawiać dany kosz bądź worek.

Skończywszy pracę, Baramir spędził moment na przeliczaniu towarów. Zajęty kalkulacją, wpadł na Iseren, mrużąc coś pod nosem. Gdy mężczyzna uniósł głowy, rozeźlił się jeszcze bardziej, widząc na kogo wpadł.

– Gdzie ty była, dziewuś? – burknął. – Ruszać nam zaraz trza, a się wałęsa! Pewno chwilę temu przyszła!

– Akurat byłam tu, na wozie. – oznajmiła Iseren.

– Na wozie? I co tutaj niby robiła, poza wchodzeniem w drogę jak teraz?

– Jak to co, pomagałam w ładunku.

– Ha! To dopiero niespotykane! A więc jednak żyjący z miecza bywają pasowni! – zarechotał.

Iseren odpowiedziała mu pytającym wzrokiem, co ściągnęło z twarzy mężczyzny ubawiony wyraz.

– I co ty tak stoi? – zniecierpliwił się. – No włazi już na ławę!

Baramir wyciągnął ku niej rękę z coraz to ostrzejszym wzrokiem. Iseren ściśnięta za nadgarstek wylądowała na skrzekoczącej ławie, słysząc tuż przy uchu zaskoczone sapnięcie Baramira.

– Ale swoje ty waży, dziewuś. – puścił ciężko powietrza Baramir.

Iseren przemilczała głupi komentarz i zasiadła bardziej pewnie na ławie wozu. Baramir będący woźnicą strzelił pejczem na zaprzęgniętego woła i z lekkim szarpnięciem furmanka ruszyła, zostawiając za sobą paru machających na pożegnanie wieśniaków, a w następstwie powoli oddalające się Rannuldun.

– Czuj no teraz, dziewuś – zaczepnym tonem zaczął woźnica. – Na sumienie czerne, to dobrze ty brzytwką majta?

– Myślę, że na tyle, by się obronić. – odparła Iseren, unikając z nim kontaktu wzrokowego.

– To nas, a nie się ty masz broni. – zarechotał. – No, a ciebie to czego za wieś bierze? Nie pasuje ci tu?

Iseren zamilkła.

– Baramir, daj dziewczce poży. To jej pierwsza robota, strach ją pewnie żre, a ty jej gadkę życiową robi. – przerwał jeden pachol na furmance o dorodnym wąsie.

– Ma Javnar rację, od raz widać, że coś ona muczkowata. – dodał drugi, odziany w prostą kolczugę. – W tej robótce to letko idzie wykazać, kto się nie nada, jak się nie sprawdzi, to staremu druhowi chociaż nieboszczyka się wyda jak się zdoła.

– Pocieszyciel z cię jak z baraniej rzyci fujarka. – odparł Baramir z rozbawieniem. – Teraz nasza Inkarnka wygląda na jeszcze bardziej zbladziałą. Spokojna głowa dziewuś, jak coś się zdarzy to nie pchniemy cię przecież na pewne umrzenie.

Zajęta sobą karawana dosyć szybko przestali zwracać uwagę na Iseren, która przebywaną drogę spędzała na rozglądaniu się po okolicy. Było to dla niej bardzo pamiętliwe przeżycie, nieraz wpadała w niemy zachwyt w związku z otaczającą ich przyrodą, zwłaszcza przejeżdżając przez łąki wyścielone białym kwieciem, delikatnie kołysanym na wietrze znad coraz to dalszego wybrzeża. Widokiem kwiecistej równiny

cieszyła się przez całe południe, do czasu gdy na horyzoncie zaczęły majaczyć się pojedynczo rosnące drzewa, miarowo przegęszczając się do lasu.

W gęstym już borze Iseren zaczęła odczuwać, jak teren stawał się coraz bardziej stromy. Znacznie też pociemniało, jako że otaczające karawanę choiny zasłaniały większość nieba, pozostawiając las w półmroku. Trawę rosnącą między pniami coraz to gęściej zastępował gęsto rosnący mech w otoczeniu zarośli i głązów sterczących z ciemnej ziemi.

Skupiona na doglądaniu głębi lasu w poszukiwaniu potencjalnych zagrożeń nie była przygotowana na nagłe zatrzymanie wozu.

Chroniąc się przed upadkiem chwyciła się kurczowo oparcia, omal nie lądując na ziemi. Obcierając otarte dłonie rzuciła pytające spojrzenie straży karawany, szukając powodu co ich nagłe zatrzymało. Dość szybko zauważyła leżący przed nimi zwalony pień, który również zaczęli komentować pozostali na wozie.

– No baczcie, jak na złość to drwie leży. Ech, jak nic stracimy z dobrą dłoń słońca na pozbycie się tego kłodziska. No ale nóg nie dostanie, bierzcie tego dłuższego powrozu i ściągamy drania z drogi. – Baramir ponaglił resztę do zejścia z wozu. – A ty, Iseren, stań na straży.

Gdy reszta zaczęła mocować więzy do zwalonego drzewa, Iseren obserwowała czujnie głąb lasu, gdy nagle coś dostrzegła przy samym zwalonym balu – wytarty ślad ciągnący się z głębi lasu.

*“Zwalone drzewa zwykle nie ciągną się na trakty.”*

– Cofnąć się od tego drzewa, to pułapka! – zawołała do pozostałych. – Wszyscy na wóz!

Zaskoczona jej nagłym głosem straż wozu nie kwestionowała dziewczyny, w pośpiechu wskoczyli na wóz, porzucając sznury na ziemi.

Iseren natomiast pozostała na ziemi, powoli dobyła miecza i ostrożnymi krokami oparła się plecami o zwalony pień.

Zapowiedziana szelestem zarośli, wyłoniła się banda Jätynów w nieregularnym uzbrojeniu, widocznie już nie starając się o dyskretny manewr.

*“Bandydzi.. Desperaci albo mało bystrzy, skoro liczyli, że na małojezdnej drodze ktoś wpadnie w ich zasadzkę.”* – zasugerowała sobie w myślach.



– No no, że nam całą zabawę z dźgania w plecy zepsuła. – Kroczący na przedzie nieznajomy twardym głosem odwiął jej myśli z głowy. – Jak cię zwie?

– Iseren. – odparła krótko dziewczyna, posyłając czujne spojrzenie w kierunku powoli otaczającej jej grupy.

Zaglądać za ich plecy zauważyła, reszta bandy otoczyła ściśniętą na wozie straż. Z dzielącej ich odległości trudno jej było powiedzieć, czy na desperackie wymachnięcia pachołków mieczem bandyci mają zamiar odpowiedzieć czymś więcej niż szyderczymi uśmieszkami.

*„Stosunek dwóch na jednego.. Pewnie liczą na kapitulację z naszej strony.”*

Przestała się rozglądać za więcej niż stojących w półkřęgu zbirów.

– Ha, a to ci dopiero. – rzucił bandyta do reszty kompanów z recho-tem. – Pierwsze widuję, ażeby trójca uzbrojonych Jätynów się chowała tak żałośnie za plecami dziewczusi.

– A ja pierwsze widzę by ściąć drzewo nim ktoś nad nim przejedzie. – odgryzła mu się.

Bandyci spojrzeli po sobie z mieszanymi uczuciami.

– Słuchaj no, szmaciura. – wycedził stojący z przodu. – Będę na tyle dobrotliwy, iż ci wyjawia. Strasznie nie lubia ja wyparzonych języków, wie? Ale rekompensuje mi to urznięcie ów języka.

– Fascynujące. – odparła bez przekonania Iseren.

– Szefie, coś mi podpowiada że ona tak nam miecza pod ciżma nie rzuci. – opryszek o szybkim i charczącym głosie skierował brudnym palcem na dziewczynę.

– Oj tam spokojny, nas jest ośmiu, a ona i ta jej gromadka liczą cztery głowy do skruszenia. – przewodzący bandę popukał palcami po dobrze wysłużonym buzdyganie. – Ale nie szkodzi przemówić tej dameczce do rozumu.

– To ci powodzenia życzę. – wtrąciła się Iseren. – Jestem bardzo otwarta na propozycje.

Pozostali z bandy zaczęli wymieniać się zaciekawionymi spojrzeniami, czekając na odpowiedź ich dowódcy.

– Ci nigdy wpierdol nie dano, a? Taki ja był dobrotliwy, że rozważa-łem wam naliczenie, em..

– Myta. – odpowiedziała dziewczyna.

– Mam dosyć słuchania tej suki. – skwitował jeden ze zbójców.

– Ja też. – głowa zgraji przyznała mu rację. – Brać. I uciszyć.

Ci leniwie dobywając broni zbliżyli się do Iseren. Trzech pilnujących reszty karawany z zaciekawieniem oglądali zajście, spuszczać z oka osaczonych na wozie. Kątem oka Iseren zdawało się, że Baramir mrugnął do niej porozumiewawczo.

Nie czekając na pierwszy atak ze strony bandytów, świsnęła gwałtownie mieczem w lewy bok szefa bandy, przed którym niezgrabnie uskoczył, co spowodowało, że wymierzony atak trafił w stojącego u jego boku bandytę. Raniony z zaskoczeniem w oczach spojrzał na głębokie cięcie w jego biodrze, nim powoli osunął się na ziemię w obfitej kałuży krwi.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się jaką siłą dysponuje. Nieraz zdarzyło się jej powalić ojca w trakcie treningów, lecz, jak samo częstokroć po fakcie wspominał, u pełni swoich możliwości już nie był. A ona sama Ziemcem nie była.

Bez względu na refleksję, Iseren opuściła miecz jakby do niczego przed chwilą nie doszło, rozluźniła rękę i objęła swoich oponentów pełnego spokoju spojrzeniem. Szykująca się do ataku trójka wyraźnie się zawahała.

– Co z nią? – wystraszył się członek bandy. – Dlaczego ona tak nagle spokojniała?

– Milcz! Nie spokojniała! – dziewczyna zapamiętała głos dowódcy zgrai niższy o co najmniej tonację. – Zabić! Ograbić! Nim znów zaatakuj!

Za ich plecami zaczęła się toczyć również potyczka, między karawaną korzystającą z zamieszania, a nieprzygotowanymi na nagły atak opryszkami. Iseren jednak szybko zwróciła swoją uwagę na stojącą przed nią pozostałą trójcy.

– Kupą! Kupą na nią! – ryknął dowódca zbirów.

W towarzystwie swoich kompanów, szef gromady skoczył ku Iseren śląc ślepo wymierzone ciosy, przed którymi dziewczyna robiła serię zwinnych uników i bloków. Ciągłość ataków zelżała, Iseren zdołała parę razy odmachnąć w ich stronę mieczem, co nieco wydłużyło dystans między nimi. Któryś z jej oponentów zamachnął się na nią toporkiem, dziewczyna, by go wyminąć podjęła się dość ryzykownego na obecną chwilę obrotu.

*„Ojciec by mnie wypatroszył, widząc jak się osłaniam..”*

Skończywszy obrot zostawiła za sobą dzierzającego topór, obecnie już skulonego na ziemi z otwartą jamą brzuszną. W mgnieniu oka odwróciła

się do dwójki pozostałych - zbira z tarczą i szefa zgraji. Ten z tarczą próbował wyraźnie trzymać się poza zasięgiem jej miecza, natomiast głowa bandy zadreślała ją zamiarami ataku, urywane w uskoku, nim Iseren zdołała go sięgnąć. Dziewczyna zatem wystąpiła w stronę herszta, momentalnie wracając ostrzem na tarczownika, który wyraźnie czekał aż Iseren odsłoni plecy.

„*Tania sztuczka.*” – skrytykowała martwego już zbira.

Z desperackim rykiem herszt zamachnął się z imponującą siłą w głowę Iseren. Ta niemając jak uskoczyć zablokowała uderzenie płazem miecza, przez co siła ciosu przeszła boleśnie w jej ręce. Wciąż obolałymi rękoma chwyciła rękojeść oburącz i wykonała sprawiający wrażenie równie silnego zamach, którym minęła przygotowany do bloku buzdygan przeciwnika. Wykorzystując rozbitą postawę oponenta, świsnęła ostrzem w przeciwną stronę, zostawiając głębokie cięcie na przedramieniu bandyty, w towarzystwie wrzasku z bólu jego właściciela.

Ten decydujący cios przechylił szalę w kierunku Iseren, która w następstwie zamachnęła się na prawą pierś i udo herszta, nie dając mu szansy odpowiedzieć skutecznym atakiem. Z jej każdym następnym cięciem ten coraz to bardziej opadał z sił, aż w końcu z jego drżącej dłoni wysunął się buzdygan.

Iseren szykowała się do ostatecznego zamachu, lecz bandyta uniósł sprawną rękę przed siebie.

– W-wstrzymaj się. – powiedział słabo krzywiąc się z bólu.

Iseren bez słowa opuściła miecz, bandyta zatem począł mówić dalej:

– Pozwoli ty mi już odejść w czasie jakim chcą tego b-bogowie dobrzy. Niechaj będzie to kara za moją drogę obraną za życia. – mówiąc to spojrzał spokojnie na niebo. – Nie chcę przebaczenia ni czegoś równie taniego, jedynie osądu. Tylko tyle.

– Niechaj będzie, nieznajomy. – odparła Iseren, chowając miecz.

Odsunęła jedynie butem buzdygan z dala od konającego bandyty, nim ruszyła pomóc karawanie. Ci na szczęście zdołali poradzić sobie z pozostałą trójką nie odnosząc żadnych strat w ludziach, jedynie Javnar stracił kciuk i palec wskazujący.

Ci widząc jak się do nich zbliżyła, ku jej zaskoczeniu zaczęli skłaniać głowy w szacunku, wliczając to również dotychczas sceptycznego Baramira.

– Droga ty mi Iseren, mamy wobec cię dług ponad długi. – powiedział z pokorą woźnica. – Wdzięcznym jesteśmy za twoją sprawną

władzę nad mieczem. I wybaczy mi moje wcześniejsze słowa podważające twoje umiejętności.

W następstwie po nim pozostali strażnicy karawany również składali podziękowania Iseren.

– Cięła w nich jak wiatr morski w ostre skały, padał jeden po drugim!  
– zakrzyknął Javnar w żywej gestykulacji, zapominając o swojej okaleczonej dłoni.

Ich entuzjazm szybko przerwał przeciągły i pełny bólu kaszel, a w następstwie ciche tąpnięcie na ziemię. Szybko z brońmi w ręku zwrócili się ku szefowi bandytów, który leżał już martwy twarzą do ziemi. Iseren starała się o bezgłośną reakcję, zauważywszy, że z ciała zbira unosi się złocista mgiełka, przypominająca płatki kwiatów unoszoną w górę.

„Czy to się dzieje naprawdę?”

Zaciekawiona przykucnęła przy ciele poległego, przykładając rękę do świetlistej mgiełki. Ta subtelnie rozczepiała się między jej palcami, delikatnie je ogrzewając.

– C-zuje się ty w porządku, Iseren? – zawołał niepewnie Baramir zza jej pleców.

– Nie widzicie tego? Co unosi się nad nim? – Iseren widząc jak straż furmanki kręci głowami w przerażeniu, odwróciła się od ciała.

Czuła się nieswojo z jakim niepokojem oglądali się za nią pozostali członkowie karawany. Poprosiła ich jedynie, by ci zapewnili poległym należyty pochówek.

Straż na jej życzenie wyciągnęła z wozu łopaty i poczęła kopać w miękkiej ziemi masowy grób, wciąż śląc jej lękliwe spojrzenia. Następnie przenieśli ostrożnie ciała poległych, ułożyli je w rzędzie, wraz z ich brońmi, i zasypali je ziemią. Po odliczeniu stu uderzeń serca, członkowie karawany usypali stos z okolicznych kamieni. Oddawszy ostatnie hołdy zmarłym, odwrócili się od cenotafu w milczeniu.

Nim wrócili na wóz, Baramir zatrzymał Iseren grzebiąc za czymś w mieszk przy pasie. Po chwili wyciągając z niego bursztyn wielkości piąstki niemowlęcia.

– Proszę, weźmie to w ramach mojej i w sumie reszty nas wdzięczności. – oznajmił, wyciągając kamyk w stronę Iseren. – W naszych stronach taki bursztyn zwało się Zachętą Obieżyświata. Im dalej bowiem ruszysz, tym więcej wart będzie. Mi i tak się nie przyda, ja nie taki wędrowiec.

Iseren przyjęła podarek, wsuwając bursztyn między monety w mieszku. Trudno jej było coś powiedzieć w ramach podziękii, czego, ani Baramir czy karawana nie miała jej za złe.

Mimo spokoju w jej obliczu, myśli dziewczyny uporczywie trzymały się stoczonych przed chwilą walki, starała się jednak je rozwiać na obserwacji czarującego koloru chmur okalających zachodzące słońce. Widząc po pozostałych na jadącej już karawanie oni również wkładali trud, by odgonić wspomnienia z potyczki gwizdząc lub rzucając wzrokiem przed siebie w zadumie. Iseren po chwili zaczęła dręczyć też inna myśl – w jej głowie co chwilę pojawiała się tajemnicza mgiełka, którą nikt inny poza nią nie był w stanie ujrzeć.

*“Co ona może oznaczać? Widzę ją dlatego, że jestem Hybrydem? Inni Niebianie też ją widzą?”* – zatapiała się pozbawionych odpowiedzi myślach.

Intuicja podpowiadała jej jednak, że odpowiedzi pomoże jej udzielić ktoś z uniwersytetu w Visildeii. Wraz z tym pytaniem, rozmyślała również nad tym jakie jeszcze dary może skrywać jej niebiańskie pochodzenie. To też uznała za pytanie, na które być może uzyska odpowiedź od któregoś z uczonych. Pozostało jeszcze jej się dowiedzieć, w jaki sposób zdoła dostać się na uniwersytet, zakładając, że odwiedzających czy potencjalnych uczniów czeka selekcja, przy której może ona odpaść. By uspokoić swoje myśli uznała, że to będzie jej zmartwienie już na miejscu. Czekala ją bowiem jeszcze długa droga.

### III.

Reszta podróży do Galundharr przebiegła już spokojnie. Minął dobry czas po napotkaniu opryszków, a eskorta na wozie przestała się rozglądać w gotowości za pozostałymi członkami bandy, pragnących pomścić swoich towarzyszy. Ku ich fortunie żaden kolejny rozbójnik nie zjawił się na ich drodze. Ukojenie dla nich stanowiło również otaczające piękno natury w postaci przechodzącego w czerwień światła zachodzącego słońca, które rzucało promienie światła przez niższe partie drzew, pozostawiając wijące się mozaiki cieni na drodze przed nimi. Między szumiącymi na wietrze gałęziami przysadzistych choin świergotały ptaki, którym wtórował Baramir nucąc nieznaną dziewczynie melodię.

Poza pogodą i spokojem na drodze sprzyjał im również czas; mimo napotkania przeszkody na drodze zdążyli ujrzeć palisadę grodu nim zaczęło się dobrze ściemniać. Wzdłuż pnącej się ku górze ścieżce las ustępował kamienistemu podłożu wzgórza, na którym ulokowana była miejscowość. Miasto w samo sobie dobrze komponowało się z okolicą – surową lecz w tej twardości tkwił cały jej urok. Zza ciosanych bali budujących palisadę wyglądały dachy drewnianych domów o zdobionym gąsiorze, część z nich zasłaniały prostokątne, prostej konstrukcji wieże obserwacyjne. Podobnej budowy była brama wjazdowa do samego miasta na której zawieszono sztandar miasta: koloru zielonego, w którego środku widniał miecz między dwoma piórami na żółtym rombie. Przy bramie wjazdowej stało dwóch wartowników odzianych w kolczugi, widząc przybyszów ruchem dłoni nakazali zatrzymać wóz.

– Któż wy, nieznajomi? – jeden z straży podszedł bliżej. – My już mieli bramę zakluczyć, to spieszno z wyjaśnieniem.

– Niesie nas z Rannuldun, dobry panie. Wieziem towar z naszej wioski, na daninę i cosik na sprzedaż. Zwie mnie Baramir, a moi towarzysze to Iseren, Hvemir oraz Javnar. – kolejno wymieniane osoby wyciągały rękę na powitanie strażnikom.

– Rannuldun.. – mruknął zamyślony strażnik, drapiąc się po głowie uchylając hełmu z nasalem. – No tak, ta osadka przy morzu.. No, to witajcie w Galundharr, mileś widziani, póki nie będzie z wami kłopotów.

Wartownik zwrócił się do swojego kompana i wspólnymi siłami otworzyli wrota do miasta, odsłaniając panoramę miasta w pełnej okazałości.

Wnętrze Galundharr zaskakiwało swobodnym zabudowaniem – między domami i innymi budynkami rozcielała się masa przestrzeni sprawiająca, że miasto wydawało się wręcz opustoszałe, co kłóciło się z gwarem mieszkańców i dźwiękiem pracy w warsztatach. Powolnie jadąc w głąb miasta, manufaktorie i warsztaty powoli ustępowały dzielnicom mieszkalnym, przy których panował nieco mniejszy zgiełk. Baramir, znając zapewne drogę, minął domostwa, kierując się ku ponownie zatłoczonej części miasta – targowisku. Z delikatnym szarpnięciem wóz się zatrzymał, a pasażerowie zeskoczyli z niego, blokując koła wozu drewnianymi kołkami. Gdy kończyli mocować blokady, Baramir ściągnął na siebie uwagę Iseren.

– Tego więc, Iseren, od teraz to wolna. – woźnica wręczył jej solidną garść monet. – Ale jeśli jednak woli wrócić z nami, to my nic przeciwko nie mamy. Na razie ostaniem tutaj, pozbieram sobie siły na rano.

– Wolę już jednak kroczyć swoją ścieżką. – odparła Iseren. – Miło było w waszym towarzystwie podróżować. Bywajcie. Spokojnej wam drogi życzę.

Każdy członek karawany pożegnał ją uściskiem dłoni i życzeniami pomyślności w podróżach. Rzucając im ostatnie spojrzenie skierowała się ku wyjściu z targowiska. Mijała podobne do tego z Rannuldun wozy, przy których grzali się przy ogniskach różnego wieku Jätynowie, urozmaicając wieczór śpiewem lub grą na prostej budowy instrumentach. Między strażami wozów nie brakowało wspólnej popijawy, czy planowania interesów. Chcąc uniknąć tego zgiełku, Iseren skierowała się na główną ulicę miasta z zamiarem rozejrzenia się za lokum na noc. Zignorowała większy zajazd, zaszła zamiast niego do niewielkiej karczmy ulokowanej przy bramie miasta.

W środku panowała względna cisza, przerywana śmiechem bywalców lub szczękiem glinianych naczyń. Minęła stoły z ciosanego drewna, aż zasiadła przy szynkwasiu. Po drugiej stronie spotkała się wzrokiem z właścicielem przybytku, który odłożył na blacie gliniany kubek i kawałek materiału, którym go szorował.

– Pokój? Coś do picia? – rzucił zza lady szynkarz.

– Składa się że oba. A do picia, mleka jeśli można. – po słowach dziewczyny szynkarz nieco uniósł brew z rozbawieniem.

– Mleka? Ha, no niech będzie. Zerknę za nim, może go troszka zostało do ciasta na chleb, trza mi moment na wzeranie okiem. – szynkarz wyszedł na chwilę do kuchni, wracając po dłuższym czasie z dzbankiem. – Za łóżko i za twój, hehe, trunek będzie razem dziesięć sa-ijvisów. No chyba, że wrócił ci zdrowy rozum i sobie łyknie czego mocniejszego, a?

– Pozwólcie że odmówię, źle sobie radzę z jättyńskimi trunkami. – odparła Iseren.

Szynkarz wzruszył tylko ramionami biorąc monety od dziewczyny. Ta gdy odeszła od barku usłyszała za plecami głos knajpiarza:

– Pokój ma na piętrze, drugi po lewej! – zawołał. – A ten dzban ma trafić do mnie cały, bo ażeby to ja ci nie wałnął!

Dawszy znać, że zrozumiała, poszła do wynajętego pokoju ignorując wodzące za nią spojrzenia bywalców zajazdu. Cena za pokój zdawała się Iseren dosyć uczciwa – izba choć niewielka, to składała się solidnej konstrukcji łóżka wyścielonego wytartymi futrami. Przy łóżku stała również szafka nocna, na której Iseren postawiła dzbanek i oparła o jej nogi torbę. Położyła się na łóżku wpatrzona się w drewniany sufit. Pozwoliła swoim plecom się rozprostować i wypocząć po całym dniu na wozie, zasnęłyby gdyby nie kłujący ją głód. Bez specjalnego pośpiechu, zasiadła z nogami na krzyż i wydobyła z między materiałów torby bochenka chleba, z którego urwała solidną połowę. Z połowy chleba wyskubywała z po kawałku i maczała je w mleku. Resztę mleka wypila duszkiem, po czym położyła pusty dzbanek na półkę. Posiłek co prawda był skromny, ale ciepły i sycący, o czym dać jej znało powoli rosnące poczucie senności. Nie trwało za wiele, kiedy jej odzienie i miecz wylądowały na podłodze pokoju, a ona sama między ciepłe futra.

\*\*\*

Obudziło ją świtające słońce. Iseren po ubraniu się zabrała swój tobołek, po czym wyszła na parter przybytku.

Zasiadła przed ladą, po przywitaniu szynkarza poprosiła go o ciepły posiłek. Zajęta jedzeniem nie dostrzegła, że obok niej zasiadł młodego wieku mężczyzna. Uwagę na niego zwrócił dopiero jego nieco umęczony głos z prośbą czegoś mocnego do picia. Po wzięciu sporego łyku postawił z hukiem kubek na blacie szynku, zobaczywszy Iseren poprawił się szybko na stołku i otarł krople trunku z twarzy.



– Ach, widzę, że kolejna wędrująca dusza! – nieznajomy zagadnął weselszym tonem. – Zwą mnie Orthnar, najemne ostrze zawsze na wynajęcie. A ciebie, pani?

– Iseren. Masz ze sobą jakieś ciekawe historie do opowiedzenia? – głęboki i monotony głos dziewczyny spowodował, że Orthnar lekko uchylił usta zdradzając swoją mieszaninę oczarowania z zaskoczeniem.

– W rzeczy samej Iseren. – odpowiedział dosyć szybkim głosem starając się nie skupiać wzroku w ciemnych oczach dziewczyny. – Ciągnie mnie po całym Svjarsteinie,

– Svjarstein? Pierwsze słyszę.

– Aż dziwne, bo tak nasza ziemia się zwie. – Orthnar rzucił okiem na zawartość swojego kubka, jakby był czemuś winny.

– Nie Senvold?

– Senvold to my, ogólnie ludzie z wysp i lądu większego, ci co prawą i wyglądają podobnie. Svjarsteinem zwiemy siebie, tych z wybrzeża kontynentu. Masz jeszcze Loggjänd, takie zadupie. A, jeszcze Ląd Przodka, a byłem tam, wiesz?

– A co do..

– Ano, walczyliśmy tam z wystąpieniem paru starych rodów przeciw cesarskiej mości. – Orthnar nie zwrócił nawet uwagi, że dziewczyna chciała coś powiedzieć. – Jeśliś nie osłyszana co się dzieje, to na Łądzie Przodka są miejsca rządzone przez niezależnych od Visildeii władców, gdzie się poczuwają w wyzwoliciele naszych. A się kończy na tym, że wyrządzają tylko szkody i plądrują lojalne Visildeii grody. Ostatnio to pragnę wyrzucić dalej za rodzime śniegi. A sprzyjają temu ostatnie niepokoje z Fridveloi, u Öenrenhów. Słyszałaś co się tam wydarzyło?

– Niezupełnie. Chętnie jednak usłyszę.

Orthnar wziął kolejny łyk ciemnej barwy miodu lekko mrużąc oczy. Po chwili wrócił do opowiadania:

– Jak za dawnych lat na Calidorze! Parę dni temu miała miejsce inwazja morska, najeźdźcy złupili zamek Ejldhart jakby pusty był! Dzisiaj ruszają visildejskie posiłki z południa, i podobno rekrutują każdego kto umie władać mieczem, możeś chętna?

– Aktualnie mam pewne interesy na południu Visildeii, poza tym nie ciągnie mnie do żołnierskiego życia. Ale wspomniałaś coś o Calidorze. Co o nim możesz powiedzieć?

– Z pewnością nietutejsza jesteś, skoroś nie słyszała o tym oblężeniu zamku. Było to z dziesiątki ruchów gwiazdy temu, sytuacja jak obecna,

ci nieznani nikomu wojownicy. Cieżkozbrojni z włóczyniami o szerokim grocie, co najtęższego siłacza na pół przetną. Ci z Calidor tyle szczęścia mieli, że w zamku stacjonowała legenda wśród najemników, Macair, we własnej osobie. Jedyny znany czarodziej tego stulecia. Jak się te łodzie odpowiednio zbliżyły, według tych co go widzieli, zamachnął się ręką i skierował na nich tak wielką falę, że posłała wszystkich tych atakujących na dno. A potem słuch o tym czarowniku powoli ginął, pewnie zamarzyło mu się cieszyć spokojnym życiem, bo wątpię by od krzyżowania mieczy poległ.

– A zatem znajomość magii nie jest czymś codziennym w Kyrridei?

Orthnar zamilkł na chwilę w zamyśleniu, po czym pokręcił głową. Iseren po skończeniu posiłku wypytała młodego wędrowca o wskazówki dotyczące drogi do Vasidel, stolicy Visildeii. Według niego najprędzej dotarłaby do miasta przepływając rzekę na kupieckiej bądź transportowej łodzi do Kreovii, skąd gościńce były bardziej przejezdne.

Aby Iseren nie była wyłącznie słuchaczem, wspomniała o swoim wczorajszym konflikcie z bandytami. Orthnar wsłuchując się w jej opowieść nieco przysunął się do Iseren, a w jego nieco rozmarzonym wzroku pojawił się wyraz podziwu wobec dziewczyny. Ta coraz bardziej czuła się nieswojo przy wpatrzonym w nią młodzieńcu.

– ..Więc to wszystko co bym mogła powiedzieć, Orthnarze. Wdzięcznam za spędzony czas. I powodzenia w swoich podróżach. – Iseren zabrzmiała gwałtowniej niż miała zamiar.

Mając zamiar zapłacić za strawę szynkarzowi położyła dłoń na blacie z pieniędzmi, nad którą momentalnie pojawiła się ręka z młodzieńcza z wyliczoną sumą podając ją szynkarzowi.

– Taka piękna dama nie powinna czynić swojej sakiewki lżejszej. – na jego twarzy pojawił się szarmancki uśmiech.

Iseren chcąc unikać zamieszania przyjęła uprzejmość młodzieńca, po czym ruszyła ku wyjściu. Nagle poczuła, że Orthnar łapie ją za przedramię.

– Moja pani, uważaj tylko na siebie w tym strasznym świecie. I rad byłem cię poznać. – chłopak wstał z siedziska, nadal trzymając ją za rękę.

– Ciebie również. – odparła, z trudem siłąc się na łagodny ton. – A teraz wybacz, czas na mnie.

Uwolniwszy swoje przedramie, podała dłoń Orthnarowi na pożegnanie wbrew nieprzyjemnych uczuć, po czym spieszonym krokiem opuściła karczmę.

– Obyśmy się jeszcze zobaczyli, o piękności! – zawołał za nią.

Na świeżym powietrzu złapała parę silniejszych oddechów z zamkniętymi oczami.

„*Muszę się do takich uprzejmości przyzwyczaić.*” – uspokoiła siebie w myślach. – „*Albo postradam zmysły.*”

Po dłuższej chwili poczuła, że jej ręce przestały drżeć, a rytm serca zwolnił. Z myślami wracającymi do czekających ją podróży przestała się zastanawiać nad całym zajściem.

„*Gdzie by się udać?*”

Iseren z braku pomysłów wróciła na targowisko w poszukiwaniu pracy jako straż karawany, jednakże żadnego z spotkanych kupców nie interesowała jej oferta, w momencie gdy wspominała, że nie ma zamiaru ostawać w ich osadzie.

Błąkając się po targu zdołała natknąć się na Baramira i jego kompanów, którzy powitali ją gromko.

– Siada, Iseren! – Javnar zachęcił ją. – mamy dobrego miodu, częstuje się!

– Nie chcę pić. Niedobrze mi po miodzie. – odparła bez wigoru.

Straż wozu popatrzyła po sobie.

– Coś was trapi, Iseren? – zapytał Baramir z troską w głosie. – Bóstwa nam zesłał taki piękny dzień, którym przysłuży się nam radować, pani. One zaś wdzięczność ich zasługom nagradzają pomyślnością, już żeśmy nabili parę dobrych targów, a gościmy tu dopiero jeden dzień.

– Nie znam drogi do nigdzie dalej. – głos dziewczyny brzmiał jak zwykle melancholijnie, choć wyczuwalny był w nim smutek. – Nie wiem jak się podróżuje. Nie chcę iść na oślep.

– A, taki ogrom swobody. – spojrzał ze zrozumieniem woźnica. – Na moje oko do najbliższej miejsciny jest bodajże dzień czy dwa drogi pieszo. A stamtąd biegnie rzeka, którą dotrzesz już poza Jätynjodr, dalej do visildejskich ziem. Jeśli nie z kupcem, to może ktoś inny będzie chciał cię najać do ochrony. A zawsze też może ruszyć pieszo gdziekolwiek twoja dusza cię ciągnie.

– Brzmi rozsądnie. Skoro i tak mnie czas nie nagli..

– W rzeczy samej, dziewuś. Zwolni ty z wędrówką, świat ci nie ucieknie.

„Świat mi nie ucieknie..” – powtórzyła sobie w głowie.

Bez dalszego słowa, podała im dłoń na pożegnanie, po czym opuściła targowisko. Po drodze, mijając zajętych codziennymi sprawami mieszczan, rozmyślała nad planami podróży, dzięki radom od Orthnara i Baramira czuła się pewniej z tym jak jej wędrówka się potoczy.

Będąc już za murami zaczerpnęła pachnącego lasem powietrza, ze wziętym wdechtem poczuła że po jej wnętrzu rozciela się coś więcej niż orzeźwiająca woń – było nią przyjemne poczucie swobody i wręcz nie-pohamowanej woli do podjęcia się czekających ją wędrówek.

\*\*\*

Iseren przemierzała gęsty iglasty las, przeplatany ostrymi wzniesieniami. Przy słońcu schowanym za horyzontem, stopniowo dostrzegała coraz mniej w półmroku, aż do momentu gdy nie była w stanie ujrzyć poza długość jej ręki. Po krótkiej chwili spędzonej na poszukiwaniu suchych gałęzi i rozpałki, ustawiła skromnej wielkości szkielet ogniska, poczęła rozpalać ognisko trąc o siebie dwa kawałki drewna. Wkrótce zobaczyła długo oczekiwany kłębek dymu, a w następstwie pewnie jarzący się płomień.

\*\*\*

Mimo nieustannego marszu, dziewczyna nie nie doskwierało jej w żadnym stopniu znużenie, wręcz przeciwnie – czuła, że z każdym krokiem jej ciało domagało się dwóch następnych. Pchana tym zapalem zaczynała dostrzegać majaczącą się w oddali panoramę niewielkiego miasta już za przedpołudnia. Nie minęło wiele czasu gdy stała już przed bramą główną witając strażników. Z ich rozmowy wynikało że znajdowała się w Svellingatha, mieście leżącej przy dopływie do jednej z większych rzek w regionie.

Straż niespecjalnie przejęła się obcą, bez słowa z nią oglądali apatycznie jak przechodzi do przez bramę.

Z drugiej strony przywitała ją garstka niewielkich domów zbudowanych z nieociosanego drewna i gliny. Miejscowi wędrowali wzrokiem po przechodzącej obok nich Iseren, po chwili wracając do swoich zajęć. Dziewczyna nie zareagowała na żadne z tych niedyskretnych spojrzeń, zmierzała w kierunku bardziej tłocznej części Svellingatha, którą stanowiły doki. Część portowa miasta liczyła zaledwie garść pomostów, choć ilość spławianych, bądź wyładowanych towarów, zdradzała, że miasteczko jest z pewnością w stanie utrzymać się jedynie z transportu rzeczno-eg.

Przechadzając się po pomoście minęła parę niewielkich łodzi transportowych, na których pokład ładowano bądź rozładowywano różnego rodzaju towary. Przy krawędzi ostatniego z mostków wypatrzyła nadzorującego pracę, który właśnie wskazywał miejsce dla wnoszonych na ląd beczek. Starając się nie wpaść na któregoś z dokerów podeszła do władczo stojącego na pomoście Jätyna. Ten odwrócił powoli głowę widząc zbliżającą się do niego Iseren.

– Niesie cię do mnie jaki interes? – tubalnym głosem mężczyzny rozniósł się po dokach.

– Zgadza się, byłaby szansa przepłynięcia jedną z twoich łodzi do któregoś z miast po drodze? Oczywiście w zamian coś zaoferuję.

Mężczyzna zaczął drapać się po brodzie w zamyśleniu. Zmierzył wzrokiem Iseren, zerknął na pracowników, po chwili z powrotem na Iseren.

– Hm, ramiona jak na kobietę solidne może i ma, do takiej roboty by się nadała. No, ale jak widzi, na ten sezon więcej ludzi mi do pracy nie trza. Zgłosi się w Yaneasie, może się miejsce na dokera zwolni.

– Gdybym zaoferowała pomoc przy pracy na jeden przejazd? Nie musiałabym dostać zapłaty w srebrze. – nie ustępowała Iseren.

– Och dobra na bogi, dobra, zrobim tak. Ty pomożesz moim chłopcom przenosić do zenitu towary, a jak będziem wodować jedną z łódek to powie ty im, że nadzorca Laufmarr ci pozwolił z nimi podróżować. Stoi taki układ panience?

Iseren kiwnęła głową i podała mu dłoń na znak zgody. Ten silnym ścisiskiem odwzajemnił gest i ruszył do jednego z przyrzecznych magazynów. Dziewczyna zgodnie z umową poszła pomagać pracownikom doków w przenoszeniu towarów. Do południa, jak powiedział jej Laufmarr, przygotowali się wodowania jednej z łodzi transportowych. Pracujący z Iseren dosyć szybko spostrzegli że dziewczyna dysponującą sporą siłą, więc prawie od początku swojej pracy traktowali ją jak jednego ze swoich.

W momencie gdy jedna z łodzi została ostrożnie zsunięta do rzeki poinformowała załogę o układzie z Laufmarrem. Żaden z nich nie pytając za wiele dał jej znać, żeby wskoczyła na pokład. Usadowiona między szczelnie pozamykanymi beczkami chwyciła otrzymane wiosło i pod poleceniami szypera pomagała reszcie utrzymać szalupę na prawidłowym torze. Płynąc już prosto, załoga łódki rozwinęła żagiel, dzięki czemu zaczęli płynąć kilkukrotnie szybciej. Iseren oparta o wiosło jak włócznie, stanęła przy krawędzi łódki napawając się widokiem przyrzecznego krajobrazu.

Blade słońce popołudnia rzucało złotawy połysk na powierzchni cieką, w której dostrzec również można było odbicia niewielkich drzew iglastych czy co większe krzewy. Brzeg rzeki w niektórych miejscach formował się w strome skarpy, na których płożyla się trawa łaskącząc tafłę wody.

– Iseren, nie? – oderwał ją od oględzin jeden z załogi.  
– Mhm? – z wzrokiem nadal nad wodą odmruknęła dziewczyna.  
– W dobre strony cię niesie, że za darmo z nami pracuje?  
– Do Visildeii, trudno mi powiedzieć czy dobre. Nie byłam tam.  
– Słyszeli? – zawołał z uciechą inny przerywając im rozmowę. – Igros kręci z naszą nową!

Po łódce rozległa się fala śmiechów i łupnięć po plecach Igrosa.

– Lecz wy głowy! – warknął Igros zawstydzony. – A ty, Jorn, najbardziej!

– Nie tłumacz się Igros, my cię bratku rozumiem! – Jorn wołając głośniej, zaatakował nozdrza Iseren wonią trunku. – Już naszych prodiadów zdołały piękne południówki oczarować! Aa tą naszą..

– Morda wy! – uciął z irytacją szyper. – Na wodę patrz!

Iseren już jednak ich nie słuchała, dała się ponownie pochłonać oglądaniu widoku zza łódki.

Krajobraz powoli z lasu iglastego powoli przechodził w mieszany – coraz to częściej Iseren dostrzegała przysadziste drzewa, przy których gromadziły się gęsto rosnące krzewy o żywszym, wręcz czasem jaskrawym odcieniach zieleni. Jej zachwyt nad otaczającą ją naturą przerwało zawołanie szypera, by pomogła utrzymać łódź na właściwym torze. Na zrefowanym żaglu przystąpili do wpłynięcia w recypient pokonywanej rzeki. Z zakrzyknięć załogi wynikało, że główna rzeka zwana jest Lumvis i stanowi pewnego rodzaju granicę między Jätynjodrem, a Lumvollrem, znane z powszechnego tam morskiego i rzeczno-handlowego.

Za zmierzchu na horyzoncie począł się malować miasta, niewiele różniącego się rozmiarem od Svellingatha. Zbliżając się do miejscowości Iseren po raz kolejny wsparła załogę w ustawieniu łodzi w doku. Po zaumowieniu łodzi pomogła załodze rozładować szalupę. Po pracy, robotnicy zasiedli na pomoście.

– Nie ma nic belniejszego niż zasłużone leżenie, nie panowie? – skwitował Jorn, z poparciem załogi.

Gdy wyglądało, że zajmą się sobą, Jorn odwrócił się nagle do Iseren:

– A ty jak panień, od jutra z nami ty będzie? – zapytał.

– Nie będzie. – odpowiedział za nią szyper.

– Zgodnie z umową z Laufmarrem jestem już wolna. – uzupełniła Iseren.

– Się akurat składa że coś mam z tobą do załatwienia. Idzie, Iseren. – szyper dźwignął się na nogi.

Szyper, gdy odstepili od ubawionej gromadki, wyglądał jakby mu ulżyło. Iseren została zaprowadzona do jednego z magazynów. Wewnątrz para pracowników doglądała transportu, szyper ich zignorował. Zamiast tego odwrócił się do dziewczyny.

– A więc tak. – podrapał się po głowie. – Lepszego my ramienia nie mieli na tych pomostach, silna ty, nie zadaje głupich pytań, robi co trza. To wie, może by była chętna na następny sezon? Na stałe?

– Nie byłabym. To nie jest moja branża.

– Pewna tego? Ja ci z Lauffmarem dogadam, on ci dobrze będzie płacić. Lepiej niż tej rozpitej chołocie co zwykle najmujem.

– Nie. – urwała krótko.

Szyper poruszył pary szczęką, jak gdyby przeżuwał coś gęstego. Palce Iseren skierowały się powolnie ku mieczu przy pasie.

– Cóż, szkoda. Ale nie przymusza cię jak wżeram. – poddał się szyper, ręka Iseren oddaliła się od broni. – Krzepę masz jak dwóch rośłych chłopów, a rozumu za pięciu. A, może i szef zachwycony nie będzie, ale za twoją przyzwoitość pozwolę ja zniknąć garści towaru z magazynu. Tak na ciepłe uzdalenie.

Dziewczyna, jak powiedział szyper, otrzymała garści prowiantu i pęczek suszonych ziół. Po zapachu Iseren rozpoznała w nich koronkowiec – dziko rosnące ziele używane powszechnie na północy do przyprawiania mięsa.

– Przyda się. Wdzięcznam za szczodrość. – skłoniła mu głowy. – Po-myślnych wód wam życzę.

– To bywa. – szyper wyprowadził dziewczynę z magazynu, wracając między swoją załogę na pomoście.

W gasnącym świetle słońca dziewczyna ruszyła z doków poszukiwaniu karczmy lub miejsca gdzie będzie mogła odpocząć. Na jej szczęście blisko doków stała skromnej wielkości spalnia, którą Iseren wypatrzyła po szyldzie przedstawiającym łóżko, z trudem dostrzegając go w półmroku błędząc po uliczkach miasteczka.

Wchodząc do środka gospody zastała przyjaźnie wyglądającego staruszka, który widząc bywalca przybytku rozpromienił się zza lady.

– Witam gości panią! – zawołał wesoło. – Szuka pani pokoju? A może tylko wstąpić na pogawędkę?

– Łóżka, dowolnego. – odparła zmęczonym głosem Iseren.

– Mam ładny pokój za trzynaście saijvisa. Interesuje cię taka oferta?



– Interesuje. – zmęczenie dziewczyny narosło, trudno jej było brzmieć jakkolwiek przyjemnie.

– Już panią prowadzę, tedy proszę ja cię. – właściciel przybytku przyjął zapłatę w uprzejmym pokłonie.

Niewielkiego wzrostu staruszek ruszył zaskakująco szybkim krokiem po schodach, prowadząc dziewczynę na piętro, liczyło ono sobie trzy pokoje. Grubym palcem wskazał dziewczynie środkowe pomieszczenie, opowiadając jej coś o trudności przy otwarciu drzwi, Iseren nie miała już chęci ani energii by się skupić na rozmowie. Wysłyszała od niego jeszcze życzenia miłej nocy, nim wrócił na parter wesoło coś nucąc. Dziewczyna weszła do pokoju zastając tam skromne łóżko i poobijany stolik. Rzuciła torbę i miecz na ziemię, ułożyła się w łóżku i nim zasnęła, zdołała zdjąć się z siebie koszulę.

\*\*\*

Następnego dnia obudziły ją hałasy z sąsiedniego pokoju, jednakże będąc już względnie wyspana nie starała się zasypiać ponownie. Z okna nad łóżkiem nie była w stanie dostrzec słońca, sugerowana jednak jasnym światłem rzucanym na panoramę miasta, stwierdziła, że musiało upłynąć sporo czasu od kiedy nastał świt. Zaglądając za słońcem pochłonęła się na dłuższą chwilę w podziwianiu drewnianej zabudowy mieściny. W wyglądzie przypominała dziewczynie o innych miastach, które napotkała w drodze – rzeźbienia przy krawędziach dachu, zgrabna choć surowa konstrukcja doskonale komponująca się z otaczającym miejscowość krajobrazem.

Od oglądania widoku wyrwał ją chłodniejszy powiew wiatru smagając ją po odsłoniętych ramionach. Chwilę później zasiadła na łóżku pośpiesznie się ubierając. Gdy wiązała koszulę, sąsiad zza ściany, który był odpowiedzialny za budzące ją hałasy, zaczął schodzić po stopniach na parter. Wyszła ze swojego pokoju chwilę nim nieznajomy zatrzęsął ze sobą drzwi przybytku. Słyszac zawołania gospodarza zeszła na parter zastając staruszkę za ladą.

– Dobrze się panienczce spało? – zagadnął wesoło.

– Owszem, dobrze. Mogłabym nieco zasięgnąć języka co słyhać w tych stronach?

– A sporo to słych! Do naszego małego Dahlgreth zawitał pielgrzym i paru innych wiernych. Paru nawet z nich zawitało w moim przybytku

skromnym. Z tego co z nimi uciałem pogawędkę to mówili oni, że ciągnie ich gdzieś na południe.

– Na południe mówisz? Akurat bardzo mi jest na rękę się w takim kierunku udać, wiesz może czy są oni jeszcze w mieście?

– Oj nie nie, przykro mi, ale wyruszyli już wczoraj o świcie. Biedacy, pewnie od miesiący nie spali porządnie w łóżkach, takich włóczykijów jak ty czy oni to naraz szanować i się wystrzegać, moja panienczko. – właściciel, z początku roześmiany szybko otrząsnął się widząc chłodny wzrok jakim zmierzyła go Iseren. – N-no, ale mniejsza, coś panienczkę więcej interesuje?

– Nie. Dobrych interesów życzę.

Staruszek poklepał lekko Iseren po ramieniu w odpowiedzi i podał jej dłoń na pożegnanie z życzliwym uśmiechem. Ta z rezerą odwzajemniła gest, po czym ruszyła na ulicę, mierząc w kierunku bramy wyjazdowej. Spacer do bramy głównej trwał zaledwie chwilę, wyglądało na to, że Dahlgreth było głównie rośło przy rzece, przez co ulica prowadząca do wyjazdu z miasta ciągnęła się najwyżej kilkadziesiąt kroków. Będą już za murami, Iseren podeszła do odrapanego drogowskazu porównując go z kierunkami na mapie. Układając sobie w głowie plan podróży zdecydowała się ruszyć w kierunku Tahlreg.

*"Skoro jest ono na tym znaku, musi ono już stanowić jakąś ważniejszą rolę niż miasteczka które ostatnio spotykam."* – zastanawiała się w myślach. – *"Uch, te malutkie grody zaczynają mi się już powoli mieszać w głowie."*

Myśl, że przerwie rutynowość w swoich wędrówkach napełniła ją od razu ekscytacją. Wraz z nim, wróciła do swojego dawnego tempa marszu, w towarzystwie niewytłumaczalnego pokłady siły, którymi dysponowała podczas całej tej pieszej tułaczki. Czekala ją jeszcze długa droga, Iseren jednak pewna siebie wiedziała, że zdoła jej sprostać.

#### IV.

Iseren nieprzerwanie wędrowała od wielu dni; zgodnie z jej przypuszczeniami była w stanie wyżywić się darami lasu, wspomagając się skromnymi porcjami posiadanego prowiantu. Od dobrego tygodnia<sup>2</sup> nie widziała żywej duszy, co w zupełności jej odpowiadało.

W swoich długich wędrówkach po gęstych lasach zdała sobie sprawę jak brakowało jej kojącej przestrzeni, którą wkrótce zaoferowała jej parudniowa podróż przez nizinny teren, prowadzący delikatnie powrotnie do coraz to gęstszego lasku liściastego. W połowie drugiego tygodnia zdała sobie sprawę, że pogubiła się w rachubie dni, które spędziła na samotnej tułaczce. W coraz to gęstszej puszczy miewała również trudność z określeniem aktualnej pory dnia, mimo to parła nadal po wydeptanym gościńcu, licząc, że w końcu napotka drogowskaz utwierdzające ją w pewności, że zmierza w właściwym kierunku. Mimo ograniczonej orientacji w terenie, nie było jej spieszno w podróży, często zatrzymywała się w to co przykuwających jej uwagę miejscach by ponapawać się przyrodą. Przez wiele dni swojej wędrówki dziewczyna poza paroma zwierzętami nie napotkała żywej duszy, a jako osoba lubiąca samotność w pełni jej to odpowiadało.

Któregoś jednak z wczesnych wieczorów przysłuchując się świergotom nieznanym Iseren ptaków jej uwagę szybko zwróciło złotawe światło w oddali, rzucane najprawdopodobniej przez ognisko.

*„Niedobrze..” – powiedziała sobie w myślach – „Nie zastanę w środku puszczy żadnej cywilizacji. Być może czekać mnie będzie zatarcie z tutejszymi rozbójnikami.”*

Będąc kilkadziesiąt kroków od obozu, dobyła miecza i powolnym krokiem zbliżyła się do źródła światła.

Iseren naliczyła z co najmniej osiem osób, które wchodziły w skład grupy, piątka z nich grzała się przy ognisku oddając się rozmowie. Ku jej nieszczęściu ich beztroski ton i rozchodzące się śmiechy powoli ustały nerwowym zawołaniom i palcami kierowanymi w miejsce gdzie przyczała się dziewczyna. Chwilę później para rosnących mężczyzn dobyła broni i zbliżyła się w jej kierunku wykrzykując coś w nieznanym jej języku.

---

2    Który składa się z pięciu dni

*„Co teraz? Nie przewidziałam tego, że w Lumvollrze może być używany też inny język.”* – spytała siebie nie ukrywając rosnącego niepokoj.

W akcie desperacji wstała na pełne nogi i powoli schowała miecz. Podchodzący do niej mężczyźni stanęli w bezruchu przed nią mierząc ją wzrokiem.

– Wybaczcie zajście, nie mam złych zamiarów. Pragnę tylko przejść dalej, bez niepotrzebnego rozlewu krwi. – Iseren sformułowała to zdanie w języku visildejskim, znanym jej w większości w literaturze.

Nieznajomi sugerowani prawdopodobnie jej łagodnym tonem głosu i pokojową postawą również pochowali swoje bronie, po krótkiej rozmowie między sobą gestem zaprosili ją bliżej siebie.

Niepewnym krokiem ruszyła za nimi, aż dotarła do źródła światła rzucanego przez ognisko w ich obozie. Dostrzegając matkę z dzieckiem karmiącą swojego malca zupą uspokoiła się, wiedząc, że żaden klan bandytów nie pozwolił w swojej bandzie trzymać matki małego dziecka.

*„Może to uchodźcy? Ofiary wojny w Öenrenhu? Mam tylko nadzieję, że nie są czymś dotknięci.”*

Prowadzący ją zatrzymali się przy nieco większym namiocie w obozie. W jego wnętrzu wypatrzyła odzianego w płowe szaty młodzieńca siedzącego na składanym stoliku przy świecy. Na blacie Iseren dostrzegła książkę, którą w skupieniu czytał. Słyszac szurania przy wejściu do namiotu oderwał wzrok od lektury spoglądając na wchodzącą Iseren i kompanów za jej plecami. Po krótkiej wymianie zdaniej między nimi dwójka mężczyzn opuściła namiot pozostawiając ich samych. Młodzieniec po zamknięciu książki wstał z siedziska i podszedł nieco bliżej do Iseren posyłając jej łagodne spojrzenie.

– Witaj nieznajoma, jak cię zwą? – na jej szczęście młodzieniec znał również visildejski.

– Iseren. A ciebie, jeśli mogę wiedzieć? – spytała Iseren.

Chłopak widząc, że Iseren przestępuje z nogi na nogę wskazał jej uprzejmie łóżko polowe, na którym dziewczyna sobie usiadła ze skrzyżowanymi nogami. Sam zaś zasiadł obok niej, na drugim skraju łoża.

– Dankard, pani. – głos chłopaka był aksamitny, o niskiej tonacji. – Co cię do nas sprowadza?

– Byłam tylko w drodze i musiałam minąć wasz obóz. Nie chciałam wam zakłócać spokoju.

– Ach spokojnie, moja kompania jest otwarta na nowe twarze, wliczając nie tylko naszych rodaków. – zapewnił ją Dankard, odgarniając sobie z czoła kasztanowego loka. – My też nie jesteśmy stąd, Iseren. Większość z nas to rodzeni Öenrenhowie, z Gaerngazt uściślając.

– Och, słyszałam, że w tych stronach doszło do konfliktu między Visildeią a najeźdźcom z morza. Przykro mi słyszeć, że los was zmusza do takiej tułaczki.

Ku jej zaskoczeniu, młodzieniec się tylko uśmiechnął.

– Oj Iseren, chybaś dawno nie sięgała językiem co w Kyrridei słyhać. Ejldhart już dawno został odzyskany! Atakujący się wycofali widząc jak ich przeważa liczebnie visildejska armia. Do wojaży mnie akurat motywują nie lęki przed wojennym trudem. Mam misję szerzenia dobrego słowa boga po ziemiach visildejskich. A są ze mną wierni z miasta, którzy przyrzekli mnie strzec, a także czasem ktoś z interesem jak ty, co pragnie pod naszą osłoną pokonywać trudy podróży.

– Jakiemu bogu służysz, Dankardzie?

– Twórcy nas wszystkich, Nyrelionowi. Chwała jemu i jego elementarnym następcom w tworze, Posesorom!

– Następcy w tworze? Nie chcę urazić twoich uczuć religijnych, ale to właśnie oni zabili Nyrena za złamanie zawartego między nimi przymierza. Dlaczego więc nazywasz ich następcami?

– Posesorowie elementu, jak sędzę zgładzili Nyreliona z niewiedzy o jego dobrych intencjach. Jednakże to niezgoda między nimi utrzymuje nasze byty przy życiu. Moc Iraneona nas ogrzewa, Yaenalii nawadnia i metalczywo w płyn zmienia, Tidarona oczyszcza umysł i skały na drodze naszej w pył obraca, a Geranny zwała nam stąpać po pewnym gruncie. Moce, które kreują nasze życia mogą nam je również łatwo odebrać. To oni mają nasze życie na szali. Dlatego my, jako rasa ziemską, znana ci pewnie jako Ziemcy musimy choć częścią naszego serca spoglądać ku niebu. Z wdzięcznością, że przeznaczenie Posesorów przybrało tor rozkwitający inne, mniejsze formy życia. Niechaj im chwała będzie, tu i teraz!

– Niechaj zatem będzie. Wybacz, ale moje zaangażowanie w sprawy boskie jest dość ograniczone.

– Wybaczam ci, Iseren. To jest w końcu co mnie kieruje by w głowach visildejskich obywateli zakiełkowała bogobojność wobec Panów elementu. A z głów do świątyń, by do naszego życia wrócił pełen kult pański.

– Rozumiem, nie ukrywam, że bardzo inspirujące są twoje działania. Pragnę również spytać o coś innego. Czy bywałeś ostatnio w Dahlgreth?

– Dahlgreth.. Ach, tak! Dobrze dwa i pół tygodnia temu, wstąpiliśmy do niego, w trakcie mojej misji w Lumvollr, nim skierowało mnie do Kreovii, w której gościmy już piąty dzień. A dlaczego pytasz Iseren?

– Jestem już w Kreovii? Zaszłam dalej niż myślałam..

– Sam czasem zaskakuję się tym ile pokonuję drogi w niewiedzy. A dokąd zmierzasz Iseren, jeśli mogę wiedzieć?

– Do Vasildel, pragnę poznać się głębiej na moim pochodzeniu.

Iseren urwała, chcąc jeszcze dodać o jakim konkretnie pochodzeniu mówi, jednakże nie była w stanie obdarzyć chłopaka takim zaufaniem.

Dankard spodziewając się dalszej części nadal się wpatrywał w nią wyczekując czegoś dalej, lecz po chwili spuścił intensywny wzrok.

– Och, rozumiem. Nie dociekam zatem o jakim przeszłości mowa. Ale biblioteka w Vasildel pomoże ci rozwiązać te niepewności. Czy chciałabyś coś jeszcze przedyskutować?

– Nie, to chyba wszystko, dziękuję. Za spędzony czas i gościnność. Powodzenia w swojej misji Dankardzie.

Iseren z zamiarem wyjścia, wstała w łóżka, nim zatrzymał ją Dankard w lekkim pośpiechu.

– Wiesz, że możesz z nami zostać, jeśli chcesz. – chłopak urwał na chwilę przyglądając się jej twarzy z pojawiającym się wyrazem zaskoczenia. – Na dobre imię bogów, ty chyba nie widziałaś ciepłego posiłku od tygodni.. Parę godzin snu w ciepłym łóżku też by ci się przydało. Chodź, zostało pewnie jeszcze trochę kolacji. Myślę że nikomu z obecnych nie będzie szkodzić, jeśli coś też skosztujesz.

Nie chcąc odmawiać gościny udała się z młodzieńcem, który zaprowadził ją do ogniska. Rozdająca właśnie zupę matka z dzieckiem wdała się z rozmową z Dankardem, po chwili podając jedną z drewnianych misek Iseren. Dziewczyna zasiadła na ziemi przy ogniu jedząc w ciszy zupę.

Przerwała, czując na sobie czyjeś intensywne spojrzenie. Podniosła wzrok, na twarz zafascynowanego nią dziecka. Po długich kasztanowych włosach założyła, że to dziewczynka, mająca najwyżej kilka lat. Iseren trudno było znieść takie nieustanne spojrzenie, nie mogąc skupić się też na posileniu się zupą. Na jej szczęście, mama dziecka zawołała dziewczynkę, która z niechęcią za nią poszła. Nie nacieszyła się długo

spokojem, mała z uporem wróciła do Iseren, tym razem przy niej się sadowiąc.

Za swoimi plecami Iseren usłyszała łagodny śmiech matki, która kucnęła przy nich, przyjmując od Iseren pusty talerz. Z bliska Iseren dostrzegła, że kobieta jest w młodym wieku, co podkreślały jej smukłe i przyjazne rysy twarzy. W obcym języku poprosiła o coś dziewczynkę, która zaniósła talerz do pustego sagana. Kobieta złapała spojrzenie z Iseren, posyłając jej przyjazny uśmiech. Iseren delikatnie uchyliła głowę w podziękę za posiłek. Mając oczy skierowane przy ziemi poczuła na swoim policzku delikatnie muśnięcie palca matki. Pragnąc uniknięcia kłopotów, pozwoliła się jej dotknąć, i ułożyć sobie włosy. Po chwili podniosła wzrok i spostrzegła, że kobieta gestem zaprasza ją do jednego z namiotów. Iseren ruszyła nieufnie do niej, gdzie zawitało ją skromne, mierzący najwyżej dwa sążnie wnętrze. Kobieta złożyła dla niej polowe łóżko, obrzuciła je również wysłużonymi futrami. Iseren skorzystała z gościni, sadowiac się w materiale łoża. Leżąc na plecach, oglądała szkielet namiotu powoli zasypiając, dając się wsłuchać w trzaski ogniska, które zdawały się dobiegać z coraz to większej odległości.

\*\*\*

Późnym rankiem wyszła na świeże powietrze, czując się dobrze wypoczęta. Zastała ognisku paru pielgrzymów, w tym poznaną wczoraj młodą kobietę. Z ich gawędzi wysłyszała, że matka dziecka ma na imię Olfira, która widząc Iseren, pospieszyła ku niej, by posadzić ją przy obfitym śniadaniu składającym się z przypiekanych warzyw w maśle i gotowanych jajek.

Bardzo syta po posiłku podziękowała Olfirze skinieniem głowy oddając strugane w drewnie sztucce. Czując potrzebę odetchniecia od panującego przy ogniu zgiełku, postanowiła by nacieszyć się otaczającą obóz przyrodą na przechadzce. Przemierzając bezpieczniejsze wyglądające części puszczy zdołała napotkać Dankarda, który najwidoczniej też zwykł umilać sobie poranki na łonie natury. Wzrokiem godnym starego myśliwiec wodził po roztaczającym się lesie, póki nie wysłyszał zbliżającej się dziewczyny.

– Witaj Iseren. Widzę, że wyglądasz już dużo lepiej niż wczorajszego dnia. – zagadnął wesołym głosem, odwróciwszy się do niej.

– Też cię miło widzieć. A ja cały czas mieszałam się znośnie. Mimo to dziękuję za waszą gościnę. Chociaż tak sobie myślę, napewno nie ma nikt nic przeciwko mojemu towarzystwu?

– Bez obaw, wędrowców podobnych tobie mieszałam już nieraz pod naszym skrzydłem. A jeśli cię zastanawia sprawa finansowa, zaopatrują nas wierni, których odwiedzamy. Hojnych świat zawsze darzył pomyślnością, więc przystoi się dzielić darami, którymi nas obdarzono.

– Rozumiem. Dokąd teraz zmierzacie?

– Myślę że będzie ci po drodze. Do Gradłov, jednego z większych miast w okolicy. Zawsze jest milej podróżować w kompanii, chyba że cię czas nagli.

– Nie mam nic przeciwko dołączeniu na chwilę do twojej podróży misyjnej. W razie zagrożenia, możecie liczyć na mój miecz.

– Szlachetnie, oferta godna wręcz senvoldzkiego wojownika. A i takich wśród nas nie brakowało. – Dankard westchnął z uśmiechem. – Skoro mowa o różnych stronach Kyrridei, myślę, że mogłabyś się nauczyć paru zwrotów z öenrejskiego, które podczas pobytu w naszym gronie mogą ci być przydatne. Chciałabyś przystąpić do nauki?

– Jak najbardziej, Dankardzie. Dziękuję za propozycję.

– Pozwólmy sobie zostać jeszcze klepsydrę czasu wśród tej zieleni. Do nauki podejźmy przed zenitem.

– Nie ponaglam, Dankardzie.

Chłopak odpowiedział jej życzliwym spojrzeniem, który przybrał ponownie powagi, gdy wrócił na widok tętniącego życiem lasu.

\*\*\*

Wróciwszy do obozu, Dankard zaprosił dziewczynę do swojego namiotu. Mając w nim do dyspozycji parę rękopisów wyuczył Iseren paru prostszych sformułowań i wymowy języka. Ku zadowoleniu młodzieńca, Iseren z łatwością wyuczyła się do popołudnia podstaw języka, choć nadal kaleczyła nieco wymowę.

Uznawszy, że ta wiedza jej na razie wystarczy, wróciła do ogniska, by pomóc w przygotowaniu obiadu. Podzieliła się paroma gałązkami koronkowca między zebranymi, żeby mogli przyprawić przygotowywany posiłek. Iseren zaoferowała Olfirze, że przypilnuje za nią potrawki na ogniu, co bardzo ucieszyło kobietę.



Skończywszy, pomogła w przygotowaniu misek i krojeniu chleba, by już wkrótce zasiąść do obiadu. Jedzono go w pośpiechu, bowiem czekała ich dalsza droga. Nie minęła dłuższa chwila, gdy z dobytkiem na grzbietach koni ruszyli ponownie w podróż i mimo, że grupa liczyła osiemnaście osób, przemierzali w sprawnym tempie gęsty las, stopniowo zbliżając się do Gradłov.

\*\*\*

Przemierzając Kreovićę zaczęła dręczyć ich silna wichura przerywana ulewami; mimo, że osłaniały ich drzewa, każdy zdążył przemoczyć swoje ubrania, przez co w trakcie coraz to silniejszego deszczu poczęli podróżować pod płachtami materiału, często ściśnięci w niewielkie gromadki. Iseren za namowami Olfiry pozwoliła się okryć jedną z owych płacht, nim dziewczyna zdołała całkowicie przemoknąć.

Dosyć grobowy nastrój wśród podróżnych rozwiały krzepiące wieści od Dankarda – na podstawie mapy i drogowskazów oszacował, że do Gradłov zostało nie więcej niż dzień drogi. Niesieni wizją postoju pod dachem do rozmów między nich wróciła dawna radość i śpiewy w ich ojczystym języku. Iseren nawet już częściowo znając nie dołączała się do pieśni, całą jej bowiem uwagę skupiały otaczające krajobrazy, doszukując się często w nich podobieństwa do rodzimego Senvoldu.

Aż wkrótce, jednego mżystego poranka opuścili długo przemierzaną puszcę, by ich oczom ukazała się panorama sporej wielkości miasta rozlegającego się na niedalekiej od nich równinie.

Dotarcie do bram miasta zajęło im resztę ranka, gdzie przystanęli by powitać wartowników przy wejściu. Co imponujące w mniemaniu Iseren było to, że Dankard uciął rozmowę z strażnikami Gradłov w ich ojczystym języku, która ze słuchu brzmiała na dosyć płynną, co oznaczało, że młodzieniec znał co najmniej trzy języki. Po krótkiej wymianie zdań między nimi, gromada zagościła za murami miasta, gdzie ku uciesze dziewczyny, młodzieniec miał pewnego gospodarza za przyjaciela, który pozwolił im zatrzymać się w swoim zajeździe.

Będąc w środku zebrani zasiadli przy podłodze przy kominku grzejąc się przy ogniu. Jedynie na nogach został Dankard by ponad głowami reszty przedstawić parę wieści:

– Moi drodzy! – zawołał, zbierając uwagę pielgrzymów. – Jak zwykliśmy, kazania zaczniemy o ładnej pogodzie, jeśli będzie nam sprzyjać

to już za jutra. Wyznamy też paru chętnych by ogłosili ogłoszenia po ulicach miejskich, w sprawie zbliżającego się kazania. Pragnę zaznaczyć, iż wymaga to znajomości kreoviańskiego.

W izbie uniosło dłoń paru zebranych, których Dankard ochoczo przywołał do siebie, pragnąc ich wyuczyć obwieszczenia dla mieszczan po kreoviańsku.

Dankard po wyuczeniu chętnych ogłoszenia zaszedł do właściciela gospody, pod jego nieobecność zebrani nieśmiało zaczęli się rozchodzić po wnętrzu.

Iseren już wcześniej w oczy rzuciło się umeblowanie wnętrza budynku – zgrabnie strugane w drewnie o jasnym kolorze, które wręcz stanowiły kontrast do surowego umeblowania, do którego przyzwyczały ją lata spędzone w Jätynjodrze. Dziewczyna minęła stoły jadalne by zasiąść przy jednej z okiennic w gospodzie. Zaglądając z niej analizowała przysadzistej konstrukcji domom o grubym dachu ze strzechy, między którymi rozsiane były ogrody kwiatowe porozdzielane płotem, bądź kamiennymi murkami. Dziewczyna rozmarzonym wzrokiem wędrowała też po mieszkańcach miasta, nielicznie kręcących się po ulicy w słabnącym deszczu – w większości byli to rośli blondyni o twarzach zarumienionych od zimna.

Z oględzin wyrwało ją głośniejsze trzaśnięcie drzwiami gospody, wpuszczony do środka powiew orzeźwiającego wiatru z dworu zachęcił ją by wyszła z zajazu, pragnąc również lepiej rozejrzeć się po Gradłov. Po poinformowaniu Dankarda o swoim wyjściu opuściła gospodę zaczerpując powietrza pachnącego mokrą ziemią. Bez żadnego pośpiechu kroczyła między ulicami miasta, co jakiś czas zatrzymując się przy co niektórych kwiatkach by nacieszyć się ich zapachem.

Wracając do gospody dostrzegła małą ścieżkę prowadzącą za budynek do małego podwórka z kwiatami i pustymi sznurkami na pranie. Po szybkim zmierzeniu w krokach przestrzeni zabrało ją na odświeżenie sztuki walki mieczem. Po paru niezręcznych ruchach, powoli zanurzała się w wykonywanych cięciach i uskokach. Swoją trening przestała dopiero słysząc kroki za swoimi plecami. Odwróciła zatem wzrok w kierunku zbliżających się do niej trójga mężczyzn, których kojarzyła z pielgrzymkami Dankarda.

– No no, nieźle sobie radzisz z tym mieczem, panienko. – zagadnął jeden z nich. – Tyś jest Iseren, czyż nie?

– Zgadza się. – odparła Iseren, opierając miecz o udo. – A was zwą?

– Mi Gjerryt jest. A moi przyjaciele zwani są Wigfried i Kaulus. – przedstawieni podali jej dłoń na powitanie.

– Miło was zatem poznać. Czy coś chcieliście ode mnie?

– A w rzeczy samej. – rzekł tym razem Kaulus. – Co powiesz na trening z nami, za murami Gradłov?

– Nie mam nic przeciwko. A widzę, że wam brakuje jednego do pary. Znacie jakieś dogodne miejsce do walki?

Mężczyzna imienia Gjerryt kiwnął głową i zaprosił gestem dziewczynę by poszła za nimi. Kierując się za mury miasta, zastali po chwili przestronną polanę, paręset kroków od Gradłov.

– Szukając grzybów żem tu znalazł takie miejsce – wyjaśnił mężczyzna przedzierając się przez wysoką trawę. – Się trochę tego trawka uklepie i miejsce będzie jak znalazł.

Nie zajęło im długo czasu przygotowanie sobie miejsca na pojedynek. Zebrani podzielili się w pary i zaczęli na siebie nacierać, jednocześnie tak by nie zrobić krzywdy partnerowi. Iseren jednak po kolejnym posłaniu swojego oponenta rozbrojonego na ziemię zaproponowała by trójka mężczyzn zmierzała się przeciwko niej. Uświadomieni jej zdolnościami z chęcią przystanęli na jej propozycję, również czując, że tak będzie sprawiedliwiej.

– To do pierwszej krwi. – oznajmiła. – I pokażcie mi jak walczy prawdziwy wojak z Öenrenh.

– Tym razem tak łatwo nie będzie, panienko. – odparł Gjerryt z nieukrywaną pewnością siebie.

*"To może być ciekawe.."*

Dobyła powoli miecza, rozsała się na ugiętych nogach. Oparła sobie wolną rękę o biodro, pozwalając trójce mężczyzn się przed nią ustawić. Przekreśliła z gracją mieczem w nadgarstku, po czym gwałtownie posuwała do przodu tnąc ostrzem na trójcę.

Mężczyźni zaskoczeni w ostatniej chwili ukoczyli przed atakiem, próbowali ciąć dziewczynę po plecach, lecz ta równie prędko sparowała ich ataki, jednocześnie uderzając jednego płazem miecza w głowę. Ten po walony siłą uderzenia powoli się podnosząc z ziemi oglądał, jak Iseren wybija bronie z dłoni swoich kompanów zostawiając ich jedynie z drobnymi nacięciami na rękach. Nie minęło więcej niż parę uderzeń serca gdy trójka jej oponentów ciężko dysząc zbierała niezdarnie broń z wydeptanej trawy. Iseren stała nad nimi z pozbawioną wyrazu miną, wolną od miecza dłoń wciąż trzymała na biodrze.

– Święte bogi, to dopiero była jatka. Kto cię takiej szermierki uczył?  
– nieco mamrotliwym głosem spytał dotąd małomówny Wigfried.

– Mój przybrany ojciec. – odpowiedziała krótko Iseren, nie odrywając wzroku od wycieranej głowni miecza.

– To ci dopiero, tak się dać otłuc młódce. Tak żeś nam porachowała kości, że wyleżymy to chyba dopiero za naszego następnego żywota. – rzucił z śmiechem Kaulus, trąc się po poranionych knykciach.

– Też dobrze walczyliście. I dziękuję za pojedynek. – z skinieniem głowy w ramach odpowiedzi, dziewczyna schowała swój miecz.

– Na zarazę! Stosy srebra za treningi z tobą dałbym, Iseren. Moi towarzysze z całą pewnością też. – Gjerryt podszedł nieco do dziewczyny.  
– Sprawdziłabyś się jako nauczyciel?

– Wydaje mi się że tak. Możemy razem ćwiczyć w każde przedpołudnie.

– No to ustalone. – Gjerryt podziękował Iseren uściskiem dłoni. – Niby taka inkarnska z bużki, a tak nas złoić, toś pewnie nas paru dobrych ruchów nauczysz.

„*Inkarnska z bużki?*” – słowa Gjerytta odbiły się w jej umyśle jak przez echo. – „*Oby tylko mu się jedynie tak skojarzyło..*”

Zajęta nieco tymi myślami wracała do Gradlov, aż nieumyślnie wdepnęła w kałużę. Zabierawszy w niesmaku mokrego trzewika z kałuży, przyjrzała się rozchodzącym falom na tafli wody. Gdy tafla przestała się marszczyć, Iseren dała się pokusie rzucenia okiem ku swojemu odbiciu w wodzie. Obawa którą ze sobą niosła w sercu całą drogą natychmiast odeszła – nawet zdjawszy kaptur nie dawała swym wyglądem jasnych znaków, by miała być rasy wyższej.

„*Całe szczęście, wyglądam.. niepozornie. Niech tak lepiej będzie.*” – Iseren bez żadnego już przejęcia poprawiła sobie jedynie włosy, dla pewności, że zakrywają w pełni jej uszy. Następnie ruszyła w kierunku gospody, mając zamiar ogrzać się przy ogniu.

\*\*\*

Parę sypnieć klepsydry po tym gdy weszła do budynku, do środka wparowało trzech pojedynkujących się z nią mężczyzn. Kilku we wnętrzu zainteresowały ich siniaki i zacięcia na dłoniach, podeszli zatem by spytać co lub kto ich tak poranił. Nie kryjąc swojego podziwu do

Iseren, trójca mężczyzn zaprosiła ją gestem by wychwalić jej znakomite umiejętności w walce.

Dziewczyna kryjąc niechęć dawała się poklepać po ramionach i wysłuchać pochwał od zebranych, na jej szczęście uwagę pielgrzymów dosyć prędko odciągnął przygotowywany obiad. Zasiadając do stołu nadal jednak czuła spojrzenia na sobie, co zmusiło ją do skupienia wzroku na stole nim rozdano posiłek. Czując w pewnym momencie, że ktoś nad nią stoi była zmuszona podnieść spojrzenie. Ku jej uldze, była to tylko Olfira podająca jej obfity – jak zwykła jej wręczać – posiłek.

– Moja mistrz miecza musi sobie dobrze zjeść. – powiedziała jej z uśmiechem. – Tylko proszę, uważaj na siebie jak potrafisz, to pełna niechcianych niespodziewań droga..

Jej następne słowa brzmiały bardzo smutno, wręcz jakby kobieta mówiła je z bólem. Łapiąc kontakt wzrokowy z Iseren ta jednak szybko się z powrotem rozpromieniła i spieszonym krokiem wróciła zająć się swoją córką.

Zatroskany wyraz twarzy kobiety utkwiał w pamięci Iseren długo po obiedzie, czuła jednak, że nie powinna wnikać, skąd ta troską o nią, a także jakie intencje przyświecają Olfirze.

„Może po prostu zwykła tak darzyć opieką innych..” – zasugerowała sobie w głowie, czując, że się okłamuję.

Myśli bez odpowiedzi zadręczały dziewczynę do późnego wieczora, nie dając jej również spokojnie zasnąć.

\*\*\*

Obudził ją złocisty blask późnego poranka; większość z pielgrzymów dawno była już na nogach, przygotowując właśnie śniadanie. Gdy skończyła myć sobie włosy w niewielkiej banii, podano już do stołu, gdzie czekała na nią Olfira z przygotowanym dla niej pieczonym filetem ryby z kaszą. Iseren, jak zwykle podziękowała i zabrała się za jedzenie.

Nie minęło dużo czasu gdy Dankard zwołał pielgrzymów i oznajmił ich o zbliżającym się w południe kazaniu. Dziewczyna zgłosiła się jako strażnik pilnujący młodzieńca, wraz z nią znana jej z wczorajszego treningu trójca Ōenrenhów. W czasie do wyjścia Iseren spędziła czas poza Gradłov, wylegiwując się pod drzewem. Podświadomie też układała sobie w myślach plan drogi do Vasidel. Chwilę później zdrzemnęła się

do przedpołudnia, uśpiona delikatnym szumem wiatru i pełnym żołądkiem.

\*\*\*

Po swojej drzemce, wstała otrzepując się z ździebeł trawy i poprawiając lnianą koszulę. Po tej spiesznej procedurze zmierzyła do Gradłov bez żadnego zbędnego postoju.

Wróciwszy do gospody zastała nerwowo krążącego przy obejściu Dankarda, który widząc ją nakazał jej już zostać w pobliżu. Posłusznie przystanęła obok młodzieńca, który po niedługich przygotowaniach zabrał się z wiernymi na umówione miejsce kazania.

Będąc na miejscu zastali już paru miejscowych, a także przygotowany dla Dankarda podest. Stanąwszy na podwyższeniu, chłopak poinstruował Iseren a także resztę strażników, gdzie mają się ustawić, nim przybędzie reszta mieszkańców Gradłov. Iseren usytuowana przy Gjer-rycie na tyłach tłumu obserwowała mieszkańców, starając się również wsłuchać w mowę młodzieńca, jednakże jego oracja sformowana była w obcym dla niej języku.

– Nie przeszkadzam ci w słuchaniu Dankarda? – zagaił po cichu Gjerryt.

– Nie. Musiałabym znać kreoviański.

– No, to sobie pomówić możemy. Dokąd cię właściwie niesie, Iseren?

– Do Vasildel, mam coś, pewną sprawę, która wymaga pomocy uczonych. A napewno mogę im coś oferować w zamian. – tu dziewczyna znacząco postukała palcami po mieczu.

Gjerryt poparł ją z uśmiechem.

– Żeby wam ta podróż przyniosła odpowiedzi, panienko. Ale rozumiem, że będzie nas wkrótce czekać rozstanie?

Dziewczyna przez chwilę się namysliła nad odpowiedzią, rzucając zadumane spojrzenie w dal.

– Na to wygląda. – dodała po chwili. – Chyba się obejdzie mi bez obiecanych stosów srebra.

– Ha, na to wygląda. – zarechotał dyskretnie, przyjmując po chwili poważniejszą minę. – Ech.. Chciałbym jakoś panience poradzić co do wędrówki, ale żem sam świata nie widział. Dopiero w kompanii Dankarda ujrzało mi się trochę Kyrridei.

– Jak na razie też nie miałam ku temu okazji, sporo nie zwiedziłam. Widziałam tylko rodzime południe Senvoldu i kawałek Kreovii.

– Rodzime południe Senvoldu? To ci dopiero, bo mi nie wyglądasz na kogoś z północy.. – Gjerryt rzucił jej dosyć nieprzyjemnie przenikliwe spojrzenie.

– Fakt, jedynie mnie tam wychowano. – odparła wymijająco unikając z nim wzroku.

– A skąd właściwie się wzięła tam twoja rodzina, skoroś nie stamtąd?

– Moi rodzice.. Nie miałam okazji ich poznać.

– Tak sprawa wygląda.. Słuchaj, może ci Dankard pomoże? On taki jest czytany, może jego wypytaj.

– Nie chcę odbierać intelektu Dankarda, ale wątpię by nawet jego wiedza by potrafiła mi udzielić odpowiedzi.

„W dodatku nie czuję się co wyjawień kim jestem.” – dodała w myślach.

– Mhm. To tylko powodzenia życzyć mogę.

– Dzięki, Gjerrycie.

Mężczyzna skitował to jedynie uprzejmym uśmiechem, zwracając głowę z powrotem na zebranych.

Kazanie trwało jeszcze parę sypnięć klepsydry, nim rozległo się głośniejsze zakrzyknięcie Dankarda, po którym zebrani zaczęli mu wiwatować i składać dary pod podestem. Tłum następnie zaczął się powoli rozrzedzać, na wielu z odchodnych twarzy gościła inspiracja, choć część też zdradzała apatię, czy nawet obrzydzenie. Dankard nim opuścił podest, wdał się w rozmowę z odzianym w zdobną długą szatę starcem.

– Zwykle zainteresowanie miejscowego duchowieństwa oznaczało kłopoty. – skomentował Gjerryt. – Ale widzę, że się wyjątkowo bez nich obejdziesz.

– Mieliście zatargi w kwestiach religijnych?

– A no mieliśmy. Kończyło się na zakazie głoszeń, czasem nawet i wykopaniem z miasta. Się lud nie cieszy jak wyciąga ktoś stare Bóstwa, ba nawet wiara w elementy potrafi niektórych rozsierdzić.

– Zawsze myślałam, że Visildeia ma jednolitą wiarę. – zdziwiła się Iseren. – W mojej osadzie wierzone w Nyra, a elementy traktowano z szacunkiem, ale i strachem.

– Prawie jak u nas. Jak dobrze pamiętam, oficjalnie Visildeia wyznaje jedynie Nyreliona, ale obył mi się o uszy też stary panteon, spoza

Żywiołu. – Gjerryt ściągnął uwagę Iseren na podest. – Dobra, tamten klecha poszedł. Chodźmy do Dankarda.

Zbliżywszy się do niego, Dankard wyjawiał im, że Gradłov rozpatrzy modernizację religii w mieście, co utrzymało chłopaka w pełnym entuzjazzmu nastawieniu.

Zebrani strażnicy pomogli się mu zabrać, by wrócić do reszty wiernych w gospodzie, z zamiarem ruszenia w dalszą drogę. Nie minęło zbyt wiele czasu, gdy grupa zdążyła już wyjechać z Gradłov. Z wyjaśnień Dankarda wynikało, że będą się teraz kierować do Wistuji, stolicy Księstwa Jamrynów – niewielkiego, ale zamożnego państwa na Kreovii. Po drodze Iseren jak zwykła dała się pochłonać w podziwianiu otaczającej jej przyrody i krajobrazu. Przemierzali wydeptany gościniec, między których rozcielały się połacie polan i zieleniejących pól, wśród których skyrwały się niewielkie wsie, liczące do najwyżej tuzina domów. Jak Iseren zauważyła, droga była często uczęszczana, głównie przez chłopów oraz kupców.

\*\*\*

Pielgrzymi podróżowali bezustannie, aż do późnego wieczoru, dopóki nie ściemniło się na tyle, by dalsza podróż stała się wręcz niemożliwa. Wśród obecnych panował bardzo radosny nastrój, dlatego kolacja dosyć szybko zamieniła się w popijawę pełną śpiewów i wygłupów. Iseren znużona hałasami udała się z dala od zgiełku, gdzie usiadła na skraju pagórka, skąd obserwowała nocne niebo. Noc była bezchmurna, co pozwoliło jej dostrzec między gwiazdami różnej wielkości planety. Obserwując barwne niebo nie dosłyszała z początku, jak dosiada się przy niej Dankard, pewnie również zmęczony zabawą przy ognisku.

– Wszystko dzisiaj widać jak na dłoni. – szepnął nieco rozmarzonym głosem młodzieniec. – Widzę, że też lubisz oglądać nocne niebo, Iseren.

– Zawsze lubiałam. Jako małe dziecko mój ojciec mi powiadał, że gwiazdy są zamieszkałe przez pradawne rasy, od których wywodzi się ziemskie życie. – Iseren położyła rękę na zgiętych kolanach. – Ciekaw jestem, czy w tych bajkach jest ziarno prawdy.

– Możliwe. *Leugele* zawsze byli blisko Ziemcom, może ciekaw, czy jesteśmy wdzięczni ich Panom naszego bytu.

– Właściwie to dlaczego nazywacie Bóstwo Panami? Yane i Gerana są w końcu kobietami.



– Ach, widzisz, Iseren, bogowie nie posiadają takiej formy bytu, jak my, Ziemcy, czy bliżsi bogom Inkarnowie. Bogów można nazwać Panami, ale i Paniami. Ich istnienie jest mniej cielesne, dlatego nie obowiązuje ich żadna płciowość. Jednakże w religii elementarnej myśl przyjęto, jakoby te bardziej życiodajne elementy są kobiece. Co nijak się ma do prawdy, każda siła żywiołu kształtuje i utrzymuje nasze istnienia w stosunkowo równy sposób.

Dziewczyna kiwnęła w głowę w zrozumieniu, nie odrywając wzroku od nieba, układając konstelacje gwiazd w różne kształty.

– Wdzięcznam zatem za wyjaśnienie. – dodała po chwili.

– Żaden problem. W końcu takie jest moje powołanie.

Chłopak nagle z zachwytem zerwał się z ziemi oglądając coś na niebie.

– Też widzisz? Te błyski na niebie? – spytał z przejęciem.

– Tak, teraz też widzę.. – Iseren z lekko rozwartymi ustami oglądała, jak nocne niebo przecinają różnej długości świetliste smugi w ciepłych odcieniach. – Najwidoczniej doszło do większej bitwy, skoro jesteśmy w stanie ją stąd dostrzec.

– Bitwy? Co masz na myśli, Iseren?

– Mędrzec w mojej wiosce mi opowiadał, że Niebianie tocząc ze sobą potyczki rozświetlają niebo w różne barwy.

– Zachwycające.. Choć przykre zarazem, jeśli ta opowieść jest zgodna z prawdą. Tyle piękna inicjuje krwawa niezgoda między braćmi..

Iseren zamilkła, zastanawiając się czy będzie ona w stanie poznać odpowiedź w kwestii tej bliskiej jej rasy. Pogrążona w myślach nie pamiętała od którego momentu jej zaduma stała się częścią snu.

\*\*\*

Iseren wstała wczesnym rankiem, obudzona wschodzącym słońcem. Minęła śpiącego w pobliżu niej Dankarda by przejść się do obozu z zamiarem przygotowania sobie posiłku. Zastała tam rozrzucone dookoła butelki po gorzałce, paru śpiących imprezowiczów, a także niedokończoną grę w kości na rozrzuconej koszuli. Szybko zdała sobie sprawę, że nie przyrządzi żadnej potrawy, tak by nie obudzić rozrzuconych dookoła Öenrenhów. Poszła zatem w głąb lasu, który ulokowany był blisko obozu. Przemierzając las jezioro, które po zbadaniu przy brzegu okazało się głębokie na tyle, by pozwolić się jej opłukać.

Korzystając z okazji wyczyściła w wodzie swoje długo noszone ubrania i rozwiesiła je na gałęzi pobliskiego drzewa. Pozbawiona odzienia wkroczyła powoli do akwenu, stopniowo przyzwyczajając się do zimnej wody. Z czasem chłód panujący w jeziorze zrobił się dla niej relaksujący, skłaniając ją do pozostania w wodzie na nieco dłużej niż potrzebuje.

Po kąpieli, położyła się na skarpie przy brzegu, by się osuszyć, przymykając oczy w słońcu, rażącym ją przez korony drzew.

Zdejmując rozwieszone ubrania na gałęzi drzewa przyłapała się na tym, że ogląda swoje ciało w tafli wody. Obejrzała się jeszcze swojemu odbiciu z paru stron dając upust swojemu zaciekawieniu, nim zaczęło doskwierać jej poranne zimno. Pospiesznie zatem założyła suche, pachnące lasem ubranie, by wrócić już do obozu.

Wychodząc zza drzew zwróciła uwagę paru zebranych, którzy właśnie kończyli przygotowywać śniadanie. Bałagan po wczorajszej nocy został już sprzątnięty, a jedyne co dawało sobie przypominać o poprzednim dniu były nieco otępiałe spojrzenia na co niektórych twarzach. Podchodząc do ognia, Iseren wyczuwała smród trunku od paru obecnych, część jeszcze odsypiała popijawę. W pełni wypoczęci byli tylko Iseren, Dankard, a także Olfira ze swoim dzieckiem

Dziewczyna czekając na posiłek oglądała krajobraz znad pagórka, na którym rozbito obóz. Jej uwagę odwróciło delikatne uciśnięcie w kolano. Odwracając wzrok dostrzegła córkę Olfiry, trzymającą oburącz drewniany talerzyk z chlebem w przyprawach i kawałkiem ryby.

– Proszę. Mama chciała byś dostała. – dziewczynka ponownie wbiła brzeg talerza w nogę Iseren.

– To podziękuj jej ode mnie. – Iseren postarała się o łagodny ton głosu.

Dziewczyna wzięła z rąk dziecka talerz i położyła go na swoich udach. Jedząc posiłek złapała kontakt wzrokowy z Olfirą, która kątem oka spoglądała na nie z uśmiechem. Jej wzrok wrócił na dziewczynkę, które wróciło dziecięcym biegiem by złapać za rąbek sukni matki. Iseren po skończeniu posiłku, zaszła do kobiety z pustym talerzem. Olfira uniosła głowy znad sagana, posyłając ciepłe spojrzenie dziewczynie.

– Mam nadzieję, że nasza kuchnia ci służy, Iseren.

– Służy. Pozwolisz, że cię wyręczę z resztą.

– Och, dziękuję! – rozpromieniła się. – To naprawdę miło z twojej strony..

Iseren nie odpowiedziała, poczęła rozdawać pielgrzymom posiłek. Opróżnione naczynia wymyła wodą, po czym ułożyła w porządku. Mając nieco czasu przed wyruszeniem do dalszej drogi postanowiła się jeszcze przejść nieopodal ogniska.

\*\*\*

Do wieczora przemierzyli spory kawałek drogi; z oceny Dankarda, do Wistuji pozostały trzy dni drogi. Rozbili namioty z dala od gościńca, na rozległej równinie. Było już na tyle ciemno by Iseren nie mogła dobrze przyjrzeć się co dokładniej ją otacza. Gdy uznała, że pomogła w obozie jak mogła, poszła – tak jak zwykła – przejść się, by odpocząć od dnia spędzonego w stałym towarzystwie.

Siedząc na głazie przy gościńcu oglądała mającą się na horyzoncie wieś. W oddali dostrzegała niemrawe światła z wioski, ciekawa, czym się teraz zajmują się jej mieszkańcy. Słyszając kroki za sobą obejrzała się, by dostrzec idącą nieopodal Olfirę. Kobieta musiała ją wypatrzyć, bowiem zbliżyła się do niej.

– Nie widzę za dobrze w mroku.. – zaczęła niepewnie. – Z kim mam przyjemność?

– Ze mną.

– Ależ miło się składa! Pozwolisz, że się przysiadę?

– Mhm.

– Podoba ci się u nas?

– Kąt do spania mam, strawy mi nie szczędzicie. Podoba mi się zatem.

– Rad jestem, że ci tu dobrze, słonk.. Iseren. Oj a Junerika cię bardzo polubiła!

– Ładne ma imię.

– Laurle je wybierała.

– Laurle?

Kobieta nie odpowiedziała. W mroku trudno było ocenić Iseren, jaki wyraz twarzy obecnie przybrała Olfira.

– Moja córka. – odezwała się po chwili prawie szeptem. – Służyła w armii visildejskiej.

– Rozumiem. Idzie mi się domyśleć reszty.

– Nie poznałam prawdy. Nie wiem jaki los ich spotkał, była tylko uzdrowicielką, choć pewnie jak całą kompanię dopadli to co im tam, kto miecz dzierżył, a kto nie.

– Warto być dobrej nadziei.

– Miło że tak myślisz, ale nie chcę się łudzić.

– Pozostaje mi tylko życzyć pomyślnego.

– Dziękuję ci Iseren. Ale ja nie o siebie się martwię. Tylko o Junerikę. Biedna nadal myśli, że Laurle lada wkrótce wróci.

– Hm. Może lepiej niech pozna prawdę?

– D-dobrze, powiem jej, jak dziecko nieco podrośnie.

– Ale któż wie, może jak wrócicie do Gaernbejrg to zastaniecie Laurle w swoim domu?

– Trochę to głupie, ale sama liczę na to.

– Nadzieja nie jest niczym głupim.

Nastała między nimi cisza, którą Olfira i Iseren spędziły obserwując wieczorną panoramę. Po chwili kobieta wstała i zostawiła Iseren samą na skarpie, gładząc ją delikatnie po głowie na odchodne. Pozostawszy sama, spędziła jeszcze czas na oglądziny ciemniejącego nieba, nim sama zabrała się do obozu.

Nie mając ochoty pójść jeszcze spać, zasiadła przy ognisku. Zastała tam Kaulusa przycinającego sobie włosy w odbiciu wypolerowanej blaszki. Ten widząc ją, wręczył jej nożyce i prowizoryczne lustro, myśląc, że dziewczyna na nie czekała.

Korzystając z zaistniałej okazji, przysiadła na ziemi i zaczęła przycinać dłuższe kosmyki włosów. W odbiciu blaszki zauważyła, że zbliża się do niej w lepszym już nastroju Olfira, proponując jej, że sama ją obetnie. Iseren nie chcąc ranić uczuć kobiety przystała na jej propozycję.

– Na jak długo pragniesz się obciąć? – zapytała wesołym tonem.

– Do brody. – odparła Iseren, pokazując kantem dłoni długość.

Iseren odprężyła się, wsłuchując w powolne cięcia włosów. Nagle jednak poczuła jak nożyczki chwytają jej ucho. Olfira ich nie skaleczyła, jednak ze strachem upuściła nożyczki.

– Wybacz mi kochana, nie wiedziałam, że masz.. Dobre bogi, jesteś..

– Wiem kim jestem. – przerwała jej Iseren.

– Inkarnem?

– Powiedzmy.

– Rozumiem.. Jesteś *Leugele*. – odszepnęła.

– Nie jestem Niebianinem, a mieszańcem. – odparła Iseren chłodno odwracając wzrok od kobiety. – Pomiotem dwóch różnych Niebian.

Oczy Olfiry zaczęły połyskiwać od pojawiających się łez.

– Iseren.. Nie mów tak. Nie jesteś pomiotem.

Iseren nie odpowiedziała. Podniosła z ziemi nożyce i zaczęła się nimi obcinać, dopóki Olfira nie wyjęła ich jej delikatnie z ręki.

– Dokończę ci obcinać włosy, dobrze?

– Niech będzie.

Dziewczyna przymknęła oczy nabierając powoli powietrza.

„*Ostatni raz pozwoliłam komuś mnie obciąć.*” – przyrzekła sobie w myślach.

Iseren słysząc, że metaliczny dźwięk cięcia nożyc ucichł otworzyła oczy. Olfira starając się o wesoły wyraz twarzy pokazała w odbiciu jej nową fryzurę. Dziewczyna podziękowała kobiecie za przycięcie jej włosów, po czym starając się o niezbyt prędkiego krok odeszła z dala od obozu. Tam odetchnęła z ulgą i uspokoiła się z zaistniałej sytuacji. Mimo to nerwowo spoglądała w kierunku ogniska, odczuwała dziwne sensacje, że ktoś poza Olfirą dowiedział się kim jest Iseren. Instynktownie wiedziała, że nie powinna się ujawniać z swoim niebiańskim pochodzeniem każdej spotkanej osobie.

Leżąc na plecach przysłuchiwała się powoli cichnącym rozmowom z obozu. Wiedziała, że nie będzie w stanie zasnąć, była również świadoma, że nie zdoła już więcej przebyć w tym towarzystwie.

„*Ledwie zniosłam głupie pochwały w karczmie za fechtunek. A to? Jestem członkiem pielgrzymki, czczącej Bóstwa. Co mnie czeka jako ich potomek? Lincz za opuszczenie niebios? Czy nieustanna cześć jako córka wielkich bogów? Po prostu.. Nie mogę tu już zostać.*”

Dziewczyna powoli wstała, zdając sobie sprawę, że każdy inny już poszedł spać.

„*Jest środek nocy. Lepszej okazji niż ta nie będzie.*”

Nie zastanawiając się za wiele zabrała leżącą przy niej torbę i przewiesiła ją sobie na barki. Weszła jeszcze jedynie do namiotu Dankarda – tak jak zakładała, młodzieniec już dawno spał. Ostrożnie stąpając, odpięła z paska mieszek monet, po czym wyjęła z niego garść saijvisów. Przesypała je na okładkę leżącej na stole książki, tak by stłumić brzdęk monet.

„*Wybaczenie.*”

Opuściwszy namiot, skierowała się w stronę gościńca, by ruszać stamtąd w dalszą drogę.

## V.

Drogę oświecał jej jeden z wystających zza chmur księżycy; dziewczyna od czasu gdy opuściła obóz pokonała sporą już drogę. W oparciu o z trudem dostrzegane w mroku napisy na drogowskazach upewniała się, że zmierza w właściwym kierunku.

Iseren nie spała, mimo tego nie opadała z sił przemierzając niziny księstwa. O świcie, zatrzymała się na chwilę pod znakiem, by ocenić odległość pozostałą do Vasidel. Przeglądając ledwo widoczną mapę postanowiła, że zatrzyma się na chwilę w Wistuji, mając nadzieję znaleźć szybszą drogę do stolicy Visildeii. Spiesznie zatem przerwała postój i ruszyła do dalszej wędrówki.

Maszerowała nieprzerwanie dalej do południa, gdy zaczął jej już doskwierać silny głód. Usiadła więc pod drzewem by zjeść trochę prowiantu. Na ognisku podgrzała też nabranej wody i uparzyła z niej napar na bazie paru częściowo znanych jej ziół, mając pewną, że jej nie zaszkodzą.

Uznała, że wypije obficie herbaty, by oszczędzić sobie jedzenia na resztę drogi. Pomysł okazał się dobry, choć ciepły napar zrobił ją senną. Wiedziała jednak, że nie może na razie się zdrzemnąć, zatem zebrała swój dobytek i zgasła ognisko, wracając do podróży.

\*\*\*

Jej wędrówka trwała do późnej nocy, gdzie w świetle księżycy przemierzała drogę w rzadko rosnącym lasu. Wychodząc zza drzew dostrzegła światła na horyzoncie, które rozciągały się w długiej linii.

„*To musi być Wistuja.*” – pomyślała. – „*Zatem musiałam bardzo wyprzedzić pielgrzymów, już nie muszę się nimi martwić.*”

Myśl o porzuconym bez słowa Dankardzie przyprawiła ją ponownie o ukłucie winy. Wiedziała że pieniądze podarowane mu nie pokryją kosztów, którymi obciążyła wiernych, a zwłaszcza darczyńców, którzy sprawiali prowiant i wyposażenie dla nich. Czuła jeszcze gorzej myśląc jak przyjęła to Olfira, którą choć nie darzyła żadnym uczuciem nie chciała by czuła się winna zniknięciu Iseren.

„*Tak po prostu musiało się stać.*”

Myślami nadal we wczorajszej ucieczce rozpalala ognisko. Gdy ogień zaczął się jarzyć stałym płomieniem, dziewczyna ułożyła się parę sążni od ogniska na plecach, kładąc sobie ręce na piersi.

„*Jaki mi właściwie pożytek z wiedzy na temat Niebian?*” – zapytała samą siebie.

Poczuła nienaturalne uczucie ciężaru, nie mające związku z sennością. Ogień pobliskiego ogniska zdawał się jej w ogóle nie ogrzewać.

„*Błądzą bez celu.*”

Twarz dziewczyny zalał chłód, miała wrażenie, jakby coś co nie istniało ją zabiło.

„*Nie mogę tak myśleć.*” – skarciła się. – „*Bez sensu jest myśleć o tym co sensu nie ma. Vasildel to jedyne miejsce, do którego mogę się udać. Jedyne, w którym może ten sens zdołam odnaleźć.*”

Uczucie chłodu jej nie opuściło. Długo i z trudem zasypiała, wszelkie próby rozmyślań urywała, chcąc wreszcie usnąć.

\*\*\*

Był wczesny ranek; Iseren nie czuła się wypoczęta. Nie miała ochoty wstawać, wydawało się jej obojętne czy zostanie tutaj czy uda się dalej. Przykmięła oczy, licząc, że wstanie lepiej wyspana.

\*\*\*

Dziewczyna obudziła się obolała, plecy jej zeszywniały od długiego leżenia. Jej głowa sprawiała wrażenie cięższej niż faktycznie była.

„*Za długo spałam.*”

Naszała ją ponownie ochota wrócić do snu. Zignorowała tę chęć i zerwała się gwałtownie do pozycji siedzącej. Zakręciło się jej w głowie od nagłego ruchu. Dała sobie chwilę by poczuć się lepiej.

Po zgaszeniu tłącego się ogniska wypila resztkę wczorajszej herbaty i ruszyła do dalszej drogi.

\*\*\*

Gdy słońce wyjrzało całkowicie zza horyzontu Iseren zdołała się już dojrzeć mury miasta. Wistuja sprawiała imponujące wrażenie – polnego kamienia fortyfikacja pięła się po nizinie, okalając spore i gęsto zabudo-



wane miasto. Nad główną bramą miasta wisiał sztandar przedstawiający sierp i gwiazdę na biało-czerwonym tle.

Wartownicy przy bramie widząc zbliżającą się dziewczynę rzucili jej przenikliwe spojrzenie, skupione głównie na mieczu stukającym delikatnie o jej udo. Iseren, unikając gwałtownych ruchów, minęła strażników i wkroczyła do miasta.

We wnętrzu również dominowało kamienne budownictwo, choć wyższe kontygnacje domów często przechodziły w drewniane szachulce. Ulice wyłożone kocimi łbami pełne były mieszczan, którzy w panującym zgiełku nie zwracali na przechadzającą się wśród nich Iseren. Wistuja jako miejsce pełne zamieszania i różnych warstw społecznych nie przypadło specjalnie dziewczynie do gustu. Mimo to nie ukrywała, że miała do czynienia z miejscem, w którym może znaleźć warte saijvisa zajęcia.

Mijając zajazd, z którego unosiła się aromatyczna woń przygotowanych potraw, oparła się pokusie by do niego wstąpić i odpocząć przy dobrym jedzeniu. Miała bowiem jeszcze prowiant na kilka dni, co powinno jej wystarczyć by opuścić księstwo Jamrynów, gdzie czekała już na nią tylko przeprawa przez Visildeię.

Przechodząc przez ulicę, z chmary głosów w obcym jej języku wysłyszała visildejski, który w mig zwrócił jej uwagę. Podążając za rozchodzącym się po ulicach głosem dotarła pod podest, na którym stał herold odziany w szaty odpowiadające koloru herbu Wistuji.

– ..Nagrodą dla śmiałka bądź śmiałków będzie tysiąc saijvisów i dożgonna wdzięczność dworu rodu Jamrynów. Za niezbędne uznaje się przyniesienie dowodu potwierdzającego zgładzenie banity. Podpisane przez wysokość księcia, Greziyja Jamryn. – donośnym głosem wyczytywał ze zwoju.

Iseren postanowiła poczekać, aż herold ponownie wyczyta swoje ogłoszenie. Minęła dłuższa chwila aż herold ponownie zaczął czytać:

– Ludu Wistuji! Z rozkazu dworu rodu Jamrynów wyznaczono nagrodę za rozbicie osiadłej w terytoriach księstwa szajki grasantów, którzy śmielą się grozić bezpieczeństwu prawego ludu księskiego. Za odpowiedzialnego tym terrorom uznaje się Białlicę, a także towarzyszących mu kamratów. Z raportu świadków wynika, iż Białlica operuje niecałym tuzinem rozbójników, każdy z nich jest srogo uzbrojony i skłonny do okrucieństwa. Bandyci widywani są na gościńcach do Prilenyicy, Tzudairaiu, a także przy starym forcie na wzgórzu Wrosiva, skąd rzekomo

przypuszczano ataki na dobry lud księski. Każdy śmiałek zdolny do władania dowolną bronią zachęcany jest do zebrania podobnych sobie i ruszenia na wyjątego spod prawa Białica. Nagrodą dla śmiałka..

Iseren od tego momentu przestała przysłuchiwać się wypowiedzi publicznej, знаła już bowiem jej resztę.

*„Łowca głów. Hm.”*

Wracając do przechadzki po mieście, zauważyła, że co niektórą ścianę budynków rozwieszane były listy gończe, które nawoływały do uchwycenia znanego już dziewczynie Białica. Skupiła się zatem na portrecie pamięciowym.

Przy ilości nakładów szkic wykonany węglem dawał jedynie powierzchowny obraz wizerunku bandyty – nieogolona, podłożna twarz o mało przyjaznej mimice, a także długie włosy o ciemnym kolorze. W oczy Iseren rzuciła się dwie cechy w jego wyglądzie, a mianowicie poszarpana blizna na policzku oraz jasne oczy, które widocznie starano się uchwycić w wyglądzie rozbójnika.

Iseren odeszła od oglądanego listu gończego, z zamiarem już opuszczenia Wistuji. Przecisnęła się między mieszkańcami w kierunku bramy głównej. Mijany przez nią wartownik zawołał coś po kreoviańsku, z kontekstu zrozumiała, że to ostrzeżenie przed Białicem. Ponowna wzmianka o nim coraz bardziej przekonała dziewczynę, by jednak spróbować swojego szczęścia z nagrodą o jego głowę. Rozwiała te myśli, by skierować się drogowskazem przy gościńcu do Mácirsarok, leżącego kilkanaście dni drogi stąd miasta na visildejskiej prowincji. Iseren zamierzała miasto tylko minąć, by następnie już skierować się do stolicy Visildeii, które stamtąd będzie już kwestią paru dni podróży.

W „Podróżach po Kyrridei” – książki, którą wręczył jej Zielarz – wynikało, że najszybszy szlak do Mácirsarok z Wistuji biegnie przy visildejskim forcie na wzgórzu.

*„Fort zapewne teraz jest ruiną.” – wysnuła. – „Konfrontacja z tymi zbójcami zdaje mi się być nieunikniona.”*

\*\*\*

Iseren wędrowała gościńcu po powoli wznoszącej się wyżynie, na którego szczycie dziewczyna dostrzegła rosnące w odstępstwach od siebie drzewa iglaste o niskich i rozłożystych koronach. Droga wyglądała na często uczęszczaną, wychodziłoby zatem, że bandyci rzekomo tu

stacjonujący są stosunkowo niedawnym zmartwieniem. Po pokonaniu szczytu wzniesienia, Iseren miała lepszy widok na w większości nizinną scenerię, a także na omdlały obraz Wistuji, stopniowo pochłoniętej w błękicie horyzontu.

Z obserwacji wyrwał ją widok nieopodal gromady na gościńcu, grupa zebrana była dookoła wozu. Wyglądało na to, że brakowało mu koła.

*„Czyżby napaść? Tylko brakuje poległych..”*

Schowana między drzewami Iseren zakradła się bliżej nieznajomych. Słyszając krzyki po visildejsku, wsłuchiwała się w ich treść:

– Pokurwi mnie z tym kołem! Taka główniana robota tego Klemnica, niechaj ja mu gnoju między zęby powsadzę.. – syczał męskim głosem nieznajomy. – Zidar, przydaj się do czegoś chociaż raz w swym nędznym życiu!

Dziewczyna wychyliła się zza drzewa by obejrzeć dokładniej scenerię. Do wozu zbliżył się rosły mężczyzna o wyjątkowo tępym spojrzeniu.

– Ta? – spytał tubalnym głosem.

– Bierz ten wóz i go podnieś! – jazgotliwy głos należał do niskorosłego bruneta, który klęczał przy wozie. – Trza koło wsadzić.

– Gdzie złapać?

– Dupę sobie złap, ty kiepie bez myśli żadnej! Nie widzisz gdzie wóz się przechylił?

Osilek imienia Zidar napluł w ręce i uniósł wozu.

– No więcej go podnieś, co ty, śniadania nie jadłeś? Ryżko, Druvan, Casco, idźcie do niego!

*„Przyda im się pomocna dłoń jak na to spojrzeć.”*

Dziewczyna wyszła ze swojego ukrycia wprost między nich. Jej krok był na tyle spokojny, że żaden z zebranych nie sięgnął do broni, zmierzono ją jedynie czujnymi spojrzeniami. Iseren przystanęła ponad wrzaskliwym nieznajomym.

– I coś ty do kurwy nędzy za jedna? Łajza z mieczem? Najmitka? – warknął mocujący się z wozem.

– Iseren. Pomóc ci z tym kołem? – Iseren przykucnęła obok niego.

– Nie wiem jak baba mi ma pomóc z..

Mężczyzna nie zdążył dokończyć, gdy Iseren podniosła furmanki, na tyle wysoko by mógł umocować koło. Do dziewczyny dołączyło się paru zebranych. Z początku zszokowany szybko się otrząsnął i pospiesznie przybił koło na oś wozu.

– No! Wreszcie. Wybacz mi moje nerwy panienko. Luthian mi na imię, z Skudfále jestem. – mężczyzna podał jej dłoń na powitanie. – Już żem miał tyle zachodu z tym transportem a teraz to koło. A ci głupcy tutaj, to są dobrzy tylko do komentarzy i sterczenia!

Osłkowie spojrzeli na siebie wymieniając się uśmieszkami, dopóki Luthian nie zreflektował ich wrzaśnięciem.

– Wybaczam. Rozumiem, jakie nerwy sprawiać może podróż. A co dopiero jako kupiec. – dziewczyna zapewniła Luthiana.

– E tam, jaki ze mnie kupiec. – machnął ręką. – Jam zwykły najęty by wozić, czeladnik jestem. Ale nie narzekam, pani, mam dobrze płatną robótkę, dla miastowych kupców wiozę toboł różny. Teraz reijmalowe mam na wozie, ale cisza! Bo drogie jest, jak dziewictwo.

– Reirmalowe?

– No, takie winko co Reirmal tłoczy. Albo jego synowie, już kto to wie. Co się liczy, że podobno jak zaraza dobre, lądowało od lat na stołach dostojników i innych bogatych na kontynencie.

– Reirmal nie brzmi jak tutejsze nazwisko.

– A owszem, daleko stąd się je sprowadza. A to z mojego wozu wszyscy je mają. – Luthian wypiął się dumnie. – Przyprawiane, z cytrusami, z kapką mioda. No mówiłem, kurwa, najlepsze na kontynencie!

– Zatem musi być kosztowne, nawet w niepozornej beczce. Nie obawiałeś się tędy przejeżdżać? Być może słyszałeś o Białlicu, podobno tu operuje i dla twojego transportu mógłby cię zabić.

– Słyszałem. Gdzie tam, nie zabiłby mnie! – zaprzeczył beztrząsco, ku zdziwieniu dziewczyny. – Bandzior, może i groźny, ale nie głupi. Wie, że więcej zarobi z myta niż z mojego trupa.

– Znasz go?

– Jeśli pytasz czy na tyle by dłonie podać, to nie. Ale jak pozwolę zniknąć jednemu antałkowi, to on mi pozwala przejechać.

– Czyli zatem wiesz gdzie go można znaleźć?

– No powiedzmy. Zwykle wylatuje z krzaków ze garść jego chłopców i zabiera coś z wozu. A jak nie mam nic na furmance, to saijvisów żądają. Ale takie to małe straty, że i tak biznes się kręci. Skoro mowa o kręcącym się interesie, na mnie już czas, by sprawić by się faktycznie kręcił. Wino dowieźć mus mi do Wistuji.

– Mijałliście już Białlica?

– No ta, powiedzmy, że tak trochę temu. Ale co ty tak z tym Białlicem? Chyba że.. – Luthian po chwili spojrzał nafla nią z przerażeniem. –

Zdurniałaś! Przecież to samobójstwo! Dziesięciu chłopów na jedną dziewczkę!

– Nie wypada mi się domagać, ale myślę, że mógłbyś się odpłacić za moją pomoc. Będziesz..

– Nie ma mowy! – przerwał jej. – Prędzej zjem tu teraz swoje trzewiki niż..

– Nie zamierzam cię prosić o wsparcie zbrojne. Po prostu proszę, byście chwilę tu poczekali na mnie.

Łagodny głos Iseren najwyraźniej przekonał mężczyznę, ten bowiem kiwnął jej na zgodę.

– D-dobra. Powodzenia ci, panienko. – dodał po chwili. – Niech cię Nyrelion prowadzi. Jak usłyszę raban, to wyślę tych półgłówków, może cię nawet wyciągną całą.

– Długo to nie potrwa, albo ja albo oni. Popilnujcie mi przez ten czas mojego tobołka. Jest wasz, jak nie wrócę.

Iseren rzuciła torbę między antałki. Gromada przy wozie odprowadziła odchodzącą dziewczynę wzrokiem dobrym do zapadłej sytuacji – obserwującym młodzieńczy wyskok.

– Jakby była jasnowłosa, to dałbym sto saijvisów, że to Senvoldka, oj, oni i ich bojowe zaślepienie. – zamruczał między osiłków, kwitujących jego słowa pomrukami i kiwnięciami głów.

Iseren przestała słuchać, co działo się za jej placeami. W miarę jak szła po gościńcu, zaczęła z co raz to większym napięciem wypatrywać wszelkich zasadzek czy oznak rezydowania rozbójników. Kroczyła ścieżką dobre sto sążni, gdy zaczynała dostrzegać majaczący się zarys zrujnowanego fortu.

*„Jest i fort na Wrosivi.”*

Z oddali dziewczyna wypatrzyła, że konstrukcja składała się z dotkniętej zębem czasu wieży i przylegającej do niej zrujnowanej twierdzy, która pozbawiona dachu i części ścian przypominała bardziej skromny dziedziniec. Górną część wieży zbudowano z drewna, które z biegiem lat pociemniało i powoli się rozpadało, o czym dawał znać dziurawy dach wieżycy.

Iseren zwolniła kroku, gdy spostrzegła ruch we wnętrzu fortu. Powoli dobyła broni i w przykucniętej pozycji schowała się w zaroślach, powoli zbliżając się do murów fortu. Z bliska Iseren zasłyszała pijackie rozmowy przerywane śmiechem. Pospiesznie wcisnęła się pod ścianę

mur, gdy z wnętrza wieży wykroczyło czterech opryszków schodzących po wytartych stopniach poza mury fortu.

Bandyci zmierzali w przeciwnym do niej kierunku – w stronę gościńca. Korzystając z okazji, poczekała, aż tamci się oddalą, a następnie przekradnęła się w pobliże zrujnowanej twierdzy. Zajrzała zza niskiego muru, dostrzegła w pozostałościach twierdzy pięciu bandytów – czterech grających w kości na utartej ziemi, a jednego przechadzającego się na murze z łukiem przełożonym przez ramię, co jakiś czas zaglądając w dal. Samego Białlica Iseren nie dostrzegła, mimo to zamierzała wykorzystać atak z zaskoczenia, by wyrównać szanse w przewadze liczebnej. Bez większych skrupółów sięgnęła po obluzowany kamień z muru i cisnęła nim celnie w głowę patrolującego łucznika. Z głuchym trzaskiem odbił się od głowy opryska, on sam runął z muru poza fort. Pozostali bandyci rzucili kości na ziemię i pobiegli zajrzeć za mur, by następnie się na niego wdrapać i wyciągnąć swojego kompana.

Silny rzut Iseren pozbawił go życia, obecni tam bandyci pobiegli do wieży, zostawili pustą twierdzę. Dziewczyna korzystając z zamieszania, przeskoczyła murek i wyszła przed wieżę. Chwilę później wybiegli z niej bandyci, którzy widząc Iseren spokojnie wpatrującą się w nich, po wpadali na siebie w przerażeniu. Przepchnął się przez nich jeden z grupy, którego twarz skryta była w mroku.

– Z kim mamy przyjemność? – nieznajomy zapytał stojąc w progu.

– Z Iseren. Znasz visildejski?

– Iseren.. Miło poznać. A co do języka, połowa z moich ludzi go zna, ale mniejsza o to. – mężczyzna wyszedł w słońce, odsłaniając znajomą dziewczynie z listów gończych twarz. – Po nagrodę przybyłaś jak mniemam.

– Jestem tu głównie dla własnych pobudek. – odparła spokojnym, lecz silnym głosem dziewczyna.

– No, no, cóż za miła odskocznia. – zakpił. – Kolejny praworządny wojak przybył stoczyć batalię ze budzącą trwogę bandą Białlica. Niektórzy chociaż byli na tyle bystrzy by się wesprzeć braćmi miecza.

– Chcę się sprawdzić, a nie okryć sławą. – dziewczyna zrobiła krok do przodu.

– Taka postawa mi się minimalnie bardziej podoba. – Białlic zszedł po stopniach z mało przyjemnym uśmiechem. – Co powiesz na parę słów nim dojdzie do tej twojej próby?

– Szefie, a co za perswady robim? Kupą winni my dla nią! I rozplątać! – zakrzyknął jeden z bandy.

– Stój, albo to ja ciebie rozplątam. – spokojnie rzucone ostrzeżenie Białlica wmurował zbira w ziemię. – A co do naszego gościa, jak się sprawa miewa?

– Zgadzam się. Wypada powołać mi się na prawo gościny?

– Hm. – spojrzał po niej przenikliwie. – Z ciekawych stron cię nieść musi, skoro o takie się pragniesz powołać. No, ale skoro się rzekło, zapraszam.

Białlic jako jedyny z beztroską przywołał gestem Iseren do wnętrza wieży, rozpychając swoich ludzi na boki. Dziewczyna nie mając wyboru odpowiedziała na gesty, wchodząc do wieży.

\*\*\*

Wzrok Iseren przyzwyczał się do półmroku dopiero po dobrej chwili od wstąpienia do wieży. Rozejrzała się dyskretnie po wnętrzu – prymitywnie ciosane meble, parę kondygnacji, mały metraż.

*„Ledwie ramię idzie wyprostować. Oby tutaj nie doszło do walki.”*

Parter wieży służył za formę izby dziennej, co sugerował ciężko zastawiony drobiazgami stół. Białlic wskazał jej siedzisko przy stole, sam zaś zasiadł po przeciwnej stronie. Do wieży włąli się opryszkowie przyglądając się dziewczynie spode łba.

– Nie tak gościa się wita. – spojrzał zimno po zbirach. – Przynieść dobrego trunku.

– Ale czemu my właściwie ją tu wpraszamy? – jeden z bandy spróbował dociec.

– Kwestionujesz moje decyzje? – spytał Białlic.

– N-nie.

– To idź z łaski swej po co prosiłem.

Wzrok Białlica się ocieplił wędrując z powrotem na Iseren.

– Podoba ci się u nas? – uśmiechnął się.

– Całkiem się nieźle urządziliście.

Na stole pojawiła się zakurzona butelka i dwa kufelki. Białlic chwycił podającego za nadgarstek. Bandyta spojrzał po nim przerażony.

– Dziękuję. – szepnął zadowolonym głosem. – A teraz za drzwi.

– Ale..

Wystarczyło by Białlic wstał, a bandyci cofnęli się.

– Coś było niejasne? – zapytał.

– N-nie. – odparł mu jeden na tyle odważny.

Zbójcy wyciągnęli się na zewnątrz, zostawiając dwójkę samą.

– Nie ściągniesz kaptura? – przerwał ciszę Białlic.

– Nie zamierzam.

– Co za szkoda. Z tego co spod niego widzę to śliczną twarzą cię obdarzono. – oznajmił bez cienia subtelności. – Aż trudno ci się oprzeć.

Iseren posłała mu mało przekonane spojrzenie. Uśmiech Białlica zelżał.

– Łatwo dałaś się otoczyć. – ponowił spoglądając szortko po dziewczynie. – Co teraz planujesz?

– Pokorzystać z prawa gościny.

– Jak sobie życzysz. – Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz fascynacji.

Odkorkował butelkę nalewając jej zawartości po naczyniach. Wtórząc Białlicowi uchyliła zawartości kufła, pozwalając palącej nucie pozostać na języku.

– Nie obawiałaś się tak po prostu tego napić? – dał wyraz swojego zaciekawienia.

– Nie.

– A co jeśli twój kufel był pokropiony trucizną?

– To się otruję.

Białlic zacisnął wargi.

– Ile osób pozbawiłaś życia? – zapytał, najwyraźniej rozkoszując się napiętą sytuacją.

– Sześciu. – odparła, posyłając mu ostrożne spojrzenie. – W tym twojego łucznika.

– Niezły rzut zatem. – odparł wymijająco. – A moi ludzie mi mówili że Krzemka spadł z muru, a nie dostał głazem w skroń.

– Cóż za szkoda, że nie przeprowadzili ci autopsji.

Białlic aż pokręcił głową.

– Muszę przyznać. Dobrze trzymasz nerwy na wodzy, Iseren. Teraz powiedz mi, co to za próba?

– Mojego miecza. Każdy ciekaw jest swojego limitu.

– Słowa godne kowala ludu. – widząc minę Iseren dodał: – Pozwól że wyjaśnię.

– Słucham zatem.



– Bo widzisz, lud dzieli się na kowali i metalczywo. Metal się gnie przed kowalem, staje się narzędziem. A kowal tworzy, pozostawia przy sobie dobre metale. Resztę odrzuca.

– Mhm.

– No, ale co do twojej próby, na kim chcesz swój miecz posprawać? Na mnie?

– Na tobie. Zgadza się.

Uśmiechnął się.

– Pozbawiona gniewu, choć gotowa odbierać życie.. Interesująca z ciebie persona, aż szkoda, liczyłem na choć jednego dobrego żołnierza mojego szeregu.

– Nie przemawia do mnie wzbogacić się kosztem słabszego.

– Honor czy sumienie ci nie pozwala?

– Brak wyzwania, we włożonym trudzie drzemie wartość dobra.

– Oj uwierz mi ślicznotko, trzeba się czasem nastarać by zrabować karawanę.

– Nie nazywaj mnie ślicznotką.

– Pod moim dachem nazywam sobie każdego jak mi się podoba. – nachylił się znad stołu. – A tobie moja droga nie pozwolę umrzeć. O nie, te twoje łachy skrywają całkiem niezłe skarby. A nawet gdybyś brzydka czy płaska była, to i tak tej kryjówce się przyda kobieca ręka, nawet zakuta w łańcuchy.

– Być może się przeceniasz.

– Może. Zobaczmy, co los na to, może faktycznie się przeceniam.

– Białlicu? – Iseren poczuła na sobie przenikliwy wzrok jasnoszarych oczu mężczyzny. – Wydaje mi się, że nie powinniśmy kazać czekać dłużej bogom nad naszym losem.

– Bez obaw, bogi długo nie będą czekać. – odparł, śląc jej nieprzyjemny uśmiech. – Ale pozwolisz, że najpierw cię sprawdzę. Powiedzmy że na moich narzędziach. Chodźmy na zewnątrz.

Iseren wyszła pierwsza. Odwróciła się zniesmaczona, gdy poczuła dłoń Białlica na swoim biodrze. Na jego twarzy nie kryła się żadna oznaka wstydu.

– Odetnę ci tą rękę. – ostrzegła go dziewczyna.

– Zobaczmy.

Iseren zsunęła się z gracją ze stopni stając naprzeciw gromady. Opryszkowie spojrzeli po sobie, potem z lękiem na swoich dowódcy.

– A wy na co czekacie? – Białlic spytał po bandytach.

– Yy.. No my nie wiemy. – odparł jeden zbir.  
– No to pomyślcie. Macie przed sobą intruza. I mordercę, do czego bezczelnie się przyznała.  
– Kogo zabiła?  
– Kogo! – powtórzył z frustracją Białlic. – No jak to kogo! Zabiła Krzemkę! Pozwolicie jej tak po prostu odejść? Wiecie jak traktuję ignorancję pomsty, prawda?  
– W-wiemy. Ale my już na nią kupą, szefie, przysięgamy! – zapewniała z lękiem banda.  
Białlic uniósł ich wzrokiem pełnym wyższości.  
– Zabijcie ją.  
Czwórka bandytów wyszła z wieży niepewnie mierząc bronią w kierunku dziewczyny.  
– Ta tutaj, zatłukła waszego wiernego druha! – zawołał, co dodało im otuchy. – Z życiem, moi męża!  
– Ta, pokażmy pannience jak się biją Kröveni chrobrzy! – dodał jeden z zbirów dzierżący dwuręczny topór.  
– Za Krzemkę! – zakrzyknęli pozostali.  
Iseren pozwoliła bandytom zeskoczyć z schodów na ziemię i zrobić wokół niej półkole.  
– Strach obleciał, co? – spróbował sprowokować ją jeden z bandy.  
Dziewczyna nie odpowiedziała, spoglądała na uśmiechniętego Białlica.

*„Byle tylko nie stracić na nich zbyt wielu sił.”*

Iseren odgoniwszy swoje myśli zaczęła kręcić młynka mieczem, przechadzając się naprzeciw bandytów. Ci ostrożnie próbowali się do niej zbliżyć, lecz jej spokojna postawa zbijała ich z tropu. W pewnym momencie chwyciła mocno za miecz i wykonała niespodziewany atak na jednego z zbirów, który niedostatecznie szybko uskoczył przed atakiem.

Cięcie było gładkie, lecz płytkie. W przyszywanicy zbója pojawiło się delikatnie krwawiące rozcięcie.

– A żeby cię, kurwia córo! – syknął z bólu, po czym próbował wymierzyć atak.

Dziewczyna bez trudu posłała bandytę na ziemię kopnięciem w pierś. Niekrótce tą pierś przebił czubek miecza Iseren, kończąc życie zbira. Reszta z nich rzuciła się na Iseren, kierując w nią niezdarne ataki. Ta wykonała przed nimi serię uników i sparowań, odsyłając w zamian bardziej celne cięcia.

Agresywna postawa jej oponentów szybko obróciła się przeciwko nim – ostatni przy życiu w chwili bezmyślnej furii podbiegł do niej z toporkiem dzierzonym nad głową. Ta z ugiętych kolan wyskoczyła na niego wbijając mu miecz w brzuch. W krzyku bólu urwanym charknięciem został zrzuty z ostrza na ziemię, gdzie bez ruchu pozostał.

Iseren ledwie zdążyła złapać oddech, gdy usłyszała że zbliża się do niej spokojnie stawiany krok – należał on do samego Białlic z opuszczonym mieczem.

– No no, całkiem ładne przedstawienie. – Białlic posłał jej nieprzytomny uśmieszek. – Za ładne. By mogło być dłoni Ziemca.

Mięśnie na ręce Iseren napięły się.

– Co, nie podoba ci się tak dojść komuś do prawdy? – zatriumfował. – Brak o uciechę tam u was na górze, temu żeś musiała się posprawdzać na niższej kaście?

Iseren milczała.

– Zapomnijmy o twej.. Nieziemskości. Bo przyznać muszę, ładnie wyglądasz wijąc mieczem. – zmienił temat. – Do twarzy wręcz ci z mordem.

– Miejmy to za sobą. – urwała.

– Jak obiecałem. – nieprzytomny uśmiech się pogłębił na twarzy Białlica. – Dam ci wyzwanie, po które tu przybyłaś. Więc może zasłynę jako Niebobójca. Ale to się okaże.

Białlic uniósł miecz i w mgnieniu oka świsnął na nią ostrzem. Iseren z trudem odbiła jego uderzenie, jak dotąd nie miała styczności z kimś kto walczył w taki sposób jak Białlic. Jego ataki zdawały się być ślepo wymierzone i słane z furją, lecz trud jaki wkładała by je odeprzeć szybko ją przekonał, że jej przeciwnik kontroluje swoje cięcia.

Miedzy świstami i brzdęknięciami skrzyżowanych mieczy usłyszała, że Białlic śle ataki z maniakałnym śmiechem. Postarała się temu nie dać rozproszyć, skupiając się wyłącznie na widoku oponenta, co przy jego chaotycznym ruchom stanowiło niemałe wyzwanie.

Po serii pozbawionych ładu ataków, dwójka cofnęła się od siebie, okrążając się na ugiętych nogach. Obraz Białlica powoli zastępowało pogrążone w instynkcie zwierzę, gotowe by zatopić zęby w swoim rywalu. Wizję w pośpiechu rozproszyła, uwaga Iseren skupiła się ponownie surowo na walce.

Iseren natarła pierwsza. Zamachnęła się na bark Białlica, ten uskoczył i pchnął ją w kontrataku. Dziewczyna nie zdążyła uskoczyć w pełni

przed ostrzem, które zraniło jej przedramię. Przecięte miejsce przeszła sensacja, Iseren nie pamiętała kiedy ostatnio była raniona.

Zaskoczyło ją gdy ponownie wrażenie poczuła ją na nodze, Białlic niekrótce miał zamiar ciąć ją ponownie. Nim zastanowiła się dobrze czy to kwestia bólu czy szoku, znowu nie zdołała uniknąć płytkiego, wciąż dezorientującego cięcia.

„Przestań rozmyślać.” – skarciła się w myślach.

Ból czy cokolwiek ją rozpraszało odeszło na bok umysłu, Iseren, jakby przebudzona, naskoczyła Białlica pchając w niego mieczem. Niedostecznie szybko, choć czubek broni dźgnął mężczyznę w tors.

Białlic krzyknął bardziej z rozbawienia niż bólu, przy odpowiedniej okazji i paru blefach zamachnął się brutalnie na twarz dziewczyny. Iseren tylko czekała na silniejszy atak. W chwili z zetknięciem ostrzy, odmachnęła gwałtownie swój miecz, pozwalając by broń Białlica posuwała ku ziemi. Mężczyzna stracił taktu, gdy świeżony miecz napotkał jedynie powietrze. Iseren bez chwili namysłu chwyciła miecz oburącz i z półobrotu posłała go na odsłonięte ramię Białlica. Siła uderzenia wystarczyła by odciąć mu rękę, która wraz ze szablą została ciśnięta o kamienie zrujnowanego fortu.

– Dotrzymałaś swych słów. – skwitował, rzucając mało przejętym wzrokiem po swoim kikucie.

Nie zaskoczyło Iseren, że Białlic nadal się uśmiechał. Z wręcz beztroską dobył jedynie sztyletu przy pasie i skoczył ku dziewczynie próbując ją nim pchnąć. Broń była jednak za krótka by sięgnąć Iseren. Pozbawiony główny ręki Białlic nie stanowił dla Iseren przeszkody by posłać go kopniakiem na ziemię. Białlic padając upuścił sztylet, nim po niego sięgnął, Iseren zdeptała mu palce. Drugi kopniak w szczękę cisnął go ponownie na plecy. Białlic pozostał na ziemi bez ruchu, tępym wzrokiem oczekiwał wyroku.

– Myślę, że to koniec. – Iseren stanęła nad mężczyzną. – To była interesująca walka.

– Ciężko się nie zgodzić. – Białlic uśmiechnął się przez brudne od krwi zęby. – Tak oto niebo zawładnęło na ziemią. To ja okazałem się metalem twego tworu. A teraz.. Dokończ swego dzieła.

– Niech tak będzie. Twa ostatnia wola, niedoszły Niebobójco?

– Zrób to mym sztyletem. Może boleć. Może nie. To w twej fantazji zostaje.

– Jak sobie życzysz.

Iseren odstąpiła od Białlica, gotowa na desperacką próbę walki z jego strony. Ten jednak cierpliwie wyczekiwał na dziewczynę, by wróciła z sztyletem.

– Nadstaw szyi. – Iseren kucnęła przy Białlicu, dłoń ze sztyletem zbiegała od ścisku.

– Litościwie. Nie każdy zbójca miał taki luksus u swego kresu.

Mężczyzna uchylił głowy z zamkniętymi oczami. Oddech miał nieprzyjemnie na ówczas okoliczności miarowy, godny osoby zrelaksowanej. Mężczyzna nabrał świszcząco powietrza, gdy sztylet przejechał mu w linii poprzecznej po gardle. Chraczący oddech mężczyzny opadał, aż w końcu ustał. Iseren klęczała bez żadnej myśli przy nieruchomym Białlicu, nagle z jego wnętrza wystrzeliła chmara świetlistych płatków. Instynktownie uskoczyła od nich, z dłoni wysunął się jej sztylet.

*„Znów te światło? Myślę, że może ono mieć związek z siłą mentalną ich posiadacza. Dlatego nie dostrzegałam go tak dobrze, gdy uchodziło życie z towarzyszków Białlica.”* – nachyliła się nad płatkami pozwalając im ogrzać skąpane we krwi dłonie. – *„Może mi ta zdolność posłuży za kartę przetargową na uniwersytet? W końcu nie każdy je dostrzega.”*

Z obserwacji świetlistej aury wyrwały ją zasłyszane z nieopodal śpiewy, prawdopodobnie należące do pozostałej czwórki bandytów.

Uniosła wzrok zza murów fortu, by lepiej się im przyjrzeć.

Ci najwidoczniej zdążyli złupić czyjaś karawanę, bowiem nieśli ze sobą różnego rodzaju kosztowności. Wkrótce byli już przy ruinach fortu, gdzie zastali szefa ich bandy – martwego w kałuży krwi – a także Iseren, na której widok wypuścili z lęku złupione dobra.

Iseren szybko dobyła miecza, stając na nieco drżących nogach naprzeciwko nim, z ulgą dostrzegając, jak na jej odsiecz przybywają strażnicy karawany.

– Na nich, łupnia! – zawołali osiłkowie, wymachując groźnie bronią.

Celnym ciosem jeden z bandytów legł martwy z roztrzaskaną czaszką. Pozostali z nich rzucili bronie padając na kolana.

– Litości! – zawył jeden z nich, rozdygotany. – Pani wy dobra, oszczędźta nas!

– Jeśli wolicie okryć hańbą, wasz wybór. – Iseren zacisnęła zęby z bólu chowając miecz. – Pochowajcie waszych przyjaciół.

– Dziękować, do trupa będziem wdzięczni! – zbir uchylił jej głowy z pokorą. – My przysięgają, nigdy więcej miecza dla bezbronnego nie uniesiem! A wódki za swoje i tylko raz na Elftnis!

Iseren odwróciła wzrok od bandytów z niesmakiem, zabrawszy z fortu szablę Białlica. Mijając straż Luthiana poprosiła ich o zabranie antałka z kryjówki zbirów. Chwilę później wrócili, ale wraz z paroma innymi kosztownościami.

– Zidar nam kazał. – usprawiedliwił się jeden widząc jakim wzrokiem go zmierzyła Iseren.

Nim zdołała coś odpowiedzieć poczuła rwący ból w nodze, sprawiając, że Iseren osunęła się na ziemię. Nad ranną zebrali się osiłkowie.

– Ran to ty masz co nie miara. – zacmokał Zidar, przekładając jej rękę na bark. – Ale tylu męża sama zatłóć..

– Lekarzyna się znalazł. – odparł mu towarzysz z rozbawieniem.

Iseren próbując nie wrzasnąć z bólu nic nie powiedziała. Nieco powolnym krokiem wrócili do Luthiana, który zdążył już przysnąć pod drzewem. Szybko się zerwał widząc jak Zidar sadza dziewczynę na ławie, po czym w towarzystwie kompanów zrzuca drogocенności do wozu.

– Szefie, my to sobie jako zapłatę weźmiemy. Ale postawisz nam solidnej cytrusówki za antałek.

Luthian nie zdołał nadal wykrztusić z siebie więcej niż parę przekleństw.

– J-jak?! – zapytał po chwili, pokazując otwartymi dłońmi na łupy bandytów na swoim wozie.

– To nieistotne. – słabym głosem wtrąciła się Iseren. – Ale masz swój antałek.

– Ta, antałek.. – Luthian wyraźnie nadal nie dowierzał w to co właśnie zobaczył. – N-no dobra, szkoda mi już więcej czasu, włączta na ławę!

Gromada osiłków, pomimo swojej masywnej postury zgrabnie wskoczyła na wóz, uważając by nie nastąpić na poranione nogi Iseren.

– Wszyscy są, antałek cały. Jak nic się wam ta cytrusowa należy. – na twarz woźnicy wkradło się zadowolenie. – Przypomnijcie się w Wistuji.

– Z przyjemnością, szefie. – odpowiedział mu Zidar, rozmarzony, jakby już kosztował obiecanego trunku.

Furmanka ruszyła z szarpnięciem, delikatnie stukocząc po uklepanej drodze. Iseren łapiąc się mocniej oparcia, poczuła rosnący ból w

różnych miejscach na ciele. Kątem oka zerknęła na Luthiana, który był skupiony na jeździe.

– Skoro mamy trochę drogi do Wistuji, mogłabyś nam poopowiadać co się stało tam na forcie, bo żem słyszał stamtąd niezłą jatkę. – zagadnął Luthian nadal nie odrywając wzroku od gościńca. – A od tych durniów to pewnie gównu usłyszę.

– Nie mam nic przeciwko. – oparła dziewczyna, niewyraźnie, gdyż wycierała dłonią kącik ust z krwi.

*"Chociaż przestanę tak myśleć o tych wszystkich ranach."* – dodała sobie w myślach.

Dziewczyna dała sobie nieco czasu na ułożenie minionych zdarzeń w spójną opowieść, by następnie ją przedstawić Luthianowi.

\*\*\*

Minęło trochę czasu od kiedy wyruszyli; Iseren przez ten czas zdążyła opowiedzieć kompani Luthiana o swoich wędrówkach, ci w zamian podzielili się historiami, których zasłyszali od podróżnych.

Jedna z nich bardzo zainteresowała Iseren, była ona bowiem o wędrownym czarodzieju kartografie, który znany był jako Macair. Dziewczyna jako że o nim słyszała wcześniej, z chęcią wysłuchiwała o jego poczynaniach w Avsalim – mieście na visildejskiej prowincji.

Z historii wynikało, że czarownik podróżował po świecie w towarzystwie innych dzielnych wojów, razem stanowiąc wysokiego poszanowania grupę najemników. Ich pobyt w Avsalim wiązał się z rozbiciem licznej grupy dezertów, którzy porzucając żołnierskie życie obrali ścieżkę grabieży i spustoszenia. Mimo że drużyna Macaira liczyła zaledwie kilku ludzi, a przeciwników nie w sposób było policzyć na palcach dwóch dłoni, to spotkali się oni z morderczą siłą zaklęć legendarnego maga. Macair rzekomo rozsadził ziemię pod nogami swoich oponentów, topiąc ich w podziemnym cieku.

– ..A podobno co najdziwniejsze – Luthian odchrząknął, nieco już zachrypnięty od ciągłego mówienia – Że Macair jako zapłatę za pozbycie się tych żołdaków chciał tylko sakiewkę monet i książkę z biblioteki dworskiej. Wyobrażasz sobie? Zatluc tyle ludu dla garści srebra i jakiejś zakurzonej księgi.

– Wiadomo jaka to była książka? – zapytała Iseren, nie w pełni podzielając ten brak zrozumienia.

– No, nie pamiętam z tej opowiadki. Pewnym nie jestem, czy ten cały Macair nie jest wymysłem jakiegoś bazarza.

– Mhm.. – Iseren przy zapadającej ciszy zaczynała ponownie odczuwać ból rozchodzący się po jej całym ciele.

– Napewno dasz radę dojechać do Wistuji?

Iseren nie odpowiedziała. Przymknęła powoli oczy, uspokajając swój oddech. Po chwili usłyszała stukot podków o kamienną drogę.

*"Jesteśmy już w Wistuji.."*

Dziewczyna poczuła że ktoś ją podnosi z wozu. Po lekkich kołysaniach uznała, że musi być gdzieś niesiona. Nieco jak pod wodą wysłyszała przejęte rozmowy w języku kreoviańskim, wśród których rozpoznała głos Luthiana.

*„Dlaczego nie mogę wstać?”*

\*\*\*

Iseren zdołała w końcu otworzyć oczy; na jej szczęście odzyskała już czucie w ciele. Ujrzała wewnątrz skromnie umeblowanego pomieszczenia, w kątach pomieszczenia wypatrzyła parę łóżek, część z nich zajętych przez innych rannych. Podniósłwszy się do pozycji siedzącej zdała sobie sprawę, iż jej rany zostały zabandażowane, a także czymś nasmarowane.

Nim na dobrze przyzwyczaiła się do nagłej zmiany scenerii, do pokoju wkroczyła w średnim wieku kobieta, odziana w luźne szaty.

– Widzę żeś wydobrzała. – nieznajoma się uśmiechnęła, na widok dziewczyny siedzącej na łóżku. – Przyznam, masz zaskakująco szybki metabolizm, skoroś już się wybudziła. W wielu miejscach cię poraniono, prawdopodobnie też otruto. A mimo wszystko jesteś już na nogach.

– Trafiłam do hospicjum? – Iseren próbowała wstać na nogi, ignorując zawroty głowy. – I otruto mnie?

– Na to wyglądało. – kobieta złożyła rękę. – Sztywność kończyn, senność i brak reakcji na bodźce. Mogła to być reakcja na jakąś truciznę. Ach i tak, trafiłaś do hospicjum, pod wezwaniem Jego samego Życiodajnego, Nyreliona.

– Rozumiem, że jestem wam coś winna. – Iseren zaczęła grzebać za sakiewką, nim przypomniała sobie, że została przebrana. – Gdzie są moje rzeczy?



– W tej skrzynii przed łóżkiem. I gdzie moje maniery? Jodiliła, kapłanka.

– Mi na imię Iseren. I myślę, że czuję się już na tyle dobrze by sobie dać radę sama. Dziękuję za opatrzenie ran.

– No cóż, nie do końca pomysł twój popiera, lecz do łóżka ci nie przywiążę. Chodź zatem za mną, jak się przebierzesz.

Kobieta odwróciła się do niej plecami, dając jej czas na założenie swoich ubrań. Iseren poczęła zakładać postrzępioną po walce z Białlicem tunikę, starając się jej bardziej nie podrzeć przy rozcięciach. Omal nie upadła na podłogę, gdy ściągnęła się z łóżka, co spotkało się z mało dyskretnym cmoknięciem niezadowolenia Jodiliły.

– Wciąż zdania jestem, iż winnaś jeszcze leżeć. – uparła się kobieta.

– Nic mi nie będzie. – zapewniła ją Iseren. – Jeśli wypada prosić, czy wyprowadzicie mnie do wyjścia?

– Naprawdę cię nagli. – pokręciła głową. – Ale zapewne za potrzebą, to chodźmy.

Dziewczyna prowadzona przez kapłankę minęła krótki korytarz pełnym podobnych do siebie pomieszczeń, w części z nich wypatrzyła nielicznych chorych i rannych pod pieczę kapłanów. Miejsce wyglądało zbyt sterylne i zadbane by móc być publiczną instytutą.

*„Wistuja musi sporo funduszu wkładać w to hospicjum. Tylko dlaczego nie zarządzali ode mnie ani monety?”*

– Kto mnie tu przyprowadził? – spytała idącej przy niej Jodiliły.

– Visildejczykiem zdawał się być, nie przedstawił się. Znał nasz.. mój ojczysty język, ale mi wyjaśnił żeś nie stąd i języka tutejszego też nie znasz. A także, że podobno się przyświadczyłaś czymś dla regionu. – kobieta rzuciła jej pełne zaciekawienia spojrzenie przez ramię. – Po tym twoim nagim mieczu idzie mi się domyślić nawet czym..

Iseren zamilkła, czując, że Jodiliła nadal dyskretnie się jej przygląda. Wkrótce korytarz skończył się na schodach prowadzących do parteru, a stamtąd do wyjścia.

– Napewno nie jestem nic winna? – zapytała Iseren w przedsionku.

– Nie jesteś. Wspomniany nieznajomy wręczył hospicjum sowity mieszek by się wami godziwie zająć.

– Uprzejmie z jego strony.

– Nie przeczę, rzadko to widywany akt dobroci. Ale rozumiem, że tu się rozstaniemy. Niech Pan zawsze właściwe drogi ci wskaże, Iseren. –

Jodiliła pchnęła drzwi na ulicę Wistuji. – Zajdź za potrzebą, każdy jest u nas mile widziany.

Iseren ukloniła się w podzięcie i ruszyła ulicą w kierunku wież zamku, które wystawały ponad dachy budynków w mieście. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że było przedpołudnie, co oznaczało, że straciła przytomność na co najmniej dzień.

*„Byłabym skłonna uwierzyć, że Białlic mógł zatruć ostrze swojej broni, albo zawartości kufla. Nie dla przewagi..”* – Dziewczyna spojrzała na nagą szablę uwiązaną do rękojeści jej miecza z mieszanymi uczuciami. – *„...A dla urozmaicenia swoich fantazji.”*

Rozkojarzona myślami wpadła na strażnika, którzy ostrzegł ją w języku kreoviańskim.

– Uch, proszę wybaczyć. – dziewczyna minęła zirytowanego strażnika, nie licząc na to, że zna visildejski.

– Proszę wyjąć oczy z rzyci. – zakpił żołnierz naśladując jej monotony ton głosu. – Zabieraj się stąd! Ty i te twoje choroby co niesiesz, włóczęgu!

Przypominając sobie stan jej odzieży nie próbowała nawet winić strażnika za wzięcie jej za żebraczkę.

Podobny problem miała gdy dotarła do bramy na dwór księski. Stojący przy wejściu strażnicy zagrodzili jej drogę.

– Potrzebuję pomówić z kimś z dworu. – Iseren została z początku zmierzona mało przyjaznym wzrokiem stażników – W sprawie Białlica.

Wartownicy przy bramie nie odpowiedzieli jej, przez chwilę mrucząc coś między siebie po ojczystemu. W końcu jeden niespiesznym krokiem poszedł na dziedziniec zamku.

Po dłuższej jego nieobecności pojawił się z powrotem przy otwartych wrotach, w towarzystwie innego wartownika.

– Czego? – Zapytał szorstko.

– Ja w sprawie listu gończego. Zdołałam zgładzić Białlica. – dziewczyna odwiązała nagi miecz od swojego pasa. – Oto dowód.

Strażnik znający visildejski stanął jak wryty w ziemię.

– C-chodź za mną. – wykrztusił, po czym spiesznym krokiem wrócił na dziedziniec.

Iseren posłusznie poszła za nim, próbując nadążyć mu kroku. Strażnik gwałtownie skręcił do jednego z skrzydeł zamku, gdzie stamtąd po chwili wędrowania przez korytarze dotarł do pomieszczenia wyglądającego jak czyjś gabinet.

Wnętrze pokoju było szczerze umeblowane, pełno w nim było biblioteczek, półek na zwoje, czy sztalug z szkicami okolicy. W centrum pomieszczenia znajdował się suto zastawiony stół, pod którym rozłożono zdobiony dywan o czerwonej barwie. Przy stole zaś zasiadał tęgiej postury mężczyzna odziany w eleganckie szaty. Widząc zbliżającą się dwójkę przerwał posiłek rzucając im oczekujące wyjaśnień spojrzenie.

– Panie – strażnik wyprostował się z szacunku. – Ta włóczę.. ta tutaj nieznajoma ma wieści o Białlicu.

– Doprawdy? – mężczyźnie uniosła się krzaczastą brew. – Chętnie ich usłyszę. Zostaw nas samych sobie. Odmaszerować!

Strażnik uchylił głowy w szacunku po czym opuścił gabinet. Mężczyzna wskazał Iseren krzesło naprzeciwko siebie.

– No to słucham. – nieznajomy ułożył palce na stole w kształt piramidy.

– Zgodnie z pańskim życzeniem. – Iseren skłoniła głowy.

Opowiedziawszy historię obserwowała jak twarz mężczyzny powoli przybrała pełny podziwu i satysfakcji wyraz.

– No, no. W praktycznie pojedynkę zdołać zgładzić taką bandę to wyczyn. – mężczyzna nalał sobie do czarki złotego trunku. – Wręcz trudno w to uwierzyć, nie uważasz?

– Mam dowód rzeczowy, czy pragnie pan by go okazać? – Iseren poprawiła szablę włożoną pośpiesznie za pas.

– Pragnę.

Iseren podała z ukłonem broń.

– To zmienia postać rzeczy. – Mężczyzna obejrzał przyjętą szablę, po chwili kładąc ją na kominku. – No, wygląda na to, że mówisz prawdę..

– Nie śmiałabym pana okłamać. – Iseren zniżyła głowy.

– To dobrze. – mężczyzna się uśmiechnął z zadowoleniem. – Pora zdać raport Jego księskiej mości. Tylko nie w takim stanie jakim ja cię zastałem.

– Proszę mi wybaczyć.. –

Iseren nie zdołała dokończyć, jako że dostojnik uciszył ją gestem dłoni.

– Chodź, przed audiencją cię stosownie ubierzemy. – wstał od stołu.

Iseren pośpiesznie odeszła od stołu, dając się zaprowadzić z gabinetu do sali wypełnionej różnymi strojami i przyrządami krawieckimi. Między nimi kręciły się kobiety zajęte szyciem czy naprawianiem ubrań.

– Oddaję ją w wasze ręce. To gość na audiencję naszej wysokości, więc oczekuję od was by prezentowała się godnie.

– Zgodnie z życzeniem waszej mości. – jedna ze służących się ukloniła z ręką na piersi.

Po zamknięciu drzwi od pomieszczenia, zamkowe krawczynie otoczyły Iseren, powoli mierząc jej ciało opuszkami palców. Iseren zamknęła oczy pozwalając się im dotknąć, jednocześnie starając się zachować spokojny oddech.

Gdy przestała czuć na sobie ucisk drobnych palców kobiet, uchyliła powieki, by zobaczyć pracujące przy stołach służki.

– Głowa do góry. – młodsza służąca szepnęła do niej nagle przykładając materiały do ręki Iseren. – Twoja audiencja się napewno uda.

– Nie boję się audiencji. – odparła Iseren. – Właściwie to dlaczego na dworze używacie mowy visildejskiej?

– Och, zwykle używamy ojczystego, ale mamy rozkaz porozumiewać się z gośćmi w języku jaki nam sugeruje autorytet.

Dziewczyna kiwnęła głową, pozwalając jej wrócić do swojej pracy.

Służące przeglądają przygotowane ubrania odkładając parę podobnego rozmiaru.

– Czy waść życzy sobie pozostawić miecz przy swoim stroju? – spytała jedna z służących.

– Jeśli można. – odparła Iseren, odpinając miecz z pasa.

Służące pozostawiły na stołach trzy pary odzienia.

– Bardzo byśmy prosili o waszej mości uwagę. Zamierzamy przedstawić pani nasze propozycje stroju.

Przed Iseren stanęły trzy kobiety, trzymające w rękach ubrania.

– Pierwsza nasza propozycja to klasyczne giezło, o kwiecistym zdobieniu fartucha. – zaczęła wyjaśniać jedna z kobiet. – Drugą jest toga w stylu południowym. A trzeci, grubo tkana koszula.

– Niech będzie koszula.

– Dobrego wykonała wasza mość wyboru. Podkreśli waści kobiecość, zachowując jednocześnie, że tak pozwolę się wyrazić, wasz bojowy pazur.

– Dziękuję. Czy mam założyć teraz wybrany strój?

– Jest to jak najbardziej wskazane.

Iseren zdjęła z siebie tunikę, czując na skórze chłodne powietrze kręcące się po wnętrzu kamiennego zamku. Po otrzymaniu w ręce stroju zaczęła go ostrożnie wiązać. Nie zasupłała dobrze jednego sznurka, gdy

wyręczyły ją przy reszcie krawczynie. Iseren niechętnie pozwoliła się ubrać, starając się nie zdradzać swojego niezadowolenia.

– Wykwintnie się wasza mość prezentuje w nowych szatach. – skwintowała jedna służka, gdy te puściły ją z dłoni.

– Wspaniale. – spróbowała podzielić entuzjazm. – To wszystko?

– Z naszej strony tak. W temacie estetyki, myślę, że wygląda już pani dostatecznie wyjściowo. Obejdzie się bez pielęgnacji skóry i włosów. – szwaczka wskazała palcem młodszą służkę. – Jolina, odprowadź waść do gabinetu majordoma naszej wysokości.

Opuściwszy salę, Jolina przyjęła mniej dworską minę.

– Proponuję umilić czas w drodze do mości Prysimiła. – zaproponowała służąca. – Czy wypada mi spytać, jakie imię nosisz?

– Wypada, Iseren się zwę. Miło poznać.

– Mi ciebie też. – Jolina odpowiedziała jej przyjaznym spojrzeniem. – Bardzo ładny miecz nosisz, klinga cydelitowa, senvoldzkiej roboty, prawda?

– Jak najbardziej, to miecz jątyński. Sporą masz wiedzę o mieczach skoroś potrafiła go tak opisać.

– Mój ojciec jest tutaj kowalem dworskim, czasem między podkowami dla wierzchowców rzuca okiem po rynsztunku drużynników. Bywało też i tak, że odwiedzali go najemnicy z różnych stron świata, miewaliśmy wtedy okazję poznać różne schematy broni.

– Może go w takim razie odwiedzę, napewno przydałoby się przejrzeć mój rynsztunek pod eksperckim okiem.

– Jego warsztat nieciężko znaleźć, jest tóż przed bardziej reprezentatywną częścią podzamcza. Zawsze możesz się wesprzeć radą kogoś z zamku, jeśli będziesz miała problem tam trafić.

– Powinnam sobie jakoś poradzić.

– Pozdrów go ode mnie, gdy do niego zajdziesz, jeśli móc mi można prosić.

– Oczywiście.

– Bardzo to miłe z twojej strony. W kwestiach dotarcia, jesteśmy już pod gabinetem majordoma.. Powodzenia na audiencji, Iseren. – Jolina poprawiła Iseren rękaw, ujmując jej przedramię. – Trzęsiesz się? Dobrze się czujesz?

– Tak, po prostu jest tu zimno. – odparła wymijająco Iseren uwalniając się z jej dłoni. – Muszę już iść, nie chcę kazać majordomowi czekać na mnie.

– Rozsądnie.. Bywaj. – Jolina posłała Iseren smutne spojrzenie, próbując się uśmiechnąć. – Na mnie też czekają obowiązki.

– Do następnego razu. – pógłosem odpowiedziała Iseren, delikatnie pukając w drzwi.

Słyszając zawołanie, uchyliła drzwi, zastając Prysimiła oglądającego widok z okna. Rękę miał splecione za plecami, a sam zaś stał nieruchomo.

– Oto i jesteś. – odwrócił się od okna. – No i wyglądasz zacnie, godnie na tyle by móc stanąć przed oblicze jego księskiej mości. Nie marnujmy więc już czasu na pogaduszki. Audycja odbędzie się na sali tronowej, jego mość wróciła już z polowania i chciałby z tobą pomówić.

– Dlaczego rozwiązanie listu gończego wymaga aż reakcji jego wysokości? – zachciała wiedzieć Iseren, oparta dłonią o framugę drzwi.

– Takie jest po prostu wola jego księskiej mości. – Prysimił podszedł do kominka zabierając szablę. – To małe państwo, a sprawa była wysokiej wagi. Białlic i jego ludzie zawsze zdołali się skryć nim nasze patrole docierały do jego rzekomej kryjówki, więc byliśmy bezradni w tej sprawie. Szkoda byłoby tracić dobrych ludzi na aktualne natarcie, nawet w czasach pokoju.

– A zawsze ktoś może wyjść z cienia by się wykazać. – podsumowała Iseren, co majordom skwitował pełnym zgody uśmiechem.

– Nadal trudno mi wierzyć, żeś sama jedna zdołała pokonać pięciu męża i Białlica w samej osobie. Co prawda nie popieram twojego miłosierdzia nad resztą z grasantów, ale cóż, zlecenie dotyczyło tylko zgładzenia samego lidera. Mniejsza, audycja czeka. Za mną.

Prysimił podał Iseren szablę, po czym zamknął za sobą gabinet. We dwójkę wyszli na podzamcze, gdzie stamtąd udali się do głównej części zamku, prowadzącego na salę tronową.

Krocząc po długim dywanie dotarli pod stopy drewnianego tronu o misternym zdobieniu. Na jego siedzisku Iseren dostrzegła czyjąś sylwetkę, przed którą uklękła.

– Powstańcie. – niski ton głosu rozległ się po sali. – Spodziewałem się was obu, przynosicie podobno dobre wieści.

– Tak, wasza wysokość. – odparł uprzejmym tonem Prysimił. – Nasza łączność do Mácirsarok została oczyszczona za sprawą..

– Iseren. – dokończyła za niego. – Cieszę się, że mogłam waszą wysokość wprowadzić w dobry nastrój moim czynem.

– Dzierżysz drugi miecz. – książę nachylił się znad tronu zalewając swoją twarz kasztanowymi lokami. – Hmm, rozpoznaję go. Każdy w Wistuji go rozpozna. To w istocie miecz należący do Białlica. Dokonałaś godnego czynu, Iseren. Masz wdzięczność moją i całego miasta. Caspir!

Zza kolumn wyszedł śniadoskóry mężczyzna imienia wykonując ukłon Jamrynowi. W rękach niósł drewniany kuferek.

– Połóż go pod stopy Iseren. – książę zwrócił twarz ku dziewczynie: – Oto i obiecana nagroda, twoje tysiąc saijvisów.

– To dla mnie zaszczyt. – odpowiedziała prawie szeptem Iseren, uchylając głowę.

– Możecie odejść. – władca zbył ich dłonią. – Iseren, jesteś od dziś zawsze mile widzianym gościem w moich progach, w ramach mojej wdzięczności udostępniam ci komnatę dla gości w moim zamku, a także prawo zasiąścia do stołu.

– Dziękuję stokroć, wasza wysokość. – Iseren miała wrażenie, że książę się delikatnie do niej uśmiechnął w odpowiedzi.

Iseren i Prysimił ukłonili się ponownie przed księciem, po czym wykroczyli z komnaty.

– Prawo zasiąścia do stołu.. No, no, niezła z ciebie teraz figura na dworze. – Prysimił zatrzymał się z Iseren na dziedzińcu. – Ja wracam do swoich spraw, ty zaś rób co ci dusza zapragnie.

– Najlepiej jeśli bym zabrała tą skrzyneczkę w bezpieczne miejsce.

– Dobry pomysł. Jak dobrze pamiętam, to pokoje gości są na lewym skrzydle, pierwsze piętro. Jest jeszcze jedna taka sprawa, mało istotna. – Prysimił zrobił się dziwnie nieśmiały, nim ponowił: – Mogę sobie zatrzymać tą szablę?

– Nie śmiałabym waszej mości odmówić. Swoją drogą ostrze wyglądało bardzo gustownie na waszym kominku.

– Z twoim wkładem w sprawy księstwa możesz mi mówić "majordomie". Ech, no i jak zwykle, gadam zamiast zrobić co mam do zrobienia. Bywaj, Iseren. – Prysimił klepnął Iseren na pożegnanie po ramieniu wbijając ją nieco w ziemię.

Dziewczyna została sama na podzamczu, powoli przyswajając do siebie wszystkie wydarzenia.

*„Chyba nie wypadałoby mi teraz opuścić zamku. Zresztą, parę dni odpoczynku od wędrówek mi nie zaszkodzi..”*

## VI.

Tego samego dnia przed zmierzchem; Iseren oglądała w tym czasie zamkowe ogrody, póki nie zaczął jej doskwierać głód. Wracając do wnętrza zamku napotkała na dziedzińcu Prysimiła, który przyglądał się kluczowi ptaków.

– Chyba cię ten zamek nie przytłacza? – zagadnął wesoło, odwracając do niej głowę.

– Przyznam, że zwykle nie mam styczności z takimi miejscami, majordomie. – głos miała formalny, pozbawiony ciepła. – Udało się wam już rozwiązać swoje sprawy formalne?

– W rzeczy samej. Parę listów, parę rozmów i mam względnie spokój. Jak zajdzie słońce, rozpocznie się wieczorna uczta. Jego wysokość cię oczekuje na niej. A także bliżsi jego księskiej mości dworzanie, zatem proponuję się tam zjawić.

– Tak więc zrobię, majordomie. Poczekam tu z tobą jeśli można.

– Nie mam ku temu nic przeciwko. – Prysimił pogładził sobie łysiejącą głowę. – Tak właściwie, co cię niesie po Kreovii?

– Jestem przejazdem. Zmierałam do Visildeii.

– Ach, visildejska prowincja, pełno w niej okazji do spieniężenia czy uchwalenia swych talentów. Pochodzisz z stamtąd?

– Nie. Wychowano mnie w Jätynjodrze, nie znałam swoich rodziców.

– Rozumiem, przykrym cię zatem obdarzono losem, Iseren.

– Słońce już dotknęło horyzontu. – Iseren zmieniła temat. – Myślicie że to już czas na nas?

– Na to wygląda. Chodźmy już.

Iseren za Prysimiłem wyszła do głównej części zamku, tym razem skręcając w prawo. Majordom pchnął drzwi Iseren prowadząc ją do sali biesiadnej.

Dziewczyna w towarzystwie Prysimiła zasiadła przy suto zastawionym stole, zbierając przy znad niego parę zaciekawionych spojrzeń od obecnych tam arystokratów.

– Moi goście – usłyszała znany już Iseren głos księcia Jamryna – Z racji obecności naszego gościa, pragnę byśmy stosowali przy stole mowę visildejską!



Zebrani na uczcie dosyć szybko wyłapali nową twarz, wciskając wzrokiem Iseren w krzesło.

Władca wstał znad krańca stołu i wygłosił opowieść o czynach, którymi zasłużyła się Iseren. Twarze zebranych zdradzało wiele uczuć co do bohaterki powieści – od zaciekawienia, respekt po apatię czy wręcz wrogie nastawienie. Po skończonej mowie książę uniósł kielich w imię dobrobytu Visildeii, czym odpowiedzieli obecni na sali i uchylili zawartość czarek.

Iseren biorąc niewielki łyk z pucharka poczuła w ustach pałący posmak o owocowokorzennej nucie.

„*Słynne Reirmalego jak mniemam..*”

Atmosfera na uczcie szybko się rozluźniła w rytmie skocznej muzyki na szalamaji i bębnach. Przy stole rozchodziły się co chwilę śmiechy i stuknięcia kielichów. Przez całą ucztę Iseren mimo głodu prawie nic nie jadła, starając się nie rzucać w oczy. Do czasu, aż paru zdających się przyjaźniejszych wobec niej dostojników zaprosiło ją gestem do siebie.

– Mości Iseren! Dobrego czynu dokonaliście! – zawołał rubasznym tonem stojący przy oknie szlachcian.

– Za Iseren! – wtórowali mu jego przyjaciele.

Dziewczyna poczekała, aż uchyłą zawartość swoich czarek, sama jedynie zwilżając w swojej usta.

– No, a jak gości jego wysokość? Dobrze? – zagadnął ponownie szlachcic.

– Bardzo dobrze, mogę sobie odpocząć od wędrówek. – odparła Iseren, ściskając oburącz pucharek.

– Aj, a gdzie moje maniery! Bukaś jestem! Z rodziny Gałskovi, lennik Gałska naturalnie. – podał jej dłoń na powitanie. – Zajedźcie kiedyś, na dworku cię jak swoją ugoszczę!

– Och, zaszczyt mi słyszeć to zaproszenie. – Iseren lekko się ukloniła.

– Zaszczyty, zaszczyty. – zarechotał Bukaś. – Po swoim heroizmie toś jak jedna z nas!

Słyszając słowa Gałskoviego, niektórzy rzucili im wyrażające wstręt lub wrogość spojrzenia, głównie byli to starsi, bardziej konserwatywnie myślący goście na uczcie. Ci akurat na jej szczęście nie byli za długo zainteresowani Iseren, zwykle szybko zajmowali się powrotnie rozmowami o polityce czy skandalach w szlacheckich rodzinach.

– Jakież wieści masz ze sobą, Iseren? – zagadnął ponownie Bukaś, pozwalając jej wrócić wzrokiem od grupy wrogich dziewczynie dostojników.

– Składa się, że mam, ale lokalne to czyny.

– Dobra historia opiewać może nawet wewnątrz latryny. – ze śmiechem odparł jeden z zebranych. – Dalejże, opowieści nie lubią być kryte przed uchem!

Iseren poczęła dzielić się im ze historii o swojej potyczce pod Galundharr.

– No to żeś im pokazała gdzie ich miejsce. – skwitował sędziwego wieku uczestnik przyjęcia z uśmiechem. – Ja też żem swojego czasu wojował. I liczę, że też ci się dorobi statusu mieczem.

– Chętnie zatem posłucham coś z waszych czasów młodości.

– Wiele mógłbym, opowiem zatem najciekawsze. Była taka kampania z trzydzieści zim temu, z pół dnia od Syelsovka.

– Gdzie leży Syelsovka? – dociekła Iseren.

– W Rhigalskaii, państwa z prowincji Usknavrailha. Daleko stąd, z dobrych parę tygodni drogi. Byłem tam jako najemne ostrze, dowódca nasz wspomagał centarchę katafraktów, już mi z głowy wypadło jak on się zwał.

– Przeciwno komu walczyliście?

– Miejscowi, którzy bywali w szeregach mówili nam że to Usaianie, tacy co wędrują i grabią. Ci akurat wcześniej puścili z dymem parę osad, to nasz władca musiał wezwać ruszenie by ich działania ukrócić i obronić lenna visildejskiego. Doszło do paru starć, czy to by obronić wieś, czy wpadaliśmy na nich w otwartym polu. Nas bywało zwykle więcej, ale każdy z Usaian konno jeździł. O włóczni, oszczepie czy toporze. I żaden mróz im nie straszny był, myśmy się przez to ogniem zdradzali, parę obozów padło za sprawą tego.

– Kto zwyciężył?

– Nasi, ale plemienni się po prostu zabrali któregoś dnia, przestali prób najazdu na wojska czy ostaje osady. Nieliczni przeżyli, ale sownice ocalałych wynagrodzono.

– No, za wasze chwalebne czyny! – zakrzyknął Bukaś chyląc czarki, w jego ślady śląc pozostałych.

– Uch, już mi niedobrze od tego wina.. – skrzywiła się dziewczyna.

– Ha, bo łeb masz kruchy jak Inkarn! – zarechotał Gałskovi. – Aj pamiętam jak kiedyś tu taki był widziany, ale z nim też taka ubawa była. Jeden kieliszek, a on witał wśród swoich nad niebiosem.

Iseren słysząc komentarz, z obawą sięgnęła dłonią w kierunku swoich uszu. Z ulgą stwierdziła, że były wciąż schowane w gęstwinie włosów „*Uff.. Te porównanie kosztowało mnie więcej nerwu niż powinno..*”

– ..Też pamiętam naszego druha Oliesera, szkoda że ni słychu o nim z Vasildel. – zanurzył się we wspomnieniach któryś ze szlachty.

– Pozwólcie że was opuszczę. – przeprosiła szlachtę Iseren.

– Oj, ci naprawdę nasze trunki nie służą! – Gałskovic bardziej się roześmiał. – No, ale dla niewprawionego to jak wyrok śmierci. Siadajcie, Iseren, wracajcie jak się lepiej poczujecie.

Iseren bez dalszego słowa odstąpiła od pijących, by zasiąść przy stole. Na jej szczęście całą uwagę przy nim zbierał Prysimił, który już od dawna wpadł w biesiadny nastrój i ucinał wesoło pogawędki z gośćmi. Dziewczyna zatem mogła w spokoju słuchać występu muzyków, pozwalając by nudności ustępowały powolnie narastającemu zmęczeniu.

Przed północą uczta dobiegała ku końcu, gdy zebrani zaczęli się coraz bardziej rozpijać, a grajkowie przeszli do bardziej stonowanych melodii. Iseren opuściła zatem salę, by nabrać świeżego powietrza w ogrodzie zamkowym. Poza paroma patrolującymi strażnikami Iseren nie dojrzała nikogo innego, co dało dziewczynie możliwość odetchnięcia z zgiełku na biesiadzie.

Gdy jej myśli nabrały bardziej stonowany tor, nie miała już ochoty wracać na przyjęcie. Zabrała się zatem do swojego pokoju, gdzie położyła się wygodnie w łóżku. Materac łoża był relaksująco miękki, Iseren zatem zasnęła szybko i głęboko, nie pamiętając o czym myślała przed snem.

\*\*\*

Obudziła się późnym rankiem czując doskierający jej głód. Po założeniu swoich ubrań wyszła z zamku zabierając swoją skrzynkę z monetami. Ruszyła ruchliwą ulicą Wistuji mijając wpatrzonych w nią co niektórych mieszczan.

„*Więści się muszą szybko rozchodzić..*”

Z głównej ulicy skręciła do hospicjum gdzie drzwi otworzył jej średniego wieku duchowny o zmęczonym wyrazie twarzy.

– Tak? – pozbawione entuzjazmu oczy skierowały się na stojącą w progu Iseren.

Dziewczyna bez słowa podała mu w rękę solidną garść srebrnych monet budząc na twarzy kapłana silne zdumienie.

– Pragnęłabym też przekazać drugą sumę dla przejezdnego. – oznajmiła po chwili ciszy dziewczyna po wręczeniu darowizny.

– Zwykle za bank nie służymy, ale hojnym, i do w dobrej mierze już moglibyśmy postąpić inaczej. Jak zwą tego podróżnego?

– Dankard. Będzie tu za kilka dni głosić kazanie. Proszę mu tylko powiedzieć, że to prezent od przyjaciela. – dziewczyna wyszła z przybytku nim duchowny zapytał o więcej szczegółów.

Iseren wróciła na dwór księski z nieco lżejszą szkatułą. Po odłożeniu pieniędzy wyszła z powrotem na dziedziniec obserwując patrolujących go wartowników. Słyszając niesioną echem rozmowę w języku kreoviańskim odwróciła się do skrzydła zamku. Zauważyła tam majordoma w towarzystwie średniego wieku ciężkozbrojnego, którego Iseren kojarzyła z wczorajszej uczyty. Widząc Iseren, Prysimił się zatrzymał ze swoim rozmówcą.

– Nie mieliśmy okazji pomówić wczoraj. – twardy akcent visildejskiego nieznajomego zdradzał jego lokalne pochodzenie. – Ma godność to Wituj, dowódca księskiej mości drużyny. Pod sztandarem jego cesarskiej wysokość Legionu jako oddział wsparcia.

– Iseren. Zaszczyt móc z pańską mością porozmawiać. – dziewczyna delikatnie uchyliła głowy przed dziesiętniem.

– Bordowy Legion zawsze cenił sobie niezależnych dzierżców miecza. Jakbyś jednak pragnęła przysłużyć się dobrym sprawom pod naszym sztandarem, mamy garnizon w każdym sprzymierzonym mieście.

– Z całym szacunkiem, mości dziesiętniku, ale preferuję podążać swoimi drogami.

– Twój wybór, Iseren. Rozważ jednak wstąpienie do armii jego cesarskiej wysokość.

– Tak tak, z całą pewnością to robi. – przerwał im Prysimił zniecierpliwiony. – Bez urazy, drogi Wituju, ale obiad mi stygnie i nie chcę tu wrosnąć w ziemię.

– Słusznie. Ciebie wzywa potrzeba iście prosta, a mnie wysokiej wagi obowiązki. Bywajcie.

Dziesiętnik podał Prysimiłowi na pożegnanie energiczny uścisk dłoni i wymaszerował na dziedziniec. Wituj zniknąwszy już poza murami zamku, pozostawił za sobą oddalający się stukot kilku par kopyt o kamienne ulice Wistuji.

– Ach ten Wituj, visildejska wojskowość go z lekka usztywniła. – głos majordoma rozległ się po pustym skrzydle zamku. – A ty, Iseren, może zechcesz wstąpić by zjeść w towarzystwie?

– Nie śmiałabym odmówić.

– Znakomicie. Napewno na gościńcach okazji by dobrze zjeść nie będzie, to ci kreoviańska kuchnia dobrze zrobi.

– Mam nadzieję, że nie za dobrze.

Prysimił rozbawiony się uśmiechnął otwierając jej drzwi do swojej kwatery. Służba akurat kończyła rostawiać różne potrawy na stole mijając majordoma w pokłonach.

– No, za kogo winniśmy wznieść toast? – zapytał, zasiadając przy stole.

– Hm, za zdrowie jego księskiej mości. – Iseren uniosła czarkę. – I twoje, majordomie.

– Twoje też, Iseren. – odparł Prysimił uchylając zawartość pucharka.

– Bardzo ciekawy aromat tego trunku. – Iseren pokręciła czarką w zastanowieniu. – Liść śnieżnej tojki?

– W rzeczy samej. Dobrze znasz się na ziołach.

– Starszy mojej wioski mnie edukował z dziedziny alchemii. Miał parę tomów, z których też się uczyłam.

– A zatem czytasz też książki.. – majordom odstawił czarkę, by sięgnąć do półek z księgami. – Myślę że ciebie jako przyszłego gościa na visildejskiej prowincji może to zainteresować.

– Och, bardzo dziękuję. – Iseren ujęła delikatnie w ręce książkę. – „Zbiór legend o Visildeiê”.. Brzmi jak starokyrridejski termin.

– Lingwistykę widzę, że też masz opanowaną. To w istocie nazwa starokyrridejska. Piękny, choć zapomniany język. Może i słusznie, że zapomniany. Visildeiê było niegdyś stolicą Inkarnskiego imperium, nim ich dominium zostało zniesione przez nas, Ziemcom. Potem z biegiem lat miasto przyjęło bardziej wymowną nazwę, Vasildel.

– Intrygujące. Z pewnością przeczytam tą książkę.

– Potraktuj ją jako prezent Iseren. Za tą iście gustowną szabelkę.

Prysimił odwrócił się z pełnym dumy uśmiechem kolekcjonera ku szabli, wiszącej nad kominkiem. Broń wisiała na krzyż z mieczem o poszerzanej ku końcu klindze.

– Ksifos, z Sottalnoia. – wyjaśnił majordom, podążając wzrokiem dziewczyny. – Broń z pewnością pamięta czasy narodzin Visildeii, może nawet jak sama Sottalnoia sformowała się już w coś więcej niż garść miast.

– Szabla ma równie dalekie korzenie?

– Jak najbardziej. Szabla możnego, z południowych prowincji Usknavraihi, które również miały swój wkład w powstanie Visildeii.

– Ciekawe skąd zdobył ją Białlic..

– Mogła być rodowa, ale bardziej jestem skłonny wierzyć temu, że Białlic ją ukradł albo ktoś nieświadom mu ją sprzedał czy oddał. – Prysimił splótł rękę za plecami oglądając bronie nad kominkiem. – Usknavraiha, zwłaszcza wolne od Visildeii regiony słyną ze swojego, że tak powiem, surowego temperamentu, często przypominając go najazdami na wiernych cesarskiej mości rodaków. U nich takie postępowanie jest inaczej postrzegane, jak element codzienności.

– Brutalna duma, zupełnie jak wśród niezależnych możnych na północy Senvoldu.

– Obrońcy starych wartości, jak się sami określają. W istocie, podobnymi motywami ich kieruje. – majordom cicho westchnął wracając do stołu. – Dolać ci wina?

– Nie, dziękuję. Już mi starczy. – Iseren oparła się na krześle oglądając swój pusty talerz. – Miał majordom rację, wasza kuchnia stawia każdego na nogi.

– Mówi się też, że potem powali z tych nóg dobrą gorzałką. – Prysimił nalał sobie kapkę trunku do kieliszka. – Choć ja co prawda zwykłem pić tylko lekkie trunki by nie zaszumić sobie głowy, ale jakbyś miała chęć na coś mocniejszego to zawsze znajdziesz coś do łyknięcia w tutajszych tawernach, albo z piwnic zamkowych ci sprawię butelkę.

– Nie przepadam za mocnym trunkiem.

– Ja bym dobrego Reirmalowego nigdy nie odmówił, ale co osoba to inny gust. Ech, czas z tobą leci prędko, jak nurt rzeki w górach, że tak się wyrażę. Na mnie będzie już pora, muszę wracać do swych obowiązków. – Prysimił zatrzymał Iseren w drzwiach. – A jakbyś ochotę miała, to zawsze możesz przystąpić do mnie na wieczerzę.

– Z chęcią pana majordoma odwiedzę. Nie będę zatem panu przeszkadzać przy sprawach państwowych. Do zobaczenia.

– No to mamy względnie umówione. Miłego dalszego pobytu na zamku.

Iseren po pożegnaniu się z majordomem wyszła na dziedziniec kierując się do zamkowego kowala. Zaprowadził ją tam rytmiczny brzdęk metalu o kowadło, gdy podeszła bliżej, zauważyła że pracujący tam mężczyzna kończył właśnie wybijać podkowę. Przy zapadłej ciszy wysłyszał zbliżającą się do niego Iseren.

– Witajcie. – kowal wyszedł z warsztatu na świeże powietrze. – Mości Iseren, racja?

– W rzeczy samej.

– A w jakiej sprawie pannica przychodzi? – kowal podparł się pod boki.

– Przekazuję pozdrowienia, od Joliny.

– Jolina.. – kowal przybrał sentymentalny wyraz twarzy. – Wszystko u niej dobrze?

– Tak, dobrze.

– Ach, szkoda, że my tak zarobieni, strasznie rzadko zdarzy nam się zobaczyć.

– Przykro mi słyszeć.

– Ech.. – kowal zwiesił głowę. – Cóż, źle mi na dworze nie jest, poza że zdebkę czasu mam wolnego.

– Nieuprzejmie mi teraz spytać, ale mogłabym też prosić o zlecenie?

– A no, można. – kowal otarł brud z czoła. – Coś trza zrobić? Wyklepać?

– Myślę, że mojemu mieczu się przyda rzut oka specjalisty. Ile by taka przyjemność kosztowała?

– Się mości pani mieczywko pomierzy, się zobaczy. – kowal już wesejszym tonem przyjął klingę od Iseren, poczynając mruczeć nieznacznie do siebie. – Mhm, mhm, dwa i pół.

Iseren bez słowa pozwoliła mu obadać miecz.

– No, trochę ma wyżartą brzytwę, wysmarować go można, by się lepiej czyścił. Wiadomo waści z jakiego stopu to robota?

– Niezupełnie. Choć obilo mi się o uszy, że cydelitowa.

– A to żaden problem winien nie być. – kowal przyjął minę specjalisty. – Na moje oko też cydelit. Dobre metalczywo, niezawodne i niedrogie. No, ale mniejsza, coś jeszcze trza?

– Nie, to byłoby wszystko.  
– W dobre ręce trafi, nie bójta o to. To razem będzie setka saijvisa, stoi taka cena mości pani?  
– Brzmi uczciwie, obejdzcie się bez targów. – Iseren wręczyła kowalowi należną sumę.  
Mężczyzna wzruszył jedynie ramionami, po czym zabrał się do pracy.  
– Wstąp tu za parę dni, winno być już wszystko gotowe i lśniące. – dodał kowal przerywając na chwilę ostrzenie miecza.  
– Tak zatem zrobię. Bywajcie.  
Kowal uniósł do niej jej rękę na pożegnanie, ponownie wracając do wyrównywania ostrza. Iseren opuściła warsztat, udając się z powrotem na zamek.

\*\*\*

Minęło parę dni, które Iseren spędziła bez żadnych zmartwień na księskim dworze. Często w ciągu tych paru dni odwiedzała Prysimiła, a także pod pretekstem wykonania dla niej nowego ubrania zaglądała do Joliny, najczęściej tylko by się przywitać.

Czas na zamku mijał jej zaskakująco szybko, dużo bowiem czasu spędziła w wygodzie, wypoczywając w pokoju gościnnym lub na przechadzkach po okolicy. Bała się jednak zapuszczać gdzieś dalej nie mając swojego miecza przy pasie, dlatego zwykła się trzymać dobrze patrolowanych przez strażników uliczek Wistuji lub ogrodów zamkowych.

Aż wkrótce, jednego dnia zajrzała do kowala w sprawie zlecenia, jak zwykła robić od paru dni,. Tym razem zadowolenie na twarzy kowala, zdradzało że zlecenie zostało już zrealizowane.

– No, trochę to trwało, pani, ale miecz jest jak nowy. Miałem przed tobą zlecenie na wykonanie podków podkucie nimi z groma kobył, temu tyle to trwało.

– Groma wierzchowców mówicie? Aż dziwne, że nikogo tutaj nie widziałam o koniu.

– A, no na dworzec każdego bylego tu nie wpuszczają. A ich od groma było! – kowal rozłożył gwałtownie ręce by pokazać rozmiar grupy, omal nie strącając włóczni na głowę Iseren. – I jeszcze musiał tam do nich zejść, na przedmiastowia z nimi i tymi podkowami.



- Miejscowi? – zainteresowała się dziewczyna.
- Nie wyglądali jak tutejsi, ale na moje to byli rodzimy nam. Ten co mi dał zlecenia mówił po rodzimemu, akcent miał taki, że no nijak musiał być on z naszych ziem.
- A w sprawie mojego miecza?
- A! No tak, jest gotowy, na stanie, chodźcie za mną. – kowal gestem ja wprosił do głębi warsztatu. – Ale dziw mnie bierze że za zbroją żadną się nie rozglądałaś. Co, zbiry nie tną cię po cycu?
- Tną, ale nie w sposób udowodnić by obeszło się bez grotesku.
- Ja tam bym nie narzekał. – wzruszył ramionami.
- Nie wątpię.
- Kowal odpowiedział jej jedynie rechothem, gestem pokazując by poszła za nim.
- Iseren w towarzystwie kowala minęła zagraconą pracownię wchodząc do bardziej uporządkowanego magazynu. Spośród półek w moment wy-  
patrzyła swój miecz, nim sam właściciel kuźni zdołał dobrze wejść do pomieszczenia.
- Gdzie on jest.. – kowal zamruczał do siebie.
- Iseren bez słowa sięgnęła w kierunku miecza.
- Fiu, ty to masz oko dziewczyno. – gwizdnął, pomagając jej ściągnąć miecz. – Co do miecza, klinga jak nowa, nie wymagała żadnej ponadto pielęgnacji. Dobrze się bronią opiekujesz.
- W każdym bądź razie dziękuję za wykonaną pracę. Pomyślnych interesów wam życzę, kowalu.
- A tobie bezpiecznych podróży, mości Iseren. Wpadnijcie jeszcze jakbyś miała po drodze.
- Iseren miała zamiar opuścić kuźnię, póki nie wysłyszała zawołania kowala:
- Czekaście jeszcze!
- Odwróciwszy się, zastała kowala grzebiącego w mieszku monet, przeliczył z niego konkretną sumę.
- Zniżkę wam dam. – wyjaśnił, wyciągając dłoń z saijvisami. – Boście dobra, za tą fatygę z pozdrowieniami.
- Nie wiem czy wypada wziąć. – zawahała się Iseren. – W końcu wiele nie zrobiłam.
- Wypada, biercie. – kowal ją zachęcił do przyjęcia monet. – To teraz możecie bywać. I zdrów i o groszu.
- Wy również.

Iseren czuła się zdecydowanie pewniej na powrót z mieczem u boku. Wstąpiła jeszcze do pokoju gościnnego, zabierając z niego swój dobytek. Miała trudność z pomieszczeniem się w swojej torbie, bowiem od czasu pobytu na zamku wręczono jej kilka par odzieży, a obiecano jej jeszcze prowiant w dzień jej wyjazdu. Poszła zatem do kuchni, gdzie czekał na nią kilkudniowy zapas jedzenia do spakowania.

\*\*\*

– ..I tu suszonka z gryzacza jakby ci brakło po drodze prowiantu. – tęgiej postury kucharka wyciągała kolejno różnorakie potrawy, pozwalając Iseren wybrać te, które uznała za najlepsze do drogi.

– Wdzięczna jestem za hojność dworu. Bywajcie. – Iseren ze skinieniem głowy opuściła kuchnię.

– Bywajta, bywajta, zjedz dobrze przed wyjazdem bo marnaś! – zawołała służka za wychodzącą po schodach Iseren.

Dziewczyna nie chciała już jednak nadużywać gościnności dworu, po pożegnaniu się z majordomem i Joliną opuściła zamek.

„Może wróć tu jeszcze..” – Iseren posłała murom miasta ciepłe spojrzenie na odchodne.

\*\*\*

Parędziesiąt kroków z Wistuji minęła się z przemarszem Legionu, przed którym uchyliła głowy. Ci zajęci rozmową ją zignorowali.

– Oj cisza w drodze, nie Veris? – wysłyszała visildejski od mijanych żołnierzy. – Jeszcze parę dni to mi miecz na dobrze przywrze do pochwy od rdzawości.

– Ja bym nie narzekał, Rihtan. – odparł żołdak imienia Veris. – Spokój jest, Bordowy Szlak się na nowo tłoczy do tutaj. Wistuja tylko bogatsza będzie.

– I tak już tutejsi skaczą po saijvisie, przy cenach chałup tutaj to nie dziwota. – wtrącił się legionista o śniadej karnacji. – No, a jak bogactwo to spokój, jak poniekąd wspomniałeś.

– Prawda, prawda. – przyznał legionistka o dorodnym wąsie. – Ważne by nas na stepy nie wysłali. Ci tam znowu kampanię szykują. Lepiej szwenda tutaj niż zadźgać się dzikusom, bogi wiedzą jak daleko od domu.

– Oj racja, bo na co się namęczać? I tak to samo w miszkę dostaniemy co oni. – Rihtan dostrzegł oddalającą się Iseren. – Hola, a my jej skąś nie znamy?

– Jak na nią patrzeć to by się chciało z nią poznać. – rozmarzył się Veris. – Ślicznotka, patrzcie jak balansuje tym biodrem..

– Na służbie nam nie przystoi, to kończyć wywody! Oczy za wrogami a nie dupami niewiast! – warknął dotąd milczący piechociarz o donośnym głosie.

– A dziesiętnik jak zwykle, dwa metry włóczni z rzyci mu sterczy.. – burknął śniadoskóry.

– Dijocen, uwarzajcie sobie! – ostrzegł go piechociarz. – Bo poleci skarga do centarchy i..

Iseren przestała przysłuchiwać się ich rozmowie.

„*Ciekawe o jakich stepach była mowa? Coś kojarzę, by była mowa o takowych, w manuskrypcie od Zielarza.*” – pogрузzyła się w zadumie dziewczyna – „*Ale zapewne jako jedynie wzmianka, stąd moja ograniczona wiedza o nich.*”

Z racji braku odpowiedzi, zmuszona była zakończyć swoje rozmyślenia, najlepsze czemu mogła się oddać była obserwacja okalającego ją krajobrazu, pozwalając częściowo jej odejść od napierającego natłoku myśli.

\*\*\*

Mimo, że spędziła parę dni na wypoczynku w wygodzie, nie straciła w żadnym stopniu wprawy w poruszaniu się po traktach – nim zdążyło zrobić się południe Iseren już od dawna straciła Wistuję z pola widzenia.

Dopiero za popołudnia przystanęła na rozstaju dróg, nie dlatego, że była już znużona nieustanną wędrówką, ale roztaczająca się wokół łąka wprawiała ją w kojący nastrój. Położyła pod głowę torbę, zdjęła buty, po czym położyła się na ziemi z nogami przełożonymi przez siebie. Przyłknęła oczy, wsłuchując się w świergot ptaków i szum wiatru ciosającego miękką trawę.

Słyszając kroki uniosła głowy, spotykając się ze spojrzeniem chłopca prowadzącego na uwięzi woła.

– A wyście co? – zawołał do niej z gościńca. – Coś was porachowało, że tak legliście?

– Nic nie porachowało. – odparła dziewczyna, przymykając z powrotem oczy. – Cieszę się dobrą pogodą.

– Zimno tu pani, głupota tu tak marznąć. W chałupie się połóżcie, przy ogniu, no przyjemniej będzie.

Brak reakcji od strony Iseren skłonił chłopą by dać dziewczynie spokój.

– A dziwna ona jakaś. – mruknął do siebie, po chwili ruszając w dalszą drogę.

Dziewczyna zaś, ponownie oddała się symfonii dźwięków otaczającej ją przyrody. Z przymkniętymi w wciąż oczami, przysłuchiwała się w śpiewu ptactwa, pozwalając wszelkiej myśli odejść z jej umysłu. Dokończyła pełnej immersji z otoczeniem, mając wrażenie, że jej kończyny rozpląły się między źdźbłami trawy.

\*\*\*

Sporo czasu minęło, gdy znacznie bardziej zrelaksowana, przeciągnęła się leniwie i przysiadła w trawie. Trudno jej było powiedzieć czy się zdrzemnęła, jedynie na podstawie przesunięcia słońca zdołała ocenić, że odpoczynek zajął jej sporą część dnia. Mimo wygody i braku powodu do pośpiechu, zabrała się z powrotem na gościniec.

Miała pewne przeczucie, że w kilkunastodniowej wędrówce, która ją czeka nie napotka niczego martwiącego, do czego przekonywała ją senna, sielankowana sceneria.

Iseren z początku czujna, stopniowo adaptowała ten nastrój – zamiast obserwować teren za potencjalnym zagrożeniem, marzycielskim wzrokiem sunęła po łące dającej wrażenie bezkresnej. Nizina wyścielona była kwieciami wyrosniętym u schyłku Fvaernasu, w odstępstwie od siebie rozrastały się krzewy, niektóre z nich gałęzie miały upstrzone drobnymi owocami. Część z owoców Iseren miała okazję poznać, zatem z paru przydrożnych zrywała po garści.

W dalszej drodze napotkała dziko rosnące cierpniki – drzewka, mimo że rosły na przejezdnej drodze były nietknięte przez ludzi, co nie stanowiło rzadkiego widoku. Dla wielu bowiem owoce były zbyt nieokazale, by warto było je spożywać, zwłaszcza w obfitym o jadalno regionie. Dziewczyna jednak dobrze wiedziała, że owoce choć niewielkie to bardzo trwałe i przy tym całkiem smaczne, dlatego pozrywała parę większych okazów na drogę.

\*\*\*

Późnym wieczorem, nim zdążyło się dobrze ściemnić zaczęło obficie padać.

*„W taką pogodę rozpalić ogniska nie zdołam. Rozejrzę się za noclegiem, może jakiś litościwy chłop mnie wpuści na noc do siebie?”* – wsparta o boki, zachaczyła palcem o pokaźny mieszek monet. – *„No przecież, co ja się niepotrzebnie martwię.”*

Po niedługim przemarszu dostrzegła nieopodal zarys zabudowań, liczyła że zamieszkałych. Opuściła zatem główny trakt, skręcając w kierunku wypatrzonej wioski.

Osada liczyła sobie kilka rozległo budowanych domów i nieco większą od chałup gospodę. Zabudowa zdradzała skromny żywot jaki tutaj panował – drewniane, proste konstrukcje przykryte strzechą, fundament chat stanowiły zaś kamienie polne. Ścieżki ciągnące się po miejscowości były opustoszałe, najwidoczniej spędzali wieczory w karczmie, co sugerował rozchodzący się z niej hałas i bijące z okien budynku światło.

Wstąpiła do gospody, zbierając różnej maści spojrzenia od jej bywalców. Parę pobliskich rozmów ucichło, skupiając się na przybytej Iseren, paru wpadło w niemy zachwyt, wypatrzywszy jej twarz spod kaptura. Iseren zignorowała ich, kierując się do gospodarza.

Zasiadła na stołku przed szynkwasem, zbierając zza niego ostrożne spojrzenie karczmarza.

– Coś do picia? Łóżka? – zapytał stojący za blatem mężczyzna.

– Jedno i drugie. Co tam macie za ładą?

– Piwa, wódki, soku by łeb jutro nie bolał.

– Sok brzmi dobrze. A za pokój ile?

– Mam na piętrze, od lat tam nikogo nie było. Dajcie czas to ja odpączę i wyszoruje. – szynkarz podrapał się pod brodą. – Wydam za sześć srebra za noc. A kolejka soku za dwa saijvisy. Może coś do przegryzienia?

– Może być, chleba trochę dajcie.

– Mam taki mały bochenek, dam ci za niego cztery srebra. Pasuje?

– Stoi. – Iseren wysypała na blat monety.

– Uważajcie tutaj. – szynkarz zniżył głosu. – Lepiej zostańcie przy mnie, jedynie bogi wiedzą co by miejscowym przyszło do głowy. A burdy tu bym nie chciał, te kmiotki to moi jedyni bywalce.

– Niech tak będzie. – Iseren początkowo mając zamiar wstać, usiadła z powrotem przy szynkwasie. – Nie lubią obcych?

– Jak wszędzie. – szynkarz uśmiechnął się w porozumieniu. – A najbardziej tych co zarabiają z miecza. Najpierw takich uchronisz od klanu bandyckiego, a oni cię zwyzywają od darmozjada i płatnego zbója.

– Nie jestem najemna. Noszę miecz dla obrony.

– Nie skłonny jestem wierzyć, że ten miecz ani razu ci nie zapewnił saijvisów. – mężczyzna posłał jej ponure, ale pozbawione wrogości spojrzenie.

– Tego już powiedzieć nie mogę. – przyznała mu Iseren.

– Zawód jak zawód. Najemnego żołnierza się wytyka za chcwiość, ale bez nich to serwowałbym tu piwa dla lokalnej bandy. – szynkarz oparł ręce o blat, odsłaniając parę źle zagojonych blizn. – Widzę, że mi się na te szramy gapisz.

– Wybaczcie.

– Nie widzę powodu by skrywać moją przeszłość. – westchnął gospodarz. – Sam swego czasu żyłem z miecza, było nas sześciu. Ja, z prowincji Euvrozia, w Bavrekênr się uchowałem. Z reszty bandy to był taki wojak z Senvoldu, łucznik z Fridveloi, dwóch mieczników z Kreovii i nasz powiedzmy, że kapitan. Inkarnem był.

– z Euvrozii pochodzisz? Kawał świata musiałeś zwiedzić. Od dawna porzuciłeś profesję? – zainteresowała się Iseren.

– Ano, od dobrych dwóch dekad. Ciekawe co z resztą drużyny, łucznikowi ziemia lekka pewnie, bo głupi zawsze się pchał w cudze problemy. Tak samo jak Sicgrav, temu to nawet trzeźwo było prędko o kłopoty. Czarownik pewnie też wrócił do swoich w niebiosy, już wtedy nas przerastał dwukroć wiekiem.

– Czarownik, mówisz?

– Wszawa dupa, za dużo powiedziałem. Co prawda nie wstydzę się swojej najemniczej przyszłości, ale mamy z chłopcami zaprzysiężone by za bogato o tym nie paplać. Mogę ci tylko powiedzieć że na imię mi Noiernin

– Nie zamierzam więcej cię wypytywać, wybacz moją dociekliwość. Ale skoro się przedstawiłeś, ja też tak pocznę. Iseren jestem.

– Dawno żem nie słyszałem nic po starokyrridejsku, a zwłaszcza imienia. – Noiernin lekko się uśmiechnął. – Wiem że nie wypada, ale skoro ja nieumyślnie wyciągnąłem swoje sekrety, to może chcesz wyjawić skąd takie imię ci nadano?

– Noierninie, myślę, że ze znajomością starego języka już ci domyślne, skąd takie nadano mi imię. – ucięła Iseren.

– Hm, sprawa się więc ma tak prosto. Jako żeś zapewne Inkarn radzę ci się udać na południe, tam się na waszych tak krzywo nie baczysz. – zasugerował karczmarz.

– Taki mam zamiar. I pragnęłam też poznać się na swoim pochodzeniu.

– E tam, co tu dużo do poznawania. To tylko uszy. – wzruszył ramionami Noiernin.

– W Vasidel się dowiem, czy faktycznie to tylko kwestia uszu.

Rozmowa szybko się urwała, gdy do kontuaru przyczłapał średniego wieku kmiotek, pociągając nosem.

– Wódka wyszła, dolejcie dla nas panie Noiernin. – wymamrotał lekko się chwiejąc.

– Będzie, będzie. Wracajcie do kolegów, Witor, zaraz wam poleję.

– A piękna panieneczka, z nami pójdzie, hę? – zwrócił się Witor z zalotnym uśmiechem do Iseren.

– Miałam za sobą długą drogę, potrzebuję już do łóżka. Może kiedy indziej.

– No i proszę. – szepnął rozbawiony karczmarz, gdy wieśniak wrócił do swoich. – Gdy w żyłach płynie im więcej trunku niż krwi, to każdy obcy staje się dla nich najbliższym kamratem.

– Akurat nie kłamałam o moim zamiarze spać. To wybaczcie, że kończyć muszę już rozmowę. Dobrej nocy, Noierninie.

– Do jutra, Iseren. – rzekł Noiernin, prowadząc ją do pokoju na poddaszu. – Wiesz, kogoś mi przypominasz ze swoim sposobem bycia.

– Tak? – Iseren zatrzymała się przed drzwiami.

– W rzeczy samej, mojego przyjaciela z kompanii.. – mężczyzna rzucił zadumane spojrzenie w głąb gospody, zupełnie jakby nie panował tam pijacki harmider.

– A jak mu na imię było?

– Nie wiem czemu ci o tym mówię.. Ale zwał się Geonrod.

## VII.

Kilka tygodni później; z skrzypnięciem uchyliły się drzwi do zatłoczonej tawerny, do jej wnętrza wlało się światło słońca, w moment zasłonięte wkraczającym bywalcem. Pare głów przy wejściu obróciło się za wchodzącym, po chwili wracając zobojętniale do rozmów między sobą. W głębi pomieszczenia przez panujące zamieszanie nikt nie zwrócił uwagi jak okryta płaszczem figura przysiada się przy kontuarze.

– Witajcie w „Diogeone”, miłościwy nieznajomy. – wesołkowato zagadnął oberżysta.

– Nieznajoma. – poprawił go niski, kobiecy głos za kapturem.

– Wybaczcie, mości pani. Coś na ulżenie trudu podróży? Mamy dobry rocznik Floriuteliego, również tanie, ale zacne piwo, ciepłej stawy i wolne łóżka.

– Jadło byłoby dobrym pomysłem. Ale bardziej przydałoby mi się zasięgnąć języka.

– Wieści mam pełno, jak to w końcu tawerny właściciel zwykł. Ale lubię przejść z moimi rozmówcami na ty. Justil, z Vasildel.

– Iseren. – dziewczyna zsunęła kaptur z głowy. – To duże miasto, na pewno macie pełno opowieści na języku.

– Ano, mam. Widzę, żeś siostra miecza swego rodzaju. Myślę, że to powinno cię zainteresować, jeśli trudno ci o grosza. – Justil wyciągnął zza kontuaru pergaminowy zwitek. – Trzymajcie.

Iseren zmarszczyła brwi wczytując się w treść obwieszczenia:

*Usłyszcie me słowa, awanturnicy i wolne od sztandaru oręża! Nawołuję każdego śmiałego mieszkańca stolicy by za sowitą garść monet strzegł mnie i mego dobytku podczas wojaży za tym co nieznane a nam istotne. Ze wszelkim pytaniem lub ochotnictwem do tejże sprawy odsyłam do uniwersetu w Visildei.*

*Podpisano,  
Adaiel Niyaranne, konsyliarz.*

– Co, też nie umiesz czytać? – oparty o ladę karczmarz się uśmiechnął nieoceniająco. – Jakiś wariat z uniwersytetu nakazał to wciskać



każdemu co wygląda na najemnika. Ale, że nawet nie płacił za fatygę, to mało mi się chce tego rozdawać.

– Czytać umiem, ale mniejsza. W temacie uniwersytetu byłabym bardziej zainteresowana. – dziewczyna opuściła wzrok znad zwiłta – Przydałoby mi się drobne parę zdań na jego temat. Mam zamiar się tam udać.

– A w jakim celu, jeśli mógłbym wiedzieć? – dociekł Justil.

– Potrzebuję poznać się na.. Sprawie pewnego rodzaju. Po prostu.

– Niech ci będzie, nie naciskam. Ty, ale może do konsyliarza pójdziesz do uczniaka? Oni i tak bywają po uniwersytecie, wiecie, tacy czytani i tak dalej.

– Wyjaśnicie kim jest konsyliarz?

– Taki postawny jegomość, z Komicjum.

– Um.. Skąd?

– Rada Visildeii, zbiera się tych konsyliarzy, kwestorów, pretorów i innych co wystawną szatę w czerwieni wdzieją, głoszą swoje i liczą na aprobatę reszty. Ale ja tam wiele nie wiem, za szynkiem, nie ławą jestem.

– A gdzie jest budynek Komicjum?

– Tam gdzie uniwersytet, to razem taki ee.. Aglomerat, pani. – Justil nabrął dumy po znalezieniu słowa.

– Rozumiem. A co słyszeć w Visildeii?

– Co zwykle, wiele, ale nic wielce pomyślnego. – głos karczmarza spoważniał. – Legion wywalczył się na stepach, ale po co, strat w woj- skach zapewne więcej było niż z ofiar rozgrabionych wiosek. Z wschodu równie niewesoło, nie dochodzi do wojen, ale w Rakhsvadeuh podnoszą dla swojego nadto zysku ceny ich lokalnych wyrobów. Wszystko generalnie drożeje, na moje to saijvidit stracił wartości wzglę- dem gileditu, ale kiedyś to on swoje znaczył. Na stołach pustka jeszcze nie gości, ale to tylko kwestia czasu.

– Przykra sprawa. A Visildeia zawsze zdawała mi się kolosem Kyrri- dei.

– Kolos, kolos. – przytaknął jej ze smutkiem Justil. – Ale na glinia- nych nogach.

– Cóż, na mnie już czas. Bywaj, Justil. Dobrych interesów.

– Dziękować, Iseren. Pomyślnego szlaku za murami.

Iseren wstała od kontuaru, zaginając kawałek pergaminu do znacząco uszczuplonej sakiewki.

*„Nie przypuszczałam, że na uniwersytet się dostanę z taką łatwością.. A na miejscu, zobaczymy, może się ugadam z tym uczonym i zapewni mi nauki od konsyliarza.”*

Z instrukcją niechętnemu ku temu strażnika dowiedziała się, że gmach uniwersytetu znajduje się w administracyjnej dzielnicy Vasildel, którą łatwo dało się wypatrzeć po wieżach o szpiczastych dachach, wystającymi ponad dachy mijanych przez dziewczynę domostw.

Miasto za dniów rządu Inkarnów musiało być już sporych rozmiarów, albo jego nowi rezydenci utrzymywali architekturę starożytnych Inkarnów, bowiem Vasildel bowiem cieszyło oko misternym budownictwem z cegły i kamienia, ukraszonym krużgankami, dzielonymi łukami, czy wygiętymi dachami nie szczędzącymi w kwestii dekoracji, pod postacią gargulców czy okrytych seledynowym metalem kopół.

Brukowane drobną kostką ulice miasta zalane były szerokiej maści personą, choć większość mieszczan była Ziemcami, to wśród nich napotkać można było przedstawiciela rasy wyższej. Modę w mieście zdominowały togi i luźne, barwne kaftany. W Inkarnskiej kaście z racji smuklejszej sylwetki ubiór pozwalał nadto na subtelną ekspozycję ciała.

Gwar miasta ucichł gdy Iseren dotarła do dzielnicy administracyjnej, skąd już bez problemu gmach uniwersytetu. Wejść do budynku od strony ulicy było cztery, każde z nich prowadziło przez arkady wysokości sześciu roślących mężczyzn. Za nimi znajdował się ogród, z którego rozbiegały się ścieżki prowadzące do różnych części uczelni. Główna część gmachu, naprzeciwko niej, znaczyła imponujących rozmiarów kopułą, którą Iseren zdołała już wypatrzeć od części mieszkalnej miasta. Zbliżając się do budowli, wypatrzyła strzegących wejścia strażników, odziani w purpurowe tuniki.

– Umówiona? – rzucił wojskowym tonem wartownik, zagrządzając wrota do gmachu włócznie.

– Można tak powiedzieć. – Iseren podała mu do ręki ulotkę z karczmą.

– Niech no rzucę okiem. – Strażnik zmarszczył brwi czytając treść zwitka. – No, niby pieczęci nie ma, ale złożony podpis członka Komitum ma moc prawną, owy mości konsyliarz nieumyślnie dał tym ogłoszeniem pozwolenie na wejście do Gmachu Głównego. Ech ci młodzi..

– Ten uczony, czy raczej konsyliarz, Adaiel. Gdzie ja go znajdę?

– Hmm.. Jak mnie pamięć nie myli to członkowie Komicjum powinni rezydować na wyższych kondygnacjach.

– Dziękuję. Spokojnej warty wam życzę.

Żołnierze posłali jej minimalnie przyjaźniejsze spojrzenie w odpowiedzi. Zgrabnym, zsynchronizowanym ruchem chwycili swoje włócznie w piony, pozwalając Iseren przejść przez rozwarte wrota do gmachu.

*„Wręcz wstyd teraz wspomnieć moje dwa miesiące zmartwień, jak się tu dostanę.”*

Wnętrze budynku było zbudowane z połączonych ze sobą łuków, które w schludny sposób rozdzielały gmach przy odnogach korytarza. Kroki Iseren stawiane po gładkiej, kamiennej posadzce słały wręcz nieprzyjemne echo po pozbawionych żywej duszy korytarzach.

Kilka krętych schodów później dotarła na trzecie piętro gmachu. Na jej szczęście gabinety radców były podpisane, co pozwoliło jej uniknąć zakłócania pracy ich właścicieli.

– Basil.. Eleziar.. Iveon.. – szeptem wyczytywała imiona z podpisów pracowni. – Johil.. jest.. Adaiel Niyaranne.

Zatrzymała się przed drzwiami, wzięła głęboki wdech. Iseren zdała sobie sprawę, że być może jest właśnie o krok od rozwikłania swej życiowej sprawy.

*„Tylko co będzie dalej?”* – bardziej ją zmartwiło.

Nie chcąc się za długo wahać, zapukała. Słyszac zawołanie, lekko drżącą ręką pchnęła ciężkie drzwi i weszła do środka.

Wnętrze gabinetu w głównej mierze składało się z biblioteczek i krzyżowanych półek na zwoje. W pokoju panowała komfortowa jasność, za sprawą przestronnych okien. Na przeciw drzwi stało biurko, pełne tub ze zwojami, pootwieranych książek, przyrządów piśmienniczych czy mniej istotnych drobiazgów uzupełniających i tak trudny do pojęcia nieład.

Za biurkiem zastała Inkarna. Nawet z zakrytymi uszami zdradzałby swoje wyższe pochodzenie delikatną urodą, wzbudzającą pytanie, jakiej właściwie płci jest jej posiadacz. Adaiel bowiem, jak całkiem spora część jego pobratymców, za wzór obrazu męskości nie służył – chłopak miał wyjątkowo wydatne i okrągłe usta, długie rzęsy, a także podłóżne, lekko połyskiwe oczy w kolorze orzechowym. Włosy Inkarna związane były w kok, spod którego uciekło parę czarnych kosmyków. Strój Adaiela odzwierciedlał modę panującą w Vasildel – toga, pod nią zdobnie wykonczona szata.

Chłopak posłał stojącej w progu pełne zaciekawienia spojrzenie mieszanego z niepokojem.

– W jakiej sprawie? – głos miał wysoki, ale nie piskliwy.

– Pragnęłam dołączyć jako protektor do twojej ekspedycji. – Iseren podała mu zwitek pergaminu. – Ogłoszenie jest wciąż aktualne?

– Ach, tak, od dobrych paru dni czekałem na choć jeszcze jednego ochotnika. Was, poszukiwaczy przygód musi ostatnio brakować w tych coraz to trudniejszych czasach. – Adaiel odłożył pergamin na blacie biurka z ostrożnością, jakby obchodził się z kruchą porcelaną. – Choć może to pięć setek saijvisów nagrody jest winnej tej niechęci?

– Z całym szacunkiem, ale co najwyżej dziesiąty mieszkaniec Kyrri-dei zdolnym jest czytać. – uwaga Iseren, mimo łagodnego tonu, wycisnęła wszelki kolor z twarzy Adaiela.

– T-to wiele wyjaśnia.. Ach, a ja myślałem, że powszechny analfabetyzm to pogardliwe wymysły inteligencji z Komicjum.. – zmieszał się.

– Cóż, niestety nie. Ale w każdym bądź razie można by ponegocjować o ofercie, jeśli mogłabym prosić. – Iseren z założonymi rękoma przyjrzała się w szklanej kuli na biurku. – Mając być szczerą, saijvisy mnie nie interesują, a wiedza, związane z nią odpowiedzi. Sam dostęp do waszych ksiąg mi wystarczy. Czy taka reanżacja wypłaty wam pasuje?

– Myślę że jest do zrealizowania. A z jakiej dziedziny pragniesz się kształcić, jeśli to nie tajemnica?

– Chciałam zagłębić się w kulturę Niebian, co ich skłania do poczęcia hybrydów. A także co kieruję rasę wyższą do ich do ich porzucenia. – mimo starań, w głosie dziewczyny czuć było gorzkość.

– R-rozumiem. – prawie szeptem odpowiedział Adaiel. – Postaram ci się pomóc.

– Wybacz, że się nie przedstawiłam. Iseren jestem.

Dziewczyna uchyliła głowy w następstwie. Adaiel, zaskoczony, odpowiedział tym samym gestem.

– Nic nie szkodzi. – dodał po chwili. – Pozostając w temacie poznań, czy chciałabyś poznać swoich nowych towarzyszy?

– Tak będzie rozsądnie. Prowadź, jeśli łaska.

– Jak sobie życzysz, Iseren.

Adaiel zasunawszy siedzisko pod biurko, zaprosił Iseren by poszła za nim. Z gabinetu przeszli do niewielkiej, ale dobrze umeblowanej jadalni. Przy stole wypatrzyła potężnie zbudowanego mężczyznę zajądającego

się pieczenia, a także młodą kobietę, skupioną na tarcu ziół w moździe-rzu.

Na ich przybycie kobieta uniosła wzrok znad naczyń i podeszła do przybyłych.

– Jantryk zdążył ładnie uschnąć, mości konsyliarzu. – dała znać Adaielowi kobieta. – A twoja towarzyszka to?

– Iseren. Adaiel zatrudnił mnie do protekcji. – odparła Iseren, przyjmując uścisk dłoni.

Nieznajoma zrobiła dziwną minę słysząc jego imię.

– Mi na imię Svjetane. Mnie konsyliarz też zatrudnił, choć bliżej mi do sanitariusza niżby siostry miecza. – wyraz z jej twarzy zastąpił przyjazny uśmiech.

Iseren przyłapała się na tym, że dosyć intensywnie ogłądała kobietę. Jak na Ziemkę była wyjątkowo urodziwa – była tęgawa, lecz jej waga estetycznie kontrastowała z wyrazistymi rysami twarzy i żywymi oczami w kolorze zieleni. Rude loki miała zaskakująco zadbane na standardy kogoś prostego statusu, niczym wodospad spływały jej w równej linii po głowie.

Ciężkie kroki za Svjetane zaprowadziły wzrok Iseren do drugiego najemnika, który przerwał swój posiłek by się z nią poznać. Nawet bez wiszących przy jego pasie pary toporów, dałoby się w nim rozpoznać Senvoldczyka po włosach w kolorze orzechu, gęstej brodzie, a także przenikliwych, lodowobłękitnych oczach, które w moment wypatrzyły Iseren.

– Toż to nowa twarz, witajcie! – rzucił wesoło na powitanie. – Jam Halverd Harjstör, najemna para topora, pieśniarz i miłośnik dobrego miodu.

– Mi na imię Iseren. Miło cię poznać, Halverdzie.

– Milej będzie przy czymś dobrym do picia. Adaielu, coś masz solidnego w spiżarence?

– Och? – Adaiel wyglądał, jakby pytanie w jego stronę go zaskoczyło. – Tak, tak, na me rachunki winno być jeszcze z dziesięć uncji orzechowej.

– To pozwólcie, że sobie i Iseren polejemy.

– Jak sobie życzycie. – bąknął. – Pozwolę sobie was już razem zostawić, bowiem razem zdajecie się być kontent. Wyruszymy jutro z rana, niech jeszcze Iseren wypocznie.

– Harverdzie, wstydziłbyś się. – syknęła Svjetane, gdy Adaiel opuścił jadalnię. – Wiesz w pełni, że on ci się nie postawi. A ty go obżerasz z dobra wszelkiego jak próżna panienka!

– O nie, wypraszam sobie. – obruszył się Senvoldczyk. – Korzystam jak dziadowie i pradziadowie pozwolili z prawa gościnności.

– Ale z umiarem, na litość bogów. Uszanuj, że Adaiel jako nieliczny z Komicjum za próg nas nie wykopie, bośmy nie urodzeni w stolicy.

– To tylko ten ostatni raz, nowe twarze trzeba uwiecznić w dobrym trunku. A jak już dał nam butelkę to przecież trza z niej kropelkę choć ułać. – Halverd dosunął krzesło dla Iseren. – No, Iseren. Za kogo winniśmy wypić?

Svjetane zrobiła bardzo nietęgą minę, pozostawiła sprawę jednak bez dalszego słowa.

– Za zdrowie gospodarza. – dziewczyna mimo braku ochoty picia, uchyliła zawartość czar ki.

Trunek okazał się być bardzo delikatny, właściwie to wytrawny akcent ustępował orzechowemu posmakowi.

– Na jego zdrowie. – powtórzył Halverd ochoczo opróżniając puchar. – Mhmm, delikatna nuta jarządownca, za każdym razem tak samo dobra. Szkoda że pocziwego miodu w Visildeii nie pichcą, w niej by ten drewniany posmaczek pasował.

Halverd postawił z hukiem czar kę, wzdrygając Iseren nagłym hałasem.

– To więc – stłumił beknięcie – skąd cię Iseren niesie?

– Z Jätynjodru, w Senvoldzie.

– Ha! Nie dałbym wiary, ale teraz widzę po mieczu, żeś faktycznie stamtąd. Ja też urodziłem się w Senvoldzie, ale w Solgjordzie, na Lądzie Przodka, a ty gdzie, bo coś nie kojarzę tego Jätynjodru?

– Jätynjodr leży na Svjarsteinie.

– Młodsza ziemia, raz czy dwa tam byłem. – skomentował. – Ale to historia na inne czasy. Co cię sprowadziło do Visildeii?

– Uniwersytet.

– Hm, wiedza. Wygląd lubi mylić, nie obraż się.

– Powiedział. – wtrąciła się Svjetane z rozbawieniem.

– Potraktuję to jako komplement. – ściągnięte brwi mężczyzny przeczyły jego odpowiedzi.

– W temacie Visildeii. – wróciła Iseren. – Nie wiem czy wypada pytać, ale twojej rodzinie nie przeszkadza twój pobyt w Visildeii?

– Skądże. Mój ród uznaje, że chwałę zdobyć można pod dowolnym sztandarem. Myśmy nigdy nie parali się polityką, dlatego im obojętnie co synowie rodu poczną. Ja i brat Jegmar, niech mu ziemia lekką będzie, byliśmy zwolennikami Visildeii, bo Kyrridea lepszą będzie jako zjednoczona siła. A przynajmniej od jakiegoś czasu jestem takiej myśli.

– Rozumiem. A ty Svjetane – Iseren zwróciła się do sprzątającej stół kobiety – Skąd jesteś?

– Od Chašenów jestem. – wyjaśniła – Ja w Jūrm mieszkałam, takiej skromnej osady na wybrzeżu.

– Chašenowie to niegdyś trzęśli okolicami. – odpowiedział Halverd. – Się wieki wieków temu położyli na naszych najazdy morskie i złupili przymorskie wioski w ramach wendety. Tak jak Ląd Przodka sam czynić zwykł zresztą. Potem to jakoś ucichło, zapewne Visildeia przekonała wodzów do życia spokojniej.

– Jest rzeczywiście czym się chwalić. – westchnęła uzdrowicielka, zasiadając powrotnie do stołu.

– Tak właściwie, jaką pracę będzie wykonywać Adaiel w terenie? – zapytała Iseren.

Svjetane ponownie przybrała grymas, słysząc jego imię.

– Ma badać bliżej nieznaną zamorską cywilizację, konsyliarz coś też wspomniął o Inkarnskim Imperium które tu kiedyś rządziło. – odrzekła Svjetane. – Za dużo szczegółów nie znamy. To sprawa konsyliarza i samego Komicjum.

– Na ile domyślić się można to Komicjum ma wpływ na decyzję jego wysokość. – dodał Halverd. – A inteligencja się oczywiście podzieliła na różne fronty i do wszelkich przekonań wobec siebie muszą niezbitych dowodów.

– Skoro mowa o zamorskich cywilizacjach. Ma to związek z najazdem w Ejldhart?

– Też tak rozmyślałem. – Halverd posunął wzrokiem w dal. – Może i oni. Napewno im się nie podoba że Ziemcy zerwali kajdan Inkarnów i na pobitej krainie własne królewie sformowali.

– A tam głupoty wygadujesz. – prychnęła Svjetane. – Północ i południe wykorzystają okazję by złupić tutejsze atrakcyjne ziemie, ot co.

– Nie wiem, zawsze mi tak opowiadano. Ale może ta wyprawa pomoże nam to poznać.. – zadumany ciągnął Halverd. – A ty, Iseren. Jak myślisz?

– Wobec nieznanego ciężko mi przyjąć stanowisko.

– Ładnie powiedziane. – uśmiechnął się.

Przez jadalnię przemknął Adaiel. Widząc jak zebrani zwracają ku niemu wzrok, przyspieszył kroku i schował się w dalszej części kwatery.

Najemnicy zamilkli niezręcznie.

– Poszedł spać. – zauważył Halverd przerywając zapadłą ciszę.

– Też lepiej pójdźmy. – zaproponowała Svjetane. – Mamy dla siebie pokój gościnny, Iseren. Powinnaś się z nami zmieścić.

– Dużo miejsca nie zajmuję.

– My niekoniecznie. – uśmiechnęła się Svjetane.

– A to się dobrze złożyło. – podsumował Halverd.

– Się Iseren z krawędzi położysz, bo Halverd strasznie się rozpycha.

– Często mi się bitwy przeszłe śnią. A pozostając w temacie..

Svjetane przyłożyła mu palec do ust.

– Nie czas na opowieści. Spać idziemy. – przypomniała mu kobieta.

Senvoldczyk spuścił brwi, po chwili westchnął.

– Rad jestem, że się zrozumieliśmy.

– Potem ci parę opowiem. – Halverd spiesznie szepnął do Iseren, gdy Svjetane wyszła na przód.

– Mhm. Nie mogę się doczekać.

Najemnicy zaprowadzili Iseren do sypialni dla gości, gdzie bez większych problemów zmieścili się w obszernym łóżu o wyjątkowo wygodnym sienniku.

Iseren pomimo wielu wrażeń z minionego dnia i chrapiącego z drugiej krawędzi łóża Halverda, zdołała stosunkowo szybko i dobrze zasnąć, nie mając czasu na zaczęcie jakichkolwiek rozmyślań co ją będzie jutro czekać.

\*\*\*

Przygotowania do podróży trwały stosunkowo krótko; wczesnym porankiem – będąc już od dawna gotowi do drogi – zmierzali po kamiennych ulicach Vasildel.

– Udamy się teraz do stajni, na wyprawę przeznaczono nam cztery górskie konie. – wyjaśniał Adaiel prowadząc ich przez ulice. – Wtedy będziemy się kierować do Maiorone.

– Nigdy nie jeździłam konno. – przyznała się Iseren.



– Wyrazić to mogę jako fortunę w niefortunie, wykorzystamy jednego wierzchowca jako konia jucznego. A dwóch na grzbiecie rumak powinien udźwignąć.

– Ba, jakby miał dłuższy gnat to i trzech. – zaśmiał się Halverd. – Jak mówisz, że to górską rasą, to pewnie mamy przyjemność z thaelrijskimi długowłosymi.

– Wybacz, ale nie dysponuję nadto wiedzą na temat koni. – odparł Adaiel cichszym głosem.

– Thaelrikha? – wciągnęła się w temat Iseren. – Mowa o odległym na wschód stepie? Tam gdzie doszło ostatnio do wojen?

– Tia, o owych mowa. Słyszałem, że parę centarchów dostało niezłego łupnia od tamtejszej jazdy. Twarde hordy thaelrisjkie zawsze mi imponowały jeździectwem. My, Solgjordczyki miesaliśmy w drużynach paru zwiadowców, ale nigdy myśmy takiej siły w konnicy nie potrafili posiąć.

– Nacja dosyć interesująca, z pozoru rozdarta do zgonnie prostej sprawy konfliktami, choć w trakcie większej grozy jednoczą się pod wspólny sztandar.

– Mhm.. – Halverd przyjął oblicze myśliciela.

– Patrząc po naszych karczmach jest dokładnie tak samo. – Svjetane złośliwie się uśmiechnęła.

Halverd zdołał jedynie sapnąć z oburzenia, nie mówiąc nic więcej. Pozostałą część drogi do stajni spędzili w ciszy. Osiodłane i wypoczęte wierzchowce czekały już na nich poza stajnią, w towarzystwie sędziwego wieku stajennego.

– Są wasze, mości konsyliarzu. – staruszek niezgrabnie się uklonił. – Opłacone przez Komicjum, gotowe do drogi.

– Wdzięczny jestem za dobry sprawunek nad nimi. Postaramy się dbać o nie jak potrafimy.

Stajenny uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Życzę protekcji mości konsyliarza i jemu samemu bezpiecznego szlaku. – przyjął ponownie służalczą minę.

– Składam szczerze podziękowania. – Adaiel zwrócił się do pozostałych: – Gotowi do drogi?

– A jak najbardziej, panie konsyliarzu. – zapewnił go Halverd.

– Na koń, jeśli prosić można. – oznajmił chłopak, samemu wspinając się na wierzchowca

W jego ślady poszedł Halverd i Svietane, którzy w międzyczasie kończyli wiązać już dobytek na grzbiecie koni. Iseren została zakłopotana na ziemi.

– Adaielu? – głos Iseren lekko wzdrygnął Inkarnem. – Z kim mam jechać?

– Hm. Wydaje mi się, iż decyzja większego impaktu nie będzie miała.

– Że pozwolę, to na moje ma. – wtrącił się Halverd. – Po ramionach sędzę, żeś nielekka jest Iseren. A jak jednego konia mocniej przeciążymy to nam się szyk rozłamię.

– Kontynuuj, jeśli łaska. – poprosił go Adaiel.

– Jak sobie życzyście. Swoje też ważę, to na moje do svjetanowego siodła może zasiąść.

– Za piórko też nie uchodzę. – zaparła się kobieta.

Iseren westchnęła.

– Skoro tyle ze mną problemu, to poprzenoszę ekwipunku między trzy konie i pojedę na czwartym. W trakcie się nauczę jeździć.

– Iseren, jeśli mogę pytać. – poprosił Adaiel. – Pojedziesz ze mną, miarkuję bowiem, iż jesteśmy z całej kompanii najlżejsi. A zatem, czy pomóc ci się wspiąć się na wierzchowca?

– Winnam sobie poradzić. – Iseren niezdarnie wciągnęła się na konia.

– Całe szczęście, że te siodła są w miarę obszerne.

– Jesteś w sposób się czegoś chwycić? – chłopak się upewnił. – Podróż konno nie uboga jest o nagłe szarpnięcia.

– Jedyne co przychodzi mi do głowy to ciebie.

Chłopak zacisnął usta.

– Jeśli to w istocie jedyna solucja..

Iseren ujęła ostrożnie ramiona chłopaka, starając się trzymać za szatę.

– Długa stąd droga do Maiorone? – rzuciła mu zza ramienia.

– Mogę ci zaprezentować mapę, jak ostaniemy na postoju.

– Co do samego Maiorone, z nazwy sugeruję się, że to nie jest visil-dejskie miasto.

– Intuicja dobrze ci podpowiada. Maiorone znajduje się na ziemiach Mängvechalów. Daleko na zachodniowe południe stąd.

Iseren zamilkła na chwilę, gdy z ruchem wodzy konie ruszyły po gościńcu. Łapiąc się mocniej togi Adaiela starała się przyzwyczaić do nieustannego ruchu w siodle.

„Uch.. Z własnej woli nigdy więcej nie przejadę się koniem.”  
– Zdrowo nie wyglądasz. Wszystko w porządku? – odwrócił się przez ramię chłopak.

– W porządku. – skłamała, unosząc w jego stronę wzrok.

Spojrzeni po sobie milknąc.

Spojrzenie jakie przybrała Iseren musiała zakłopotać Adaiela, bowiem pospiesznie odwrócił od niej oczy, skupiając się ponownie na drodze.

\*\*\*

Podróż spędzali w niezręcznej ciszy, Iseren, między dmuchnięciami wiatru, czasem zdołała wysłyszeć wygwizdywaną przez Halverda melodię, dobrze dopasowującą się w melancholijny, nizinny krajobraz, który się wokół nich rozstaczał. Do późnego wieczora, horyzoncie zdążył przerysować się w pejzaż prezentujący przed nimi pas wzniesień. Był on pokryty rzadko drzewami, z odległości wyglądały na stosunkowo niewielkie i liściaste.

Z czasem, gdy zrobiło się ciemniej, na jednym z wzgórz rozbili obóz, ku ich wygodzie, zbliżająca się noc zapowiadała się na bezwietrzną i suchą, rozpalenie ogniska nie stanowiło zatem problemu. Trójka najemników zajęła się przygotowaniem kolacji na ognisku, Adaiel zaś po rozbiciu mu namiotu skrył się w jego wnętrzu.

Siedzący przy ogniu zajadali się przygotowaną gryś, co jakiś czas rzucając gałązek do ognia.

– Te, Iseren – zwrócił jej uwagę Halverd – Co sądzisz o mości Adaielu?

– Hm – zawahała się – trudno mi na podstawie jednego dnia ocenić.

– Wiesz co ci powiem, dziwak trochę. – ciągnął mężczyzna. – Na konsyliarza trochę za.. Uniżony.

– Chamsko ujęte, ale masz rację. – przyznała mu kobieta. – Konsyliarze to dworzenie, nie?

– Mhm. – Harjstör przerwał jedzenie kaszy. – Kiedyś pracowałem z jednym z Komicjum.

– I jak? – Iseren nachyliła się, by go lepiej słyszeć.

– Nosa miał zadartego, i miał obsesje na punkcie swojego statusu. Sie wściekał, jak ktoś się zwrócił do niego „mości konsyliarzu”, a nie „mości pretorze”. Z bandy którą sobie sformował raz zdzielił jednego bo go nazwał „Abilenie” nieomyślnie, po imieniu.

– A do Adaiela się zwracasz. – zauważyła Svjetane. – Choć sam mnie pouczałeś jeszcze przed gmachem Komicjum: „tylko ino nie po imieniu do niego, bo w gębę ci da”.

– Bo myślałem że da. – zaparł się Halverd. – Ale widzę teraz, że on inny od reszty Komicjum jest.

– No, mniejsza teraz. – kobieta urwała temat. – Kasza nam stygnie, na zimno taka dobra nie będzie. Smacznej jej wam życzę.

\*\*\*

Postój następnego dnia wypadł o podobnej porze; wieczerna sceneria pozostała podobna do wczorajszej, z różnicą, że pełen wzniesień horyzont otaczał ich teraz z dwóch stron. I jak ostatnio, Adaiel stronił od ich towarzystwa, preferując zacisze swojego namiotu.

Po skończeniu przygotowań potrawy, trójca sformowała koło wokół siebie, zając się posiłkiem.

– Wie któryś z was ile drogi zostało do Maiorone? – zapytała Svjetane.

– Poza Inkarnem to nikt pewnie. – mruknął od niechcenia Halverd, dłubiąc w zębie.

– Nie szarżuj. – ostrzegła go półgłosem kobieta. – To że cię nie weźmie na baty za zniewagę, nie znaczy byś mógł go tak beztrosko nazywać.

– Przecież jest Inkarnem, nie? Iseren, mam rację?

Iseren uniosła brwi w milczeniu.

– Taki wielce dzielny, a się dziewczyną młodszą dwukroć zasłania. – ubawiła się Svjetane.

– Zasłania! – Halverd sapnął. – Bo mi uprzykrzasz bez powodu, to dociekam między zdrowych na umyśle co takiego wielce obraźliwego powiedziałem.

Dziewczyna ścisnęła mocniej misę w rękach.

– O, zdrowy umysł się odezwał! – kobieta uniosła ręce jakby prezentowała Halverda. – A jak mijaliśmy strumyk to żeś go jak opisał? Zagubiona podwiązka panny gigantki?

– Nieprawda! – zaczerwienił się Halverd. – Nie słuchaj jej, Iseren! A ty się doigrasz, ruda jędrzo, skończy się twoje łajdactwo.

– Ta?

Para spojrzała na siebie wzburzonym wzrokiem, po chwili wybuchając niekontrolowanym śmiechem.

Nagły hałas zakłuł Iseren w uszy, przygryzła dolną wargę. Dziewczyna zostawiła misę na ziemię i zabrała się od dwójki.

– Gdzie idziesz? – usłyszała zaskoczony głos Svjetane.

– Do Adaiela. – zmyśliła na poczekaniu.

– O, rozsądnie. Się przyda do niego zajść. Weź trochę potrawki, przypilnuj go żeby zjadł, dobrze?

– Dobrze.

Iseren na prośbę kobiety uchyliła z rondelka pozostałą potrawkę i naalała jej do półmiska dla Adaiela, jak dotąd schowanego w czyste materiały, między resztą ceramicznej zastawy. Dziewczyna ujmując od spodu półmisek mimowolnie obróciła nim na dłoni parę razy, by na kwiecistym motywie naczynia odbiły się tańczące płomienie ogniska.

Gdy nacieszyła oko oglądaniem zdobień na ceramice, złapała dekorowaną łyżkę poszła w kierunku namiotu.

Chłopak nie usłyszał jak wchodziła do wnętrza, był on bowiem głęboko skupiony na porównywaniu map okolicy, zerkając w międzyczasie między strony opasłego tomu.

– Może byś coś zjadł? – nagły głos Iseren poderwał go z miejsca.

– Tak, to brzmi na doskonałą ideę. – Adaiel starał się nie wyglądać na wystraszonego jej niespodziewana obecnością.

Dziewczyna położyła półmisek na skromnego rozmiaru stoliku. Łyżkę podała Adaielowi. Siedzący na składanym krześle konsyliarz obejrzał z zainteresowaniem danie.

– Pachnie pocziwie to jadło. – skomentował, nachylając się nad potrawką. – Nigdy nie jadłem nic z kuchni północnej, ta wyprawa może być dla nas ciekawym doświadczeniem.

– W przypadku obyczajów Północy nowością ona będą jedynie dla ciebie. Sama bowiem też jestem nietutejsza, wychowałam się w Senvoldzie.

– Doprawdy? – Adaiel przerwał na chwilę jedzenie. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale nie wyglądasz jak jejmość z ów regionów.

– Cóż, może i mieszkałam tam, ale nie wiem szczerze skąd naprawdę pochodzę. – westchnęła Iseren.

– Obawiam że nieuprzejmie byłoby spytać lecz.. – chłopak się zawahał.

– Tak?

– Jesteś Inkarnem?

Zapadła cisza.

– Powiedzmy. – Iseren zdołała się odezwać po dłuższej chwili, w prawie szeptach.

– Rozumiem. Wybacz mi moją dociekliwość.

– Każdy jest. A w twoim przypadku to po prostu częścią zawodu jest być skłonny do dociekania odpowiedzi.

– A jaka jest twoja myśl, odnośnie mych uszu? Czy winien jestem je też zakryć? Brak mi pojęcia jak traktuje się Inkarnów poza Vasildel.

– Nie wiem, w grupie sprawa się ma inaczej. Może to ja powinnam się z tym nie kryć?

– Och, nie zakładałem, że mógłbym ci coś swym słowem zasugerować. – zmieszał się. – Proszę wybaczyć mi..

– Wystarczy. – Iseren spojrzała mu prosto w oczy. – Nic mi nie sugerujesz.

Adaiel zacisnął usta zaskoczony. Dziewczyna odstąpiła krok od niego i uchyliła głowę do tyłu. Zrzuciwszy kaptur z głowy, ujęła swoje włosy i zasunęła je za uszy.

– Nie przystoi tak komentować, ale masz bardzo czysty genotyp. – nieco spokojniejszym tonem skwitował Adaiel.

– Po czym to wnioskujesz?

– Po uszach, kształcie twarzoczaszki, f-figurze. – lekko się spłoszył mówiąc to ostatnie. – Za dni mych na uniwersytecie, na wykładzie o dyferencji między rasą sferyczną a ziemską była kiedyś o tym mowa.

– Nigdy się specjalnie nie rozwodziłam nad tym jak bardzo różnię.. To znaczy, różnimy się od Ziemczych. Poza uszami oczywiście.

– Są to w istocie różnice nieznaczne, jednakże wolałbym uniknąć przyprowadzenia cię o zanudzenie.

– Składa się, że lubię być zanudzana. Jak chociażby mogę być o twoim badaniu.

– Nie mogę podać za dużo szczegółów, tajemnica Visildeii. – Adaiel spuścił wzrok przepraszająco. – Jednakże skromne o treść wyjaśnienie byłoby zgodne z naszym prawem. Maiorone, jak Vasildel, było miastem pierwotnie inkarnowym. Co do kierunku podróży, jest ona warunkowana starym manuskrypcem, albowiem odnalazłem poszlakę, mianowicie Maiorone figurowało niegdyś jako kluczowe dla Kyrridejskiego Imperium miasto, uściślając było ono ośrodkiem handlu morskiego. Zamierzam

zatem wyciągnąć wszelką zawartość najstarszych archiwum by zbadać jakie transakcje dochodziły w ówczas inkarnskim Maie'Orrône.

– Jeśli to w istocie sprawa wagi państwowej, dlaczego nie powierzo-  
no ci eskorty w postaci paru piechotników Legionu?

– Może i jako członek Komicjum stanowię autorytet visildejski, ale  
zwykle jego wysokość i Legion nie ingeruje w wewnętrzne poczynania  
Komicjum, aby uniknąć faworyzacji jednej z kurii.

– Brzmi rozsądnie, choć trudno mi wyobrazić tak podzielone doradc-  
two jednego państwa.

– Kompleksu państwowego, jak nie patrzeć. Cesarskiej mość złożyło  
hołd wielu królów i podległym im książąt. Zatem trudno byłoby móc  
polegać na skromnym zastępie doradców dworskich.

– Może i dobrze, by liczno pojęta inteligencja pomogła w doborze  
najrozsądniejszego wyboru.

– Cieszę się, że tą wizję dzielasz. Wszelkie ważniejsze sprawy Vi-  
sildeii porusza się i rozstrzyga na konsyliach, czasem wymagane są  
bardziej kosztowne środki by uformowane na daną sytuację kurie uzy-  
skały rację. – Adaiel nagle zamilkł. – Nie winien był ci mówić tyle, to  
wiedza zarazerwowana dla kręgu Komicjum.

– Co trafiło do moich uszu już ich nie opuszcza za ładną prośbą.

Usta Adaiela ułożyły się w słaby uśmiech.

– Dziękuję zatem. Wybacz mi Iseren, ale muszę wrócić do pomiaru  
map, wolałbym być pewien, że nie zbłądzimy jutro na gościńcu.

– To nie będzie konieczne. – Iseren zajrzała mu przez ramię do mapy.  
– Mamy drogowaskazy, mapę możesz też powierzyć mi czy Halverdowi,  
intuicyjnie rozczytamy dysproporcje z skali mapy czy rozkładu szlaków.  
Na podstawie tych rycin mogę na obecną chwilę spróbować wywniosko-  
wać jakby nam najlepiej się ruszyło.

Powiodła palcem po paru punktach na mapie, układając je do  
pewnego porządku.

– Kartograf w drodze ma skłonność gubić skalę przy wzniesieniach, o  
jak na przykład tutaj. – pouczyła Iseren zaznaczając palcem kółko po  
fragmencie mapy. – W trójkę myślę, że sobie poradzimy.

– N-no dobrze. Tylko proszę, nie zgubcie się.

– Przyjmę na siebie odpowiedzialność. A tobie teraz przydałby się od-  
poczynek przed drogą.

– Tobie również, Iseren. Przekaż proszę reszcie, postaramy się wyru-  
szyć o świcie.

– Jak sobie życzysz.

Dziewczyna zabrała ze stołu pusty już talerz, po czym wyszła z namiotu. Wróciwszy, nie oglądając za najemnikami, wsadziła półmisek do pustego rondla przy ognisku.

– Nie kładź tak bo się potłucze. – głos Halverd pouczył ją zza pleców.

Iseren bez słowa przełożyła miskę na wierzch ekwipunku.

– Hm, no niech tam będzie, ja potem umyję. A żyje ten nasz Inkarn? – zagaił Halverd.

– Żyje, skłoniłam go by sobie odpoczął.

– Przyda się mu. Hej, a co ci tak sterczy przy włosach? – mężczyzna zamilkł na moment. – Wielkie nieba! Twoje uszy, też Inkarnem jesteś!

– Mogłabym tak powiedzieć. – odparła wymijająco Iseren. – Adaiel chce od nas gotowości już za świtu.

– Ha! O ile sam się wybudzi. – Halverd zarechotał. – Ale skoro jest tym kapitanem to niech będzie jak sobie zarządził.

– A co z Svjetane? – Iseren zerknęła pytająco na pozostawiony dobytek kobiety.

– Ziół szuka, już mi opowiadała jaką obok ognia pelandrę wypatrzyła.

– Pelandra? Nie słyszałam, to jakieś lokalne zioło?

– W rzeczy samej, lokalne. – wtrąciła się Svjetane, wstępując do światła ogniska. – Doskonała na prowizoryczne bandaż, macza się pęczek we wrzątku, czeka aż nieco ostygnie i owija wokół rany.

– Brzmi z działania jak mnisi lenniec. – zauważyła Iseren.

– Ano, z lenńca też bandaż zrobisz. Ale to dwie różne rośliny, o podobnym działaniu, z resztą, skoroś obeznana z zielarstwem możesz rzucić okiem co zbierałam.

Kobieta wyjęła zza sznurowanego paska pęczek sztywnej rośliny o karmazynowym kwieciu, w istocie niepodobnej do miękkiego, pokrytego białym nalotem lenńca.

– Co które obejścia u Mängvechalów obsadzone są pelandrą. – ciągnęła dalej Svjetane. – Co się dziwić, to naprawdę pożyteczna roślina. Przyspiesza proces witalny organizmu, oczyszcza rany, goi nawet najpaskudniejsze rany. Aż wstyd mi, że mając taki potencjał zwykle się ją stosuje na kaca albo rozbolały od grzybów żołądek.

– Więc tylko w zastosowaniu jako polowy bandaż jest podobna do mnisiego lenńca. – skwitowała Iseren. – Poza utrzymaniem rany czystej wiele więcej lenniec nie wskóra.



– Miło czasem poznać kogoś kto patrzy po lesie nie tylko za krzakiem do wysrania się. – uśmiechnęła się kobieta w odpowiedzi.

– Milej byłoby się teraz zdrzemnąć. – wtrącił się Halverd.

– Racja, na myśl o śnie aż mi się go zachciało. – Svjetane otarła knykiem oczy.

– To do świtu. – powiedziała Iseren kładąc się na trawie.

Przymknęła oczy, wsłuchując się w trzask nieopodał ognia, pozwoliła swoim myślom krążyć niespokojnie po głowie.

„Ciekawe czy archiwa Maiorone skrywają też wiedzę o Niebianach.. Może również o takich jak ja?” – zastanawiała się w myślach.

Iseren nim doszła do jakiegokolwiek konkluzji, zdołała już pogрузić się we śnie.

\*\*\*

Minęło parę dni od ostatnich wydarzeń; z szacowań Halverda wynikało, że został jeszcze niecały dzień drogi do Maiorone. Późnym już wieczorem, jak zwykli, rozbili obóz przy leniwie płynącej rzece na wzgórzu. Mapy zdradzały, że rzeka miała stąd nieopodał swoje źródło, co dało możliwość członkom ekspedycji naczepać świeżej wody na dalszą wyprawę.

Korzystając z łatwo dostępnej wody Iseren postanowiła się umyć po kolacji. Parędziesiąt kroków od obozu po obadaniu pobliskiego nurtu zanurzyła się w orzeźwiającej wodzie. Zrelaksowana przymknęła oczy, pozwalając prądowi rzeki delikatnie przemykać po jej ciele.

Słyszając zbliżające się w jej kierunku kroki odwróciła głowę, by po chwili wypatrzeć w mroku Svjetane.

– Widzę, że nie tylko mi taki pomysł przyświecał. – rzekła na powitanie, przykucając przy brzegu rzeki – Nie będę ci tu przeszkadzać?

– Skądże. Tylko miej na uwadze, że woda jest lodowata.

– To żaden problem. – Svjetane zsunęła się zgrabnie ze skarpy do rzeki. – W moich stronach mamy zwyczaj zażywania kąpieli w przeręblach, to ciężko żebym zmarzła.

– Brzmi jak zwyczaj typowo nacji Północy.

– To od nich się ten zwyczaj wziął. W końcu i Kreovia i Usknavrailha straszyły południowych kronikarzy baniami i zamiłowaniem do kąpieli w mrozie. Ale starczy już o świecie, czyż nie?

– Niech będzie.

Zapadła cisza.

– Co mogłabyś powiedzieć o sobie? – zagadnęła Svjetane.

– Niewiele. Włóczyłam się kawałek po świecie, to tyle.

– Coś zostawiłaś za sobą?

– Droge? – Iseren wyglądała na zbitą z tropu.

– Nie to miałam na myśli. – kobieta się uśmiechnęła na jej niezrozumienie. – W sensie, dom. Bliskich.

– Cóż. Wciąż pozostaje, iż droga została jedynie za mną.

– Och. – uśmiech opuścił twarz Svjetane. – Rozumiem. Może ja coś opowiem o sobie.

– Skoro chcesz. Zawsze byłaś zielarką?

– I tak i trochę też nie. Za młodu parałam się jako uzdrowicielka polowa, miałam wpajane jakieś podstawy z alchemii, ale w głównej mierze moja wiedza się skupiała na medycynie. Piero gdy podrosłam, zaciągnęłam się do wędrownej bandy wolnych mieczy, i na traktach się poznałam bardziej na ziołach.

– Znasz z tej drużyny Halverda?

– Z tym cepowatym to inna bajka. – w półmroku Iseren ledwo dostrzegła zakłopotany uśmiech Svjetane. – Po rozbiciu się gromady zaczęłam wędrować po różnych stronach, oferując się jako uzdrowicielka, ponownie. Ręce pełne roboty zawsze miałam, na podróżników zwykle się spogląda z niesmakiem, ale tych co potrafią nastawić kość czy wyparzyć zaropiałe rany to zawsze się witało przychylniej. A poznałam naszego czarującego Solgjordczyka na prawie łożu śmierci. Przygłup i jego gromada równie przygłupich wdała się w pojedynek z niedźwiedziem! Przeżył jako jedyny, jak doskonale ci wiadomo, ale zwierz rozdrapał mu praktycznie każdy kawałek ciała zanim dał im się zarznąć. Miałam wtedy wiele tygodni na poznanie go, wysłuchałam chyba po trzy razy każdej jatki w której uczestniczył, już z czasem mi się zaczęły te historie podobać. Pierwsze co zrobił, gdy był już w stanie się ruszyć to wciągnął mnie w swoje objęcia i wycałował. Ja głupia oczywiście dałam mu się już dawno oczarować, więc po zębach nie dostał.

– Silne więzi kreować lubi przypadek, jak o tym myśleć.

– Prawisz zupełnie jak on. – zaśmiała się Svjetane. – Ty też właściwie wychowałaś się w Senvoldzie, prawda?

– Racja, choć rodzimym domem jej nie mogę nazwać.

– Nie? To skąd pochodzą twoi?

– Nie wiem, nie jestem ekspertem w dziedzinie.  
– Składa się że z jednym nam przyszło podróżować. A tak swoją drogą. – Svjetane nachyliła się ku niej z chlupotem wody. – Ty i Adaiel to jak?

Iseren uniosła brew nic nie mówiąc.

– No co tak patrzysz z niedomysłem, jako jedyna potrafisz z nim zamienić więcej niż zdanie. I bywasz dosyć często sam na sam z nim..

– Oczywiście, że bywam, miałam z nim układ, będzie mi pomagał w pewnej prywatnej sprawie.

– Napewno to nic więcej? – nie dawała z wygraną Svjetane.

– Nie.

Svjetane nie wyglądała na przekonaną.

– Bez obaw, możesz mi zaufać. – szepnęła do dziewczyny łagodnie. – Nie powiem nikomu. Więc, spytać mogę jak o nim myślisz?

– Hm.. Skoro ci tak bardzo zależy. – dziewczyna na chwilę zamilkła układając słowa w głowie. – Po wykonaniu zlecenia dla Adaiela byłabym skłonna przy nim zostać jako uczeń, albo znajoma. Ma sporą wiedzę, nie stara mi się niczym imponować. Dobrze mi się z nim podróżuje.

– Prosto z serca. Nie myślałam, że tak dogłębnie mnie w to poznasz. Miło mi, że mi ufasz.

Iseren nie odwzajemniła ciepłego wyrazu jaki posłała jej kobieta.

– Po prostu lepiej byśmy nie miały niczego do ukrycia między sobą.

– Och.. Mądrze powiedziane, trudno się nie zgodzić. – kobieta odwróciła wzrok od Iseren. – Wiesz.. Powinniśmy się już w coś odziać i wracać.

– Tak, chodźmy już. Za długo już nas nie ma.

We dwójkę pomogły się sobie ubrać, ruszyły następnie w kierunku światła obozu. W trakcie drogi, Svjetane przykucnęła przy gromadce okazałej wielkości kwiatów.

– Staniesz na chwilę? – poprosiła ją kobieta.

Iseren spełniła jej prośbę. Kobieta podeszła do niej.

– Co robisz? – Iseren cofnęła się.

– Wpleść ci kwiatek chciałam we włosy. – Svjetane wyglądała na urażoną. – My tak zawsze sobie pletli.

– To wplataj. – Iseren pozwoliła sobie wsadzić roślinę między włosy.  
– Ten kwiat ma jakieś właściwości?

– To blady diadem. Jest po prostu ładny. – odparła z uśmiechem Svjetane. – Zielarstwo, wbrew bajom starego dziada, nie zwoli wszystkiego w miksturę uwarzyć.

Nim Iseren zdołała odpowiedzieć, dwójka wpadła przy ognisku na naburmuszonego Halverda.

– Co was tak wcięło? – mruknął rozeźlony. – Trzy kąpiele bym już zdołał wziąć w tym czasie!

– Wybacz kochany, miałyśmy babską pogaduchę.

– A, to wiele wyjaśnia. Kobiety. – posłał im rozbawione spojrzenie. – No i wasze szczęście, że was za niechcianych gości nie wziąłem.

Solgjordczyk postukał palcami po toporach ciężko wzdychając.

– Znając ciebie, liczyłeś że będzie okazja kogoś sprać tymi siekierami. – skomentowała Svjetane.

– Nie ukrywam, liczyłem. Ech, straszne nudy na tej wyprawie. – Halverd spuścił wzrok na ziemię. – Tylko nadzieję mam, że od tego bezczynu mi siła nie zmarnieje.

– Może ja bym się mogła z tobą zmierzyć? – spytała Iseren.

– Może, może. – mężczyzna przybrał weselszy wyraz twarzy. – Tylko mnie mogłoby ponieść dzierżąc topory, co powiesz na zapasy?

– Czemu nie. – wzruszyła ramionami Iseren.

– No! – ucieszył się Halverd – To zasady są proste, kto nie padnie na ryja pierwszy ten wygrywa.

– W istocie, proste zasady. Tylko czy Svjetane nie będzie miała nic przeciwko? – upewniła się dziewczyna.

– Nie będzie, możecie się łać po mordach. – odparła Svjetane. – Zapewne w pysk mu strzelisz jak cię złapie gdzie nie powinien. Poza tym, on już miał swoje przygody z twoimi.

– Co się wydarzyło? – spytała Halverda.

– No, ten.. – zmieszał się. – A wiesz co? Powiem ci jak mnie położył.

– A jeśli ty będziesz zwyciężcą?

– Hm.. O, będziesz moim wokalem w pieśni.

– Niech tak będzie. – Iseren posłała mu ostre spojrzenie. – Ale coś mi się nie zdaje, bym miała ochoty śpiewać.

– Mocne słowa, pani Inkarn. – rzuciwszy topory z pasa na ziemię przyjął pozycję do ataku. – No dobra, koniec tych chrobrych przechwałek i baczeń, broń się!

Nim dosięgnął Iseren, dziewczyna zdołała na niego naskoczyć pierwsza. Halverd przyjął jej gwałtowną ofensywę na barki zaczynając się z nią siłować. Dwójka przepychała się z jednej strony na drugą, licząc, że oponent straci równowagi.

Iseren przerwała uścisk mierząc w mężczyzną parę ciosów. Ten zaskakująco zgrabnie ich unikał pomimo swojej potężnej postury, zdołał nawet odpowiedzieć paroma solidnymi zamachami.

Słane były z niezwykłą siłą, jednakże Iseren nie miała problemu by przed nimi uskoczyć.

Przy nadażającej się okazji zdołała strzelić Halverda sierpowym.

– Nieźle. – sapnął, wysmarkując strużkę krwi.

Iseren opuściła nieumyślnie gardę, co kosztowało ją solidnym uderzeniem w skroń. Mrugnęła parę by otrząsnąć sprzed oczu isierki i przy wkrótce możliwości posłała Halverda prostym ciosem na młode drzewko.

Sadzonka pod jego ciężarem się złamała, zasypując mu głowę gałązkami. Uderzenie go bardziej rozłościło niż oszołomiło, bowiem zerwał się błyskawicznie na nogi wracając do walki.

Wściekle dysząc wpadł na dziewczynę, która pod tak nagłym pchnięciem straciła równowagę i ciągnąc ze sobą Harjstöra stoczyła się z nim ze wzniesienia. Spadając, w ich plecy wielokrotnie wciskały się kamienie czy wystające korzenie, pozostawiając po sobie bolesne stłuczenia.

Będąc już u stóp zbocza, dwójka po paru próbach podjęcia dalszej walki padła prawie pozbawiona zmysłów na ziemię.

– Dziwnie walczysz.. – wymamrotał Halverd.

– Co rozumiesz przez to?

– Że wyglądasz jakbyś niechętna, ale wyraźnie mnie sprąsaś. No mówię, dziwnie walczysz.

Zamilkli na chwilę.

– Kto według ciebie wygrał? – słabym głosem zdołała spytać Iseren.

– Skoro dwóch z nas legło, to wygląda na to, że oboje żeśmy wygrali. – zarechotał. – Ha! To była dopiero zabawa.

– Skoro oboje wygraliśmy wiesz co to oznacza.

– Wiem, wiem. – rozbawienie szybko go opuściło. – Może i lepiej bym ci to powiedział tutaj, bo Svjetane za każdym razem się ze mnie nabija jak komuś o tym opowiadam. No, jak pewnie wiesz, tobie podobni, zwłaszcza młodego wieku mają to do siebie że są niezwykle urodziwi. He, niezależnie od płci.

– Chyba wiem do czego zmierzasz.

– Myślałem że ze mnie taki szczęściarz, bo żem w Zandyl pannicę iście powabną znalazł. No cóż, się potem okazało, że ani pannica, ani powabna. Mieliśmy taki zwyczaj, że kto wygra w kości to na górze ląduje a drugi..

– Już, obejdzie się bez szczegółów. – przerwała Iseren. – Czyli co jest właściwie twoim sekretem? Fakt romansu z Inkarnem czy z mężczyzną?

– A myślałem że cię zaskoczy mój incydent sam w sobie, że ja taki.. Niestandardowy w łóżu. Bo ponoć nie wyglądam na takowego.

– Trudno mi rzec czy wygląd coś sugerować może. – wzruszyła ramionami Iseren.

– Racja, nie rzecze wiele. Nie myślałem tak o tym. – Halverd uśmiechnął się, zażenowany. – Ech.. Ale co opowiadać o tym, nie ma co. Dasz radę wstać?

– Spróbujmy wspólnymi siłami, chyba przemieściła mi się kość w lewej nodze.

– No, wygląda nieciekawie. – ocenił Halverd. – Jeno ja rzucę lepiej okiem.

Pozwoliła by Halverd nachylił się nad obolałą nogą. Ten bezprecedensowo chwycił ją w dwóch miejscach przemieszczenia i z wątpliwą subtelnością wstawił je na swoim miejscu. Iseren zakłęła po senvoldzku z bólu.

– Uznam to za podziękę. – skomentował dowcipnym tonem.

– Ta. Wdzięcznam. – wysapała. – Mogłeś mnie ostrzec.

– Doktor działa, nie ostrzega. – pouczył ją Halverd. – Ale wracajmy prędzej, bo nas Svjetane oskóruje.

– To chodźmy.

We dwójkę dźwignęli się na nogi, z trudem i wszelkimi możliwymi wyrazami obolenia, wciągnęli się na szczyt wzgórza, gdzie zdołali się zawlec do obozu. Dwójka padła przy ognisku, starając się za głośno nie narzekać na liczne stłuczenia.

– Po waszych minach sędzę, że żaden nie wygrał. – Svjetane rzuciła złośliwe spojrzenie znad ognia. – Nic wam nie jest?

– Wszystko się rozejdzie. – zbył ręką Halverd.

– Mimo wszystko obłożę wam te sińce pelandrą. Akurat gotowałam okłady, wiem doskonale jak twój „przyjacielski pojedynek” się zwykle kończy.

– Iseren, idźże pierwsza. Ja sobie poradzę, już gorsze rzeczy przeżyłem.

– Mhm, dla ciebie sińce pod okiem to jak łaskotki. – prychnęła Svjetane znad ognia.

Iseren pozwoliła się owinąć ciepłymi okładami z pelandry, zgodnie z zaleceniem Svjetane położyła się bez ruchu na plecach.

– Do jutra ci większość zejdzie. – zapewniła ją Svjetane. – A teraz kolej na ciebie Halverd, bez obaw, twoje pamiątki po gryzieniu się z wilkami nie zejdą.

– Jakież znowu wilki! – obruszył się Halverd. – Masz mnie za jakiegoś nieuchowanego dzikusa?

Svjetane się tylko uśmiechnęła. Halverd sapnął, zamknął usta i wlepił w Svjetane obrażony wzrok. Pod rozbawionym spojrzeniem kobiety zaraził się w końcu uśmiechem i pozwolił jej przemyć stłuczenia i obłożyć je pelandrą.

Svjetane przykryła dwójkę kawałkiem wygarbowanego futra.

– Nocy dobrej wam życzę, dzielne woje. – kobieta zgasiła ogień pozostałą w garnku wodą.

– Dobrej nocy również. – odszepnęła sennym głosem dziewczyna.

Była zbyt zmęczona by głośno protestować przeciw głaskającej ją na dobranoc Svjetane, lecz ta słysząc półprzytomne utyskiwania Iseren, zabrała rękę z włosów dziewczyny. Przy panującym wówczas cieple i spokoju, dziewczyna mogła w spokoju zasnąć.

\*\*\*

Następnego dnia, zgodnie z tym jak ocenili, widok Maiorone ujrzeli już za zenitu. Prowadząca ku miastu ścieżka stanowiła ostatni bastion ciepłych i rzadko rosnących lasów, który za zbiegnięciem się gościńców ku bramom miasta, ustąpił nadmorskiej makii.

Po przekroczeniu bram do Maiorone, ich oczom ukazała misterna zabudowa miejscowości, pełna charakterystycznych dla Inkarnskiej architektury łuków, zdobienia w kamieniu, a także stromych dachów wyłożonych dachówką lub zaśnieżonym ze starości metalem.

Na ulicach Maiorone napotykali w głównej mierze Ziemców – wysokich, delikatnie opalonych, najczęściej o włosach w kolorze jasnego brązu. Zdecydowaną mniejszość miasta stanowiła rasa wyższa, sprawiając wręcz wrażenie zepchniętej na bok miejskiego życia.

Drużyna nie ostawiała w żadnym z zajazdów, Adaiel zaś, najwidoczniej dobrze orientując się w podobnym do Vasildel schemacie miasta, stosunkowo sprawnie przeprowadził drużynę do miejskiej uczelni. Najemnicy zatrzymali wierzchowce, oczekując poleceń od konsyliarza.

– Do gmachu uczelni obawiam się, iż udać się mogą jedynie samemu, jako że wykładowcom mogłaby się wasza prezencja nie spodobać. – rzekł Adaiel, zsiadłwszy z konia. – Kwestia praw panujących na tychże instytucjach.

– Nic przeciwko nie mamy. – zapewniła go Svjetane. – I tak musi ktoś zostać pilnując koni.

– Słusznie zauważone. – przyznał chłopak.

– A o jakich prawach mowa? – Iseren dołączyła do rozmowy.

– Na uczelni panują wiekowe zasady, gmach i podległe mu podzespoły bowiem zarezerwowane są jedynie dla osób piśmiennych i piszących. Wyedukowanych w skrócie.

– Ja się nie łąpię. – ścisnęła usta Svjetane. – A ty, Halverd? Dobrze ty czytasz?

– No wiesz, trochę dukam. – spłoszyły mu policzki. – Iseren może umie, ona wygląda na odcytaną. My pewno prostaczki w oczach erudy-tów i innych inteligentów z gmachu jesteśmy.

– Poradzicie sobie w dwójkę z końmi? – spytała.

– Poradzimy. – zapewniła ją Svjetane z sugestywnym uśmiechem.

– No, dobrze mówi Svjetane. – dodał Halverd. – I tak lepiej byśmy tam nie wparowali, jak takie dwa kmioty.

– Cóż za myśl zakwitła w twojej głowie, Iseren? – zaintrygował się Adaiel.

– Dość oczywista. – ucięła dziewczyna. – Pójdę z tobą, jeśli pozwolasz.

– Yhm.. – Adaiel przybrał minę, jakby czekał na rozwinięcie. – Ach, tak, tak pozwalam ci pójść. A waszą pozostałą dwójkę proszę, byście nie sprawili kłopotów. Wrócimy najszybciej jak się da.

– My i kłopoty to jak wrodzy jesteśmy. Rzadko się zdarzy nam widywać. – zapewnił go Halverd.

– Ja.. Potraktuję to jako obietnicę. – odparł chłopak na odchodne.

Adaiel w towarzystwie Iseren zbliżył się do straży przy wejściu do przybytku.

– W jakiej sprawie? – rzucił oficjalnym tonem wartownik.



– Państwowej, mości rycerzu. – Adaiel podał żołnierzowi do dłoni pergamin, dotychczas schowany pod fałdami szaty.

Żołnierz starał się zachować powagę słysząc jak go nazwał Adaiel. Szybko mu w tym pomogła treść czytanego zwoju.

– Członek Komicjum? To zmienia postać rzeczy. – Strażnik pochylił głowy, dzwoniąc kolczugą. – Tędy proszę, mości konsyliarzu.

W zgrabnym zwrocie wprowadzili dwójkę do środka, zamykając za nimi drzwi.

– Iseren? – zapytał Adaiel półgłosem, zmierzając pustym korytarzem.

– Tak?

– Dlaczego wybrałaś moją kompanię? I tu mam na myśli wstąpienie między ściany instytutu.

– Żebyś nie musiał się z tym zmagać w pojedynkę. – odparła.

– Och. – policzki chłopaka przybrały różową barwę. – Cóż za uprzejmy gest.

Zamilkli, gdy Adaiel dotarł do biblioteki gmachu. Chłopak zapukał do środka, drzwi po chwili otworzył im sędziwy Inkarn.

– Podróżni? – zapytał w progu.

– Skąd, to spostrzeżenie? – wyrwało się Iseren.

– Każdy z uczelni wie, że biblioteka nie jest moją pracownią, i nie należne jest do niej zapukać.

– Rozumiem. Wybacz mi ten czyn iście niestosowny, drogi kustosz, jeśli mogę o to prosić. – schylił głowy Adaiel.

– Och, nie wygłupiaj się, młodzianku. – pokręcił głową staruszek. – I nadal nie powiedzieliście mi co was tu niesie.

– J-już. – Adaiel wyjął tubę z pergaminem.

– Niech no spojrzę. – starzec wczytał się w treść, po chwili prychnął. – No zaledwie werset tekstu, a żeś mi to podał jakbym miał się w to wyczytać pół dnia.

Adaiel wbił wzrok w ziemię bez słowa.

– Ech, stawiać się nie chcę instancjom. – westchnął po chwili kustosz. – Ale co raz mniej wysłowni ci wasi posłańcy ze stolicy. Co wam zatem należne jest wręczyć do tego całego „badania”?

– Niezbędna nam jest wszelka zawartość archiwum, odnośnie czasów Imperium Khyire’de. – mruknął Adaiel, unikając z kustoszem kontaktu wzrokowego.

– I nawet jeśli je mam, to mam powierzyć dwóm pachołkom kilkusetletnie papieru o wartości większej niż wy dwaj miliony razem wzięci? – wybuchnął starzec. – Nie, to istne szaleństwo!

– Zatem mamy przekazać Komicjum, że gmach w Maiorone jest niekooperatywny przy wysokiego priorytetu badaniu, na rzecz samej jego cesarskiej mości? – Iseren wystąpiła krok przed kustosza.

– Ależ się bez takich gróźb obejdzcie! – stary Inkarn cofnął się wystraszony. – Dam wam te archiwa, na miłość Nyreliona! Ale niech tylko coś im się stanie po drodze, to ja się na was poskarżę!

– Proponuję już pójść po te dokumenty. – Iseren nie wyglądała na przejętą rzuconymi groźbami.

– Bezczelne babsko. – warknął starzec. – Zaraz przyniosę, ku waszej sprawy fortunie mieliśmy kategoryzację w starych dokumentach.

– Dobrze to słyszeć. – uprzejma odpowiedź Iseren zbiła kustosza z tropu.

Wydał z siebie pełną zmieszania mamrotaninę, po czym wrócił do wnętrza biblioteki.

Wrócił po chwili ze stosem zwojów o różnej wielkości i sposobie wykonania papieru, część z nich oprawiono w drewno by zapobiec rozpadowi ze starości.

– Czy macie jak zabrać w bezpieczny sposób te dokumenty? – kustosz zapytał kąśliwie.

– Bez obaw, będą z nami bezpieczne. – odparła uspokajająco Iseren. – Mamy szczelną szkatułę na podorędziu by móc zabezpieczyć te dokumenty.

– Ech, wybaczcie, żeście mnie tak rozeźlili. – poddał się kustosz przepaszającym tonem. – Mowa to o naprawdę cennych zbiorach, i to ja poniosę konsekwencje jeśli coś ulegną choć drobnym uszkodzeniom.

– Wybaczam, i sądzę, że konsyliarz obok również nie żywi do ciebie urazy.

– T-konsyliarz? – zbladł kustosz. – Tyś jest ten Adaiel, a nie jego posłaniec?

– Tak. – bąknął.

– Bardzo przepraszam! – padł w niezdarny ukłon. – Czemuś nic nie mówił, mości konsyliarzu? Dokumenty możecie przejrzeć w mej skromnej bibliotece, ba, macie dostęp do całego gmachu uczelni! Zapewnię waszej mości i twojej towarzysce należyte kwatery.

– Towarzyszom. – wtrąciła się Iseren. – Są na zewnątrz. Mają prawo wstępu jako prostego statusu Ziemcy?

– Mają, oczywiście! Jako, że autorytet Komicjum jest ponad nasze zasady. – przyznał staruszek pokornie.

– A nasze konie? – zapytał ostrożnie Adaiel.

– Trafia pod należytą opiekę naszego stajennego.

– Bardzo dziękuję. – skłonił głowy Adaiel, ku zdziwieniu kustosza.

– Poinformuję gmach o naszym gościu. – z ponownie niezdarnym ukłonem oznajmił starzec. – Jeśli można prosić, proszę by wasza mość na tą chwilę pozostała w bibliotece.

– Oczywiście. – kiwnął uprzejmie głową chłopak.

Kustosz wyleciał pospiesznie z pomieszczenia, zostawiając dwójkę samych. W milczeniu powiedli wzrokiem po bibliotece. Pomieszczenie w którym kazano było im zostać dawało wrażenia przedsieni, było doskonale doświetlone światłem słonecznym, za sprawą okrągłego kształtu wnętrza, a także obszernych okien. Główną część biblioteki, skrywała się za korytarzami biblioteczek, niby labiryntu z książek. Przy widocznych półkach, zdołało się wypatrzyć pracujący personel o skromnym odzieniu, być może nieświadomy gości. Iseren, znudzony obserwacją pracowników, wróciła wzrokiem na Adaiela.

– Komicjum musi być bardzo wpływowe skoro oferują nam taką pomoc. – przerwała ciszę po pewnym czasie.

– Tak, ma iście wysokie znaczenie. – Adaiel przybrał minę, jakby się wstydził swojego statusu. – Członek Komicjum mógłby ze swojego kaprysu zdjąć każdego niżej w gmachu z jego stanowiska, stąd ta uprzejmość.

– Mimo wszystko postaram się więcej nie wtrącać.

– Właściwie, winien ci wdzięczność za okazane wsparcie w sprawie. – wzrok Adaiela uciekł od dziewczyny.

– Niech będzie. – odparła. – To zatem nie tylko mieczem dane mi cię wspierać.

– To nie jest twój obowiązek, wybaczone jeśli to tak zabrzmiało. – zmieszał się Adaiel.

– Zatem nie jest.

Do biblioteki wrócił staruszek, w towarzystwie Inkarna o wyjątkowo szlachetnych rysach twarzy. Po wejściu do pomieszczenia powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, a następnie jego czujne, koloru rdzy oczy zwróciły się na Adaiela i Iseren.

– Więc to są nasi nowo przybyli. – głos nieznanego był pełen dumy i spokoju. – Jestem Iheode, prefekt uczelni. Zaszczycił mnie gościć samego członka visildejskiego Komicjum.

– Adaiel, dziękuję za waszą gościnę. – chłopak skłonił swoją głowę.

– Hm, już mnie kustosz Zaehil ostrzegł o twoim nieprzywiązaniu do statusu – prefekt skomentował z pełnym wyższości uśmieszkiem. – Unieś głowę, mości konsyliarzu. Stoicie wyżej ode mnie.

Adaiel postąpił zgodnie z jego słowami.

– A zatem Komicjum stara się zdobyć względy samej jego wysokość w sprawie wysokiej wagi. – ponowił Iheode. – Potrzebne będą konsyliarza ponadto środki do wypełnienia zadania? Dysponujemy zastępem wykładowców, wśród nich są eksperci historii, kulturoznawstwa i strategii, na twoje życzenie rozkażę służbie by wyznaczyli najznamienitszych z naszej kadry.

– Dziękuję za propozycję, winien sobie poradzić.

– Niech tak będzie. – odparł wyniośle Iheode. – Wiecie gdzie mnie znaleźć, mości radco.

Iheode opuścił z gracją bibliotekę, łopocząc za sobą barwną szatę.

– Wasza wielmożność pozwoli, że wrócę do swoich obowiązków. – skłonił się przed chłopakiem Zaehil. – Jeśli waszmość potrzebuje instrukcji co do rozkładu archiwa, czy samej uczelni, jestem ja i pracujący w głębi na wasz rozkaz.

– Dziękuję. Proszę wybaczyć, ale muszę zająć się analizą rękopisów.

– Ależ oczywiście. – pokornie odpowiedział kustosz. – Pragniecie zostać w bibliotece, czy wskazać waszej mości kwaterę?

– Nie chciałbym wam dłużej przeszkadzać w pracy. Gdzie znajduje się owa pracownia?

– Och, nie nie. Ja pańską mość zaprowadzę. – uśmiechnął się przymilnie Zaehil. – Proszę za mną, jeśli łaska.

– Wezmę zwoje. – zaproponowała Iseren.

– Wasza wola, droga pani. – zgodził się staruszek w pokłonie. – Ale zachowajcie nader ostrożność, jeśli dane mi jest prosić.

– Bez obaw.

Zaehil ściągnął usta do służalczej miny, wręczając jej dokumenty. Przy wyjściu z biblioteki zaprosił gestem dwójkę, by poszła za nim.

Prowadzeni przez kustosza wkroczyli do przestronnego gabinetu, która podobnie jak biblioteka, była oświetlana przez światło słoneczne wpuszczane przez okazałe okna. Na lewo od drzwi wejściowych, pra-

cownia przekształcała się do części mieszkalnej, który wydzielony od pracowni został portalem. Iseren wodząc wzrokiem po kwaterze, nie mogła wyzbyć się wrażenia, iż miejsce zdawało się jej skądś znajome.

„*Pewnie widziałam taki schemat we śnie.*” – zbyła swoje myśli.

–..I moi konsyliarzu bez obaw. Służba została poinformowana, by dla moi konsyliarza i jego protekcji serwować posiłki. – ciągnął nader uprzejmym tonem Zaehil. – Czy miałby moi konsyliarz życzenia odnośnie kuchni, którą służba ma uwzględniać z myślą o waszej mości?

– To naprawdę nie będzie konieczne. – chłopakowi zaczęły już drżeć ręce.

– Jak sobie moi konsyliarz życzy. – kustosz skłonił się przed Adaiem. – A co do kwatery, może jednak wasza mość życzy odosobnienia od waszej kompanii?

– N-nie, proszę pozostawić wszelką kwestię w postaci obecnej.

– Ależ oczywiście! – Zaehil wpadł w sztuczny entuzjazm, jakby Adaiel wysnuł genialną teorię. – Pozwolę sobie wrócić na miejsce mych prac. Czy wasza wielmożność ma pewne przeciwwskazania ku temu?

Kustosz zaczął wpatrywać się w chłopaka wyczekująco. Adaiel po dłuższej się chwili, wyraźnie już przerażony, pokręcił energicznie głową, co starzec skwitował uprzejmym kiwnięciem głowy.

Po zatrzaśnięciu drzwi, Adaiel padł na siedzisko przy biurku, kładąc głowę o założoną na blat rękę. Stołek, mimo drobnej postury jego użytkownika, zatrzeszczał w sposób mało przekonujący o jego pozostaniu bez szwanku.

– Źle się czujesz? – spytała Iseren.

– To po prostu trud podróży wziął górę na ten moment. – odezwał chłopak się po chwili, nadal nie podnosząc wzroku. – Jeśli możesz, powiedz Svjetane i Halverdowi, iż na okres pobytu w Maiorone wasza protekcyjna gestia zostaje tymczasowo zniesiona.

– Przekażę. Odpoczywaj.

Wychodząc, rzuciła jeszcze okiem na Adaiela, który wciąż pozostał bez ruchu przy biurku. Postanowiła go zostawić już samemu sobie.

\*\*\*

Dwójka najemników odwróciła się za swych ramion, gdy usłyszała zdradzający Iseren dobór kroków – ciężki, ale zarazem niesiony z pewną formą gracji.

– O, jesteś Iseren. – rzucił Halverd, wstając ze schodów. – Kobyłki nam zabrali, coś niepomyślnie zaszło?

Iseren poczęła streszczać przebieg rozmowy z przedstawicielem uniwersytetu.

– No, żeby nam, zwykłemu ludu, wstęp zapewnić. – skwitował ze zdumieniem. – Ugadaliście nieźle tych uczonych, skoro nam jeszcze taką gościnę sprawili.

– A Adaiel? Został? – zapytała Svjetane.

– Chyba chciał, byśmy go na razie zostawili samemu sobie. A i pragnął wam przekazać, że mamy wolne na parę dni.

– O! To trza uczcić! – ucieszył się Halverd. – Któraś z was chętna na kolejkę czegoś lokalnego?

– Odwiedzić takowe miejsce można, niekonieczne by się napić. – poparła go Iseren. – Co sądzisz, Svjetane?

– We dwójkę może upilnujemy tego grasanta. – przytknęła Halverda w nos. – Chodźmy zatem.

W trójkę ruszyli kamienistą drogą, zaglądając po ulicach Maiorone za obiecująco wyglądającym zajazdem. Wreszcie, w najbardziej zaludnionej części miasta, trafili na huczny zajazd. Wśród niektórych z jego bywalców wypatrzyli parę obiecujących person, z być może interesującymi opowieściami. Bez żadnego między sobą, najemnicy postanowili, że do owego lokalu wstąpią.

– A ty Iseren, pamiętaj, że nadal wisisz mi jedną grę wokalną. – wtrącił Halverd przed wejściem. – Myślisz, że karczmarz da nam darmowego grzańca za naszą grę?

– Chyba kopa na bruk. – prychnęła Svjetane. – Ale chodźcie, chcę zobaczyć jak do tego dojdzie.

– Trzeba tutaj niedowiarkowi przetrzeć oczy, nie? – z dumą wyprężył się Halverd. – Zaśpiewamy *Itsetnōga*, jest po senvoldzku to trzewiki im zlecą z wrażenia.

– Nie marnujemy zatem więcej czasu. – Iseren pchnęła drzwi do środka, wkraczając do środka karczmy.

## VIII.

Do gmachu wrócili już późnym wieczorem. Gdy weszli do pracowni Adaiela, zastali przygotowany dla nich posiłek, czekający na nich w części jadalnej kwater.

Kolacja składała się z pieczonej ryby, cytrusów i chrupkiego chleba. Do popicia mieli delikatny w smaku sok o bursztynowej barwie. Z racji, że nie jedli od południa z chęcią zasiedli do zastawionego stołu.

– Ha! Takiego występu co dzisiaj zrobiliśmy to Maiorone prędko nie zobaczy! – zakrzyknął Halverd zając się rybą. – Iseren, często śpiewałaś?

– Tak naprawdę to mój pierwszy raz w życiu.

– Bogi! Dobrze bogi! – Halverdowi wypadł kawałek jedzenia z ust z wrażenia. – Pierwszy raz, a tyś się doskonale wpasowała w tonację! A głos masz jak bogini! Nie dziw że szynkarz dał nam popić za darmo.

– Muszę przyznać, że ładny daliście występ. – przyznała Svjetane.

– Ale gdybyśmy nie śpiewali w duecie, nic z tego by nie wyszło. – odparła skromnie Iseren. – Nie znałam w żadnym stopniu śpiewanego tekstu.

– Toś refleks masz ponadzwyczajowy. Mało kto zdolnym jest zaśpiewać tak zdolnie za pierwszą stycznością z tekstem.

– Hm, nie znam szczerze granic swej zdolności reakcji.

– A tak to, co było jak dotąd twoim największym wyzwaniem?

– Mierzyłam się z takim fehmistrzem, zwał się Białlic. Walczył szablą, poza techniką sprawił mi wyzwanie fortelem. Dosyć sprytnie dokonał wielu płytkich cięć, by trucizna, którą nakropił klingę zdołała rozejść się stosunkowo szybko po moim ciele.

– Brzmi jak wyrok śmierci. To jak temu podołałaś?

– Mam inny od Ziemców metabolizm. Gdyby nie on, byłabym albo zabawką klanu bandytów, albo nawozem dla okolicznego lasu.

– Wiesz, w moim przypadku była to próba siły, z królem północnych borów.

– Słyszałam o twoim wyczynie, Svjetane mi o nim powiedziała. – przerwała mu Iseren. – Przyznam że był to doprawdy pokaz tężyzny i odwagi.

– Chyba głupoty. – prychnęła Svjetane.

– A według mnie próba przeznaczenia. – oznajmił Halverd. – Ale co prawda, granica między głupotą a odwagą jest bardzo cienka. Lecz przypłacając ranami powiązałem się z tą tutaj cudowną pannicą.

Halverd uwieńczył swe słowa wskazując dłonią na Svjetane. Ta udawała, że ich nie słucha, czemu nie sprzyjały jej różowiejące policzki.

– Bogi zwykli darzyć sympatią tych co stawiali wszystko na jednej szali. – kontynuował Halverd. – Mówi się, że albo to wpisane jest w ich duszę, albo, że właśnie czyn sprawi twoją duszę bardziej wartościową.

Iseren poczuła nagły chłód, jakby przyłapano ją na poważnej zbrodni.

„*Więc dobrze wysnułam, niektórych dusza jest po prostu ważniejsza.*”

– A coś ty Iseren tak nagle zbladła? – zauważyła Svjetane.

– Pewnie od tego wina się pochorowała. – Halverd odpowiedział za dziewczynę. – Masz coś na żołądek dla niej?

– Nic mi nie jest. – Iseren przerwała.

– I tak późno już jest to może się lepiej położyć. – zaproponowała jej Svjetane. – My lada chwila też pójdziemy.

– Nie muszę.

– Ech, no dobrze. Jak na pewno zdrowaś to może Adaielowi przypomnij, że też spać musi?

– Zobaczę co da się zrobić.

– Dobrze, dziękuję. – szepnęła Svjetane z uśmiechem.

Iseren zaszła do pracowni, napotykać Adaiela ślęczącego nad zwojami przy świecy.

– Adaiel? – zapytała, odrywając go od lektury.

– Och, Iseren. – sapnął, próbując ukryć, że się jej wystraszył. – Coś zaszło co wzbudziło twój niepokój?

– Nie, zachodzę bowiem późno jest, zapewne ci trudno czytać przy świetle z świeczek. Ja sama ledwo stąd widzę, że czytasz o dobrach importowanych z Ghaiedôre.

– Znasz mowę starokyrridejską? Doprawdy imponująca umiejętność.. – szepnął z przejęciem.

– Częściowo. Sama znałam kapłana, który posługiwał się na codzień paroma zwrotami z języka. – myśl o Dankardzie wzbudziła w niej nieprzyjemne uczucie. – Mniejsza, czytać będzie łatwiej i rozsądniej za dnia.



– Faktycznie, może i jak rzekłaś, taki postępek za bardziej roztropny będzie uchodzić. – chłopak wykrzywił delikatnie usta w namyśle. – Pozostaje mi zatem zabezpieczyć rękopis wszelki i udać między pierza.

– Dobrze. Do jutra, Adaielu.

Inkarn posłał jej przyjazne spojrzenie w odpowiedzi.

Dziewczyna zaszła do sypialni gości, podobnie umeblowanej co reszta kwatery. Ktoś na ich potrzebę powciągał dodatkowe łóżka do pokoju dla gości, o czym świadczyło nieco chaotyczne rozmieszczenie mebli. Jako, że dziewczynie daleko było do dekoratorki wnętrz, nieład jej nie sprawiał żadnego problemu. Z resztą, była zbyt zmęczona by się nad tym dłużej zastanawiać.

\*\*\*

Następujące dni ciągnęły się leniwie; w czasie wolnym trójka dużo czasu spędzała razem, wędrując po mieście, czy wypoczywając na nieopodal wybrzeżu.

I tak też było tego wieczoru, po spędzeniu popołudnia na zwiedzaniu okolicy, wybrali się na ich ulubioną skarpe nad plażą.

– I co – podniósł głos Halverd, by był słyszalny przez uderzające w brzeg fale morskie – myślicie, że nasz Inkarn coś już ze swoimi badaniami wskórał?

– Mógłby się podzielić postępem z Iseren. – kobieta zwróciła się ku dziewczynie: – Nie byłby to dla ciebie problem?

– Skądże.

– To dobrze. – odparła kobieta z uśmiechem.

– No, to jak wrócimy to zajrzysz do chłopaczka. – Halverd wyciągnął kościany flet. – Ja proponuję coś pograć. Co powiecie na *Falblondäns*? Na visildejskie, Taniec Opadłego Kwiecia.

– Brzmi interesująco. – przyznała Iseren. – Wymaga wokalu?

– E, no i nawet gdyby wymagał, to kto zaśpiewa? Ty nie znasz tekstu, a ja czarów by grać na flecie i śpiewać tożem nie znam.

– Racja. Grajże zatem.

Halverd pokręcił fletem między palcami nim rozpoczął grę. Dmiąc w ustnik fletu uwolnił z niego czyste brzmienie, przechodzące do czarująco brzmiącej melodii.

Pierwszym skojarzeniem Iseren z utworem były w istocie płatki opadające z kwiatów, przymknęła w oczy wsłuchując się w dalszą część gry.

Otworzyła je dopiero gdy, dźwięk fletu przestał rozbmierzewać po wybrzeżu.

– No no, nie wiedziałem, że twoje piosenki potrafią opiewać inny temat niż rozbój, pijaństwo czy kombinacja obu. – podsumowała Svjetane.

– *Iteliäde* opowiada o bogini wiecznie zmarzniętego jeziora, wielu naszych uważa miejsce za nawet święte. – wyjaśniał Halverd, ignorując złośliwą odzywkę kobiety.

– Bogini jeziora? A myślałam że bóstwa są wyłącznie elementarne. – zauważyła Iseren.

– Racja, mogłaś nie słyszeć o naszych bogach mieszkając w Svjarsteinie. To ci którzy władają, a nie są pustą energią. A oczywiście bordowym się to nie podoba, że w te ich siły nie wierzymy, to i ślą swoich kapłanów by nas skłonili na wierzenie w martwy żywioł.

– Rozumiem, że w Visildei doszło do formy oświecenia w kwestiach wiary? – wysnuła Iseren.

– Phi, oświecenie. – skrzywił się Halverd.

– Trochę ta oświeceniowa religia kosztuje, patrząc jak do niej podchodzi wolna od Visildei Północ, a zwłaszcza, że jest porównywalnie silna co Visildeia. – stwierdziła Svjetane. – Ale nie mam ochoty na takie rozmowy. Grajku ty mój, uwolniłbyś nas od zapadłego tematu rozmowy?

– No, dobra. – Halverd wypiął zza pleców wysłużoną lirę. – Zwykle gra się tą melodię na lutnii, ale wam to raczej nie będzie przeszkadzać. Tym razem coś kreoviańskiego, taki muzyk uliczny w Lvycca mnie nauczył piosenki. Nosiła nazwę *Ed'uthi Gvabe*, jeśli dobrze wymówię.

– Chętnie posłuchamy. – zapewniła go Iseren.

– Może chcesz do duetu? – zaproponował.

– Czemu nie, choć z nieznanym mi językiem to mój śpiew może nie wyjść tak płynnie.

– E tam, żaden problem. – machnął ręką Halverd. – Tylko jeszcze nastrój struny, bogowie wiedzą co się z nimi wyprawia jak na chwilę spuszczam lirę z oka.

Po chwili kręcenia i brzdąkania strunami Halverd dał znać, że jest gotowy. Iseren kiwnęła mu głową w odpowiedzi, również będąc.

Rozbrzmiała smutna melodia na lirze, do której poczęli śpiewać w niskiej tonacji:

*D'gvabe, d'gvabe,  
 Utha da prasuge de, utha da sadri mnabe.  
 D'endra dvo de nadvrlece,  
 Lrji vosna da dene nevmce  
 Druze ze dvoba nec sadre,  
 Verm nec snive da injgha, vpechtni z'move iebenasni udre  
 D'gvabe, d'gvabe,  
 Zemne tmarni d'vite ó prnavi hrene?  
 Mlijc ine dye zede csersnite crva, vne manspre zede azdra gresne dene.  
 Druze ze dvoba nec zdraci hvle za,  
 Druze ze dvoba nec dothi zemna za,  
 Amnugri zemna za, ze ztani gvabe,  
 Vechsni Domnze prda ze gvabe int pvre z'nevma zrabe,  
 Vosna da, de tnute vne raspe,  
 Dene prde vne tzene rude,  
 D'dnaita dothe n'vrek, vita da brsudi!  
 Vointa da zdrace de nicn pnriva da zede vnale,  
 Vointa da zdrace de ien zrice dvoba, vointa da frapa vode o'pratd tzene  
 gatl!  
 Dnaita da zrice, crdini nec da zdrace,  
 Pvre vne frapa da rude tzene dvi pnuge snrabe  
 Dothi nec, uthi vita da, rusni gvabe!  
 Inblica da vreke, preti vestni craze kvese!*

Gdy skończyli pieśń, w kącikach oczu Svjetane pojawiły się łzy.

– Ja.. Jestem pod wrażeniem. – wyszeptała po chwili. – Przypomniała mi o moim dobrym przyjacielu z kompanii.

– O Besvirze? – spróbował dociec Halverd. – Mym poprzedniku w pieśni i łożu?

– T-tak. – zaśmiała się przez łzy. – Widocznie mam słabość do tych co gadają więcej niż robią.

Kobieta zrobiła przerwę, zamrugła parę razy oczami.

– On to lubił śpiewać tą piosnkę, zawsze nam nią przypominał by w najmie mieć też na uwadze więcej niż płacę. Cóż, szkoda, że on sam o tym zapomniął za pewnym razem.

Svjetane zamilkła ocierając sobie oczy.

– Co właściwie znaczą słowa tej piosenki? – zapytała Iseren, gdy kobieta się już uspokoiła.

– Niech no w głowie poukładam.. Na visildejskie to będzie to będzie mniej więcej tak – Halverd począł recytować dramatycznym głosem:

*O, wojaku, wojaku!  
Tyś zapomniał o swoim progu, o ciepłe ukochanej swojej.  
Wróćże do swej osadki,  
Rzuć łzawym wzrokiem na wyrosłe dziatki.  
Ścieżka ci miłości nie da,  
Nie pozwól by serce ci zamarzło jak iebenajska woda.  
O, wojaku, wojaku!  
Jak dawno swych przyjaciół nie ujrzałeś?  
Jak dawno ty o suchym chlebie?  
Smagany za nocy wiatrem, duszony za dnia słońca żarem.  
Ścieżka ci braterstwa prawdziwego nie da,  
Ścieżka ci niczego co chwałę nie da.  
Ale już za późno, o wojaku twardogłowy,  
Stare Gniewy chwyciły wojaka nim świt nastał nowy.  
Spójrz na siebie, na blizny na twym licu!  
Na twe ręce, zbrukane krwią innych!  
Tyś klnął sam siebie, tyś sam sobie winny!  
Niech twa dusza nie zagości u Niebian,  
Zaś jedynie strach niesie, co wyrывa głos z ziemskich gardeł!  
Przelewaj strach, duszo pazerna,  
Ja za żywota, krew lałeś za sakwę srebra.  
Odejdź, przepadnij, nędzny wojaku!  
Przyjmij śmierć godną tkniętego zepsuciem kłosa!*

– To doprawdy piękna, ale przy tym pełna bólu piosenka. – Iseren spojrzała w zadumie na zachodzące słońce nad linią morza. – Bez urazy Halverdzie, ale na razie starczy mi śpiewów.

– Nie mam ci nic za złe, żem w zbyt smutne tony poszedł. – odparł mężczyzna, zwieszając głowę. – I tak zaraz zmierzcha.. No, to co, wracamy do gmachu?

– Dobry pomysł. Dowiemy się jak idzie badanie Adaielowi. – poparła go Svjetane.

- Mogę wam umilić drogę moim poematem? – zapytał Halverd.
- Czemu nie, jak dotąd nie słyszałam twoich dzieł. – zgodziła się Iseren.
- A zatem.. – chrząknął Halverd z poważniejszą miną. – O w złocistym tiulu skąpane, opoko niegdyś dziecięć gwiazd..

\*\*\*

Tego samego dnia, późnym wieczorem; nie chcąc przeszkadzać Adaielowi w pracy, najemnicy rozsiedli się w części mieszkalnej kwatery. Iseren i Halverd rozgrywali partię gry planszowej, Svjetane zaś przygotowała zebrane w okolicy reagenty do czekającej ich drogi.

– Świeca zaraz nam się skończy. – zauważyła kobieta, przerywając tarcie skórki cytrusa. – Mam nadzieję, że o swoje dusze nie gracie, bo będziemy musieli pójść spać niedługo.

– To nie kości, gramy dla samej zabawy. – Halverd nie podniósł wzroku znad planszy. – A się składa, że zostało nam najwyżej z tura, no może dwie.

W tym samym momencie Iseren uniosła swojego pionka i przeskoczyła nim figurę Halverda, strącając go palcem z pola.

– No, teraz to nic nie wskóram, oddaję grę. – Halverd podał jej dłoń, inicjując zakończenie gry. – Ale dziw mnie bierze, że ktoś taką zabawkę z Hakh’Illim tu sprowadził.

– Przyznam, że ciekawa gra. – Iseren pomogła mu schować figury do wnętrza planszy.

– Się trudno nie zgodzić. Podobno na wschodzie grają w nią, przyszli stratedzy chociażby aby w swoim fachu się podszkolić. Ale jak Svjetane mówi, pora faktycznie się położyć.

Halverd dźwignął się ze stołu, i w towarzystwie Iseren podeszli do skupionej na pracy Svjetane. Cmoknęła poirytowana gdy dwójka zasłoniła jej świeczkę.

– Och, już gotowi? – nie kryła zdumienia. – A ja się spodziewałam, że będziecie ciągnąć tą grę do co najmniej północy. No dobra, to możemy się już zabierać. A, Iseren?

– Tak, wiem. Pójdę do Adaiela, dowiem się co też w kwestii badania.

– Widzę, że zaczynamy się rozumieć bez słów. A jest jeszcze jedno. – zniżyła głosu z głupawym uśmieszkiem: – Nie spiesz się, mamy zamiar wykorzystać waszą nieobecność.

Iseren rzuciła okiem na Halverda, który nagle zainteresował się ścianą w głębi pomieszczenia.

– Nie ma problemu. Postaram się wrócić najpóźniej jak się da. A jeśli nie, to postaramy się być bardzo głośni przy powrocie.

– Dzięki Iseren. – odparła ze śmiechem Svjetane. – Bywajcie, to do jutra.

Dziewczyna po pożegnaniu się z dwójką zaszła do gabinetu. Siedzący nad rękopisem Adaiel wyglądał na bardzo skupionego, jego wzrok umiejscowiony był wyłącznie w czytany tekst, bezwiednie bawił się dolną wargą. Iseren nie starała się cicho stąpać, by oderwać go od lektury.

– Tak, Iseren? – zapytał, odwróciwszy się do niej.

– Zastanawialiśmy się, jak idą badania. – Iseren podeszła do biurka. – Czy idzie ci wykazać jakiś postęp, albo chociaż wyznaczyć dalsze poszlaki?

– Dwoma mógłbym was uraczyć, jakby na sprawę spojrzeć. Choć wkrada się pewna niefortunność, albowiem część dokumentów została wykupiona do prywatnej kolekcji, jak mi sam kustosz wyjawiał po wypatrzeniu luki. Pamięć jego zdolna była jedynie wyjawić, iż kontrakt dotyczył jegomościa z Wistuji, wysoko postawionego urzędnika.

– Prysimił.

– Co?

– Majordom dworu Jamrynów, księstwa na Kreovii. To jedyna osoba, która przychodzi mi do głowy. Był pasjonatem prawdziwego dzieja, zwłaszcza w temacie rozwoju Visildei.

– Wyjaśniłoby, dlaczego z archiwum wykupiono jedynie raporty z wojny, zanim, cóż, przełamano obronę w Maiorone.

– Ziemcy przełamali?

– Nie wiem, tak szczerze. – przyznał się konsyliarz. – Wiele przekazów oralnych wspomina o powstaniu Visildei za sprawą ziemskiej inkursji, lecz brak o materiał potwierdzający. Rewolucją okazać się może zapis z Maiorone. Może wspomniany majordom już się poznał.

– Hm.. I nikt wcześniej nie zwróciłby na te dokumenty uwagi?

– Cóż.. – Adaiel poczerwieniał. – Racja, raczej nie zignorowanego by tak istotnego faktu. Ubogo przemyślana była ma teoria, wybaczyć.

– Ja powinnam, zesłałam z tematu. A zatem, naszym kierunkiem jest teraz Księstwo Jamrynów?

– Jeśli tam rezyduje owy majordom, tak będzie. Jutro postaramy się wyjechać najwcześniej jak damy radę.

– Przekażę pozostałych. – Iseren uniosła wzrok, spoglądając przez przestronne okno pracowni na nocne niebo. – A teraz przydałoby nam się odpocząć.

– Rozsądnie prawisz, Iseren. Wypoczęcie wręcz nam wskazane. – Adaiel zawahał się przy wejściu do części mieszkalnej pracowni. – Zabrzmi to niezwykle płytko, wręcz farsowo, ale.. Zbyt podekscytowany jestem bym mógł zasnąć.

– Ekscytacja nie jest niczym farsowym. Trzeba ci po prostu dystrakcji. – Iseren skierowała się do wyjścia z kwatery. – Może gwieździste niebo ci w tym pomoże?

– O takiej porze nie jest za niebezpiecznie by opuszczać uniwersytet?

– Nie musisz się o to obawiać. – dziewczyna stuknęła palcami po mieczu.

– Postaram się więc nie martwić.

Adaiel nie odzywał się resztę drogi, próbując nadażyć spieszego kroku Iseren.

W sprawnym tempie przemierzali opustoszałe korytarze uczelni, nie minęło dużo czasu, gdy dwójka opuściła mury Maiorone, kierując się traktem. Szli tak dłuższą chwilę aż Iseren zatrzymała się przed wzniesieniem, kawałek od gościńca.

– U stóp tego pagórka będzie dobrze widać firmament. – zasugerowała.

Iseren położyła się w trawie, przekładając ręce za głowę, w jej ślady poszedł z niepewnością Adaiel.

– Nie potrzebujemy instrumentu optycznego by poddać sfery na niebie obserwacji? – zapytał po chwili. – Za przykład biorąc chociażby teleskop?

– Do oglądania całokształtu nie. Zaufaj swoim oczom.

– Hm, no dobrze.. – w oczach Adaiela odbijał się blask rzucany przez gwiazdy. – Od tych oględzin zapragnąłem coś przytoczyć..

– Opowiadaj zatem.

– Z pozoru wydaje się to trudne do wiary, ale.. Nie oglądałem nigdy tak bez żadnej intencji nocnego nieba. Czasem miewałem lekcje astronomii, ale zbyt skupiałem się na łączeniu sfer w konstelację, niż na po prostu podziwianiu ich.

– Doprawdy? Nie interesowały cię?

– Nie miałem na to czasu.

– Rozumiem.

Zapadła między nimi cisza, przez ten czas oglądali konstelacje na nieboskłonie.

– Wiesz, podobno moi.. krewni zamieszkują gwiazdy. Ile w tym prawdy? – Iseren ponowiła po dłuższej chwili rozmowę.

– Pozwolę sobie wspomnieć, iż to i też moi krewni. Zatem mowa o naszej rodzinie.

– Mój błąd, lata mnie już przyzwyczaiły do bycia jedynym rasy niebiańskiej. – przeprosiła go. – A wracając do mojego pytania, jakie są szanse na taki stan rzeczy?

– Niewielkie, znikome wręcz. Prosto ujmując, to nie byłoby możliwe. – chłopak nie odrywał wzroku od nieba. – Gwiazdy, czy właściwie to sfery świetliste są ubogie o inną materię niż światło.

– A księżyc?

– Zmierzchające sfery też nie szczycą się bogactwem materialnym. Ale już sfera wygasła, jak ta, na której chociażby żyjemy, potrafią przyjąć czy emitować energię elementarną, tą pierwowotworu jak i wielotworu.

– Interesujące. Czyli wyszłoby na to, że Niebianie nie mogliby zamieszkiwać innych sfer, niż tych podobnych do naszej rodzimej?

– Naukowo spoglądając, wydaje się by była to jedyna słuszna racja.

– Dobrze jest ciebie posłuchać. – przyznała Iseren. – Wiesz, że masz zadatki na wykładowcę?

– Och, jakże miło mi to słyszeć. – starał się nie wyglądać na zawstydzonego. – Jak się sprawie przypatrzyć, to gdyby nie ojcowska scheda jako konsyliarz, może bym faktycznie się dzielił swoją wiedzą uczniom.

– Jedno nie wyklucza drugiego. W końcu, dajesz mi już lekcje, miast wynagrodzenia, czyż nie?

– Naprawdę uznałaś moje wywody za uczące? – widok kiwającej głową Iseren ściągnął mu usta w nieśmiały uśmiech. – Jak zakończę formować raport dla starszych Komicjum zapewne ci specjalistę, w tak obcesowy sposób nie mogę wywiązać się z ustanowionej umowy.

– Nie chcę nauk specjalisty. Lecz pasjonata, z talentem do rozwikływania sekretów. Twoich, ujmując.

Adaiel otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał złożyć żadnego słowa.

– Postaram się więc spełnić twoją wolę. – wykrztusił w końcu.



– I myślę, że winnam ci wyjaśnić skąd ta moja potrzeba w poznaniu rasy wyższej.

– Pewna jesteś, że pragniesz to mi wyjawiać?

– Tak, pewnam. Bo widzisz, nie jestem Inkarnem. A.. Hybrydem, córką dwóch Niebian o przeciwnym sobie Elemencie. – odsłoniła swoje znamię na szyi. – Zobacz zresztą.

Adaiel wyciągnął rękę zafascynowany, po chwili zwieszając ją w miejscu.

– Możesz dotknąć. – zapewniła go.

Ledwie wyczuwalnie przesunął palcem po znakach na skórze Iseren.

– A więc to prawda. – powiedział ledwie słyszalnie, zabrawszy rękę do siebie. – Hybrydowie są w istocie znaczeni dla rasy ziemskiej, choć nie znamy jakie stoją za tym intencje.

– Byłam ciekawostką dla starszego wioski. Sam też nie wiedział, albo nie podzielił się jaka jest tego przyczyna.

– Wątpie by wiedział, z całym szacunkiem do niego. Jedynie owiany już legendą Eukrat z Mondry wysnuć przekunującą teorię. Według niej, hybrydowie figurują jako Niebianie, choć za sprawą dwóch konflikto-  
wym elementów utracili swą niebiańską formę bytu, stając na równi z Ziemcem, a także Inkarnem.

– Dlatego mieszkam wśród was, na ziemi. Jako że słabsza od Niebian jestem.

– Miałoby to sens. – przyznał Adaiel. – Ale to tylko wysnucia, nie mamy pewności co tak naprawdę stoi za takim stanem rzeczy.

– Może uda mi się poznać na to odpowiedź..

– Nam, bowiem ja ci w tym pomogę, zgodnie z umową. Jedno dla mnie nie jest jasne.

– Co takiego?

– Dlaczego mi o tym powiedziałaś? Nie musiałem wiedzieć.

– Nie wiem. Da ci się zaufać. Tak po prostu czuję.

– Och.. Miło doprawdy coś takiego usłyszeć, aż trudno coś rzec odno-  
śnie.

– Nic nie musisz rzec, cisza też mi odpowiada. – zapewniła go. – Po-  
oglądajmy gwiazdy, jak mieliśmy zamiar. Co ty na to?

– Zatem i oglądamy gwiazdy. Pozostało mi jedynie spytać. Kiedy pra-  
gnęłabyś wrócić do gmachu uniwersytetu?

– Kiedy ty zechcesz. Mi by pasowało się nawet tu przespać.

– Noc pod gołym niebem? Jak w awanturniczej opowieści..

– Uznam, że ci pasuje.

– Tak, tak, pasuje. – otrząsnął się. – Nic nie stoi na przeszkodzie ku twojej propozycji.

Dwójka oglądała jeszcze przez długi czas nocne niebo, nim wezbrał się ciepły wiatr znad stałego lądu. W połączeniu z miękką, suchą trawą uzyskali godną imitację wygodnego łóża, któremu ani Iseren, czy Adaiel nie zdołali się oprzeć.

## IX.

– Iseren, wybacz mą obcesowość, bowiem zmuszonyn był cię obudzić. – wysłyszała w pół na jawie głos Adaiela. – Dziś nam wskazane jest wyruszać, musimy spakować naszą ruchomość, dokonać oględzin wierzchowców. Zatem najlepiej byśmy byli gotowi przed zenitem, a nawet i wcześniej.

– C-co? – zapytała sennym głosem, przecierając oczy.

– Chodźmy proszę, pomogę ci wstać. – zaproponował Adaiel.

– No dajże spokój, kaleka nie jestem. – usiadła, mrugnęła parę razy by się szybciej przebudzić. – Dopiero świta.. No cóż, jak już tak nagli to chodźmy.

Nie chcąc kazać uczonemu długo na siebie czekać, Iseren dosyć szybko stanęła na nogi. Poprawiwszy włosy i odzienie, dała znać chłopakowi, że jest gotowa.

Nie szli specjalnie długo, droga do miasta za dnia wydawała się znacznie krótsza, zatem nie minęło więcej niż pacierz do Nyrena, gdy dotarli z powrotem do kwatery Adaiela.

– Czy pozwolisz byśmy się rozdzielimy? – chłopak zatrzymał się przy wejściu. – Plan mam bowiem, iż ty zwołasz pozostałą naszą kompanię, ja zaś w międzyczas uporządkuję inskrypcje i wręcę je z powrotem kustoszowi.

– Jak sobie życzysz. – zgodziła się dziewczyna.

– Wdzięczny jestem za zgodę. I jeśli w sposób mi prosić, pozostańcie w mej kwaterze.

Kiwnęła głową na zrozumienie.

Adaiel, z drobną pomocą Iseren, zabrał dokumenty ze stołu i wyniósł je z pomieszczenia. Po zamknięciu się za nim drzwi, dziewczyna weszła do sypialni, zastała tam już dwójkę najemników na nogach.

– Musimy zaraz ruszać, bądźcie w gotowości. – oznajmiła stając w progu.

– Jesteśmy w gotowości, nie ma obaw. – zameldował Halverd, podchodząc do niej.

– Nie ma co tu tak stać, nim Adaiel wróci. Chodźmy może do jadalni, co o tym sądzicie? – zaproponowała Svjetane.

Pozostała dwójka poparła pomysł. Po upewnieniu się by ich dobytek był gotowy do sprawnego zabrania, zasiedli do przygotowanego śniadania składającego się z owoców, do których zagryźć mogli małych chlebków skropionych oliwą.

– To jak, Iseren. Wiesz coś jak będzie nasza podróż wyglądać? – zainteresował się Halverd, w trakcie posiłku. – Coś ci nasz kapitan powiedział?

– Nie za wiele, wiadomo mi jedynie, że ruszymy do jamrynowego księstwa. Czekać nas będzie negocjacja z majordomem jego mości. – odparła, odginając dłoń z kawałkiem pieczywa. – Lubił mnie za mojego pobytu, więc powinniśmy się z nim dogadać.

– Dwór cię tam lubi? A to pewnie idzie o to jak sobie na życie zarabiamy. – zauważył Halverd. – Ja sam też tak zarabiał za bardzo młodu, ale w naszych stronach, u młodych earłów. Czasem takich robót się łapał, że jak coś nas sądzi za zemrzenia to mój los jest już przesądzony.

– Niejeden najęty w celi winien skończyć, się nie przejmuj swoimi winami. – pocieszyła go Svjetane. – To od człeka zależy, nie od tego czym się para.

– Jak w każdej profesji. – rozjaśniał Halverd.

– Jak w każdej. Bogi same pewnie mają swoje za uszami, temu takie długie im urosły. – kobieta poczerwieniała na widok wzroku Iseren. – Ten tego, m-mniejsza. Ano właśnie, Iseren, co zaszło między tobą i Adaelem wczorajszej nocy?

– Oo, no dobre pytanie, ciekawy temat. – Halverd dołączył się do pytania z pełnym ubawienia uśmiechem.

– Nic nie zaszło. – dziewczyna poczuła skręt w żołądku od intensywnych spojrzeń dwójki. – Wyszliśmy sobie na chwilkę, jedyne obejrzeć gwiazdy.

– Hm, jeno gwiazdy obejrzeć. Może i dobrze, przyda się chłopakowi poodychać świeżym powietrzem. – ze spojrzenia kobiety wynikało, że chciała dodać coś więcej.

Iseren skupiła wzrok na swoim jedzeniu, czując, że Svjetane stara się ją przejrzeć.

*„Na co ona właściwie liczy?”*

– Jedzcie póki nie idzie to z naszej sakiewki. – zachęcił Halverd, biorąc solidny łyk z czarki. – Ale do łyknięcia też zacnie serwują. Miód to nie jest, co prawda, ale inkarnowe winko też całkiem nieźle wiruje czerepem.

– Niech ci lepiej nie wiruje, z konia potem podpity zlecisz na głowę i tylko gorzej w niej będzie. – prychnęła Svjetane.

– Oj nic nie zlecę! – żachnął się Halverd, omal nie rozlewając zawartości kieliszka. – Ja nie raz żem..

– Uspokójcie się. – nagły głos Iseren sprawił, że zamilki. – Słyszę kroki z korytarza.

– To co? I tak te księgojady wiedzą że też tu rezydujemy! – huknął Halverd. – A jak my cisi będziemy to potem jeden przyjdzie i go widok prostaczków zaskoczy!

Svjetane nie podzieliła jego poglądu wyrywając mu czarkę z dłoni, gdy ten próbował ją ponownie zapełnić.

– Widzę że nie trzeba ci upadku na głowę do stracenia rozumu. – Svjetane uderzyła Halverda czarką po głowie, gdy ten otworzył usta by się jej odgryźć. – Już, siadaj i jeno jeden żarcik rzucisz to ci znowu przywalę.

Za sprawą perswazji Svjetane, Halverd dokończył posiłek bez słowa. Ów cisza miał miejsce, do czasu gdy Adaiel wkroczył do pracowni. za gestem Iseren trójka wyszła na jego przeciw.

– Są gotowi, jak prosiłeś. – oznajmiła dziewczyna.

– A może jakiś salut.. – zaczął Halverd przerywając, gdy Svjetane wbiła mu palce pod żebra. – Już milknę, niczym głąz.

– Wspaniale, Iseren. – odrzekł Adaiel ze słabym uśmiechem. – Ruszajmy zatem do stajni gmachowej, przekazano mi bowiem, iż stajenny przygotował nam wierzchowce do ponownych wojaży.

– Zabierzemy jeszcze nasz dobytek. Gdzie na ciebie czekać?

– U stóp uczelni. – Adaiel skierował się do wyjścia. – Czy nie winien wam pomóc przy wnoszeniu ów ruchomości?

– Nie musisz się o to martwić, kapitanie – wtrącił się Halverd. – My sobie poradzimy. Poza tym, widok konsyliarza targającego toboły na równi z jego protekcją wzbudzi kontrowersję, nie?

– Och, owszem.. – zwiesił głowę Adaiel.

Opuścił kwaterę bez dalszego słowa.

– Czymś go uraziłem? – zdziwił się Halverd.

– Niby nie, dziwne by się swojego statusu wstydził. – Svjetane zwróciła się do Iseren: – Czy coś ci mówił?

– Nie mówił. Przekonuje mnie jednak co powiedziałaś.

– Tia.. Lepiej zostawmy Iseren konekcję z Adaiem. Dobrze jej to wychodzi. – zaproponowała Svjetane. – Szkoda chłopaczynie przykrości sprawiać.

– Iseren jako podkomendna się sprawdzi. Się obejdzie bez głosowania, bo pewnie mnie tylko taka tytułowość interesuje. – przyznał jej rację Halverd.

– Nie mam nic przeciwko. – odparła im Iseren. – Chodźmy zabrać nasz ekwipunek, Adaiel oczekuje od nas rychłego wybycia.

– Patrzcie no tylko, ino chwilę temu nominowana, a już nam rozkazy rzuca. – Halverd zarechotał.

Uśmiech mężczyzny zelżał, widząc że dziewczyna nie odpowiadała.

– Ty to masz talent uprzykrzać się Inkarnom. – uszczypliwie podsumowała Svjetane. – Chodź, zbieraj toboły, bo zaraz powtórzysz Zandył.

Halverd burknąwszy jej niezrozumiałą i zapewne też nieuprzejmą odpowiedź, zabrał się pomóc reszcie w szykowaniu do wyjścia.

W pewnym momencie dyskretnie ściągnął na siebie uwagę Iseren.

– Coś sprawia problem? – zapytała go, gdy podeszła bliżej.

– Nic z tych rzeczy, podkomendno. – odparł jej nader bezstrosko.

Mężczyzna świsnął spieszonym spojrzeniem po Svjetane, akurat zajęta składaniem rondli do bardziej poręcznego stosu.

Iseren rzuciła mu pytające spojrzenie.

– No.. Svjetane pewno się by to nie spodobało, ale chęć mam tą egzotyczną planszówkę również capnąć. – przyznał się Halverd. – Czy podkomendna przymknie oko?

– Nie nadużywajmy statusu Adaiela, w kwestiach niekoniecznie tego wymagających. – Iseren odciągnęła go od gry. – Czas już wychodzić.

– Ech, niech będzie. – westchnął.

Upewniwszy się czy wszystko zabrali, na odchodne wzięli garści pozostałego śniadania na prowiant.

\*\*\*

Adaiela zastali przed schodami do uniwersetu, chłopak był w trakcie rozmowy z prefektem uczelni. Nie chcąc ingerować w jej przebieg, najemnicy przystanęli z dala, póki Iheode nie zwrócił na nich uwagi.

– ..Widzę, że twoja protekcja gotowa, zatem mości konsyliarza już nie będę trzymać od czekającej drogi. – Iheode uchylił mu głowy na pożegnanie. – Pomyślnych podróży waszej kompani życzę.

– Przyjemnością być twej uczelni gościem. Dzięki składam w imieniu swoim i mych towarzyszy. – uprzejmie odpowiedział Adaiel.

– A mi przyjemnie słyszeć, iż instytut przypadł do gustu. – mimo uśmiechu na twarzy, słowa Iheode brzmiały chłodno. – I przemyśl mośli konsyliarzu, co wspomniałem odnośnie znanego nam obu pretora Saethrina. Zwłaszcza gdy jak zapewniasz, odpowiada ci uniwersytet pod mą pieczę.

Iheode zmierzył go dumnym spojrzeniem, po czym zabrał się do wnętrza uczelni. Adaiel pozostał w bezruchu, wciąż rozważając intensywnie co powiedział mu Iheode.

– Mamy dobytek. – Iseren przerwała panującą ciszę. – Zatem do stajni?

– Och, tak tak. W rzeczy samej. – odrzekł chłopak, otrząsając się z zadumy. – Prefekt Iheode nas zapewnił, iż rumakom zapewniono specjalistę, oddanego swej gestii eksperta. Ciekaw jestem jak ów ekspert się prezentuje. Zatem ruszajmy.

Czwórka weszła do stajni. Pomieszczenie pogrążone było w półmroku, w powietrzu unosił się zapach słomy oraz końskiej sierści. Jednakże poza zwierzętami nie zastali samego stajennego.

– Myślicie że stajenny gdzieś poszedł? – zastanowiła się Svjetane.

– Mimo wszystko, powinniśmy sami sobie poradzić z tymi końmi. – odparł Halverd. – Rozejrzmy się za naszymi.

Znalawszy swoje wierzchowce poczęli wiązać na ich grzbietach juki.

– Czy wesprzeć? – rozległ się nagle głęboki głos z mroku.

– Obejdzie się. – odparł Adaiel. – I tak zapewne ciężka jest wasza profesja.

– Nie śmiem przeczyć. – odparł z goryczą głos.

Do skrawka światła w pomieszczeniu wstąpił nieznajomy, odsłaniając szlachetną twarz o obcych rysach twarzy. Skórę miał oliwkową, miejscami brudną i odrapaną. Spod materiału obwiązującego mu czoło zaglądały falowane, kruczoczarne kosmyki. Wąskie oczy jegomością skrywały ciemnobrązowe źrenice, czujnie obserwujące zebranych. Z każdym krokiem mężczyzny roznosiło się ciche dzwonięcie łańcucha.

– Jesteś tu więziony? – zapytała Iseren.

– Jestem. – mężczyzna starał się o spokojny wyraz twarzy.

Z jego postury wynikało, że jest od niedawna więźniem, co sugerowało muskularne jeszcze ciało i zdrowa cera. Iseren przestała go oceniać wzrokiem, gdy poczuła na sobie jego pełne ostrożności spojrzenie.

– Dlaczego?  
– Mam zakaz mówić.  
– Pozwolisz skorzystać z swojego autorytetu? – szepnęła Iseren do Adaiela.

Chłopak kiwnął drżącą głową bez słowa, na jego twarzy malowało się coś w rodzaju współczucia i żalu.

– Konsyliarz nadał ci prawo głosu. – Iseren zapewniła stajennego.  
– Nie znam waszych praw.  
– Postanowienia członka Komicjum są ponad prawa wszelkiego bytu visildejskiego niżej niż jego samej wysokość. – wyjaśnił Adaiel.  
– Rozumiem. Jestem.. Byłem wojownikiem z klanu Lyankhu. Walczyłem. Z innymi klanami, z czerwonymi żołnierzami. Aż do niedawna, mój klan zgładziła czerwona armia i sprzedany im klan Toghaya. Nie pozwolono mi zginąć z godnością. Miast tego, pojmano mnie i sprzedano jak bydło.

– I kupiła cię uczelnia w Maiorone, rozumiem. – dopowiedziała resztę Iseren.

– Mairone.. Warto wiedzieć gdzie się znajduję. – skinął głowy w podzięcie stajenny.

– Jak cię zwa?  
– Hodhoke, w mowie spoza ludu. Lud mój nadał mi drugie imię, *Gji'isa-Mzengara*. Na waszą mowę, Karmazynowa Klinga.

Iseren zbliżyła się do Hodhoke. Nie cofnęła się od niej. Ukłuła ją nagłą, obca wręcz myśl.

– Adaielu, co sądzisz o niewolnictwie? – Iseren zapytała za sprawą impulsu chłopaka.

– Iseren? – zaniepokoił się Adaiel.  
– Co sądzisz? – zapytała ponownie.  
– Hm.. – przełknął głośno ślinę. – Nie jestem mu stronny. A pragniesz..

– Tak. Uwolnić go. To wojownik, uczelnia nie powinna zabijać jego potencjału zamykając go w stajni.

– Nie jest ci go po prostu szkoda? – wtrąciła się Svjetane.  
– Szkoda mi straty talentu.  
– Ta, talentu. – kobieta brzmiała na urażoną jej odpowiedzią.  
– Powiedz mi, Adaielu – Iseren zwróciła się do chłopaka – czy status konsyliarza pozwala zwolnić niewolnika ze służby?



– Przy tym zestawieniu jest w stanie złamać okowa niewoli. – odpowiedź Adaiela była ledwie słyszalna. – Iście szlachetny to czyn, Iseren.

– Raczej praktyczny.

– Ubrane w skromne słowa będzie równie szlachetne. – utrzymał przy swoim Adaiel. – Zainspirowałaś mnie, Iseren. Zайдę do prefekta, losu zostawię czy zdołam go bez przymusu z mej strony skłonić do zwolnienia Hodhoke. A wy, zostańcie na razie tutaj.

\*\*\*

Minęło więcej czasu niż zakładali by zeszło na negocjację. Przez ten czas, najemnicy rozsiedli się po stajni na snopach siana lub podłodze. Jedynie Iseren trzymała się blisko Hodhoke. Nie odzywał się, tak samo Iseren.

Wszyscy w stajni podnieśli się, gdy światło z wejścia zasłoniły dwie sylwetki. Po wkroczeniu przez próg okazały się one być Adaiel w towarzystwie strażnika z uczelni.

Wartownik, pociągając nosem, podszedł do Hodhoke, po paru przesunięciach palcem w pęku kluczy znalazł jeden, którym odpiął łańcuchy z kostek Thaelrijczyka.

– To wszystko z mej strony. – strażnik uchylił głowy konsyliarzowi i opuścił stajnię.

Najemnicy i Adaiel zebrali się przy Hodhoke niczym wokół rannego.

– Jesteś wolny. – oznajmił delikatnym tonem Adaiel. – Twą decyzją będzie, czy pragniesz pozostać z nami. Niezależnie od wyboru, wręczymy ci twój dobytek.

– Honor nakazuje mi zostać. – odparł Hodhoke, unosząc dumnie głowę. – Jestem twoim dłużnikiem, nieznajomy.

– Zważ mnie Adaiel. – przyłożył dłoń do piersi przedstawiając się. – A zasługa przypada pannie na me lewo, imienia Iseren.

– Lecz to ty wystąpiłeś ku mej wolności. Nakazane jest mi ci służyć, by spłacić dług. – uklęknął przed uczonym. – Na twe rozkazy, Adaielu.

– Tak jak wspomniałem, to pozostaje w twojej decyzji. – zapewnił go Adaiel. – Nadaję ci miano człowieka o woli własnej, oczyszczam twe imię, w dobre imię Komicjum, jako konsyliarz.

– Więc z własnej woli przysięgam ci wierność. – zabrzmiał wręcz uparcie Hodhoke.

– Ależ ceremonia – ubawił się Halverd. – A co z naszą podróżą? Się późno robi.

– Jasnowłosa ma rację, tracicie przeze mnie czas. – skłonił głowę Hodhoke. – Czy ruszamy, panie?

– Owszem, ruszamy. – odparł Adaiel. – I mówcie mi Adaiel, proszę.

– Twa wola, Adaielu.

Z pomocą Thaelrijczyka, wyprowadzili wierzchowce ze stajni. I jak się przekonali, Hodhoke miał niezwykłą rękę do koni, zdawał się wręcz z nimi porozumiewać. Puścili uzdy wierzchowców, pozwalając by wojownik wyprowadził je z boksów na świeże powietrze. I choć odziany był w postrzępioną szatę, w całym jego sposobie bycia skrywał się tajemniczy majestat, podsycany kulturową odmiennością.

Niekrótce po wyprowadzeniu koni, wrócił strażnik z płóciennym pakunkiem pod pachą.

– Widzę, żeście już się poznali na jego talencie. – skwitował.

– Nie w sposób odmówić mu daru. – przyznał Adaiel. – Och, i omal bym zapomniał. Dobytek Hodhoke, jeśliś łaskaw wręczyć, pocziwy protektorze.

– Ano, mości konsyliarzu. To wszystko co posiadał. – strażnik rzucił trzymany pakunek na ziemię.

Iseren na prośbę Adaiela poczęła wydobywać jego zawartość. Uwagę dziewczyny przykuła osobliwa broń Hodhoke. Ciężka szabla o szerokim ostrzu, ciesząca oko misternego wykonania ornamenturą w motywie kwiatowym. Podobnego zdobienia został wykonany krótki łuk z wyjątkowo wygiętymi ramionami.

Zbroję jego zaś stanowił solidnie szyty kaftan sięgający kolan, a także skórzana czapka z wbitymi w nią piórami.

Hodhoke otrzymawszy swój dobytek oglądał go z miną, tak jakby wręczono mu go pierwszy raz w życiu. Tyłem do zebranych, przywdział zbroję, a szablę z łukiem zapiął przy biodrze. Na przeciwległym zawisł kołczan i nóż myśliwski.

– Sporo mamy opóźnienia. – zmartwił się Adaiel. – A przed nami długa droga.

– Znajdziemy sposób by nadrobić straty. – obiecała Iseren.

– Cóż, prosto ujmując, zejdzie o dzień dłużej niż przyszło mi szacować.

– Jakoś będzie. – pocieszył go Halverd. – To jak, mości konsyliarzu, na koń?

– Owszem, na konie.

Najemnicy wspieli się na grzbiety wierzchowców, Iseren, mimo Hodhoke do wyboru, zdecydowała się pojechać ponownie z Adaiellem.

– Wszyscy gotowi. – zameldowała Iseren. – Ruszamy?

– W rzeczy samej. – obrócił się przez ramię Adaiel. – A zatem, ku Wistuji ruszamy.

\*\*\*

Późnym wieczorem; grupa przystanęła na postoju na przydrożnym rumowisku. Po rozstawieniu się, trójka zasiadła przy ogniu, ogrzewając ręce.

– Co sądzicie o tym całym Hodhoke? – zagadnął Halverd.

– Honorowy. Myślę, że podróż z nim będzie interesująca. – stwierdziła Svjetane. – A jakie jest twoje zdanie, Iseren?

– W istocie, lojalny jest.

Rzucili okiem na Hodhoke, czujnie stojącego do wejścia namiotu Adaiela.

– Hej, Hodhoke! – zawołał Halverd. – Chodźże do nas, mamy stąd dobre oko na namiot!

Nie odpowiedział, zwrócił jedynie w ich stronę zagadkowy wzrok.

– Wydaje mi się, że jego visildejski jest nieco ograniczony. – pógłosem zasugerowała Svjetane. – W końcu jest on.. No.

– Wrogiem Visildeii, jakby nie patrzeć. – odszepnął Halverd. – Mam nadzieję, że nie przysporzy nam to problemów.

– Iseren, ty może się dogadasz. – zachęciła Svjetane. – Spytaj go czy chce z nami siadnąć przy ogniu. Zaraz przygotujemy coś do jedzenia. Przecież nie będzie tak stać całą noc, prawda?

– Zrobię co mogę.

– I jeśli zdołasz, może i Adaiela nakłonisz?

– Wątpię.

– Racja.. – Svjetane westchnęła. – Chociaż zaniesiem mu stawy cieplej. Spróbuj przynajmniej ugadać Hodhoke, dobrze?

– Zobaczysz się.

Iseren wstała sprzed ognia i wyszła naprzeciw Hodhoke.

– Może przyda ci się odpocząć? – zaproponowała Iseren. – Stoisz już tak dobre pół wieczora.

– Niech stoję i cały. Gwiazdy miast mnie nie staną na posterunku. – odparł, nie unosząc na nią wzroku. – Nie są po naszej stronie.

– A po czyjej?

– Swojej.

– Rozumiem. – kiwnęła głową Iseren. – A czy mogę odwiedzić Adaiela?

– To pozostawiam twojej woli.

Minęła ostrożnie Hodhoke, ten nie drgnął nawet palcem, gdy obok niego przechodziła. W namiocie Adaiela zastała ślęczącego nad manuskryptem, co jakiś przerywając by rozpisać jakiś schemat na pergaminie. Słyszając kroki, podniósł znad pracy głowę.

– Och, to ty Iseren. – przywitał się. – Liczę, iż nie doszło do żadnego incydentu.

– Nie, wszystko jest pod kontrolą. Ale chciałbyś może odpocząć nad ogniskiem?

– Z wami? – zaskoczył się. – Wybaczcie, obawiam się, że nie mogę. Mam do sporządzenia oficjalniejszego charakteru pismo odnośnie starożytnej kultury inkarnowej.

– Myślisz, że może to pismo poczekać?

– Nóg nie ma. Myślę, że może. – na jego twarzy się pojawił nieśmiały uśmiech.

– To się dobrze składa. Svjetane martwi, że Hodhoke stoi na warcie twojego namiotu i za żadną cenę nie chce go opuścić.

– Doprawdy? – spoważniał. – Być może zapragnie pójść ze mną?

– Może.

Adaiel zgasiwszy świece, skierował się z Iseren do wyjścia. Od zewnątrz spotkali się ze wzrokiem Hodhoke.

– Jakie rokazy? – zapytał Thaelrijczyk, unosząc wzrok na konsyliarza.

– Przydałoby cię odpocząć. – oznajmił Adaiel. – Miarkuję, iż dzień miniony był dla ciebie iście o umęczenie przyprawiający.

– Czy to jest twa wola, Adaielu?

– Tak? – zgadnął chłopak.

– Twoja wola się zatem spełni. – Hodhoke ruszył zdrętwiałymi kończynami, stając po chwili obok Adaiela.

Iseren zaprowadziła ich do ogniska. Rozmawiająca Svjetane z Halverdem widząc ich zdumiona urwała zdanie wstając do nich.

– Adaielu! – ucieszyła się. – Co za miła niespodzianka. Zaraz woda zawrze to coś kuchcić będziem.

– Czy mogę wam jakoś pomóc? – spytał uczony.

– Jeśli dla ciebie to problem nie jest, oczywiście. Możesz pociąć kraśca do potrawki, tego tam czerwonego korzonka. Tu masz nóż. – wskazała palcem na brzytwę wbity w pniak.

– Nie boisz się o brud? – wzdrygnął się Adaiel, biorąc do ręki nóż.

– Wszystko się wyparzy. – zbyła obawy kobieta. – Iseren, chodź, pomóżesz mi pokruszyć cytrusa.

Iseren podeszła do Svjetane, która wręczyła jej wysuszone owoce.

– Jestem pod wrażeniem. – szepnęła. – Dobrze, że się chłopak pozna lepiej z nami.

– To nic takiego. – odparła Iseren.

– Och, no co ty. Nie odbieraj sobie zasług, Iseren. – kobieta rzuciła jej intensywne spojrzenie. – Może jak się taki Adaiel do nas przekona, to przestaną patrzeć w tym Komicjum na każdego mniej czytanego jak sparszałego.

– Być może tak będzie.

– Ale po co takie zbywanie? – rozdrażniła się Svjetane. – Dobrześ zrobiła, nie trza udawać, że inaczej jest.

Iseren nie wiedziała jak odpowiedzieć. Problem rozwiązał Adaiel, który wrócił z pociętym warzywem.

– O, i teraz zsuń je nożem do rondelka. – poinstruowała go Svjetane, zapominając o dziewczynie. – A teraz się muszą poznać z resztą garnka. Za takie powiedzmy sypnięcie klepsydry powinno się wszystko zmiękczyć. A jak nam się poczeka do żaru czerwonego to się w garnku przegryzie wszystko do cna.

– Wybacz, nie znam pojęć alchemicznych. – Adaiel zwiesił głowę.

– Gdzie tam alchemiczne, stara baba za piecka ci dokładnie tak samo ci rzeknie. – odparła z śmiechem. – Usiądźcie już, zaraz wam rozleje potrawki.

Iseren przysiadła się naprzeciw Halverda, po jej prawej dołączył Adaiel. Halverd wlepił wzrok w Hodhoke, stojącego z dala od ognia.

– Ten co? – zwrócił się półgębkiem do dwójki.

– Nie mam pojęcia. – Iseren zwiesiła wzrok na ziemi.

– Być może nie jest świadom, iż może do nas się dosiąść? – wysnuł Adaiel?

– Czemuż by nie mógł zasiąść? – Halverd poskubał się po brodzie. – Myślisz, że u niego taki zwyczaj jest?

– Wiesz, Halverdzie. – Adaiel zniżył głosu, jakby wspominał nieznanego nikomu sekret. – Miarkuję bardziej, że ma to związek z jego przeszłą niewolą. Pójdę z nim pomówić.

Adaiel wstał od grona i zbliżył się do Hodhoke. Ten po krótkiej wymianie zdań z chłopakiem, począł podążać za Adaiem, który zaprowadził go między najemników. Światło ognia ujawniło spokojne oblicze Hodhoke, nie sprawiał wrażenia przymuszonego do pobytu w towarzystwie.

– Co was z dala od nas trzymało? – Halverd rzucił do przybyłego Thaelrijczyka. – Na warcie stałeś?

– Zgadza się.

– E tam, bez obaw o warty! – mężczyzna się wyszczerzył bez troski. – Ze mną wam nic nie grozi. Me topory niejedny miecz z ręki wytrąciły, niejedną włócznię przecięły.

– A jezor niejednego zanudził. – odpowiedziała Svjetane. – Jak masz jakieś jeszcze przechwałki to na wieczrę zostaw.

Stojąca przy ogniu Svjetane zdjęła garnek z stojaka i poczęła rozlewać jego zawartość do drewnianych misek. Po rozdaniu każdemu posiłku przysiadła po boku Halverda.

– To więc, mości kapitanie. – zagadnął Harstörm w trakcie jedzenia. – Jakie postępy są godne naszych uszu?

– To raczej kwestia trzymania spraw visildejskich w sekrecie. Zwyczajnie zobligowany jestem nie powierzać figurom spoza kręgów celów mojego badania.

– Niech będzie. – westchnął. – Aj, wiecie Adaielu. Ja bym wyruszył na jakąś morską wyprawę. Może coś takiego się natrafi za twojego zlecenia?

Adaiel odpowiedział mu tajemniczym uśmiechem.

– Uznam to za potwierdzenie. To jak, chciałbyś nam dopowiedzieć nieco więcej? – zaintrygowała się Svjetane.

– Jeśli Komicjum zaakceptuje wynik mych badań, mogą nam powierzyć następne kroki. Być może z ów morzem związane.

– Odnośnie tego co obecnie badasz?

– W rzeczy samej. W księstwie Jamrynów miałbym też do was prośbę.

– Co będzie ci potrzebne?

– Możecie zasięgnąć języka wśród miejscowych?

– Ha, zlecenie na pogadanie w tawernie. – ucieszył się Halverd. – Z chęcią wypełnię daną mi misję.

– Ja nie znam kreoviańskiego. – przyznała się Iseren.

– Bez obaw, znajdzie się dla ciebie inne zadanie. Czy zdołasz pomówić się z majordomem?

– Porozumiemy się. A w dodatku zdarzyło mi się z nim poznać.

– Wręcz lepiej się składa, skoro się znacie.

– A nasz wojak ze stepu co poczyni? – Halverd spojrzał po Hodhoke.

– Hodhoke, czy znany ci któryś z języków kreoviańskich? – Adaiel zwrócił się do Thaelrijczyka.

– Czym jest *kreovanyski*? – z trudem wymówił Hodhoke.

– Używa się ich na północym centrum Kyrridei. – wyjaśniła mu Svjetane.

– *Krydeia*? Nie znam tychże słów.

– Tak odwiecznie w podaniach zwie się nasz ląd, Hodhoke. Step w których mieszkasz są jego cześcią – pomogła Iseren.

– Mhm. *Krydeia*, *kreovanyski*. – powtórzył sobie. – Obca ziemia, obca mowa.

– Poradzisz sobie. – pocieszył go Halverd. – Sam żem się ledwo visildejskiego wyuczył.

Hodhoke spojrzał w dal, przymykając po chwili oczy.

– Coś cię trapi? – upewniła się Svjetane co do jego samopoczucia.

– Słabość mnie dopadła. I.. Tęsknota. – z trudem powiedział, tym razem nie ze względu na wymowę.

Halverd wstał do Hodhoke i położył mu rękę na ramieniu.

– Też tęsknię. Za domem, za śniegiem. – przykucnął przy nim.

– U mnie też śniegiem słał się dom. – odmruknął Thaelrijczyk.

– Zimne stepy nie tak odległe co śnieżne lasy, jak widzę. – westchnął Halverd. – Chesz zatopić tą tęsknotę?

– Zatopić?

– Siebie zatopić, nachlać czymś solidnym. By cię słabość i tęsknota nie dopadała.

– Mhm. Zatopmy się więc.

– Jak sobie życzysz. – Halverd kiwnął głową z uśmiechem.

Senvoldczyk sięgnął po parę butelek i w towarzystwie Hodhoke wspartego pod ramię poszli w swoją stronę.

– Chyba się dogadają. – szepnęła Svjetane do Iseren. – Mimo bariery językowej.

- Mhm.
- Was też może zostawić samych? – spojrzała po Adaielu i Iseren.
- Obawiam się, że wracać już muszę wracać do sporządzania pisma do Komicjum. – przeprosił Adaiel. – Czas zatem na mnie.
- Ech, te czytania i pisanie go wymęczą do trupiego. – Svjetane odprowadziła chłopaka wzrokiem pełnym troski. – A wiesz o jakim piśmie mowa, Iseren?
- Wiem że spisywał wyniki badania o kulturze Inkarnów. – podzieliła się Iseren.
- To co tak siedzisz? Czemu z nim nie pójdziesz i go piórem nie wesprzesz?
- Wspomiał przecież, że to pismo oficjalne. – zaparła się Iseren. Svjetane wpatrywała się w nią burzliwym wzrokiem przez chwilę.
- No, w sumie racja. – poddała się kobieta. – Ech.. Pójdę już się kłaść.
- Popilnuję w takim razie ogniska do zelżalego żaru. – zaproponowała Iseren.
- Wdzięcznam. To do ranka.
- Siedząc przed ogniskiem, coraz bardziej sennie oglądała dopalające się drewno. Nie pamiętała kiedy dokładnie położyła się na ziemi, a w następstwie pogrążyła we śnie, wsłuchana w syk gasnącego ognia.



## X.

Przez zewnętrzną bramę do Wistuji przejechało pięciu konnych, próbując gwizdami przegonić z drogi przechodniów. Tuż przy wjeździe do miasta jedźcy omal nie stratowali stacjonującego tam strażnika, co nie spotkało się z jego aprobatą.

– Hola wy tam! – zakrzyknął wartownik, zatrzymując ich gestem dłoni. – Skądście i co taki raban tu robicie?

– Iście ważna sprawa nas tu przyprowadziła. – przeprosił go konny na czele. – Niezwykłej wagi. Mamy do pomówienia z niejakim Prysimiłem.

– To naszej książęcej mość majordom. Szacunku trochę.

– Wybaczcie moją obcesowość, żołnierzu. Spiesz się nam i musimy jak najszybciej do możnego majordoma wstawić.

– Hej! Nie tak szybko! – zagroził mu drogę strażnik. – Co ty, myślisz że jakiś specjalniejszy? Imię, powód tej wizyty podawać!

– Adaiel Niyaranne, konsyliarz. – paru przechodniów spojrzało się po nim z lękiem. – Sprawa wagi państwowej, uwzględnia wszystkie lenna jego cesarskiej mość.

– T-konsyliarz? Ten taki z Komicjum? – zbaraniał, po chwili wracając do żołnierskiego tonu: – Dowód, to poważny tytuł!

Chłopak z westchnieniem wyjął zdobioną tubę z pergaminem i począł czytać:

– Adaiel Niyaranne, potomek Niyaranne Saethrina od szesnastego dnia Irmnasu, mianowany jest..

– Dobra. A pieczęcią jakąś wam klepią te zwitki? – przerwał strażnik, drapiąc się pod hełmem.

– To najlepsze co mogę ukazać. – Adaiel wskazał palcem po ułamanej pieczęci na zwoju. – Czy starczy do weryfikacji?

– No.. E i tak żem tego nie zweryfikuje. Ale jedźcie już po mieście z rozwagą, mości konsyliarzu.

– Oczywiście. Wybaczcie mi nasz pośpiech.

– Konsyliarze.. Najpierw Legion, teraz oni.. – zamamrotał wartownik stając z powrotem na pozycji. – Rzygać się chce od tego bordowego, psia ich mać..

Drużyna ruszyła wolniejszym tempem po ulicy miasta, choć tym razem stukot o brukowane ulice sprzyjał im w rozpraszaniu tłumu. Ich jazda trwała aż do bram warowni.

– Prosimy o przejazd! W imieniu Komicjum! – zawołał Adaiel do straży.

Stojący przy bramie patrol nie miał widocznie zamiaru kwestionować konsyliarza, pozwolili zatem piątce przejechać.

Na dziedzińcu, Adaiel i Iseren zsiadli z konia, zbierając parę spojrzeń od obecnych tam dworzan.

– Iseren, czy znana ci droga do kwater majordoma? – spytał konsyliarz.

– Oczywiście. – kiwnęła mu głową Iseren. – Co z naszą kompanią?

– Jak swego czasu rzekłem, pytaniem rzucać po tawernach tutejszych, odnośnie wszelakich pogłosek co rozchodzą się po Visildeii. A wierzchowce zabiorą do dobrego oberżysty.

– Się robi. – odparł dziarko Halverd. – To my się potem spotkamy w jednej największej, raczej nas tak znajdziecie, nie?

– Postaramy się. To bywajcie, będziemy szybko tak jak nam czas pozwoli.

– Nikt kapitana nie pogania. Powodzenia wam życzyć tylko trza.

Trójca najemników zawróciła rumaki i wyjechała z powrotem do miasta. Adaiel zaś z Iseren skierowali się ku bocznej części zamku.

– A co jak nie będzie majordom obecny na dworze? – zaniepokoił się Adaiel w trakcie przemierzania korytarza.

– Spokojnie, poczekamy, w razie jego nieobecności pozwolimy sobie na postój, żadną zbrodnią to przecież nie jest. – uspokoiła go. – W dodatku to mała domena, wątplie by Prysimił był na misji dyplomatycznej.

– Sporo wiesz o tym zamku.

– Byłam tu gościem, w nagrodzie za pewne zlecenie. Być może nadal mogłabym skorzystać z gościny jego księskiej mości.

– A tak wracając wspomnianego przez ciebie postoj.. Myślisz że moglibyśmy się pokusić o nocleg w zamku? Napewno wygodną pierzynę tu mają. A przecież podobno nie zbrodnią się przespać w dobrze ścielonym.

– Adaielu.. – spojrzała po nim zaskoczona. – Cicha woda faktycznie lubi sobie ostatnio porwać.

– Na to wygląda. – odparł niewinnie.

Dziewczyna pamiętała układ zamku całkiem dobrze, zatem przejście z pozostałego korytarza pod gabinet majordoma nie zajęło im więcej czasu niż zagotowanie wody.

Iseren zapukała w drzwi. Zza nich rozbrzmiał znajomy jej głos po kreoviańsku.

– Co powiedział? – szepnęła Iseren.

– Pewnej pewności nie mam, ale myślę, że było to „proszę wejść”. – odmruknął Adaiel.

– Nie miałeś lingwistyki na zajęciach?

– Miałem, zdarzało mi się mieć tam gorsze stopnie. – policzki Adaiela lekko poróżowiły. – Jednakże.. Chodźmy już po prostu. Ty pierwsza

– Niech będzie jak mówisz.

Dziewczyna pchnęła drzwi do gabinetu Prysimiła.

Od jej ostatniej wizyty nic nie uległo zauważalnej zmianie – od wystroju po samego właściciela. I tak jak zakładała, majordom delectował się właśnie zawartością czarki, którą prawie wypluł widząc swojego gościa.

– Iseren! – klasnął w dłonie. – Dawno żem cię tu nie widział!

– Witaj, majordomie. – lekko skłoniła głowy. – Również dobrze was widzieć.

Prysimił gdy podszedł bliżej do Iseren, podparł się pod boki.

– A cóż to za widok.. – mruknął zaciekawiony po chwili. – Że, ty, Inkarnem? A jam cały czas się głowił skąd to ja takie lica kojarzę..

– Mój przyjaciel również jest. – dodała Iseren pokazując otwartą dłońią po Adaielu. – Mamy do ciebie sprawę.

Adaiel podał mu dłoń na powitanie.. Po minie chłopaka można było wysnuć, iż Prysimił posłał mu mocny uścisk dłoni.

– Na me mniemania nie przystoi tak sterczeć. Chodźcie do stołu, mam dobrą pieczeń, może chętni? – zachęcił majordom.

– Brzmi kusząco. – odrzekła Iseren.

Trójka zasiadła przy stole, zabierając się za posiłek.

– A skoro pojedli, wrócić można do was. – ponowił Prysimił w trakcie jedzenia. – Co was do mnie sprowadziło?

– Sprawa Visildeii, mości majordomie. – zabrał głos Adaiel. – Jestem z Komicjum, potrzebowałbym dostępu do waszego zakupu z Maiorone.

– Szczędeżę w pytaniach, skąd żeście wiedzieli. – Prysimił spoważniał. – Interesuję mnie jedno. Wy chcecie te archiwa na stałe?

– Skądże. Potrzebuję jedynie je przepisać. – zapewnił go chłopak. – Możemy liczyć na waszą kooperację?

– Nie próbowałbym się przeciwstawiać, z byle powodu by nie ślali po świecie członka Komicjum. – Prysimił wstał od stołu. – Zaraz będę, muszę te zbiory odszukać.

– Nie spodziewałem się tak sprawnego przebiegu sprawy. – skomentował półgłosem Adaiel.

– To typowo osoba czynu. – wyjaśniła dziewczyna – Jestem skłonna uwierzyć, że robi coś ponadto co obiecał.

Prysimił wrócił po chwili, z paroma zwojami w dłoniach.

– Oddam wam moje przepisane kopie, pisane po visildejskiemu. – podał je konsyliarza nad stołem. – Oryginały są trochę kruche, szkoda by uległy urazom, nawet dla ważnej sprawy.

– Oszczędzi mi majordom parę dni pracy. – uśmiechnął się Adaiel.

– Miło to słyszeć. Jakbyście potrzebowali znawcy historycznego, wiecie gdzie szukać. – majordom poprawił sobie kołnierz z dumną miną.

– Tak w temacie – dał się pokusie Adaiel. – Czy majordom poznał dobrze treść tych zapisków?

– Wspaniale, mógłbym rzec. Jakżebym inaczej sporządził ich kopię?

– Och, bo wręcz zmuszony jestem zapytać. Czy Maiorone.. Podbili Ziemcy?

– A cóż to za pytanie? – spochmurniał Prysimił. – Podbili. Co więcej rzec?

– Było to spisane, że konkretnie Ziemcy? – naciskał konsyliarz.

– Ależ ja tej ciekawości nie pojmuję. Skrywa do kogoś konsyliarz urazę?

– Skądże. – przyspieszył głosu Adaiel. – Pytam, albowiem nigdy nie padło definitywne potwierdzenie z pewnego źródła w tej sprawie. Zatem, był jasny opis najeźdców? Zapadła cisza.

– Niech mnie. – majordom przyłożył pięść do ust, mówił prawie szeptem. – Chcę krzyknąć, iż to konfabulacja podła, lecz.. Nie ma faktycznie dowodu na inwazję ziemską.

– Nie wykluczam jej całkowicie oczywiście. Nie chciałbym odebrać potencjalnych.. Zasług ziemskich w tej sprawie.

– Konsyliarzu – Prysimił przyjął przejęty ton – Na visildejskim tronie kto siedzi?

– Cesarz Gotela Laseprin, mości majordomie.

– Jego wysokość cesarz wiem jakie imię nosi. A to informacją nie dysponuję czy to Ziemię, czy też Inkarn.

– Ja.. nie wiem.. I nie znam nikogo kto cesarza na własne oczy ujrzał. A imię Gotela..

– Jest zniekształceniem ze staromowy, Gueth’dele, Dobry Mówca. – dokończył za niego majordom. – Posłuchajcie, konsyliarzu. Mogę ci ofiarować wsparcie przy pracach, nie dla swojego poczucia dumy, ale z czystej ciekawości, pasjonuje mnie dzieje tego lądu, dogłębnie. Zysku mieć z tego nie muszę, mogę ubiegać się dla ciebie o względy księskie, które sprawie mogą okazać się pomocne.

– Obawiam się, że ingerencja księstwa w badania nie spotkałaby się z aprobatą Komicjum. Powierzono mi zbyt poufne dane i cele bym miał pozwolenie na zatrudnienie jakiegokolwiek zorganizowanego zespołu badawczego. Przykro mi.

– Oczywiście, mości konsyliarzu, rozumiem. Komicjum trzymać musi ściśle chronić swe twory intelektualne. Pojęcie „tylko dla oczu wyznaczonego autorytetu” jest mi świetnie znane.

– Nie omieszkam wątpić w twą wiedzę, majordomie. Proszę mi wybaczyć, że ciążą nade mną takie dekrety.

– Oj bez obaw, urazy żywić nie będę, nie ty pisałeś kodeks Komicjum, konsyliarzu. – spojrzał następnie po Iseren. – A ty widzę, że nie próżnowałaś od wyjazdu z Wistuji. Dobrześ się zaadaptowała w oficjalnych interesach, czyż nie?

– Mogę tak powiedzieć. – odrzekła Iseren.

Dwójka wstała od stołu z zamiarem opuszczenia gabinetu.

– Nagli was, rozumiem. – westchnął się Prysimił.

– Nie możemy zostać, najszczerze me przeprosiny. – zwiesił głowy Adaiel. – Czas nas goni, także czeka na nas reszta drużyny.

– Ech. – majordom, rozzarowany, rozparł się na krześle, przeraźliwie nim trzeszcząc. – Nie będę zatem wam zabierał więcej czasu, bywajcie zdrów.

– Wy również, mości majordomie. – skinął mu głowy Adaiel. – Może się przyjdzie nam spotkać po całym zajściu, pomówimy tedy o pana pasji historycznej?

– Może.. – uśmiechnął się do nich na ich odchodne. – Ale słów na wiatr na razie nie rzucajmy, konsyliarzu. Zobaczymy co czas przyniesie.

– Rozsądnie. – skwitował Adaiel. – To oby me plany spotkały się z łaską czasu.

Dwójka opuściła pomieszczenie, wracając na dziedziniec.

– Miałś rację, mości majordom dał nam więcej niż obiecał. – głos chłopaka rozległ się echem po korytarzu.

– A dotrzymasz mu danego słowa?

– Dotrzymam, a jak w przypadku ciebie?

– Mnie? Co ja ma z tym spotkaniem wspólnego?

– Och, może i rację masz. W końcu bowiem, nasze drogi się rozejdą po wywiązaniu się z umowy, czyż nie?

– Nie. – spojrzała mu prosto w oczy. – Nie wiedziałam, że jestem również zaproszona.

Chłopak potrzebował chwili na namysł.

– Och. No tak. Oczywiście, że jesteś, Prysimił cię w końcu ma za dobrą znajomą. – Adaiel oderwał od niej wzrok zbity z tropu.

Mina Adaiela jednak sugerowała, że mimo swego zakłopotania chciałby coś jeszcze dodać.

Dwójka przeszła spacerem ulicę Wistuji, zastanawiając się, którą tawernę najemnicy uznali za największy. Odpowiedź dostali szybko, bowiem usłyszeli z jednego zajazdu śpiew Halverda, zapewne chcący dostać coś do picia za darmo.

Wstąpili więc do środka, Halverd kończył właśnie pieśń ku uciesze bywalców i samego szynkarza. Wykrzykiwali do niego po kreoviańsku, niektórzy rzucali mu montety, które zręcznie łapał.

Pozostałych najemników wypatrzyli w kątach lokalu. Svjetane zasiadła między garścią wędrowców sącząc razem piwo, Hodhoke zaś wypatrzyła w towarzystwie równie posepnego jegomościa. Co sypnięcie klepsydry rzucali sobie po zdanie, co rozmówca kwitował skinieniem głowy, lub równie krótką odpowiedzią.

Iseren z Adaiem zasiedli do pustego stołu, by w moment zostać zaatakowanym przez serwującą trunki dziewczynę. Nachylona nad dwójką, oczekiwała życzeń z wyuczonym, ale przekonującym uśmiechem.

– Coś delikatnego, jeśli można. – poprosiła Iseren.

Zaskoczona dziewczka pokręciła głową i popędziła truchtem do szynkwasu. Zza niego niechętnie wysunął się rosły mężczyzna, po szpecących twarz bliznach i posturze wyglądał na weterana wojennego.

– No? – głos miał szortki, chrypliwy. – Co wam podać?

– A co macie? – zapytała Iseren.

– Prosta w świecie gorzała, zbożowa, cytrusówka, no i wypalanki trochę.

– A coś lżejszego? – dołączył się do rozmowy Adaiel.

– Ha, rzadko coś takiego słyszę. To mamy wino owocowe, się sprzedaje z niechęcią to możecie całą butelkę za szesnaście srebra.

Chłopak spojrzał pytająco po dziewczynie, ta wyjęła garść saijvisów z sakiewki. Adaiel wstrzymał ją gestem dłoni i wyłożył okazańszy mieszek monet.

– Niech tak będzie. – chłopak wysypał monet na stolik. – Weźmiemy wina.

– Coś do przegryzienia? Może ciepłego chleba? Cztery za bochen. – upewnił się wsparty pod boki szynkarz.

– Weźmiemy zatem jeden bochenek. – Adaiel dołożył należytej kwoty.

– Zara będę. – karczmarz zaszedł na kuchenne zaplecze przybytku.

W czasie jego absencji, Iseren rozejrzała się za spuszczonej z oka towarzyszami. Towarzysze Svjetane zmienili się na miejscowo wyglądających, Hodhoke niezmiennie ciągnął powolną konwersację, jak dotąd nie sposób było ocenić jakiego rozmówca jest pochodzenia czy nawet płci, bowiem ciało miał skryte pod obszerną peleryną, spod której błyskały jedynie oczka kolczugi. Ku jej zaniepokojeniu, Halverd zniknął dziewczynie z pola widzenia.

„Może gdzieś poszedł.”

– *Dene mrasne, chvli revste va. Mazni nsete m'vointa.* – głos serwującej oderwał Iseren z obserwacji wnętrza zajazdu.

– *Precumi d'veli, vosinta ma ete sadne de.* – odparł uprzejmie Adaiel. Serwująca się zaśmiała.

– *Gasni vode da meca.* – puściła mu oko. – *Vointa da ogli teg.*

Adaiel niewzruszony siedział jak wcześniej, co się spotkało z grymasem dziewczyny, podobnym do zniecierpliwienia. Poszła zatem wodzić do siebie bardziej uległych bywalców.

– Co ci właściwie powiedziała ta tawernianka? – zaciekała się Iseren.

– Nic wielkiego, życzyła nam smacznego. I uznała mój kreoviański za odmienny, błazeński wręcz. – chłopak zaczął kręcić glinianym kubkiem w palcach. – Sama zresztą wiesz, językoznastwo to nie jest moja mocna strona. A kształcono mnie i tak tylko visildejskiego dialektu mowy Kre-

ovian. Całe szczęście, że trafiło na region, gdzie języka odmiana jest podobna do tej wykładowej, to mogliśmy się jakoś porozumieć.

– Spora to kraina, nie dziw mnie bierze, że z biegiem lat język przybrał różne sobie formy. Mniejsza o lingwistykę, zwołać ci naszych, by się podzielili zasięgniętym słowem?

– Byłoby wspaniałe z twej strony tak postąpić. Będąc już zebrani, powiem od razu gdzie ruszymy po konwokacji Komicjum.

– Zatem zdasz raport w stolicy?

– Owszem, Komicjum podejmie działania w kwestii tego co zebrałem. O ile, no.. Nieważne zresztą.

– Nie naciskam, Adaielu.

– Dziękuję zatem.

Iseren z zamiarem wstania, zasiadła z powrotem, gdy do ich stolika podszedł Hodhoke, pytającym wzrokiem rzucając na siedzących.

– Proszę, usiądź sobie. – Adaiel wskazał mu ławę.

– Twa wola, Adaielu. – Thaelrijczyk posłusznie przysiadł się do dwójki. – Pragniesz usłyszeć co wyrzekli mi podróżni?

– Oczywiście.

– Będzie tak jak życzysz. – skinął głową. – Mowę visildejową znało tylko dwóch. Kaznodzieja, nie przedstawił mi się. A także człowiek imienia Ulrij, najemnik z Usknavrailhy.

– Co ci powiedzieli? – zainteresował się Adaiel.

– Pominę cele ich podróży. – urwał, spoglądając wyczekująco na chłopaka.

– Och? Tak tak, nie ma potrzeby.

– Zatem. – podjął ponownie Hodhoke. – Kapłan mi wspomniał o naborach do armii, visildejowej zapewne. Mawiał, że szykują kampanie.

– Niedobrze.. – zmarszczył brwi Adaiel. – Kontynuuj, jeśliś łaskaw. Wybacz że ci przerwałem.

– Kontynuuję. Ten o imieniu Ulrij przekazał mi wieści z pierwszej dłoni, jak zapewniał, o waśniach na Północy. Wojną ciężko je nazwać, dwie strony nieruchome. Jedna nie zna terenu. Druga nie dysponuje nadto liczną armią. W woal cienia owinięci woje kruszą wroga patrol. Patrol sztandaru przeciw gniew pogrąża, a złość we wsie niewinne przelewa.

– Rozumiem.. Agresje na granicy, nie dochodzi już jak kiedyś do większych sporów. – Adaiel spojrzał smętnie na zawartość swojego kubka. – A wędrowny kapłan również o ulgę przyprawiających wieści



nie zapodał. Obawiam się, że nasza operacja trwała zbyt długo, być może kuria stronna konfliktowi zdołała wygłasować swój pogląd, skoro myśmy nie przedstawili jeszcze w rzeczowym ujęciu swych racji.

– Nie wszystko poszło na nic. – pocieszyła go Iseren. – Armia się szykuje, ale to nie oznaka otwartego konfliktu. A dowiodłeś kim są ci zamorscy najeźdźcy?

– Nie ma sensu cię trzymać dłużej w sekrecie. Mowa o imperium Inkarnów, odpowiedzialne za zamieszania na zachodnich wybrzeżach Kyrridei. Słyszałaś zapewne o Ejldhart oraz Calidorze, prawda?

– Obiło mi się o uszy. Podobno raporty dotyczyły tych samych sprawców.

– W istocie, dotyczyły, jednakże nie sposób nam teraz to wykazać po samych żołnierzach, haniebne byłoby ich poddać sekcji. Jednakże opisy łodzi, uzbrojenia i rys twarzy sugerują tu powiązania z jednym z przedwiecznych sprzymierzeńców pradawnego Khyire'de.

– Coś to jeszcze sugeruje?

– Cóż, poza tym co przytoczyłem, to jedynie ma obserwacja. Najeźdźcy nigdy nie wpłynęli na południowy zachód kontynentu, a jak z pism różnego pióra wiadomo była to część wpływów Maie'Orrône, które było albo wasalem albo częścią Imperium Khyire'de.

Iseren kiwnęła głową na znak zrozumienia. Chciała coś dodać, ale uwaga Adaiela przeszła na przybyłą do nich Svjetane.

– Widzę, że się zbieramy. Do wyjścia jak mniemam? – kobieta zasiadła między nich.

– Prawdą jest, iż w ponowną drogę zmierzać będziemy. – poparł Adaiel. – Lecz nim to nastąpi, czy udało ci się zasięgnąć języka?

– Coś się dowiedziałam, trudno jednak o sprawy ważne dla waszych uszu, konsyliarzu.

– Sprawa z pozoru błaha może okazać się istotna. Posłucham, jeśliś chętna streścić.

– Jak sobie życzysz. Ale właśnie, co z Halverdem? Zniknął mi z oczu po swoim występie. – zeszła z tematu Svjetane. – Myślałam, że u was już zasiadł.

Adaiel rzucił pytającym wzrokiem na Iseren.

– Może ty coś wiesz, Iseren?

– Nie wiem. Ale poszukam go. – dziewczyna wstała od stołu. – Postaram się rychle zjawić.

– Dziękuję. – uchylił głowy Adaiel. – Wróc cała i bezpieczna.

\*\*\*

Iseren po długiej chwili wędrowania po tawernie poddała się. Sprawdziła już każdy stół, kontuar, a także obejście przybytku.

„*Gdzież on jest? Miał przecież nie wychodzić.*”

Zaszłyszawszy wyjątkowo ordynarne przekleństwo po senvoldzku zwróciła w jego kierunku głowy, naiwnie licząc na obecność Halverda. Trafiło na róg przybytku, wyraźnie mijany przez tawernianki. Nie bez powodu, obecne tam towarzystwo solidnie popijało, każdy był dobrze uzbrojony. Wyglądali bardziej na wędrownych grasantów niż najemników, jasnowłose twarze plamił brud, co niektórym brakowało zębów, a co raz rzucane we wnętrze spojrzenia doszukiwały się zaczepki.

W normalnym okolicznościach Iseren dawno by już odwróciła do nich wzrok, gdyby nie siedzący między nimi Halverd.

„*No pięknie..*”

Iseren podeszła bliżej, mając zamiar przysłuchać się ich rozmowie, na ten moment skupionej na opowieści Halverda:

– ..No i mówię wam! Dwa sążnie bestia, zębiszczą jak groty włóczy..

– Halverd urwał widząc, że jego towarzysze wpatrują się za niego. – Coś nie tak?

– Zdrzy tam, jaka inkarska psyczka się tu przywałęsała. – jeden z Senvoldczyków uniósł prowokująco głowy. – Czegoż tu szuka?

– Do Halverda, kończ picie. Kapitan ma do ciebie sprawę.

– To heca niecodzienna. – prychnął nieznajomy Senvoldczyk. – Któż by zatrudnił Inkarna w Kreovii, co?

– Nie twój chędożony interes, jak to ładnie mogę ująć. – niewzruszenie odparła Iseren.

Przy zbiorowisku rozległy się gwizdy i okrzyki pełne uciechy.

– No no. Nie będzie ty taka zuchwała, dziewuś. Pozwala sobie, a kto sobie również pozwoli, by ci te uszka rznąć. Że ci nie wstyd się z nimi pokazywać!

– Ciekaw ja czymże wasza kasta zbrzydziła *Vingadi*, żeście z nieba pozpadywali. – dodał jego kompan.

Usta Iseren zacisnęły się, zmierzyła dwójkę ostrym wzrokiem.

– Drodzy męża, bez nerwu. – spróbował ich uspokoić Halverd. – Do burdy dojść nie musi, ja się z nią dobrze znam i zapewniam że to prawa dusza. Godnie prezentujemy naszą ojczyznę.

– Tfu! Gównu nie reprezentacja! – huknął jeden z nich. – Won stąd, jak się zamiaruje ty bratać z tymi warcholami!

– Czemu by nie. – na twarzy Halverda pojawił się bezecny uśmiešek. – Skoro mamy się rozstać przed regulacją rachunku..

Senvoldczycy spojrzeli po sobie z minami pełnego żalu co do przepędzenia Halverda.

– Głupiś, oceniać bajkami całą rasę. – pokręcił głową Harjstör. – Aż wstyd żem z wami do piwa zasiadł.

– Chodźmy. – ponagliła go szeptem Iseren.

Zaszurały stołki gwałtownie od wstających Senvoldczyków. Jeden na czele zaczął mierzyć się wzrokiem z Halverdem, zarówno Hajrstörm jak i drugi zaciskali ciasno pięści.

– Daj sobie ty spokój, Jarheld, nie warci. – mruknął do niego jeden z towarzystwa. – Dwójka i tak już odchodzi, prawda?

– Dokładnie. Odchodzimy. – poparła go Iseren.

Iseren szturchnęła Halverd by ochłonął i poszedł za nią. Mężczyzna z trudem spuścił gniewny wzrok z Senvoldczyków i powłóczył się za Iseren.

W połowie drogi Halverd zatrzymał Iseren uchylając usta, gotów coś powiedzieć.

– Ja.. – urwał, ponownie przybierając przybity wyraz twarzy. – E, nieważne.

– Stałeś w mojej obronie, to starczy. – mimo rąk założonych na piersi Iseren nie brzmiała na zirytowaną. – Nie widzę powodu by się silić nad wyjaśnieniami.

– No głupio zrobiłem, co więcej można rzec. – wydusił z siebie. – Dobrze że chociaż ty krzty masz rozsądku i..

– I nic. Stało się i odstać temu nie w sposób. – wzruszyła ramionami Iseren. – Chodź, po raporcie trzeba się stąd zabierać.

Dziewczyna poszła dalej, nim Halverd zdołał jej odpowiedzieć. Pozostało mu zatem dołączyć do niej i przybrać względnie niewzruszoną minę.

Po przysiąściu się na stołkach, konsyliarz nachylił się nad zebranymi. Zaproponował połączyć resztkę butelki między przybyłych, na co Svjetane

z wyraźnie uprzejmości dała przystać. Halverd z kolei bardzo ochoczo skusił się na jedną kolejkę.

– A więc, wszyscy jesteście. Halverdzie, pozwolisz że zdasz swą relację? – rozpoczął raport Adaiel.

Mężczyzna powstrzymał go ruchem dłoni, póki nie uchylił zawartości kubka, co konsyliarz bez nerwów uszanował.

– Pewnie, mości konsyliarzu. – Halverd chrząknął, nim ponowił mówić: – Podobno Visildeia planuje wpleść ciaśniej wiarę w Nyra wśród swoich lenników. Żem się dowiedział, iż z tego powodu Senvold zawarł przymierze z Usknavrailą, mają rzekomo rozdzielić wpływy na Północy między swoje władztwa i uwolnić swoich rodaków z nowo narzuconej opresji.

– Więc to zarzewie sporu co Północ w strzęp rozrywa.. – zamyślił się Adaiel. Coś jeszcze?

– To wszystko co warte waszych uszu. – odparł Halverd. – Cóż, nadzieję mam, że starczy. I tak coś tam wiemy. Nie, Adaielu?

Klepnął chłopaka po plecach, który uśmiechnął się niemrawo.

– Tak.. Coś wiemy. Dziękuję za pomoc.

– Żaden problem. – wyprężył się zadowolony z siebie Halverd. – Można by więcej takich zleceń, kapitanie?

– Nic nie obiecuję. Ale zobaczymy co Baiòna nam przyniesie.

– Gdzie leży ta Baiòna? – dociekła Iseren.

– W prowincji Sottalnoia. Nie pamiętam kto sprawował nad nią władzę.

– Ci, ten tego.. – wyrwał się Halverd – Potròmowie się zwali.

– W rzeczy samej, Halverdzie, wdzięczny za odpowiedź. – podziękował mu Adaiel. – Odnosnie poruszonego wcześniej tematu, Baiòna jest portowym miastem nad morzem Zakhvada, dobrze zaopatrzonym w jednostki morskie, także niecieńko tam o dodatkową parę mieczy, jeśli zajdzie potrzeba na takowych wynajęcie.

– Miasto portowe powiadasz.. Czyli to oznacza, że czekać nas będzie morska podróż? – nie kryła ciekawości dziewczyna.

Adaiel uśmiechnął się tajemniczo w ramach odpowiedzi.

## XI.

Na skraju skrytego w porannej mgle horyzontu zaczął majaczyć się długo wyczekiwany zarys miasta. W miarę zbliżania się do miejsciny w oczy rzuciła się jej gęsta zabudowa, co sugerowało nagły rozrost miasta w stosunkowo krótkim czasie. Powód tego zdarzenia również szybko się objawił – zaplecze portowe, w które zainwestowało Visildeia, bardzo korzystnie odbiło się na ekonomii regionu.

\*\*\*

W dokach wrzało, nieciężko było wpaść na tragarza, członka załogi statku czy legionistę. Z dala od pomostów, rozsiadło się czterech najemników, znużonych wielodniową podróżą.

– Nadzieję pokładam, że Adaiel jeno wróci. – mruknęła Svjetane wachlując się ręką.

– Bez obaw. – zapewniła ją Iseren. – Powiedział mi, że nie powinien długo szukać załogi. Zajdzie do zarządu morskiego i wybierze odpowiednią łódź. Zapewne zaraz wróci.

– Powiedział ci? No, chociaż do ciebie wciąż się odezwać nie brzydzi. – Halverd nie krył braku zaufania w głosie.

– Nie żywi do was urazy. – ucięła Iseren. – Myślę, że powrót do Komicjum źle mu sprawił, idzie mi o domysł, iż nie poszła obrada po jego myśli.

– Kupy się nie trzyma. – burknął Halverd. – Gdyby jego badanie nie spotkało się z aprobatą tych całych konsyliarzy to raczej by nie kontynuował swojego polecenia, nie?

– Racja.. Może w Komicjum mu zwyczajnie jest źle? – wysunęła teorię Iseren.

– Na zmory wszelkie, komu by nie było! Proste że źle, co tu wiele do myślenia. Rzucili młodego na głęboką wodę, licząc że sobie odpuści.

– To nie takie proste. Kurie konsyliarzy dzielą różnice poglądowe. Dlaczego mieliby posłać go na pewne niepowodzenie chcąc jednocześnie przeforsować swoją rację?

– Może to on wysunął pomysł z pokojowym rozwiązaniem? – wysnuła Svjetane. – Dlatego go zestawiono z czymś ponad jego kompetencję by się dostosował myślą do pozostałych.

– Może.. – Halverd zmarszczył brwi w namyśle. – A co sądzisz o tym, Hodhoke?

Zapadła cisza.

– Coś się stało, Hodhoke? – zaniepokoiła się Svjetane.

– Milczałem nie bez powodu. – odezwał się w końcu. – Nie winno nam siegać wzrokiem w dal obdartą z widoku. Dane jest nam mierzyć się z tym co teraz na horyzoncie gości.

– No.. niech ci będzie. – kobieta wyglądała na zbitą z tropu.

– Myślę, że Hodhoke ma rację. – wtrąciła się Iseren. – Adaiel nam wyjawi co uzna za słuszne.

– Mądrze gada. – poparł ją Halverd.

– A niech wam obu będzie. – zrezygnowała Svjetane. – Mędracy się znaleźli..

Halverd otworzył usta by dać jej znać co sądzi o jej komentarzu, lecz cała jego jak i reszty uwaga przeszła na zbliżającego się Adaiela. Zmierzający ulicami miasta już z daleka zdawał się być czymś przybity. Wypatrzywszy najemników, zmierzył do nich niespiesznym krokiem.

– Mamy szczęścia co do sytuacji? – spytała Iseren.

– W wyniku jakiegoś wyżej postanowienia łodzie wojskowe nie mogą opuszczać linii brzegowej. – odparł krótko.

„*Wojskowe? Podobno Legion nie miesza się do spraw Komicjum*”

– A autorytet konsyliarza? – zignorowała swoje myśli Iseren.

Adaiel westchnął.

– Cóż, było to postanowienie pretora, konsyliarza stojącego wyżej.

– Rozumiem. A zatem, co zro..

Urwała, gdy Adaiel posunął bez słowa w kierunku pomostu. Najemnicy zaskoczeni ruszyli za nim.

Omiał w niego nie wpadli na niego, gdy ten nagle stanął jak wryty. Parę kroków przed nimi stał władczo Inkarn, który właśnie przerwał instrukcję dla sędziwego żeglarza. Widocznie również wypatrzył Adaiela, bowiem w towarzystwie dwóch posepnie prezentujących się osiłków zbliżył się do chłopaka.

– No proszę.. – głos miał przeciągły, znudzony. – Młody Niyaranne. Trafił żywy do Baiòna.

– Iveon.. – zdołał powiedzieć Adaiel. – To ty..

– Tak, ja wydałem dekret w Visildejskim Zarządzie Stoczniarskim. – przerwał mu z rezygnacją. – Skoro już muszę opuszczać Komicjum z twojej zachcianki do sprawowania wielce zmian nad Visildeią, czemu bym nie miał zapobiec potencjalnych szkód z twojej winy?

Czoło przecięły mu bruzdy w niesmaku, niepasujące do urodziwych rys Iveona.

– Och, chyba nie kolidowało to z twoim zamiarem wygodnego wypłynięcia jednostką Visildeii, prawda? – dodał z sztucznym przejęciem. – Ale nie przejmuj się. Napewno jakiś niemiejscowy będzie chętny wyruszyć w kompletną nieznana. Za zapewne prawie darmo, czyż nie?

Iveon omiótł niechętnym wzrokiem po towarzyszach Adaiela.

– Ale „poszukiwaczy przygód” widzę żeś sobie dobrał.. – ciągnął niewzruszony, pozwalając sobie na pogardliwy ton. – A więc twoje ogłoszenia w tawerence jednak nie były totalnym niepowodzeniem? A zatem jednak opłacało się zainspirować piórem słynnych bajkopisarzy? Urocze.

– Skąd..

– Nyrelionie miłościwy, z kart biblioteki wszystko poznałem. I sam kustosz półzartem wspomniał. Osobliwie się przygotowałeś do wyprawy wypożyczając powieści awanturnicze, w końcu to wierny przewodnik po ziemiach cesarskiej mości, czyż nie? Twoi towarzysze zakrywali ci oczy jak puszczano wieś z dymem? Jak na rozstajach samosądni chłopci tłukli kijami do połamania swojego niegys druha, a potem jego półdobite truchło wieszali na gościńcu? Ale może zdołałeś się zderzyć z tym prawdziwym realia?

– Zdołałem. – Adaiel odparł z trudem.

– Och doprawdy? Zatem wierzymy nadal, że tawerna w tłocznym mieście to wspaniałe miejsce na narady co do iście ważnej sprawy? Nie oszukuj ani mnie ani siebie. Opuść sobie, pókiś wiele nie zdołał, a rozsądniejsze kurie trudu nie kosztował.

– Starczy, mości pretor. – przerwał mu Halverd. – pastwienie się nad chłopakiem niczego nie zmienia.

– Ty mnie chyba z kimś mylisz. – Iveon zmrużył oczy. – To próba przemówienia do rozsądku tego tutaj młodziana, nie szranki w celach materialnych. Inkarna nie cechuje tak płytka cecha jak kompetycja, najwyższej w sferze intelektualnej, której ugaszenia i tak tutaj nie doznałbym.

– Wiele wyjaśnia ta twoja maniera. Za swoją Khyire'de też walczyliście kwietnym słowem?

Iveon zacisnął usta.

– Sporo wiesz. I nie ukrywam, nieźle wygadany jesteś. – jego spojrzenie zdradzało, że spodobała mu się riposta. – Ludzie z Północy to doskonali żeglarze. Za ile cię kupił Adaiel?

– Dwadzieścia pięć saijvisów za tydzień. I pięć setek zaliczki.

Adaiel poruszył się niespokojnie.

– Nie przeczę. Co powiesz bym ci dał dwukroć tychże sum?

– Za sprzedajnego najemnika mnie masz? Nie da się mnie odkupić w trakcie wykonywanej roboty. Mam swoje zasady.

– Hm, człowiek interesu i honoru zarazem. Mógłbym wystąpić za pokojem na twoich ziemiach.

Halverd omal zaniemówił.

– Nie. Nie ma mowy. Słowo się rzekło.

– Twój wybór. – na oblicze wrócił mu ponownie kwaśny wyraz. – A prawie mi się spodobałeś

– I głównie mnie twoje upodobanie obchodzi.

– Waż swe słowa, przyziemcu. – syknął. – W odróżnieniu od Adaiela szanuję swój autorytet, nie pozwolę by byle kmiot mnie tak poniżał. Ten jednak raz ci jednak ujdzie na sucho.

Svjetane w porę uspokoiła Halverda nim zdołał mu odwarknąć.

– A tu, o proszę.. – złote oczy Iveona zwróciły się na Iseren. – Inkarn, jakże ciekawie. Szkoda, że dla garści monet skłonny się błaznić jako byle zabijaka.

– Kiepsko nas podsłuchujesz w tych tawernach skoro nie wiesz po co pracuję dla Adaiela. – uszczypnęła Iseren

– Nie wiem, bo nie interesuje mnie to. Nierozsądnie z mej strony właściwie odpowiadać. – Iveon zabrzmiał, jakby odpowiedź kosztowała go wiele wysiłku.

*„On żywi do nas urazę? Czy mu ją zalecono?”* – ukłula myśl Iseren.

Nie dokończyła wywodu, gdyż spostrzegła intensywną wymianę spojrzeń między Hodhoke a ludźmi Iveona.

– Uciśnieni. – Hodhoke rzucił do nich z urazą.

Dwójka nie odpowiedziała mu, ich ponory, tępy wręcz wzrok pozostał niezmienny.

Iseren za sprawą tego zdała sobie sprawę, że protekcja Iveona przypominała z urody samego Hodhoke. Śniada skóra, czarne włosy i wąskie oczy sprawiały że wyglądali prawie jak daleka rodzina.

*„To rodacy. Może z rozpadłego plemienia, które było ojczyste Hodhoke?”* – wysnuła.



Mina jaką przybrała do swej obserwacji musiał zainteresować Iveona, bowiem skrzywiony z niechęci grymas na jego twarzy zelżał.

– To Thaelrijczycy, wielu z nich jest Inkarnami. – wyjaśnił, widząc, że wzrok Iseren skierował się na niego. – Dobrze z nich mięśnie, nie śmia sprzeciwić się rozkazom swojego pana. I nawet Adaiel to wie, jak widzę. Rzekomo przeciwny niewoli swoją drogą..

Gdy padło imię Adaiela, chłopak drgnął, lecz pozostał milczący.

– Cóż.. Czas na nas. – Iveon stuknął straż po barkach, która jak odczarowana obróciła się za nim. – Może się jeszcze zobaczymy. Ale liczę, że do tego nie dojdzie, że sobie odpuscicie.

Iveon wszedł na pokład jednej z łodzi by wrócić do rozmowy z załogą obecnego tam statku. Najemnicy Aadaela, niepewni co dalej, oczekiwali reakcji ze strony chłopaka, aż w końcu Adaiel zdołał się zabrać z pomostu, nie rzuciwszy w ich stronę najkrótszym spojrzeniem.

\*\*\*

Czwórka najemników nie pamiętała ile czasu już przesiedziała z nogami przewieszonymi za portową rampę, łudnie licząc na powrót Adaiela. Przez chwilę zdołali go dostrzec prowadzącego rozmowę z kapitanami różnych statków, lecz równie szybko zniknął im z pola widzenia. Nie wyglądało również by na obecną chwilę chciał czyjegoś towarzystwa. Poza paroma pomysłami co do jego pobytu, czwórka nie rozmawiała ze sobą.

– Przyznam mu, dedykację chłopak ma. – przerwał w pewnym momencie ciszę Halverd. – Od zenitu szuka po tych łupinach za kimkolwiek skłonny do wypłynięcia poza Baiòna.

Nikt nic więcej nie powiedział.

– Co z wami?

– Zachowujesz się jakbyś nie był świadkiem tego co się właśnie zdarzyło, ot co. – warknęła Svjetane. – Ba, częścią byłeś!

– E tam, tak wyszło.

– Żadnych „tak wyszło”, tyś się z tamtym targował zwyczajnie! Co Adaiel ma sobie pomyśleć? Nie dziw mnie bierze, że nie chce z nami ostać teraz!

– No bo..

– Bo co! – przerwała mu zirytowana Svjetane.

Halverd zerwał się, rzucił wzrokiem po Iseren, jakby chciał ją również obwinić. Po chwili jednak zwiesił głowę zrezygnowany.

– Ech.. Wybaczcie, żem tak postąpił.. Brawura, głupota, wiele słów to opisze. A wciąż mi równie wstyd będzie.

– Słabości i błąd można zatopić. – podsunął Hodhoke.

– Wiesz – spojrzał na Thaelrijczyka z sympatią – kuszące, ale muszę przebrnąć to na trzeźwo. Dla.. Dla niego. Bom źle postąpił i teraz mi wskazane jest się dobrze zaprezentować.

– Nigdy nie rozumiałam dlaczego się kryjesz ze swoimi szlachetnymi pobudkami, miast tego właśnie urządzić. – pokręciła głową Svjetane.

– Tak już chyba mam..

Podnieśli bez wigoru głowy znad tafli wody, spoglądając po tłocznych dokach. Przez chmarę głosów w mowie visildejskiej Iseren wysłyszała narzekania po senvoldzku. Klepnęła w ramię Halverda i we dwójkę wsłuchali się w przebieg sprzeczki.

– Na zmore wszelką, ruszajmy stąd kurwa wreszcie! – rozniósł się krzyk po porcie. – Miasto portowe, ta mi wielce. Jeno się przypłynie to już ci stoczniowi obtrącają za łódź własną, miejsce na pomoście, przewóz. No się nie godzi!

– Co się nie godzi, zbudowali ktoś pomost to mogą się tak porządzać. I nie ma co żalić się gorzko, Alfryg, wszędzie tak jest. – zadudnił drugi głos, przywodzący na myśl wiekowego weterana. – Wracaj na targ, może ktoś się wreszcie nawinie i się odkujemy jeszcze.

– Na targ! Trzy tygodnie już myśmy tu przegnili bez saijvisa złamanego, a mówiłem, Legion nas by przyjął, wcielią każdego co miecz dzierżyć potrafi.

– Żadnego Legionu suczysyńskiego! No gdzie by nas wysłali, pomyśl no! Na naszych, bośmy miejscowi i wojska przeprowadzimy. A pókim tu żywym ja na żadną zdradę swoich nie zwołę.

– Voggtam, dajcie Alfrygowi już pożyc, się stara pomądrzyć jedynie. – wtrącił się trzeci, rzeczowo brzmiący, którego Iseren usłyszała lepiej gdy podeszła bliżej do kłótników. – Te, a co powiecie na kogoś spoza targu? Jeden co tak tu przewozem był, taki zbożowego pola dogładacz, on chciał na..

– Rzygam tym zbożem, co by nasze dziady powiedziały? Ich łódź, z postrachu mórz na tratwę przemianowaną!

– Czasy się zmieniły, Alfrygu. – westchnął drugi rozmówca. – Biermy, nie narzekajmy. Ważne by uczciwie zarobić. A bóstwa uczciwych nagradzają.

– Chyba nam cały skarb visildejski ześlą za nasze szarpanie o każdego saijvisa, dziadku. – prychnął Alfryg. – Kończmyże tą kpinę z usługiwaniem kupczykom.

– Nie kończymy, gdy tak nie powiem. Prawo najstarszego. – uparł się drugi głos.

– Na wszystkie szramy Yllira, niech ci twa zrzędła rzyć zbutwieje na pokładzie między worami mąki. – burknął w odpowiedzi Alfryg.

Iseren spojrzała po Halverdzie.

– Brzmi obiecująco.. – podsumował Halverd z uśmiechem, jakby usłyszał coś mu znajomego. – Ta ich łódka, całkiem to solidna jednostka odkrywca. Się mi pływało na takich. Gryzły nawet najsurowsze fale na Północy bez szwanku.

– Ufam twojej znajomości z żeglugą. Pójdę po Adaiela, ty się dogadaj z załogą. – poinstruowała go Iseren.

– Robi się, podkomendno. – wyprostował się z dumą Harjstör.

\*\*\*

Konsyliarza znalazła siedzącego bez ruchu na skraju pomostu, z nogami na krzyż. Na udach miał oparte ręce, którymi podpierał sobie brodę. Chłopak okiem sięgał w dal doków, trudno było powiedzieć jakie emocje nim teraz targały.

– Adaielu. – mruknęła Iseren, przykucając obok niego. – Znaleźliśmy ci załogę.

Unióś pozbawiony przekonania wzrok na Iseren.

– Halverd z nimi ponegocjuje. – kontynuowała. – Mówią w jego ojczystym, może też znają visildejski.

Cisza ze strony Adaiela stawiała się niekomfortowa. Iseren zasiadła obok niego, doszukując się gdzie chłopak mierzył wzrokiem. Wyszło, że obserwował dokerów zabezpieczających transporty z zacumowanego statku. Nieopodal dopatrzyła egzotycznie odzianego kupca, który energicznie gestykulując coś wyjaśniał średniego wieku Inkarnowi.

Siedzieli w ciszy niezwykle długo, dziewczyna za sprawą tego straciła poczucie czasu, a pierwotnie obserwowany statek już dawno wypłynął.

Adaiel w pewnej chwili poruszył się, przyjął mniej skrepowaną pozycję.

– Zaprowadzisz mnie do wspomnianej łodzi? – spytał.

– Tak. Chodźmy.

\*\*\*

Wróciwszy do Halverda, zastali go w połowie pełnej śmiechu konwersacji z Senvoldczykami, tak jakby znali się od zawsze. Parę uniesionych spojrzeń, sprawiło, że Halverd urwał między nimi rozmowę.

– O i są! – ucieszył się Halverd, gdy Adaiel z Iseren podeszli bliżej.

Halverd w następstwie szturchnął jednego, sędziwszego z gromady, szepcząc coś po senvoldzku. Starszy Senvoldczyk co któreś jego słowo kiwał głową, z wzrokiem utkwionym na Adaielu. Chłopak wyglądał jakby miał zamiar uciec z pokładu.

– Tyś jest ten konsyliarz? – sędziwy żeglarz okazał się być tym co miał głos starego weterana. – Zwą mnie Gillruj Voggtam. Wy znacie tylko visildejski?

– Zgadza się. – podjął rozmowę Adaiel, starając się o opanowany ton.

– Powiedziałem im co trza. – zapewnił chłopaka Halverd. – O reszcie drużyny, prawie Komicjum, dobytku i o trzymaniu tego w tajemnicy.

– Och, dziękuję.

– No ale do rzeczy. – wtrącił się Voggtam, z tonem na tyle uprzejmym ile pozwalało mu zdarte gardło. – Jako żem najstarszy z tej łodzi służę za szypera. Świadom, że możecie nam rozkazać wypłynięcie jako radczy, ale wasz druh Halverd zapewniał żeście o dobrym sercu i wynagradzacie swoich pomagierów. Brzydko pytać, ale czy można nam liczyć na waszą hojność?

– Oczywiście. Czy potrzebujecie czegoś konkretnego?

– Tego co wszyscy. Srebra, kosztowności.

– Myślę, że to rozwiąże sprawę zaliczki. – Adaiel zciągnął zdobiony sygnet z palca. – Na dowód, że nie zostawię was z pustymi rękoma.

Voggtam przyjął pierścień, z rozwartymi ustami przyjrzał się mu w świetle słońca.

– Giledyt, stop z czymś tam. – wymówił niewyraźnie, wsadzając pierścień między zęby. – Sporo wart, panie konsyliarzu.

– Wystarczy?  
– Ha, pewnie że tak! Kiedy wam trza ruszyć w drogę?  
– Najlepiej byłoby nam już dzisiaj.  
– Da się to załatwić.  
– Czy moglibyśmy też prosić o pomoc z przeniesieniem dobytku na pokład?  
– Pomożemy, pomożemy. Powiedźcie jeno mości konsyliarzu gdzie te wasze szpargały.  
– W stajni, na koniach. – Adaiel zwrócił się do Iseren: – Czy wypada mi prosić cię o zabranie wierzchowców na pomost?  
– Oczywiście. – zgodziła się Iseren – Wezwę już resztę drużyny. Hodhoke ma lepszą rękę do zwierząt.  
– Dziękuję. – dodał półgłosem na jej odchodne.  
Iseren odpowiedziała mu skinieniem głowy. Odwróciwszy się, zeskokczyła z gracją na pomost. Zawołała następnie Svjetane i Hodhoke, którzy w towarzystwie jej i garści Senvoldczyków ruszyli do stajni.

\*\*\*

Gdy na pokład została zciągnięta ostatnia juka z konia, załoga sprawnie poczęła rozwiązywać węzły z pali pomostu. Następnie rozwinęła żagiel i niekrótce po tym łódź z stęknieniem posunęła się po wodzie.

W tym czasie pod niewielkim daszkiem zasiadła drużyna w towarzystwie szypera, ślęczącego nad szkicami drogi morskiej od Adaiela.

– Na wszystkie zmory, każdy kompletnie inny od drugiego.. – mruknął Voggtam, sunąc palcami po mapach. – Na moje oko wyprawa zajmie nam z parę dobrych tygodni, jak nie miesięcy. Zapasów mamy na dwa miesiące, jeśli mogę liczyć waszej mości racje. A wierzchowców wam nie szkoda było tak zostawiać?

– Były własnością Visildeii. – wyjaśnij Adaiel.

– Aha. – Voggtam wrócił wzrokiem do map. – No, jeśli nas sztorm nie zabierze ze sobą, to winno się obejść bez żadnych poważnych nieprzyjemności. A co tam właściwie zamierzacie dokonać, konsyliarzu?

– Tajemnica państwowa. Mimo wszystko mogę zdradzić, iż poruszona jest też kwestia prywatna.

Ręce Adaiela zadrgały na blacie stołu.

– W takim razie nie dociekam. – odparł Voggtam. – Jakbyście mieli sprawę, to do mnie z nią. Nikt z załogi poza mną visildejowego nie zna.

– Rozumiem. Możecie odejść. Nie będę przeszkadzać w sprawunku nad łodzią.

– Doceniam, mości konsyliarzu.

Voggtam puścił stołu i wrócił do huczenia na żeglarzy, by bardziej przykładali się do swoich obowiązków. W obawie przed wiatrem Adaiel zabrał mapy pod przykryciem w postaci płatów wytartego futra. Skończywszy, udał się na krawędź łodzi by oparzyć się w samotności o burtę, głowę utwilił w kierunku oddalającej się Baiòny.

– Może mu potowarzysz? – podsunęła szeptem Svjetane, widząc że Iseren obserwuje chłopaka. – Wygląda na przybitego.

– Myślisz?

– No ta, wygląda. A co ty, baczenia nie masz? – kobieta potraktowała pytanie jako żart.

– Nie wiem. Może ślepa jestem mimo dobrego wzroku.

– Godna Halverda przemowa. – uśmiechnęła się.

– Co ja znowu? – obruszył się Halverd, słysząc że został wspomniany.

– Co ty, co ty. – przedrzeźniła go, zapominając o Iseren. – Nic nadzwyczajnego, za przykład mędrka co o dumnej minie nonsens opowiada dobrze słyszysz, ot co o tobie.

– Nonsens! – uraził się jeszcze bardziej. – Ty taka ociemniona jesteś, dla ciebie jasne jedynie to co się świeci, o! I nawet nie zrozumiesz tej obelgi!

Svjetane wybuchnęła śmiechem.

– Tylko potwierdzasz! No co ty opowiadasz!

Iseren nie miała już ochoty przysłuchiwać się przekomarzaninie dwójki. Cisza panująca przy Adaielu opartym o burtę zdawała się teraz dziewczynie bardziej atrakcyjna.

„Właściwie.. Nie zaszkodzi podejść.”

Dziewczyna zostawiła Halverda i Svjetane samych sobie opuszczając daszek. Długie ucho Adaiela drgnęło, wychwytując bliski krok po pokładzie.

– Czyżbyś czegoś potrzebowała? – zapytał, nie odrywając wzroku od widoku miasta.

– Spokoju. Śmiertelnego.

– Hm, spokoju.. Dlaczegoż to? Coś zdarzyło się byś go potrzebowała?

– To po prostu.. Nie, nic właściwie.

Konsyliarz kiwnął głową w ramach odpowiedzi. Iseren stanęła obok niego, wzrokiem śledziła lśniące wstęgi odbijającego się światła od powierzchni wody.

– Iście nietypową łódź znaleźliście. – skomentował po chwili ciszy Adaiel. – Nieznanego mi szkutnictwa, aczkolwiek tobie być może znajome?

– Znajome. To łódź senvoldzka, typowo odkrywcza.

– Cóż za łut szczęścia. – uśmiechnął się. – Iseren.. Nie zdołałem wam należycie podziękować.

– Za coś konkretnego?

– Za sprawienie nam tej łodzi. I.. Za zostanie przy mnie. Po tym co się stało.

– Masz na myśli Iveona?

Kiwnął bez słowa głową, w nieprzyjemnym grymasie, jakby spróbował czegoś gorzkiego.

– Koniec końców to my wyruszyliśmy pierwsi. Mimo, że miał do dyspozycji całą flotę w Baiòna. – odezwała się Iseren.

– Nie wiem.. Nigdy nie potrafiłem odnaleźć lepszej pozycji od przeciwnika za pocieszającą.

– Może i słusznie. Tacy jak Iveon żyją z tej konkurencji i też trzymają się porządanego dla ogółu poglądu, wbrew temu co tam opowiadał. Żyją tak jak oczekuje od nich otoczenie. Żyją tym otoczeniem.

– Ale osiągają sukces. – westchnął Adaiel.

– Sukces, ale bez intencji ku niemu.

Adaiel kiwnął delikatnie głową na znak, że rozumie.

– Pozostańmy na fakcie, iż zwyczajnie muszę przedstawić pakt pokoju na dworze zamorskiego imperium. – rzekł po chwili ciszy. – A także spróbować wyjść z tym lepiej niż Iveon.

– Właśnie. Dlaczego on również wyruszył?

– Werdykt Komicjum. I jego samej wysokość zarazem. Pozwolono by dwie strony przedstawiły swoje racje na dworze owego inkarnowanego państwa. Ja zamiar mam zaprezentować pakt o nieagresji, a Iveon ultimatum. I za sprawą decyzji dworu zamorskiego dana kuria mianowana zostanie do decyzji odnośnie dalszych poczynąń z owym państwem.

– Miałeś duże poparcie?

– Większe niż ostatnio, choć o podziale na połowę mowy nie było. Gdyby nie renoma ojca, pewnie nikt mi do słowa by nie pozwolił dojść.

– Ja myślę, że to coś więcej niż renoma.

– Och. Jakże miło mi to usłyszeć, Iseren.

Dziewczynę ukłuło, że, Adaiel spogląda na nią intensywnie. Iseren cofnęła się odruchowo.

– Czyżbym cię wystarszył? Proszę mi wybaczyć. – zmieszał się.

– Skądże. – zmyśliła.

– No dobrze. Lepiej wróćmy do reszty załogi, by sobie nie pomyśleli co dwójka młodego wieku.. Z resztą, to nieistotne.

\*\*\*

Od wypłynięcia otoczenie zdawało się pozostawać takie same. Z horyzontu zniknął wszelki zarys lądu, woda stawiała się coraz spokojniejsza i jak upierała się załoga – coraz bardziej turkusowa. W ciągu paru dni na statku Iseren przyzwyczaiła się do kłócej się z monotonią scenerii hałasu w postaci łopoczącego żagla na wietrze, huku fal uderzających o kadłub łodzi, a także wrzasku morskich ptaków.

Iseren, z wzrokiem tępo utkwionym na konstrukcji sufitu daszku, pozwoliła oddać się rozmyślaniom.

„*Ciekaw jestem co nas czeka po drugiej stronie..*” – zapytała samą siebie.

Uniosła głowy spoglądając na drzemiącego nieopodal Adaiela. Konsyliarz zasnął z książką na skrzyżowanych nogach, rycina ciężkozbrojnego Inkarna na jednej ze stronic woluminu zdawała się wyłapać wzrok Iseren.

„*Równie ciekaw jestem czy sam Adaiel wie.*”

\*\*\*

Parę dni później, za późnego ranka; Iseren z racji braku zajęcia, mimowolnie przysłuchiwała się szyperowi statku, na obecną chwilę zajęty był nawigacją łodzi.

– ..trzydziesty piąty Irmnasu.. – lustrował wzrokiem po wodzie Voggtam. – Słońce w drugiej trzeciej dłoni.. Zmienić kurs o pół łokcia w lewo!



Widząc jej zainteresowanie nawigacją, szyper podszedł do sterty futer, które służyły drużynie Adaiela za łóżka.

– Jak mniemam po wyrazie twojej buźki, znasz senvoldzki. – skomentował Voggtam.

– Owszem, znam. Dlaczego zmieniamy kurs, jeśli można wiedzieć?

– A, no według schematu z tych szkicy od mości konsyliarza mamy podobno mijać zaraz takie drobne wysepki, a tam lubi być płycizna.

– Czyli do większych lądów zostało ile?

– No cóż, to niemały problem oszacować. Niby przyjdzie nam to zrobić na podstawie tych mniejszych wysepek. Na razie żeśmy płynęli już od Irinasu, sporo to czasu na wodzie. Na najlepsze wiatry to już byłby prawie koniec żeglugi.

– Nie chcę nam odbierać nadziei, ale za nazwą „Archipelag tysięcy wysp” stoi zapewne dosyć oczywiste wyjaśnienie.

– Zapewne, niestety. – zmarszczył brwi Voggtam. – No, ale chociaż będziemy mieć do dyspozycji ląd. A jak ląd to jadło i woda do picia.

– Ciężko odmówić racji, szyperze.

Voggtam w pewnym momencie posłał parę prędkich spojrzeń po pokładzie, po których zapytał nachylony do dziewczyny:

– A wiesz co ten twój przełożony planuje? – rzucił półgłosem.

– Nie wiem i nie dociekam.

– Mhm. – wyprostował się. – Dobra, my tu ucinamy pogawędkę, a statek mam do nadzorowania. Wybaczcie że tak naszą rozmowę urwę.

– Nie śmiem się złościć. Lubię przebywać na oceanie, a niekoniecznie jego dnie.

Szyper na odchodne przymrószył oczy w dowcipnym uśmiešku.

\*\*\*

Któregoś dnia z monotonii na statku wyrwała dziewczynę zasłyszane powitania między żeglarzami a Halverdem. Jako że od czasu wypłynięcia odnosiła wrażenie, że załoga łodzi i Halverd znają się dłużej, była ciekaw czy wywnioskuje coś z ich konwersacji. Starając się wyglądać na niezainteresowaną ich obecnością, nadstawiła ucha na przebieg ich rozmowy:

– Halverdzie! Łódź niby mała, a jej skład ten sam, ale dobrze cię widzieć! – zawołał jeden.

– Edyryku! Gębę twą widzę na co dzień, a i tak mnie się jeszcze nie znudziła! – odkrzyknął mu ubawiony Halverd.

Żeglarze zarechotali.

– A jak na łodzi, pasuje? – zagadnął inny.

– Zacznie, a jakże! Że nie muszę co wieczór namiotu rozkładać, a co gorsze krzesła kurulnego z niego. I jeszcze ze swoimi siedzę. Co tu chcieć więcej?

– Krzesła kurulnego? A co to za wynalazek?

– Takie co się składa i rozkłada. Wstrętne dziadostwo, każdy palec sobie w nim co najmniej raz przykleszczyłem. No, mniejsza o mnie. Co tam u was w osadzie?

Żeglarze przybrali poważniejsze miny, zawahali się co do odpowiedzi.

– Rzekę wezbrało i.. Zabrała osady większość z nurtem.

– Zaraza.. Którzy przeżyli?

– Tylko ci co na łodzi są.

Zapadła cisza między nimi.

– Szkoda waszego Flædvith.. – westchnął Halverd.

– Halverd.. – wtrącił się jeden Senvoldczyk. – A ten konsyliarz, jaki on jest? Mamy się go obawiać?

– Adaiela? Skądże. – Halverd rozchmurzył się przy zmianie tematu. – On to taki niegroźny jak na radczego.

– Niegroźny konsyliarz. – prychnął Senvoldczyk.

– Daję me słowo, to pocziwy chłopaczyna. – zapewnił towarzystwo Halverd. – Płaci dobrze, nie wymaga niestworzonego. Ha, raz to mnie jarządówką poczęstował.

– Faktycznie, pocziwy chłopak. – wspomniany trunek przekonał żeglarza. – Jarządówka, ech.. Aleś mi smaka narobił.

– Mhm.. – poparł go inny żeglarz. – Weźmy do szypera zajdźmy, w dobrym humorze jest to nas antańkiem poczęstuje. Może nie tak wyszukany jak twój Adaiel, ale jakoś zbolejemy.

Zebrani ochoczo kiwnęli głowami i oddalili się w kierunku Voggta-ma. Dziewczyna odprowadziła ich rozczarowanym wzrokiem.

„Trudno ocenić czy to starzy znajomi.” – stwierdziła. – „Może się za dnia dowiem.”

\*\*\*

Iseren w towarzystwie konsyliarza analizowała w mileczeniu szkice lądów, póki z oględzin nie wyrwały jej nawołania o przygotowany posiłek. Żeglarze rzucili swe zajęcia i rozsiedli się po pokładzie.

Załoga chętniejsza była wizji odprężenia niż samego posiłku, jadano bowiem codziennie ten sam prowiant – suszone mięso, kwaszone warzywa i chleb rozmaczany w słabym piwie. Posiłek, z racji, że skromny nie ciągnął się za długo.

Już parę chwil później żeglarze sformowali swoje cowieczorne kółko, z zamiarem jak co zwykle zabicia leniwie płynącego czasu przy mocnym trunku. Iseren miała zamiar wrócić w wygodne futra, gdy któryś z Senvoldczyków zaprosił ją gestem do grona.

– Siadajcie. – zachęcił brzmiały rzeczowo żeglarz. – Polać ci?

– Lej jej, Ilfrosd. – odpowiedział za nią Halverd. – Iseren ma pewnie łeb równie mocny co ramiona.

– A ty skąd to wiesz? – Ilfrosd zastygł nad antałkiem z miodem.

– No, żem się o tym na własnej skórze przekonał. – przyznał się Halverd.

Senvoldczycy nachyli się wyczekująco nad Halverdem z rozbawieniem malującym się na twarzach. Harstörm westchnął i z niechęcią streścił im piętny pojedynek z Iseren. Skończywszy, pozwolił załodze wyśmiać się z niego i poklepać Iseren po plecach.

– Ha, to ci dopiero. – zarechotał Voggtam. – Pannica taka niepozorna, a widzę że ma nas czym zaskoczyć.

Iseren ścisnęła kubek z nietkniętym trunkiem, nie odezwała się.

– Te Voggtam, weźcie nam zdradźcie ile drogi zostało. – rzucił do szypera Alfryg. – Bo bym wreszcie rozprostował nogi na stałym lądzie.

– No się sprawa komplikuje. – podrapał się po głowie Voggtam. – Mapy są jakie są, bardziej to jak obrazki patykiem po piasku niżby coś na czym można dobrze płynąć. Tak naprawdę nie znamy za nic skali, ba tego co nas po drodze czeka.

– Optymistycznie. – uszczypnął Alfryg.

– Lecz na smutki jest jedno remedium. – wtrącił się wesoło Halverd, ku uciechu załogi.

Svjetane przewróciła oczami.

– Ale z umiarem, panowie. – oponowała na ich zamiar kobieta. – Pamiętajcie, jesteśmy pośrodku nieprzewidywalnego oceanu. Musimy być w pełnej gotowości.

– Nasze pradziady piły tak od zawsze. I co? – wstał żeglarz poklepując się, tak jakby sprawdzał czy jest materialny. – Żyjemy!

– Ta, życie. – prychnęła Svjetane. – Boście wychowani przez prababki, albo paru rozsądniejszych co nie rozbili się na skałach pośrodku niczego w imię beczki piwa.

– Aj milcz, babo bez krzty humoru. – machnął na nią ręką jeden z załogi. – Lejcie, panowie! Jutro może nas sztorm zabrać, a rybki pijane pływać nie winny! Opróżniamy beczki!

– Na umór! – ryknął kolejny żeglarz.

Zebrani wypili po kolejce. Iseren z początku niechętna, postąpiła jak reszta. Oczekiwała podłej goryczy, którą zwykle zapewniały jej podstawiające trunki na statku. Poczuli się wręcz zaskoczona, gdy usta wypełniła jej egzotyczna nuta owoców.

– Ha, posmakowało, co? – zagadnął rubasznie Halverd, który monitorował jej reakcję.

– A cóż to za trunek? – dociekła dziewczyna.

Halverd szturchnął jednego żeglarza kierując go ku dziewczynie.

– Się pyta co pijemy. – wyjaśnił powód zaczepki.

– A, to spieszę pannie odpowiedzieć. To było pierwotnie na sprzedaż przeznaczone. Swego czasu żeśmy mieli płyty futer z osady, a jak zajrzeliśmy w, ten tego..

– Irvnanto! – podpowiedział przysłuchujący się im żeglarz.

– Dokładnie, wielkie dzięki, Idyr. Kupiec Voggtamowi mówił że to lokalny specjał ich, go zwali *Vythasvrég*, Topielec jak mu handlarz pocziwie ze swej strony potłumaczył.

– Skąd decyzja na taką nazwę?

– A my nie wiemy. Ale dobry, to co się zastanawiać!

– To co. – Halverd zajrzał do jej pustego kubka. – Nalać ci?

– Nie. Już mi starczy.

– Ha, już? – zarechotał Idyr. – To jednak te wymysły o słabych łbach Inkarnów wymyślone nie są.

– Kto od picia stroni, tego śmierć dorwie bez broni, o! Tak się u nas mówi. – pouczył ją żeglarz.

– Każdy tu ten nasz, więc co nam wielce ciekawostki sprzedajesz, ciele jeden. – inny Senvoldczyk sprostował go. – Iseren też, bo mi Hajrstör mówił.

– Ona też? – zdumiał się. – A to ona skąd pochodzi? Bo podobno Inkarny domu nie mają swego.

Iseren zadrgały ręce, nic nie powiedziała.

– Te, Ovlan! – okrzyczyło go paru z załogi. – Gdzie takie obelgi do panny?

– Obelgi! – powtórzył rozeźlony. – Zwykle stwierdzenie, a się oburzacie, jakbym się jej do matki dobrał. Się zaraza, rycerze błędni znaleźli.

– A co, kurwie też powiesz, że kurwa jest?

– Powiem. Bo to stwierdzenie, a jak, inaczej jest?

– No nie jest. Ale się tak zwyczajnie nie mówi. – Halverd zarechotał z jego odpowiedzi. – Taki duży, a kultury go trzeba uczyć.

– Żebym ja cię zaraz kultury nie nauczył, koniojebco. – Ovlan odgryzł mu się, ku uciesze zebranych.

Iseren opuściła dyskretnie grono, zauważając, że przekomarzanina eskaluje.

*„Oby o broniach przy pasie sobie nie przypomnieli.”*

Zaszła do skąpanej we wieczornym półmroku części statku, by obejrzeć wielobarwne niebo. Mieszanina kolorów przypomniła jej o szlachetnym kamieniu, który kiedyś pokazał jej ojciec.

*„Skąd ta nagła myśl o Rannuldun?”* – spróbowała dociec od samej siebie. – *„Zostało za mną. I zostanie.”*

W pewnym momencie dostrzegła ruch nieopodal, instynktownie sięgnęła po miecz. W sylwetce rozpoznała Hodhoke, palce puściły broni.

– Nie spodziewałaś mnie się tu. – odezwał się Thaelrijczyk. – Ani ja ciebie.

– Chciałam odetchnąć od towarzystwa.

– Rozumiem, że mam pójść.

– Nie. Możesz zostać.

Hodhoke kiwnął głową, znieruchomiał. Siedzieli długo w ciszy, Iseren nie miała zamiaru jej przerywać. Gdy się ściemniło, wróciła między futra, doceniając je bardziej przy wzbierającym się lodowatym wietrze.

Pod daszkiem zastała Adaiela, który machinalnie wręczył jej skrzydło czytanej książki. Mimo że nie miała ochoty czytać, zmusiła się do przejścia paru wersów:

*„Maldhi Bagh’aie, wraz z nim jego wierni bracia szamszira Fjidhie, Zifhre, Kalaieb i Beylaih i wielu co o imiona ich ciężko było dociec sławetnego dnia czterdziestego szóstego Iebenasu cisnęli rękawicę burzy z*

piasku, urokiem bluźnierczym wzmożony żywioł co o udrękę przyprawiał Szacha Eryda, jego Shiigan, Alnamshdue, Qhuirdqille, Ghu'urduil i lenna inne co jemu były poddane. Kompanię Maldhiego Bagh'aie najął ów Szach Eryd, by potworność na piaskach zgładzili i czarami burzę oswobodzili. Wir piachu śpieszny co oka mrugnięcie był, dręczył bydło, uprawę, parobków, studnie, chałupy strzechę, a także inne co pod pieczę szacha było. Baile-Ghesiyai, bowiem tak rzekomo zwało się monstrum co piaskową potworność wyczarowało, niesławy już nabrał swą sprzeczną Jemu, co zarzewiem wszelkiego bytu potwornością, przed wojową eskapadą Maldhiego Bagh'aie wytarł do pyłu drobnego drużynę szachową, dzielnych mistrza czaru z Vsyindhai, nieszczęsnych dwudzieścioro pod komandą Sashijira i wielu co piórom umknęło, a ośmielili się przekraczać kręgi potężnej magiji Baile-Ghesiyai.

Duch może i dysponował magicznym władaniem niepodważalnie silnym, magija jego jednak niczym była w równaniu do błogosławienia Jego samego Życiodajnego co nas nieraz z niełask i nieszczęść wyswobodził. Maldhi bowiem, bez wątpliń żadnych, wiary rakhsvadzkiej wierny był całe swe żywocie, ceniał jednakże cuda i antyczary z Visildejowego kręgu..

Przerwała lekturę, uderzyła ją nagła myśl.

„Magia. Znów o niej dane mi słyszeć..” – zamyśliła się. – „Może i przekoloryzowana ta powiastka, ale autor jej zapewne musiał na kimś wzorować jej władanie.”

- Coś cię trapi? – Adaiel również przerwał czytać.
- Nie, musiałam jedynie przemyśleć fragment tekstu.
- Potrzebujesz go ze mną przeanalizować?
- Rozumiem. Chciałabyś wrócić do czytania?
- Nie. I tak jest za ciemno.

Iseren zmęczyła obecność chłopaka, padła w futra obok, słuchając szelestu kartek. W pewnej chwili przestała słyszeć stronnice.

- Napewno dobrze się czujesz? – upewnił się konsyliarz.
- Tak.
- Jeśli dręczy cię mdłość morska, Svjetane zna remedium.
- Nic mnie nie dręczy.
- Skoro tak uważasz.

Iseren zamknęła oczy. Starła się długo zasnąć, lecz przeszkadzała jej zabawa żeglarzy. Wzdrygiwała się za każdym głośnym śmiechem,

krzyknięciem, łupnięciem w pokład. Nie miała ochoty wstawać, pozostała więc leżąc w bezruchu.

Ulżyło jej, gdy usłyszała kroki tuzina osób po pokładzie, wreszcie szli spać. Wtuliła się w futra, pochłaniając się wrażeniu, jakby rozpływała się z nimi w jedność. Wyimaginowana ciecz mieszała się przez chwilę zdającą się być wiecznością, aż w końcu wsiąknęła do nocnego marzenia.

\*\*\*

Następnego dnia, o świcie; Iseren ze snu wyrwało zamieszanie na pokładzie statku. W dalszej części rozmowy wysłyszała rozkazy szypera, rzucane po senvoldzku:

– ..Zmieniać kurs! Trzy łokcie na północ! – dyrygował załogą Voggtam – Wyciągać wiosła, musimy przyjąć dziobem ląd!

– Tak jest, szyperze! – odkrzyknął mu żeglarz, biegnąc przez pokład.

Iseren obudziła resztę śpiących, w moment stawiając drużynę na nogi. W towarzystwie Adaiela i Halverda wyszli naprzeciw Voggtama.

– Zgaduję, że was nasze krzyki obudziły. – rzekł na powitanie szyper. – Wybaczcie zatem nasze hałasy.

– Och, nie. Nie mamy szyperowi nic za złe. – zapewnił go Adaiel. – Słyszeliśmy natomiast, że dostrzeegliście ląd. Jak długo potrzebujecie czasu na uzupełnienie zapasów?

– Zapasów? – zdziwił się szyper. – To co, nie lądujemy na długo?

– Nie. Zmierzamy do stolicy.

Voggtam zacisnął usta.

– Spróbujemy tego samego dnia ruszyć, zależy co na wyspie znajdziemy. – podsumował. – Albo co nas znajdzie.

– Sugeruje zatem się nie zapuszczać dalej niż trzeba. Nie przyświeca nam, przynajmniej mi intecja eksploracji.

– Nam przyświecać będzie taka sama.

– Dziękuję za zrozumienie.

– Żaden problem, mości konsyliarzu.

Wróciwszy pod daszek, Adaiel stanął nad mapą w asyście Iseren. Nie wyglądało jednak na to, by szkic wybrzeża miał przynieść im jakiegokolwiek odpowiedzi.

– Mapy niewiele nam powiedzą. – mruknął konsyliarz z niezadowoleniem. – Martwi mnie kwestia zamieszkania tych wysp.

– Myślisz, że mogą czekać nas nieprzyjemności z mieszkańcami? – poruszyła Iseren.

– Obawiam się, że tak, wielce prawdopodobne jest, iż spodziewają się wendety za swoje najazdy. – odparł Adaiel. – Mam jedynie nadzieję, że Iveon ma zamiar deklarować agresję w sposób mniej bezpośredni.

– O ile tu dotrze.

– Być może już dotarł. – chłodny wyraz, który przybrał Adaiel nie pasował do jego twarzy. – Miał do dyspozycji sprawniejsze okręty. Ba, mógł posłać całą flotę, z zamiarem podboju mniejszego posterunku, w ramach wypowiedzin wojny. Co już odchodzi od moich nadziei.

– Zapewne w takiej sytuacji nie postawi stopy na pokład.

– Może. Mimo wszystko, wybaczone te spekulacje, Iseren. – urwał temat Adaiel.

– Nie mam nic za złe. Warto jest pomyśleć nad tym co nas czeka.

– Racja. – posłał jej ciepłe spojrzenie.

*„A czekać nas będzie wiele zapewne.”*



## XII.

Pierwsza styczność z lądem nie ucieszyła Iseren, jak pierwotnie zakładała – musiała bowiem brodzić ładnych kilkadziesiąt kroków przez wodę do kolan. Była to jedyna opcja, by móc wciągnąć łódź na ląd, jak zapewniał wszystkich Voggtam. Załoga, zresztą jak najemnicy również zachwycona z tego powodu nie była. Znalawszy się na lądzie, żeglarze z wsparciem czwórki najemników poczęli wciągać na sznurach statek, by ulokować go ostrożnie na rozgrzanym piaszczystym brzegu.

Dopiero, gdy łódź stanęła w bezruchu, a zebrani pozbierali siły po szarpaniu się z powrozami, Iseren zdołała się skupić na otaczającym ją krajobrazie.

Mimowolnie szukała w nim podobieństwa do Kyrridei – najbliższy obraz przywodził jej wizję południowych wybrzeży, jedynie z racji na żywą, ciepłolubną roślinność.

Wodziła wzrokiem po piaszczystym brzegu, ostro wcinającym się w skarpe, na której rosła obficie flora. Wśród typowo prezentujących się roślin wypatrzyła co niektóre osobliwie wyglądające, często o wielkich, mięsistych liściach.

– Czyżbyś się czegoś dopatrzyła? – zainteresował się Adaiel, wyrывая ją z obserwacji.

– Wygląda na to, że wyspa z tej części nie jest zamieszkała. O ile w ogóle jest.

– Co to sugeruje?

– Gęstość zieleni. Taki gęszcz nie rósłby jednolicie będąc deptany. Wątpię zatem czy napotkamy chociażby tutaj większego rozmiaru zwierzęta.

Adaiel kiwnął powoli głową, ściągając usta w wyraz podziwu.

– Myślę, że powinniśmy dokonać rekonesansu na tymże terenie, by dowieść, czy to tylko jeden wyjątkowo odludny skrawek lądu. – zasugerował po chwili. – Pomogłabyś zebrać ochotników i wyznaczyć sektory?

– Oczywiście. To oznacza, że zostajesz przy statku?

– Muszę wykazać, gdzie dokładnie trafiliśmy, wyznaczymy dzięki temu chociażby dystans między Kyrrideią a archipelagiem. A poza tym, wiemy przecież, że do dobrego wędrowca mi daleko.

– Wydaje mi się, że lepiej do takiej analizy zabrać się w terenie, w końcu czym zamierzasz tą identyfikację utwierdzić?

– Brzmi to jakbyś chciała się ze mną przejść. – zasugerował ostrożnie Adaiel.

– Nie bądź śmieszny. – sapnęła Iseren. – Tak będzie po prostu praktyczniej. Badając osobiście, bardziej precyzyjnie zidentyfikujesz wyspę, niżby w oparciu o nasze raporty.

– Brzmi rozsądnie. Mimo wszystko weźmiemy pół tuzina z żeglarzy. I nasza drużyna, złożyło się, że również liczyć będzie sześciu.

– I rozdzielimy się po przeciwnej krawędzi wyspy? – dokończyła za niego Iseren.

– W rzeczy samej.

\*\*\*

Plan dosyć szybko wcielono w życie; ochotników nie brakowało, zatem Adaiel zdecydował by to Voggtam wybrać paru z załogi, których uznał za najbardziej kompetentnych. Sam szyper zaś, pozostał z pozostałymi przy statku, który w trakcie zwiadu miał zamiar poddać względnej konserwacji.

Idący badać ląd mieli również znaleźć sposób na uzupełnienie zapasów, jeśli to możliwe. Najemnicy i szóstka wybranych żeglarzy machnęła reszcie załogi na pożegnanie, nim ruszyli w nieznana.

Drużynie Adaiela od opuszczenia okolic statku towarzyszył jedynie dźwięk szumu morza, zajęci obserwacją nie odzywali się do siebie. Pannując długo już ciszę przerwało sapnięcie Halverda:

– Dobrze bogi! Ale gadzina! – pokazał palcem po znikającym w zaroślach zwierzęciu. – Na półtora łokcia co najmniej był!

– Fauna widzę, że też ma sporo dziwu do zaoferowania. – skitował równie zafascynowany Adaiel.

– Ciekawe jak z zieleń. – rozmyśliła się Svjetane. – Z tak bogatą zielenią na pewno wykazali już tu remedium na bogowie wiedzą co.

– Hm, może się poznamy na dobrodziejstwach tych wysep. – dodał Halverd. – Jakies zlecenie na zasięgnięcie języka u miejscowych, mości konsyliarzu?

Adaiel odpowiedział mu tylko rozbawionym spojrzeniem, póki nie wrócił chłodniejszym wzrokiem na szkice wybrzeży. Szli jeszcze

kawałek, póki Adaiel nie stanął przed formującą się w oddali zatoką, porównując widok przed nim z mapą.

– Coś nie tak? – zapytała Iseren.

– Właściwie to wręcz przeciwnie. – odrzekł, czymś widocznie uradowany. – Zobaczcie, ujście rzeki, zatoka. Zupełnie jak na mapie, wyraźnie starano to uchwycić. Jesteśmy na Bantaihan, dosyć kluczowej dla nas wyspie.

– A co ją czyni kluczową? – dociekała Iseren.

– Znamy swoje położenie, a zatem mogę powiedzieć, że pozostało nam parę dni drogi do Tanung, głównej wyspy. Pozostaje tylko gorsza kwestia.

– Cóż takiego?

– Najkrótsza drogą odsłania nas z zarośli, będziemy tak naprawdę przepływać między miastami. Nie ma mowy, że to osiągniemy bez konfrontacji z miejscowymi.

– Jakoś sobie poradzimy. – nie przejął się Halverd. – Voggtam wie jak pływać, on to rozplanuje.

– Wspaniale mi to wiedzieć. Choć wciąż dręczy nas inny problem, co prawda mniej istotny. Mapy są iście nieaktualne jeśli chodzi o rozmiary i ułożenie miast, część mogła się rozpaść w ciągu setek, czy nawet tysięcy lat. Mając być szczery, nie wiem na jaki rok mogę datować oryginalną mapę.

– E tam, trudno i o mapy czegoś naszego. – zbył go ponownie Halverd. – Był ten, no, Macair. Potem paru kartografów ze wschodu najejonych i na tym ostało. Mało kto ma zapału na takie eskapady.

– Macair nie był czarownikiem? – wtrąciła się Iseren.

– Był, rzekomo. Ale zakupił sobie sporo renomy w Komicjum swoimi szkicami lądu kyrridejskiego.

– Rozumiem. Szkoda przerwać temat, ale zeszliśmy z poważniejszej sprawy. – zwróciła się do konsyliarza: – Jaki plan, Adaielu?

– Uzupełnijmy zapasay, na życzenie Voggtama. Wróciwszy, czekamy na drugi zwiad. Myślę, że możemy tutaj pozbierać sił do dalszej podróży. Bantaihan jest względnie bezpiecznym miejscem, niezamieszkały, położony na brzegu archipelagu. Zatem na wyspę nie miałby nikt powodu przyplýwać.

– A potem czas przyniesie co dalej. – dokończył Halverd.

– Dokładnie. – poparł z sympatią w głosie Adaiel.

Adaiel po wykonaniu paru zmian w swojej wersji mapy, posłał najemników w gęstwinę, zalecając odszukanie jedzenia. Polegając na intuicji Svjetane grupa zebrała najbardziej znajome kobiecie owoce. Do jej decyzji wtrącił się kilkakrotnie Hodoke, część z ich znalezisk odradzał zbierać. Pytania Halverda i Svjetane skąd znał te owoce przemilczał.

\*\*\*

Do obozu wrócili po zenicie; pod ich nieobecność załoga statku powyciągała się z statku, postarali się o prowizoryczny namiot z zapasowego masztu, przypominający bardziej stragan na bazarze. Pod nakrycie zostały wniesione beczki oraz worki, przeznaczone wkrótce na przyniesione owoce. Zapełnione trafiały z powrotem na pokład.

Voggtam w towarzystwie Adaiela lustrował wzrokiem po przenoszonych zapasach. Pracująca nieopodal Iseren mimowolnie wsłuchiwała się w przebieg ich rozmowy:

- Paręset kroków stąd biegnie rzeka, szyperze. – wyjaśniał mu Adaiel.
  - Zatem proponuję wysłać paru silniejszych z waszej załogi, niech nabiorą wody do beczek.
  - Dobry pomysł, mości radco. Pozwolicie, żem do tragarzy wezmę Harjstöra i Iseren. Rosła baba z niej.
  - Oczywiście. Hodhoke mógłby również okazać się pomocny. – widząc minę kapitana dodał: – Thaelrijczyk.
  - A, no wygląda krzepko. Zwrócę konsyliarzowi drużynę do zmierzchu.
  - Nie mam nic przeciwko, szyperze.
  - To mi potem wyjaśnijcie co i jak, jaki mamy kurs brać.
  - Możemy się zająć tą sprawą już teraz.
  - Prowadźcie. – Voggtam pokazał mu dłonią po wejściu na pokład.
- Dwójka wychodząc spod namiotu przestała być słyszalna dla Iseren. Dziewczyna zatem wróciła do zabijania dna beczki.

\*\*\*

Do wczesnego wieczoru statek był już zaopatrzony, tak jak zapewniał Adaiela szyper. Załoga, zmęczona noszeniem beczek, zasiadła ściśnięta przy ogniu, szybko zauważając, jak ciepłe dni na archipelagu konfliktują

z zimnymi nocami, przenikliwymi zwłaszcza przy odsłoniętym na wiatr wybrzeżu.

Świeże jedzenie poprawiło nastroje wśród ekspedycji – na kolację przygotowano owocową potrawkę, zającą chlebem. Z racji nowego przypływu morale, do posiłku wkradły się wygłupy i praktycznie nieustanne śpiewy, część z nich była improwizowana, by opiewać nieznane im wciąż lądy.

Z dala od zgiełku przysiadła Iseren, niekrótce dołączył do niej Hodhoke z Adaiem. Konsyliarz sprawiał wrażenie zaciekawionego pieśniami.

– Ciekawe co takiego poruszają ich piosnki. – skomentował po chwili obserwacji w ciszy.

– Gdybyś wiedział, to raczej taka ciekawość by ci nie towarzyszyła. – odparła.

– Skąd taka pewność?

– Bo poruszają ucieczki prostego człowieka. Napić się, współżyć, czymś zasłynąć.

– Oponowałbym czy to ucieczka. Raczej droga, której nie pojmujemy za właściwą.

Iseren nie kryła zaskoczenia jego odpowiedzią.

– Bardzo to.. Tolerancyjne. Nie wiem czy wypada mi to poruszyć – zaczęła ostrożnie – ale od czasu wyprawy zdajesz mi się być, hm, bardziej stateczny.

– Och, doprawdy? Nie myślałem, by to było zauważalne. – przyznał, choć na jego twarz wkradł się skromny uśmiech z dumy. – Jednakowoż Nie czuję w sobie żadnych drastycznych zmian. Od kiedy pomawiam z Hodhoke, po prostu myśli mam bardziej klarownie. Czuję jedynie jakbym miał tak czynić od zawsze.

– Ciekawe. Trudnym zadaniem móc jest z nim stale ciągnąć konwersację. – zniżyła głos Iseren. – Hodhoke, bez urazy do niego, ma dosyć ograniczony visildejski.

– Nie, dzięki tobie nie jest. Pomogłaś mi dostrzec w prostym słowie kompleks. To z kolei otworzyło mi wrota ku naukom Hodhoke.

– Zatem, co nauczył cię Hodhoke?

– Jeśli pozwolisz, wolałbym to pozostawić między mną a nim.

Iseren tylko kiwnęła w zgodzie. Spojrzała po Thaelrijczyku, nie słuchał ich. Zdawał się być pogrążony w obrazie coraz to lepiej widzialnych gwiazd na ciemniejącym niebie.

– Hodhoke czeka na znak Proroka. – wyjaśnił Adaiel, widząc gdzie dziewczyna mierzy wzrokiem.

– Och. Przyjąłeś jego wiarę?

– Nie. Prorok nie był bogiem, a głosem, jak sam wyjaśniał mi Hodhoke.

– Wierzysz jak on w gwiazdy?

Adaiel uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie wierzymy w gwiazdy. Ani ja nie znam czy podzielam jego wierzeń.

– Więc wspólny wam jest tylko nurt myślowy?

Kiwnął głową.

– Może aż. – uzupełnił z zadumą.

– Do twarzy ci z tym obliczem myśliciela. – skomentowała Iseren, burząc jego zamglony profil.

– Zapewne prawdę mówisz. Pewny jestem, że pasuje mi do duszy. – Adaiel nabrał bardzo spokojnie powietrza.

– Widzę, że bardzo cię zaangażowały nowe nauki. – skwitowała Iseren. – Przez światła ogniska ciężko mi oglądać niebo. Co powiesz by się nieco przejść po wybrzeżu?

– Z chęcią, Iseren. – odparł pogodnie. – Hodhoke na razie składa modlitwę, i tak winno nam go zostawić samemu swoim myślom.

Wstając, musieli przestępować ostrożnie parę kroków, by nie trącić czy obsypać piachem skupionego na modłach Thaelrijczyka. Z niebem w pełnej okazałości nad głową Iseren dała pochłonąć się widokowi firmamentu, jak u jej boku Adaiel.

\*\*\*

Postój na Bantaihan trwał wczesnego ranka, tak by każdy z załogi mógł odespać wartę. O dziwo wczorajsza noc obeszła się bez ostrego picia, zatem Voggtam mógł na palcach jednej ręki policzyć wczorajszych jeszcze żeglarzy, nim tą ręką ich zdzielił do pobudki.

Zabranie się z powrotem na statek odbyło się stosunkowo szybko – do przedpołudnia szalupa trafiła z powrotem między morskie fale, a na jej pokładzie zrećźnie uwijała się załoga statku, by pod stałymi krzykami szypera utrzymać porządany kurs.

Pod chwilową pieczę Halverda nad załogą, Voggtam stanął, jak wiele razy wcześniej, nad rozłożonymi mapami wybrzeży.

– No, to plan staje jaki podaliście, konsyliarzu? – upewnił się szyper.  
– Niezmienny, szyperze. Nie ukrywam, że sporo nim ryzykujemy. –  
odpowiedział mu Adaiel.  
– Dobrze żeście chociaż świadomi tego, radco.  
Adaiel zignorował komentarz Voggtama.  
– Zatem, jak mówiłem. Widząc gęściej zabudowaną miejscinę zakreca-  
my łódź w jej kierunku.  
– Napewno z uśmiechem nas nie przyjmą. – skrzywił się. – Ale  
chłopcy się obronią.  
– Tylko jeśli nie będzie innej opcji. Mamy się oddać komukolwiek  
kto nam wyjdzie na czele. Potrzebujemy dostać się na dwór w Tanungu.  
– Eh, nie dociekam czemuż to tak sobie wymyśliliście. – machnął  
ręką. – Zrobię jak chcecie. Postaram się to pojąć.  
– Dziękuję, szyperze.  
Voggtam skinął mu głowy na odchodne, wracając między załogę.

\*\*\*

Pierwsze zabudowy na wyspach wypatrzyli dwa dni później. Poczęły  
wyrastać w postaci skromnych trzciniowych chatek, niekrótce jednak ze  
statku widywano większego rozmiaru domostwa z gliny. Niepokój nara-  
stał wraz z mijaniem większych miejscin, Adaiel jednak pozostawał przy  
tym by nadal płynąć naprzód. W międzyczasie na własnej kopii mapy  
rozrysowywał wykaz mijanych miejscowości, które ku ich nieszczęściu  
znacząco różniły się od tych z sprzedwiecznej wersji rysunku wysp.

Iseren przykuł fakt, jak Adaiel począł znosić te trudności – z niezwy-  
kłym spokojem, zupełnie jakby otaczające go realia straciły cały ciężar.  
Mimo, że samemu wystarczająco sobie radził, Iseren starała się dawać  
mu rady przy planowaniu trasy morskiej, które zarówno on jak i  
Voggtam bardzo sobie cenili. Z czasem szyper sam począł wołać Iseren,  
by rzuciła okiem na mapy, której odpowiadało to znacznie bardziej niż  
praca na pokładzie.

Któregoś razu trójca zebrała się jak zwykle, by pomówić przebywaną  
drogę.

– Do Tanung wedle mapy zostało nam z dzień dwa, nie? – rzucił  
Voggtam, wspary o blat stołu.

– Nie jest to wielce istotne, jak mogę zauważyć.

Dłonie Voggtama zacisnęły się na blacie.

– Ale wiedzieć mi chyba można, czyż nie? – głos szypera zaświszczał przy zmianie tonu na lżejszy. – Z ciekawości jeno.

– Cóż, możecie. Według skali mapy, owszem. – przyznał Adaiel. – Jednakże wolałbym byście rzucili okiem na to, szyperze.

Konsyliarz z swojego dobytku wyjął swoją wersję mapy, na której rozkład wysp był znacznie rzadszy. Z trudnym do wyjaśnienia uśmiechem przypatrywał się milczącej dwójce.

– Czy szyper widzi również? – konsyliarz zachęcił Voggtama do analizy.

– Ano, widzę. Jeśli dobrze wzrokiem mierzę to wychodzi na to, że archipelag wyszedł kartografowi ciaśniejszy.

– W rzeczy samej. O ile płyniemy względnie stałą prędkością. Skalę oparłem na dystansie jaki przebywamy przez jeden dzień drogi.

– Powinniśmy takową płynąć. – uznała Iseren. – Wiatr był praktycznie niezmienny od Irmnasu.

Voggtäm poparł ją kiwnięciem głowy.

– Mimo wszystko to też niedobrze. – odparł po chwili.

– Nie do końca. – konsyliarz rozłożył swoją mapę obok oryginału. – Dysproporcja jest stosunkowo..

Nie dowiedzieli się jaka jest dysproporcja, gdy ich rozmowę zagłuszył ryk Halverda na dziobie statku:

– Szyperze! Konsyliarzu! – z przejęcia rzucał krzykami po senvoldzku. – Patrzcie jeno, podejdźcie!

– Nie mam pojęcia co za słowa skrywał sprzed momentu raban, ale zapewne rozchodzi się o miasto na horyzoncie. – skomentował Adaiel. – Szyperze, skalibrujesz kurs łodzi na tamtejszy pomost?

– Robi się, radco. – starał się zachować swój mędrczy ton. – A-ale plan się powiedzie?

– To akurat pozostawić mogę miejscowym. – konsyliarz uśmiechnął się tajemniczo.

– Rozumiem, konsyliarzu. – Voggtäm starał się zamaskować nietęgą minę. – Podejmiemy się lądowania, tak jak sobie zażyczyliście.

\*\*\*

Miasto, na które skierowali łódź cieszyło oko zgrabną zabudową z cegły i rzeźbionego kamienia, w sposobie zdobienia podobnego w inkarnskiej architekturze z kontynentu. Przy porcie krążyły garście



niewielkich łodzi wiosłowych, a także nieliczne, większego rozmiaru jednostki, których wygląd zdradzał że mają zastosowanie wojskowe.

Za sprawą łutu szczęścia, albo panujących w miejscowości protokołów, załoga nie została zasypana gradem strzał, choć przyplływając do portu zdali sobie sprawę, że gwar nad portem był zbyt nieznaczny jak na tak spore miasto.

*„Zapewne z naszego powodu zapadła taka cisza.”*

– Słuchajcie kamraci! Ino na porcie będziem! Uwiązać łódź! – krzyk Voggtama wyrwał dziewczynę z zadumy.

Senvoldczycy usłuchali rozkazu szypera. Załoga skończywszy stanęła w grupie, wypatrując oczekująco po Adaielu.

– Co dalej konsyliarzu? – dociekł Voggtam.

– Dość oczywiste się wydaje. – Adaiel się uśmiechnął. – Wyjdziemy na pomost.

*„Skąd ta nagła beztroska?”*

Konsyliarz wraz z Hodhoke wymaszerował na pomost, nie czekając na mało chętną ku wyjściu resztę. Do dwójki dołączyła Iseren.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoiła się Iseren.

Adaiel odwrócił głowę śląc jej pełny spokoju spojrzenie.

– Znakomicie, skąd pomysł na pytanie?

– Podjęta przez ciebie decyzja wydaje się, cóż.. Nietypowa.

– Och, czyżby? – pytanie padło w eterycznym tonie. – Im przyjmujemy spokojniejszą postawę, tym lepiej. Łagoda nigdy nie wiedzie ku niepowodzeniu.

– No dobrze. Jaki jest plan?

– Czekamy na zainteresowanie.

Iseren nie kwestionowała jawnie tego co zalecił konsyliarz, zerkając tylko za załogą, która bardziej niż ona nie ufała przyjętej strategii.

*„Chwila.. W tym momencie dajemy jasno nasze zamiary.”* – zdała sobie sprawę. – *„Może on po prostu nie ubrał tego w stosowne słowa? Albo to kwestia przypadku?”*

Spojrzała po nieznanym jej mieście spokojniejszym wzrokiem.

*„Mniejsza, czekajmy na odpowiedź miasta. Powinno obejść się bez problemów.”*

Nie czekali długo, mało hałaśliwy port niekrótce praktycznie ucichł, z tłumy wyłonił się ponad tuzin żołnierzy, zmierzając w ich kierunku. Byli lekko uzbrojeni, z mieczem przy pasie i długą bronią drzewcową trzymaną oburącz. Były one podobne do włóczni, lecz o płaskim grocie,

bardziej przypominającym ostrze niż szpikulec. Mierzyli załogę czujnym wzrokiem. Jak Iseren zauważyła, wielu z nich miała wyjątkowo podłóżny, podobny do kocich kształt oczu.

„*Inkarnowie. Obcego szczepu, ale wciąż Inkarnowie.*”

– Półożcie broń na pokładzie. – zalecił szeptem Adaiel. – Iseren, jeśli łaska, przekaz zwłaszcza pozostałym.

Iseren wydała półgłosem rozkaz, po paru nieprzyjemnych komentarzach na temat konsyliarza żeglarze wraz z pozostałymi najemnikami postąpiła zgodnie z wolą Adaiela.

Żołnierze stali, przyglądali się zając. Jeden nich, o bardziej zdobionym napierśniku z lamelki, wystąpił, opierając drzewiec broni o ziemię.

– Mamy dobry zamiar, mości żołnierze. – obwieścił Adaiel, stosując starokyrridejski. – Pozwólcie mi wyjaśnić, co nas tu niesie.

– Słuchamy. – odrzekł wyglądający na dowódcę wojownik. – Zbliź się, nieznajomy.

Konsyliarz przystąpił bliżej nich, jego oznaka zgody została ledwie wysłyszana przez Iseren. Dalsza wymiana zdań przestawała być dla niej w ogóle jasna.

– Iseren, ty znasz te stare języki, czyż nie? – szepnął jej zza ramienia Voggtam. – Myślisz, że zetną nam głowy tymi włóczniami?

– Wygląda na to, że nie. – uspokoiła go Iseren.

– Tak tak, zobaczymy. Ten Thaelrijczyk mu namieszał we łbie. – ciągnął rozeźlony szyper. – To ktoś rzeczowy winien ich winien ugad..

– Nie mów tak o nim. – przerwała mu Iseren lodowatym tonem. – Wie co robi.

– Mhm. – zmrużył oczy. – Tobie co innego przyćmiewa baczenie. Coś prostszego.

Iseren pokręciła głową.

– Sam wiedziałeś na co się piszesz. – odparła mu, niechętna do dalszej rozmowy.

– Przerwijcie tą waśń! – syknął Halverd. – Bo już się paru na nas spojrzało.

– Trudno tu nie do sporu. Wasz kapitan zmysły strada. Ty się zastanówów Hajrstörm z kim się bratać winno.

– Sam żeś przyjął i sygnet i srebra od niego. A co, nagle nosem kręcisz, bo co, Inkarnem jest? Myślisz, że z nimi intrygę planuje?

– Nie wkurwiał mnie takimi dyrdymałami. To nie ma związku co mu z boku łba wyrasta, nie interesuje mnie to w interesach. – uciął Voggtam

– A problem tkwi w rzeczowości, o której młodziankowi brak pojęcia. Nie patrz tak na mnie Harjstör, sam żeś jego rozkaz chwilę temu kwestionował.

Halverd zamilkł.

– No właśnie. – ponowił półgłosem Voggtam. – Jak wam zależy na dobrze sprawy to podjem decyzję. Stawić się jego młodzieńczym pomysłom, albo, że tak rzec muszę, dupy wypiąć na te jego misję. Zaraz zresztą zobaczymy jak bezgraniczny pokój jest daleki do uzyskania.

Szyper na dowód swych słów spojrzał z ponurą satysfakcją na Adaiela, który dał się właśnie zabrać dwóm żołnierzom. Reszta oddziału zwróciła się w ich stronę.

– A mogłem mu ten pomysł z pokojowym podejściem wybić z głowy.. – westchnął ciężko. – Dobra, załoga! Inaczej niż siłą się nie da! Jenó konsyliarz musi ująć z tego cało, słyszycie?

– Stójcie! – krzyknęła Iseren, na próżno.

Senvoldczycy rzucili się do broni, naskakując na skonfundowanych wojowników.

– Zdrada! – dziewczyna wysłyszała starokyrridejski od jednego z żołnierzy.

Żołnierze cofnęli się przed atakiem, ustawiając się w mur z opuszczonymi giewiami, omal nie nadziewając na swoje bronie żeglarzy. Paru zza szeregu przygwoździło Adaiela na pomoście. Załoga próbowała przebić linię, ich zamiary kończyły ostrzegawcze pchnięcia giewiami. Iseren rozepchnęła się przez Senvoldczyków.

– Cofnąć się, zaszło nieporozumienie! – zawołała do wojska Iseren.

– Ty się cofnij. – ostrzegł ją dowódca. – Nie wiemy coście za jedni, skąd znacie staromowę, ale jeden niepotrzebny ruch a pchniemy go giewiami.

Drzewcem swojej broni, dowódca wskazał po leżącym na ziemi Adaielu. Iseren na zgodę odstąpiła kroku, wciąż czując na sobie przebijający wzrok dowódcy.

– A teraz, rzućcie bronie. Tym razem bardzo daleko od siebie. – ponowił żołnierz. – Wyjaśnimy sprawę pod aresztem. Tak będzie bezpiecznie.

Skrzywił się spoglądając po żeglarzach.

– Niech będzie. – przystanęła Iseren, wołając za siebie: – Rzucić broń!

Słyszając brzdęk metalu o drewno, Iseren rozejrzała się po załodze, spotykając spojrzenie z wyjątkowo wściekłym Voggtamem i wyglądającym na rozczarowanego Halverdem. Reszta zdawała się jej umknąć.

Żołnierze, na rozkaz dowódcy, rozstąpili z szyku, pod bezsłowną groźbą użycia broni wyprowadzili jeńców, prowadząc ich w głąb miasta.

### XIII.

Tak jak wykazał dowódca, trafili do turmy. Z mieszanymi uczuciami do Adaiela i Iseren był skłonny wspomnieć też o przybyciu wkrótce namiestnika wyspy, który wysłucha wyjaśnień intruzów. Od tamtego czasu nie mieli żadnego kontaktu z żołnierzami.

Jeńców rozdzielono po pół tuzina do dzielonych gładkim drewnem cel. Znajdowali się w wojskowym posturunku, co sugerowały pomieszczenie dalej baraki. Otwarta przestrzeń między kratami cel umożliwiła osadzonemu na kontakt między sobą, który trzymany szeptem nie kończył się ostrzeżeniami kławisznika.

Dla miejscowych opryszków byli niemałą atrakcją, do czasu, aż zdali sobie sprawę, że ani nikt nie był nimi zainteresowany, czy chociaż zeznajomiony z ich ojczystym językiem.

Adaiel jakimś sposobem wyperswadował u straży, by dzielił celę z swoimi najemnikami, z czasem wyszło jednak, że Halverd usiadł na klepisku z dala od nich, wyszeptując coś między załogą Voggtama. Iseren pod impulsem nadstawiła ucha na ich sekretną rozmowę, odczuła ulgę, gdy odkryła, że Senvoldczycy starają się jedynie podtrzymać na duchu. Mimo wszystko, miała żeglarzy na oku, w obawie, że mogą znów się podjąć czegoś brawurowego. Co utrzymywało ją w stałym niepokoju do końca dnia.

\*\*\*

– Napewno wszystko idzie zgodnie z planem? – zdołała w końcu spytać Adaiela, gdzieś między świtem a rankiem.

– Widzę w tym nadzieję. – zapewnił ją konsyliarz. – Pozostaje nam wyczekać na namiestnika regionu.

– Co wtedy? – zapytała bez większego namysłu.

– Pomówię z nim, jak zamiar miałem.

Iseren zaczynał coraz bardziej niepokoić spokój, jaki panował nad Adaielem.

„Oby on naprawdę wiedział co poczynia.” – nie kryła swoich obaw w myślach. – „Nie chcę nawet myśleć, co jeśli on odszedł od zmysłów? I jedynym rozwiązaniem jest..”

– Martwisz się? – zapytał Adaiel.  
– Nie. – skłamała. – Może jedynie nad tym co nas czeka dalej.  
Kiwnął głową, przymykając oczy. Zapadła między nimi ponownie cisza.

\*\*\*

Iseren straciła stosunkowo rachubę w mijanych dni; zdołała jedynie wnioskować, jaka trwa pora dnia, na podstawie skromnego posiłku składającego się z miski miękkich ziaren i kubka wody z rana i wędzoną rybę w południe.

Któregoś dnia siedziała oparta o kraty celi, dała się zanurzyć w swoich myślach.

*„Jest popołudnie.”* – spojrzała po niedojedzonej rybie. – *„Tylko które to już z kolei? Dlaczego zainteresowało mnie to dopiero gdy nie w sposób mi poznać daty?”*

Nim doszła do konkretnego wniosku, z zadumy wyrwały ją zawołania po starokyrridejsku:

– Powstać, jeńcy z kontynentu! – obwieścił wchodzący dowódca wojska. – Przybył gość do was, twierdzi, że zna wasz ojczysty język!

Adaiel uniósł głowy.

– To nikt z miejscowych. – wysnuł szeptem Adaiel. – Nikt zza morza nie zdołałby poznać visildejskiego.

– Dlaczego? – dociekła półgłosem Iseren.

– Koneksja między lądami urwał się w czasach gdy obie strony stosowały inkarnyjski, zwany teraz staromową.

– Zatem wizytę nam składa..

– Iveon.

Na dowód swoich słów, do turmy wkroczył owy pretor, wodząc rozbawionym wzrokiem po skazanych, zupełnie jakby tą konkluzję przewidział. Za jego plecami rozstawiła się czwórka posępnie wyglądających Thaelrijczyków.

– No proszę. – teatralny głos Iveona rozległ się po pomieszczeniu. – Widzę, że Tanungawa nie przyjęła paktu pokoju z aprobatą.

– Bez namiestnika ciężko byłoby cokolwiek przedstawiać. – odparł mu Adaiel.

– Obawiam się, że możecie prędko nie wyjść. – uśmiechnął się złośliwie. – Instancja jest na Tanung. Jego wysokość imperator poległ przed

nieuniknionym, dobry tydzień zejdzie na pogrzeb, potem jeszcze koronacja ich nowego władcy.

– A jak znalazłeś się tutaj?

– Nie twój interes.

Adaiel wzruszył ramionami.

– Twoja tajemnica. – skwitował po chwili.

– Prawie do zniesienia jesteś będąc zdolnym coś powiedzieć, miast szklistym wzrokiem wodzić po ziemi, wiesz?

– Potraktuję to jako komplement. – Adaiel uśmiechnął się.

Iveon nabrał powietrza, nic nie powiedział.

– Podobno przyszedłeś tu nas odwiedzić – ponowił Adaiel. – A wątpię byś płynął tutaj tylko by nas pooglądać.

– Słusznie wątpisz. Mam bowiem propozycję do twoich ludzi.

Iveon odwrócił się od Adaiela, nim ten mu zdołał odpowiedzieć. Zrobiwszy parę kroków w głąb turmy, pretor począł lustrować po osadzonych żeglarzach.

– Wasz kapitan? – skierował pytanie po senvoldzku.

– Ja jestem. – odrzekł mu Voggtam. – Za pośrednictwem prawa najstarszego.

– Intuicja mnie nie myliła, w istocie mam przyjemność z ludem północy. Wyglądasz mi na pocziwy człowieka. – spojrzał ciepło po nim Iveon. – A szkoda, by człowiek pocziwy przesiadywał w klatce jak pospolity zbójca, czyż nie?

– Ciężko przeczyć. – przyznał Voggtam.

– Myślę zatem, że możemy się dogadać. – usta Ioviego ułożyły się w łagodny uśmiech. – Dobrze prowadzicie statek, kapitanie..

– Gillruj Voggtäam. – uzupełnił. – Na pokładzie jestem od małego, niejedno żem na morzu widział.

– Jakiś haczyk?

– Pierdolenie o niczym, domysły i poleganie na fortunie sprawią, że pięść mi zaciśnie, nawet na gębę swojego przełożonego. A zwłaszcza jak przyprawiają mi i moim ludziom kłopotów.

– Ciekawe.. Że akurat teraz w celi o tym wspominasz.

Voggtam uśmiechnął się paskudnie.

– Wiecie, kapitanie? Mi niedaleko do prostego człeka, wbrew temu co mówią moje szaty. – Iveon zniżył delikatnie głosu. – Spójrz na moje ręce, stwardziałe, spracowane. Nie boję się chłopskiej pracy czy umysłu.

Drzemie w nim sporo pomysłu, czasem więcej niż w kwestiach co rzekomo zawile uchodzą.

– Nie jeden naszy by się takich odcisków nie powstydział. – skomentował Voggtam. – Inkarn, choć pracy ciężkiej poznał. Rzadki to widok wśród ludzi z Komicjum

– Cieszy mnie wasza aprobata. Ale przejdźmy do rzeczy, jak prości ludzie. – spoważniał. – Ja pomogę wam, wy mi.

– Zamieniam się w słuch.

Iseren spodziewała się czegośkolwiek, reakcji kogoś z cel, próby sprzeciwu. Jednak załoga albo popierała Voggtama, albo nie miała wyboru lub chęci do podejmowania decyzji. Jedynie Halverd mierzył Iveona spod byka, nic jednak nie mówił.

– Wypłacę za was kaucję, wy natomiast traficie do mojej komendy.

– Hm. – Voggtam oparł palce o usta w namyśle. – A Skaggra, nasza łódź?

– Opłacę, żaden problem. I od zaraz dostaniecie po garści srebra.

– Saividitem nie pogardzę. Sami rozumiem żeście nie płynęli.

– W istocie, kapitanie. Są ze mną rodziny nadmorskie, które straciły z rąk tych podżegaczy swoich męża, synów. Pragną zemsty.

– Tu teraz?

– Och nie, skądże. Na razie szukamy słabości po fortyfikacjach. Pod dobrym pretekstem. I imunitetem pretora.

Voggtam spojrział po swoich ludziach. Większość wzruszała ramionami, paru otwarcie poparło propozycję.

– Czekajcie, panie pretorze. – Voggtam zbliżył się między kraty celi do Halverda: – Hajrstör.. Stary druhu, chodźcie że z nami.

*„Więc nie mam paranoji. Znali się.”*

Halverd wlepił wzrok w podłogę.

– Znasz mój kodeks. – Halverd odparł sucho po chwili. – Nie sprzedaję się w trakcie zlecenia.

– Tego się zgroza obawiałem. Pomyśl, po tylu latach znów na pokładzie jesteś, z nami. Statek może inny, ale my ci sami. Jak za starych lat.

– Za tych starych lat rąbaliśmy flociarzy Legionu, a nie szliśmy pod ich sztandarem. A ja.. Nie sprzedaję się. Nie. Taki mam kodeks.

– Kodeks, co ci pozwala stawiać wyżej pieniądź niż stare przyjaźnie? Tyle żeśmy przeżyli razem, kłótnie, ratunki, pohulanki. Hajrstör, niech mnie kurwa.. Ja po prostu nie chcę cię mieć za wroga.

– Nie wiem, na wszystkie bogi. Co ja robię?



Halverd się gwałtownie wyprostował.

– Idę. Z wami idę. Ja również nie chcę krzyżować miecza z tobą, Voggtam.

Odwrócił się do najemników, nie zdołał nikomu spojrzeć w oczy.

– Was przepraszam. – wyrzekł prawie szeptem. – Svjetane?

– Idźże. Nie jestem twoją własnością. I nie licz że ja się tak żałośnie sprzedam.

– Słuchaj. To nie..

– Nie posłucham. Po prostu odejdz. A w raz nim twe przechwałki jaki ty wielce lojalny i szlachetny.

Halverd westchnął ciężko.

Iveon powiódł wzrokiem po zebranych, po chwili wychodząc do kwater straży. Wrócił stamtąd parę sypnięć klepsydry później w towarzystwie sędziwego żołdaka.

Staruszek pociągając nosem począł otwierać cele, z których ochoczo wylali się żeglarze. Gdy zaczął kręcić zamkiem przy celi z najemnikami, Iveon go powstrzymał przed otwarciem drzwi.

– Wypuść tylko jasnowłosego. – poinstruował go w staromowie Ivoen, co sędziwy żołnierz skitował kiwnięciem głowy.

Do krat podszedł drugi wojak, opuszczając glewii. Niepotrzebnie, nikt z osadzonych nie miał zamiaru wymykać się przez otwarte drzwi.

– I oby ci do dało do myślenia, Adaiel. – Iveon nachylił się do celi. – Odpuść sobie.

Brak reakcji z ich strony skłonił Ivoena, by opuścić turmę. Przy zapałej ciszy Iseren kucnęła przy Adaielu. Chłopak uniósł głowy, nie wyglądał na przejętego.

– Wykupił ich, prawda? – dociekał Adaiel, zaskakująco spokojnym głosem.

„No przecież, nie w sposób było mu zrozumieć przebieg rozmowy po *senvoldzku*.”

Iseren streściła mu zajście, twarz konsyliarza w trakcie wyjaśnień nie zdradzała żadnych emocji.

– Niech tylko wie, że kupując zdrajcę sam się naraża na ryzyko zdrady. – skwitował.

– Adaielu, brzmi to bardzo inspirująco, ale przydałby się bardziej przyziemny komentarz odnośnie całej sprawy.

– Ależ mam pomysł! – zerwał się z klepiska, mijając oczekującą wyjaśnień Iseren.

– To tyle? – sapnęła poirytowana Svjetane. – Iseren, przemów mu do rozsądku, niechże nam cokolwiek wyjaśni.

– Wątpie by zechciał. Poczekajmy, raczej nie zabiera się do rozwiązywania siłowego czy fortelu.

Dwójka poczęła obserwować Adaiela. Konsyliarz przywołał gestem starego klawisznika pytając go o coś w staromowie. Tamten pokręcił głową i wyszedł do kwater, zostawiając turmę bez nadzoru.

– Wygląda jakby miał zamiar uciec. – Iseren zwróciła się dyskretnie do Svjetane.

– Oj, nie podoba mi się to. – odszepnęła kobieta. – Może Hodhoke coś wie?

Iseren spojrzała po Thaelrijczyku, akurat skupionym na modlitwie.

– Nie sędzę.

– Zobacz. – Svjetane powiodła palcem na drzwi więzienia. – Są jacyś żołnierze.

– To dowódca i klucznik, oboje znali starokyrridejski.

– Całe szczęście, że chciał tylko pomówić.. Ale jest jeszcze jedno co mnie martwi.

– Tak? Cóż takiego?

– Adaiel, on jest.. Z nami umysłem?

– Nie wiem, Svjetane. Też się zastanawiam.

Kobieta kiwnęła jej głową zaciskając usta.

– Miej na niego oko, dobrze? – poprosiła szeptem.

– Oczywiście.

Wróciły wzrokiem na Adaiela. Ten akurat coś wyjaśniał dowódcy, który słuchał go z niezwykłym skupieniem. Odpowiedział mu, śląc uśmiech.

*„Ciekawe cóż takiego Adaiel wymyślił..”*

Dowódca wydał rozkaz klucznikowi otwarcia celi. Z trudem dowierając zostali wyprowadzeni z posterunku. Trafili na placu fortyfikacji. Prowadzeni przez Adaiela, minęli ćwiczących żołnierzy, spisy towarów, patrol targający oberwańca w łańcuchach. Tkwili w tym gwarze, aż w końcu dotarli do bramy wyjściowej. Straż gestem pozwoliła im wyjść, na co Adaiel odpowiedział skinieniem głowy. Zatrzymał się dopiero kilkadziesiąt kroków od posterunku, by nacieszyć oko panoramą miasta znad wzniesienia. Konsyliarz usiadł z nogami na krzyż, po jego prawej przycupnął Hodhoke.

Svjetane się zawahała.

– Myślisz, że raczy nam coś wyjaśnić? – zapytała kobieta. – Bo co ja widzę to on ostatnio niezbyt skory jest do przedstawiania swoich planów.

– Trudno mi rzec. Ale chodźmy do nich. Nie ma co dzielić i tak nie-licznej grupy.

*„Svjetane ma rację. Coraz mniej jasne są jego intencje.”*

Odłożyła zmartwienie na bok, starając się o bezstroski wyraz twarzy przysiadając się przy dwójce. Adaiel przymknął oczy w słońcu, na jego twarzy malował się łagodny uśmiech.

– Adaielu.. – poczęła mówić.

– Wybaczcie. Potrzebuję chwili.

– Jak sobie życzysz.

Dziewczyna spojrzała po Hodhoke. Złapała z nim kontakt wzrokowy, nie zdradzał swoim spojrzeniem żadnego zmartwienia.

*„Może tylko sprawia taki pozór?”*

Wzięła głębszy oddech, spojrzała po rozciągającym się przed nimi mieście, po otaczającej ją zieleni. Uniosła spojrzenie ku lawendowemu niebu, usłane było kłębami chmur. Rozluźniła się, skupiła się lepiej na widoku. Chmury zdawały się wirować, a epicentrum tego wiru była czwórka najemników.

*„Ciekawe czy Adaiel w swoim stanie dotrzyma słowa wobec mnie.”* – dziewczyna spodziewała się być bardziej tym przejęta. – „Cóż, skoro to był mój powód by opuszczać rodzinne strony, muszę trzym..”

– Już starczy? – burknęła nagle Svjetane.

Iseren zakłuło w piersi od niespodziewanego głosu.

– No dobrze. Słucham. – wzrok konsyliarza wrócił na najemników.

– Weź mu wyjaśnij, Iseren, bo ja na to nerwów nie mam. – poprosiła ją kobieta.

– Oczywiście. A zatem, jakim sposobem odzyskaliśmy wolność?

– Hm. – Adaiel zrobił przerwę. – Przekonałem dowódcę, że w czworga nie stanowimy takiego zagrożenia jak nasi dotychczas kompani.

– Czyli jesteśmy wolni?

– Nie do końca. Nie bez powodu zasiadłem w zasięgu wzroku patrolujących posterunek. Dalej jesteśmy pod ich kontrolą, po prostu nie trzymają nas jak przestępców. W moim mniemaniu tak będzie lepiej.

– Jak to „lepiej”? – wtrąciła się zirytowana Svjetane.

– Pod pieczęcią straży mamy tymczasowe lokum, jedzenie, wgląd na panujący tu obyczaj. Potraktujmy to jako protekcję, niż niewolę.

– Postaramy się tak myśleć. – odparła mu Iseren.

– Dobrze więc. Pragniecie już wrócić na poserunek?

Iseren uniosła na niego wzrok. Zdawał się być spokojny, ale za sprawą tego obcy. Wzrok miał pewny, utrzymany na niej.

„*Trudno mi uwierzyć, że to ten sam chłopak, u którego się zatrudniłam w Vasildel.*”

\*\*\*

Parę dni spędzonych w towarzystwie wojskowych dosyć szybko przekonało Iseren do miejscowego obyczaju. Dowódca jak i klucznik zaskakiwali Iseren swoją uprzejmością, traktując czwórkę bardziej jak gości, niż intruzów. Pozwolono im sypiać w kwaterach, zapraszano do posiłków, z czasem spędzali również wspólnie czas na rozmowach, lub lokalnych rozrywkach. Adaiel często grywał w skomplikowaną grę stołową, do której Iseren brakowało skupienia, wciąż bowiem dręczyły ją dalsze losy ich wyprawy. Dziewczyna nie była pewna, czy sam konsyliarz jest świadomy brzemia, które na nim spoczywa. Swoje przemyślenia dzieliła z Svjetane, wyjątkowo zaniepokojoną stanem Adaiela.

\*\*\*

– Pomówmy z Hodhoke. – nie wytrzymała jednego południa Svjetane. – W końcu on rzekomo jest odpowiedzialny za odstąpienie Adaiela od zdrowego pomysłu.

– Nie wiem czy to dobry pomysł. Jest lojalny, ale w stosunku do Adaiela.

– Nie mamy się czego obawiać, to nie jest przeciwko chłopakowi spisek.

– Może i..

– Żadnych „może”, Iseren. Prostu zmartwione jesteśmy. Ja jestem. Proszę.

Iseren wstała od stołu.

– Zrobię co mogę. – dodała na odchodną.

Czuła się niepoprawnie rozglądając się za Adaiem, tak jakby faktycznie planowała coś przeciwko niemu. Złożyło się, że konsyliarza nie było w zasięgu posterunku, postarała się zatem streszczać, niezależnie gdzie akurat Adai się znajdował.

Znaleźć Hodhoke nie było trudno, sylwetkę Thaelrijczyka dało się wypatrzeć zza murów posterunku, z racji dzielącej ich odległości trudno było powiedzieć czym dokładnie się zajmował.

Podeszłwszy bliżej Iseren spostrzegła, że głowę miał uniesioną na samotnie niebo, mierzył je smętnym okiem. Spuścił wzrok na Iseren, w moment gdy usłyszał jej kroki.

– Hodhoke. Pozwolisz, że z tobą pomówię. – powitała go.

Nie odpowiedział, spoglądając na nią wyczekująco.

– Mowa o Adaiu. – zaczęła kontynuować. – Od co najmniej połowy miesiąca jest.. Dalszy od wszystkiego. Wiem, że razem prawie modlitwy.

– Klarujemy umysł. Adai nie pragnie słuchać gwiazd.

– Och, no tak. Nie podziela twojej religii.

Urwała na chwilę, gdy Hodhoke schował naszyjnik pod ubrania. Nie miała odwagi spytać co przedstawiała biżuteria.

– Pozwól że pominę kwestie wiary. – ponowiła. – Nie masz nic przeciwko bym z tobą o nim pomówił?

– Nie mam.

– Wdzięcznam. – Iseren usiadła obok Thaelrijczyka. – Zauważyłeś w nim zmianę?

– Dostrzegam.

– Według ciebie to dobre czy złe zmiany?

– Złe.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Ty.. Wiesz? Nie próbowałeś go wstrzymać? Albo przyjąć inną ścieżkę do nauki?

– Nie. Taka jest kolej rzeczy, taki jest zamiar tej nauki.

– Taki był twój zamiar?

– Było to nieuniknione. Choć kres przybrał formę wbrew mej myśli. Hodhoke poruszył się niespokojnie.

– Dlaczego go nie skorygowałeś, jeśli popełnił błąd?

– To nie był błąd. A droga, którą obrał.

– A co byłoby błędem?

– Przy tej drodze błąd nie ma swego bytu. A jedynie nieoczekiwany kierunek jest obecny.

– Wiem, że twoja lekcja mu w pewien czas służyła. Co si..

– Nie służyła mu. – przerwał jej.

– Z-z czego to wynikało? – pospieszyła z pytaniem.

Nie odezwał się.

– Trudno ci powiedzieć? – zasugerowała mu Iseren.

Hodhoke skwitował to kiwnięciem głowy.

– Tylko dlaczego go nie korygowałeś? To rola nauczyciela, co różni go od księgi, z której mógł pojąć naukę.

– Jak wspomniałem, nie popełnił błędu.

– To była w istocie nauka? Może bliżej jej było do kuracji?

– Możliwe. Wasza mowa jest mi ograniczona.

– A nosi ta kuracja nazwę?

– Nosi. Akt Sedacji.

– Rozumiem, że ty go praktykujesz.

– Tak. Dobrze tamuje ból, którego sięgnąć się nie da.

– Coś cię boli?

– Dni mojej próby.

*„Mówi nieprzyjemnie swobodnie o czymś co rzekomo sprawia mu ból. Może teraz jest pod wpływem Aktu?”*

– Co się wtedy wydarzyło? – zapytała ostrożnie.

– Nadano mi moje plemieniowe imię.

Iseren uznała za stosowne nie pytać czym sobie zasłużył na miano Karmazynowej Klingi.

– Rozumiem. Na czym polega Akt Sedacji?

– Kajasz się gwiazdom za ziemską słabość. Za przyjęcie głębokiego mirium. Jeśli żywym pozostałeś, dzięki składasz za łaskę.

– Głębokie mirium? O czym mowa?

– Sprawia, by umysł kiełznać nad tym co mu nadane. By myślał.

– Często przyjmuje się głębokie mirium?

– Zgodnie z Aktem raz. By dać obraz prawdziwie czystego umysłu. I ten obraz zapamiętać i go powtarzać. Oszust bierze go więcej, gdy kłamstwo szepce mu by powtórzył rytuał od nowa. Akt wtedy jest niczym innym niż zależną umysłu od mirium.

– To środek odurzający.

– Tak.

– Adaiel go brał?

- Raz, zgodnie z Aktem.
- I co było dalej?
- Powtarzał wizje, mówił, że lepiej się czuje. Lecz prawdą to nie było. Tkwił w miejscu.
- Rozumiem. Oczekiwał, że Akt rozwiąże wszelkie jego problemy.
- Tak.
- Możemy mu pomóc?
- Nie.
- A ktoś może?
- On sam.

Iseren początkowo mająca zamiar odejść, opuściła wsparte o ziemię rękę ponownie na uda.

– Adaiel stoczył ku złej stronie, ale wciąż jest dobrym dowódcą. – wyrwało jej się bez namysłu. – Może i niedoświadczony, ale ma dobre intencje.

Oblicze Hodhoke sprawiało wrażenie cieplejszego.

- Dobry wódz, stroni od czerwieni. Jak ja.
- Preferujesz zatem pokój.
- Biję gdy mi każą. Choć blask ducha wolę w jego wnętrzu.
- I ja również wolę.

*„Zatem on też widzi dusze.. Być może jak każdy inny przedstawiciel rasy wyższej?”*

Iseren przestała się odzywać, rozlała swój wzrok po opodal krajobrazie. W jej ślady poszedł Hodhoke, sprawiał wrażenie niewzruszonego obecnością Iseren.

W pewnym momencie spojrzeli po sobie, w pozbawionym głębszych emocji zrozumieniu. Po krótko wrócili wzrokiem na roztaczającą się wokół nich zieleni.

Dziewczynie nie trudno było sobie wyjaśnić, dlaczego Adaiel polubił towarzystwo Hodhoke.

## XIV.

Adaiel nie wrócił wieczorem, co pogłębiło niepokój Svjetane. Straż zdawała się faktem tym nie przejmować, co w mniemaniu kobiety czyniło sprawą jedynie bardziej komplikującą. Sama Iseren zastanawiała się nad jego zniknięciem, lecz pozostała w sprawie mniej czy bardziej bierna. Nad jej uchem zamartwiała się Svjetane, poczynając od pobytu na posterunku, a kończąc na losie całej wyprawy. Iseren nie miała pojęcia jak jej odpowiedzieć, co jakiś czas jedynie kiwała głową i starała się nie uciekać od niej wzrokiem.

– Może z namiestnikiem się wdał w rozmowę? – zaspekulowała w pewnym momencie Svjetane, przerywając dotychczas monotonną serię żmartwień.

– Powiedziałby mi. Zawsze mu towarzyszyłam w takich sprawach.

– Przy obecnych realia mógłby uznać, że nie jesteś mu w tej rozmowie potrzebna. Iseren, nie rób proszę takiej miny. Ja sama wiem, że to przykrość być tak zostawiony.

– Nie jest mi przykro. Po prostu mi nie pasuje taki scenariusz.

– Och, powinno ci być przykro.. – zacmokała kobieta.

Iseren przybrała ostrzejszego wzroku.

– N-nieważnie. – zmieszała się Svjetane. – A Hodhoke coś wie?

– On też nic nie wie.

– I jak on jest w stanie taki spokojny usiedzieć..

– Za sprawą Aktu. Skoro pozwala zdzierżyć wyjątkowo paskudne wspomnienia, to zapewne trzyma też temperament w ryzach.

– No ta, rzeczywiście. Wybacz mi Iseren, nie jestem w stanie łączyć już jednego z drugim.

– Jedno jest pewne.

– Tak, że Adaiel go nie stosuje poprawne, a odnajduje w rytualnym pokoju ducha ucieczkę niż motywator do dalej czynienia. Po tylu razach już sama to wyśpiewam. Ale jak to pomoże, skoro sama żeś mówiła, że tylko on sobie pomóc może?

Iseren miała zamiar coś powiedzieć, gdy do kwater wstąpił jakby nigdy nic Adaiel.

– Gdzieś ty był? – Svjetane zaatakowała go od progu.

– U namiestnika.



Chłopak nie cofnął się od napierającej na nią Svjetane.

– Czy potrzebujesz czegoś ode mnie? – zapytał bez cienia obawy.

– Tak, na wszystkie zarazy. – warknęła. – Wyjaw nam z łaski swojej na przyszłość jak masz zamiar tak znikać!

– Mój błąd. Ale sprawa była wysokiego szczebla.

– Cóż, z naszej strony pozostaje jedynie zapomnieć co zaszło. Osiągnąłeś coś rozmową z namiestnikiem? – wtrąciła się Iseren, podeszłwszy do nich.

Svjetane spojrzała po niej z niedowierzaniem, nie odezwała się.

– Owszem, namiestnik oznajmił, że ruszymy do stolicy za trzy dni.

– Przez te dni Ivoen może dotrzeć na Tanung. Nie dałoby radę pospieszyć wypłynięcia?

– Może da.. Ale któż to wie?

– Nie wiem czy to odpowiedni moment by poruszać filozoficzne pytania.

– Może i racja, Iseren. Na tą chwilę zamiar mam przejść się przy zieleni. Może chętnaś mi towarzyszyć?

– Chętnam.

– Dobrze więc. Chodźmy.

Opuścili posterunek bez słowa między sobą. Iseren spodziewała się usłyszeć ciekawostkę na temat otoczenia lub interesującą obserwację, lecz Adaiel nie zwrócił w jej stronę nawet wzroku.

Dziewczynie przypomniały się ich pierwsze rozmowy za obozem. Choć nieczęsto się gdzieś wybierali, Adaiel zawsze raczył ją historiami o odległych, prawie, że mitycznych kulturach.

„*Nic mi po tych wspomnieniach.*” – zbyła swoje myśli.

Wizje przeszłości mimo jej prób pozostały w głowie. Przypomniało jej się jak uczyła Adaiela senvoldzkiego, jak uśmiechał się zażenowany gdy kaleczył wymowę wyrażień.

„*Nie mogę ukryć. Sporo czasu z nim spędziłam.*” – poddała się.

– Odnoszę wrażenie, iż strapionaś. – wykazał Adaiel z poważną miną, wyrywając ją wreszcie od wspomnień. – Znam pewne remedium na taki stan.

– Nie trzeba, nic mnie nie martwi.

– Ach, niepotrzebnie pytam. Karygodne byłoby myśli ciemnym woalem mieć zakryte przy tym dziele dłoni. Choć rąk tych żadna materia się nie tyczy..

„*Od kiedy interesuje go poezja?*”

– ..Trudno mi wierzyć, że raczy się nas takim pięknem na co dzień. I jakże tu szczęścia nie czuć.. – ciągnął Adaiel.

– Rozumiem, że wypocząłeś. Wracamy do namiestnika by postarał się przyspieszyć przygotowanie łodzi?

Adaiel przybrał wręcz niezadowoloną minę, gdy Iseren przerwała jego wywód.

– Obiecał nam wyjazd za trzy dni. – wspomniał intensywnym tonem.

– Tak, obiecał. Ale mowa była, że mógłby być otwarty na szybszy obrót spraw.

– Bardzo ci zależy na tym skoro tak nalegasz. Pomówię z nim, naza-jutrz, dobrze?

„*Mi zależy? To ja organizowałam wyprawę?*”

– Dobrze więc. Czas już na mnie, zaczyna mi się robić zimno. – skon-fabulowała na poczekaniu.

– Oczywiście, Iseren. W razie czego, na razie tu będę, jeśli was najdzie znów potrzeba wiedzieć gdzie przebywam.

Iseren wróciła do kwater wojskowych, starając się o niespieszny krok. Obróciła dyskretnie głowę, zerkając na Adaiela, który uklęknął na trawie, skupiony na najpewniej Akcie.

\*\*\*

Będąc już wewnątrz, zasiadła do stolika naprzeciw Svjetane, kobieta położyła głowę pod rękę na blacie. Słyszając szuranie stołka uniosła głowy, z początku złość na jej twarzy zastąpiło zaskoczenie.

– Iseren.. – zabłysnęły jej oczy. – Wybacz, ja naprawdę myślałam, że mnie wystawiłaś.

– Nie ma co wspominać.

– Coś się dowiedziałaś?

– Że albo go obrało go kompletnie z rozumu, albo nie chce naciskać na lokalną władzę. Zachowuje się jakby go ta wyprawa już nie interesowała.

– Pewnie nie naciska po prostu, zapął go by tak nie opuścił. A przy-najmniej nadzieję mam. O jeszcze jedno chcę cię spytać.

– Co takiego?

– Czy ty.. – zawahała się Svjetane. – Ty dobrze się miewasz?

– Tak? – uniosła brew Iseren.

– Rad jestem z tego powodu. – kobieta starała się o beztroski ton. – Ale jakbyś problem miała, to możemy pomówić.

– Oczywiście. Pójdę już.

Svjetane kiwnęła jej na zgodę z wysiłonym uśmiechem.

Gdy Iseren wstała od stołu, zdała sobie sprawę, że kobieta ją wciąż śledzi wzrokiem. Dziewczyna udawała, że nie zwróciła uwagi na jej wzrok, naturalnym krokiem zeszła z pola jej widzenia, by udać się do części sypialnej kwater.

\*\*\*

Iseren otworzyła oczy na pogrążoną w półmroku komnatę. Leżała na posadzce, którą choć budował kamień nie sprawiała wrażenia zimnej. Nie pamiętała jak się tu znalazła, choć pomieszczenie zdawało się dziewczynie być znajome.

*„Widziałam je.. We śnie.”* – dotarło do niej. – *„Pamiętam, przypomniała mi o tym marzeniu kwatery w Maiorone. Tylko cóż ja tu znowu robię?”*

Dziewczyna rozejrzała się po pomieszczeniu. Po środku posadzki wypatrzyła długi drewniany trójnóg i stołek przed nią, przy ścianach biblioteczki z nijakimi przedmiotami na półkach. Nie widziała za wiele, ograniczało ją omdlałe światło. Trudno jej właściwie było ocenić skąd one dobiegało, za każdym razem jak próbowała spojrzeć przez okiennice, widok za nimi uchodził z jej wzroku, cudza myśl wkradała się do jej umysłu sugerując że co jest za oknem jest nieistotne.

*„Czyja to myśl?”* – ukłuło Iseren.

Nie doczekała się odpowiedzi.

*„Należy do właściciela tej komnaty?”* – spróbowała samodzielnie odgadnąć. – *„Czyżby mnie on do niej zaprosił? A może..”*

– ..Wybieram się do namiestnika. Masz zamiar się udać ze mną? – powoli wyraźniejszy głos Adaiela wyrwał Iseren ze snu.

– Tak.. Idę. – zmusiła się do szybkiej odpowiedzi.

Wybudziła się po drodze, czemu sprzyjał chłodny wiatr, często smagający tutejsze wybrzeża o poranku. Szli po obrzeżach miasta, pod eskortą dwóch żołnierzy.

– Nie jest trochę za wcześnie na takie wizyty? – upewniła się Iseren.

– Namiestnik nie podał oczekiwanej pory wizyty. Dowiemy się zatem na miejscu. – odparł chłopak, nie spoglądając na nią.

„*Za rozsądne to nie uchodzi.*”

Czwórka po przejściu przez szereg ciasnych ulic, dotarła do dzielnicy wyraźnie zamieszkiwanej przez zamożniejszą część miasta – teren był lepiej strzeżony, domostwa zaś dysponowały sporym połaciem terenu, często ogrodzony murkiem, zapewniając właścicielom prywatność i izolację od miejskiego zgiełku.

Żołnierze zatrzymali się przed jedną z okazańszych rezydencji. Iseren musiała unieść głowy, by dobrze przyjrzeć się wyższym kondygnacjom domu – sprawiały one wrażenia lekkich, ze względu na subtelne wykończenie, lecz zapewne stanowił je trwały budulec.

– *Aawadan ton tiin.* – oznajmił jeden z żołdaków. – *Tawuapanilin uawi na esuatwa tuob gaan i otiil dihi utro.*

– *Mahiyowuna anakot waingakun waya.* – odparł mu uprzejmie Adaiel.

Dziewczyna nie miała ochoty dociekać co dwójka powiedziała między sobą.

Z wnętrza uchylono im drzwi, żołnierze zostali na zewnątrz. Zza skrzydła bramy wystąpił ciężkozbrojny, zapraszając ich gestem do środka. Przechodząc Adaiel uchylił mu nisko głowy, na co tamtem odpowiedział tym samym gestem. Iseren postąpiła tak samo, co skutkowało tą samą reakcją.

„*Widocznie wita się tutaj uchYLENIEM głowy..*”

Ruszyli ścieżką ciągnącą się przez wielobarwny ogród, aż dotarli pod portyk. Przy wejściu napotkali straż, która na widok zbliżającego się konsyliarza, rozstąpiła mu drogi do wejścia budynku z dostojnym ukłonem.

Będąc już wewnątrz, dziewczyna starała się za bardzo nie rozglądać po wnętrzu domu, a przynajmniej nie robić tego zbyt jawnie. Umeblowanie było wysokiej półki, wewnątrz nie brakowało przestrzeni. Straż przeprowadziła ich po schodach na wyższe piętro, przeszli szerokim korytarzem ku jego końcu. Przejście naprzeciw zasłaniała kotara, Iseren wysłyszała z drugiej strony kroki.

– *Wagltko-Anunsangangn, Aawaditswa ta tiin.* – jeden z wojskowych się odezwał. – *Wagtma bwi wipakadto ha?*

– *Uyon wa.* – odpowiedział mu sucho brzmiący głos zza kotary. – *Hi-waotunta waan tiin widhi.*

Jak na rozkaz, żołnierz rozchylił kotary. Pomieszczenie okazało się być gabinetem, w wnętrzu zastali sędziwego Inkarna na sięgającym do kostki siedzisku wyłożonym poduszkami. Zdawały się one pełnić jedynie dekorację, starzec siedział bowiem z nogami na krzyż, mając pod nogami jedynie gołe drewno. Za ich przybyciem zgasił pykaną fajkę, przybierając bardziej wyniosłą posturę.

– *Myiakaw iauaw i launwa uluwa haan.* – stary Inkarn wskazał gestem dłoni siedziska naprzeciw.

– *Wishi haimo agiin tiwuo.* – uklonił się Adaiel.

Chłopak zasiadł na poduszkach, w jego ślady poszła Iseren. Adaiel począł coś wyjaśniać staruszkowi, prawdopodobnie namiestnikowi, który go z zainteresowaniem słuchał. Rozmowa przebiegała spokojnie, trudno było ocenić Iseren komu sprzyjały warunki, o ile chłopak jakiegokolwiek przytoczył.

Rozmówcy nie zwracali uwagi na dziewczynę, ta przyjęła ważną minę i z założonymi rękoma na piersi obserwowała przebieg ich konwersacji. Po dłuższym czasie, dwójka skłoniła sobie głowy, po czym Adaiel wstał z siedziska. Tak samo postąpiła Iseren, staruszek na jej ukłon również odpowiedział.

– *Uta wagkta uroana atowa wagakta.* – powiedział na odchodne Adaiel.

– *Usanga wasarabu unawa wikang aha konaahin.* – poparł go Inkarn.

Chłopak nie odzywał się przez całą drogą, Iseren nie naciskała. Dopiero wróciwszy na posterunek, chłopak się do niej odwrócił oznajmując:

– Dadzą znać, jak łódź będzie gotowa.

Iseren kiwnęła głową na znak zrozumienia.

– Przekazać reszcie?

– Przekaż. A teraz pozwól, że pójde pomyśleć na rześkim wietrze.

Dwójka się rozeszła, nie oglądając się za siebie. Wróciwszy na posterunek, Iseren zaszła do koszar szukając Svjetane. Przy wejściu napotkała Hodhoke i młodego żołnierza, prowadzili rozmowę przy stoliku.

– *Wi'ichipva van khokipova. Hunha kikasa eya huh ha'anhekpi.* – powiedział rozmówcy Hodhoke.

– *Volomiasye.* – odparł mu młody żołnierz. – *Tokhe okinunya ono ovoto si'insoya va'utuva si'icune. Va'afile.*

„Nie brzmi to na tanungański. Czyżby znany jest tu język z Thaelri-khi?”

Przeszła dalej, nie chcąc przeszkadzać im w konwersacji. Zaszła do samotnie siedzącej Svjetane. Oblicze kobiety ociepliło się na widok Iseren

– Trochę tu jak w tawernie. – zapodała obserwację kobieta w ramach powitania. – Siada każdy z kim lubi i sobie popija, pojada.

– Jak w karczmie raczej. – poprawiła ją Iseren. – Skoro tu łóżka mamy.

– Ano. Ale nieważnie. Jak było na spotkaniu z namiestnikiem?

Iseren streściła przebieg spotkania, nie będąc ku temu specjalnie chętna.

– Pozytyw jest, chociaż sam sobie dobrze radzi. – podsumowała kobieta. – Szkoda, że nieliczni pojną jego zamiary.

– Jak na razie Tanunganie zdawają się go rozumieć.

– Może i.. Chociaż równie dobrze mógłby brzmieć dla nich interesująco. Póki co szczęście nam sprzyja, skoro nikt jego postępowania nie wytknął.

– Poza Voggtamem.

– A on to akurat cep jest. – zbyła Svjetane. – Miejmy nadzieję że władza na Tanung będzie niezbyt bystra lub zaciekawiona cudactwem naszego kapitana. Bo inaczej tego nie widzę.

Pociągnęły cierpkiego płynu z kubków.

– Całkiem nieźle tu się poją. – zmieniła ponownie temat Svjetane, kręcąc zawartością naczynia. – Jak to się nazywało, *Saawa giin*?

– Coś w ten deseń.

– No, raz mnie Hodhoke opowiedział, że *Saawa giin* się jak wina urządza, tylko z ziaren.

*„Opowiedział o czymś mającym miejsce na Tanungawie? Usłyszał od poznanego przyjaciela, czy może miał styczność z tym lądem? Na myśl o tym przyjacielu, jeden musiał znać język drugiego. Tylko jak tego dokonał?”*

– Myślisz nad czymś? – zgadła kobieta.

– Tak. Wspaniale mi się myślało. – odmruknęła Iseren.

\*\*\*

Kilka dni później; najemnicy zasiadli do wspólnego śniadania, dziś do jedzenia była ryba z cienkimi strączkami.

– Całkiem dobra. – skomentowała posiłek Svjetane. – Czyż nie?

- Mhm. – odparła jej Iseren, nie podnosząc na nią wzroku.
- A powiedz mi, Hodhoke – kobieta zwróciła się do Thaelrijczyka – Z kimś ty rozmawiasz ostatnio?
- Zheydar się zwie.
- Skąd on zna thaelrijski? – Iseren nie mogła się powstrzymać od zapytania.
- Hodhoke zamarł.
- Nie wiem. – wykrztusił, unikając z nimi wzroku.
- Jak właściwie dowiedziałeś się, że on nim włada?
- Przedstawił mi się w języku wspólnym, tym co za *thalrijsky* uchodzi.
- Tak po prostu? Skąd on go mógł poznać? Dzieli nas kilka miesięcy drogi morskiej.
- Może istnieje druga droga? – zaproponowała Svjetane.
- Możliwe. Hohdoke, jak się dostałeś do Maiorone?
- Hm. – zamyślił się. – We wspólnym łańcuchu pierw byliśmy prowadzeni, aż do portu. Potem mnie kupiono po drugiej stronie.
- Więc Thaelrikha jest na innym lądzie. – wysnuła kobieta.
- Niekoniecznie. – wstrzymała ją od werdyktu Iseren. – Droga morska mogła być lepszym rozwiązaniem, a nie jedyną opcją. Długo płynęliście?
- Około pięćdziesiąt dni. Nie liczyłem.
- Niepotrzebnie pytam, w żaden sposób to nie odpowie na pytanie. Mogliście zarówno przeciąć może, jaki opływać ląd.
- A ty nie masz mapy? – wspomniała Svjetane.
- Ta mapa obejmuje tylko zachodnią część lądu. Wzmiankę o Thaelricie zaczerpnęłam z zapisków podróżniczych.
- Svjetane otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, urwała jednak gdy do środka wparowała garść żołnierzy. Wśród nich Iseren rozpoznała Zheydara, a także paru regularnie stacjonujących na posterunku.
- Pragnę, byście zabrały swój dobytek. – głos Zheydara był klarowny, godny śpiewaka. – Oczekuje was załoga sampanu.
- Sampan? – dociekła Iseren.
- Niewielkiego rozmiaru łódź, Bankeidzka.
- „*Bankeidzka? Nic mi to nie mówi..*”
- Och, rozumiem. Potrzebujemy klepsydry czasu na przygotowania, jeśli można.
- Oczywiście. – skinął głowy Zheydar.

Iseren wyjaśnwszy dwójce co przekazał im Zheydar, pospiesznie udała się po dobytek, który na całe szczęście trzymano uporządkowany od paru dni. Część wyposażenia nie była na miejscu, w głównej mierze część należąca do Adaiela. W panującym pośpiechu ona i Svjetane liczyły, że konsyliarz zabrał już wcześniej co do niego należało.

– To jak? – sapnęła Svjetane. – Gotowi jesteście?

– Gotowi. – poparła Iseren. – Chodźmy się zgłosić wojskowym.

\*\*\*

Wymarsz, tak jak poprzednie, biegł przez obrzeża miasta.

„*Zapewne by zminimalizować niepotrzebne zainteresowanie ze strony mieszkańców.*” – dopowiedziała sobie Iseren.

Po kierunku wyglądało na to, że zmierzają na doki miejskie, te same, na których kilkanaście dni temu ich aresztowano.

Na jednym z pomostów wypatrzyli Adaiela, siedzącego z nogami na krzyż, w samotności. Niedaleko od nich zacumowano sampan. Uwagę dziewczyny przykuł osobliwy sposób rozkładania żagla, przywodzący na myśl wachlarz, który będąc rozłożony dawał na myśl płaską muszelkę.

Gdy żołnierze dotarli na miejsce, wdali się w rozmowę z Adaiem. W tym czasie Iseren z Svietanną przysiadła przy Hodhoke, nie zamieniając między sobą ani słowa.

W momencie, gdy jeden z żołnierzy wydał polecenie załodze sampanu, Adaiel pożegnał się wojskiem, udał się na pokład łódki.

– Chodźmy. – ponagliła resztę Iseren.

Najemnicy zaszli na pokład, Iseren powitała żeglarzy ukłonem. Siedzący pod daszkiem Adaiel się im przypatrywał w milczeniu.

– Jakaś mądrość na drogę, Adaielu? – zapytała dziewczyna, by przerwać niezręczną ciszę.

Brwi konsyliarza ściągnęły się delikatnie w zadumie.

– Czeka nas długa żegluga. – oświadczył lakonicznie.



## XV.

Adaiel nie kłamał; od wypłynięcia z miasta minęło wiele godzin i nie wyglądało na to by prędko mieli dotrzeć na Tanung. Łódź była natomiast zaskakująco prędką, a załoga sprawna, zatem nawet i długa droga nie powinna stanowić dla nich powodu do zmartwień. Przynajmniej w kwestii czasu przeznaczonego na dotarcie. Iseren bowiem jak i Svjetane coraz poważniej zastanawiały się, jak się powiedzie Adaielowi przedstawienie racji do zawarcia pokoju z Visildeią. Siedziały z brzegu łódki wymieniając się szeptem obawami.

– ..Wiem, że może być ci trudno, ale spróbuj wymusić na instancji staromowę. – Svjetane od dawna nie brzmiała tak poważnie. – I pomów z samym Adaiellem, proszę.

– Nie wiem, Svjetane. – zwiesiła głowę Iseren. – Może i nie raczy nam wyjaśniać swoich zamiarów jak zwykły, to szaleńcem nie jest. I to on ma moc sprawczą.

– Pilnuj go, niech nie palnie czegoś głupiego. I pamiętajmy, że sami nie jesteśmy. Iveon z pewnością wykorzysta fakt, że Adaiel zdziwaczał, od chuj wie czego.

– Od obowiązku na nim spoczywającego? – wysnuła Iseren.

– No, nieważne od czego. – zbyła Svjetane. – Ja taki myśliciel nie jestem. A wracając, jak będziem pierwsi na Tanung..

– Zakładając, że w ogóle zdołamy być pierwsi na Tanung. – wtrąciła się Iseren.

– Gdyby nie ty, to taka szansa mogłaby w ogóle nie mieć miejsca.

– Adaiel pewnie by i tak..

– Nosz kurwa! – Svjetane nie wytrzymała. – Nie odbieraj ciągle sobie zasług! Na chłopaku nie można już polegać.

– A co, na mnie nagle tylko można?

– Mówię przecież, on zwariował.

– Nie wiem.. – westchnęła Iseren. – Obserwuję go, zachowuje się.. Osobliwie. Ale dochodzi do swojej racji. Skutkiem raczej nie będzie tragedia.

– Skoro masz oko na niego.. Wierzę ci.

Svjetane mimo wszystko nie wyglądała na przekonaną.

\*\*\*

Dzień później; od czasu wypłynięcia nie zdołali dostrzec śladów jakiegokolwiek cywilizacji. Między nimi piętrzyły się wzniesienia porośnięte gęsto lasem, bez wątpienia nietknięte przez człowieka.

Najemnicy zabijali dłużący się czas na układaniu sobie zagadek, w których Hodhoke okazał się niezwykle wprawiony.

– Płetew nie ma, choć płynie, ciała nie ma, lecz między szkłem go uwięzić można, broni nie nosi, a i tak z wszystkim stoczyć bój potrafi. – przedstawił im którąś z kolei Hodhoke.

– Niech mnie.. – Svjetane potarła knykciem czoło. – No teraz to żeś mnie załatwił. Ach, nie wiem.

– Hm. – Iseren nie poddała się tak łatwo. – Co płynie, w szkłe się więzi i każdego pokona..

Hodhoke przysłuchiwał się jej w milczeniu.

– W szkłe więzić, okiełznać. I płynie, wszystkiemu sprostą.. Czyżby była to woda?

– Woda nie wszystko pokona.

– Faktycznie.. Czy przedmiot zagadki dosłownie wszystko pokona?

– Wszystko. Od myśli po wszelki obiekt.

– Wszystko, powiadasz. I płynie.. We szkłe. Czas. Odpowiedzią jest czas. Kiełzna się czas we szkłe, jako klepsydrę. Czas również płynie. Próbie czasu nic i nikt nie podoła.

– Tak, to czas. Kto następny zadaje zagadkę?

– Mi już ich starczy. – zrezygnowała Svjetane. – Za mądrzy wy na mnie jesteście, zaraza. Się z wami grać nie da. Kości bym pograła.

– Niech będą kości. – zgodziła się Iseren – Tylko o nic nie grajmy.

– I tak o nic nie mamy. – wzruszyła ramionami kobieta. – Ha, pierwszy raz w historii zagra się faktycznie dla dobrej zabawy.

\*\*\*

Do wieczoru każdy z trójki nie miał już ochoty na kolejną partię. Svjetane po grze, wdała się w rozmowę z Hodhoke, zapewne licząc poznać jego wiedzę o stanie Adaiela. Iseren wykorzystała ten czas by pobyć sama ze sobą, co nie nadarzało się za często na niewielkim statku.

Oparta ramionami o burtę wodziła palcem po tafli wody burząc na niej bruzdy. Nie potrafiła nakierować swoich myśli na jakiś konkretny

tor, pozostając na bezwiednej zadumie. Trwała tak długo, póki nie po-  
ciemniało. Zdała sobie sprawę, że reszta najemników zdołała już pójść  
spać. Poczuła dziwne zmęczenie, nie mające związku z jej wypoczę-  
ciem. Padła plecami na pokład, zapadając w nieprzyjemny sen.

\*\*\*

Obudziwszy się, stwierdziła, że nie jest na jawie. Obok niej roztaczał  
się pogrążony w mirażu widok, znajomej jej atelier, w której nigdy w  
rzeczywistości nie była.

Tym razem jednak zastała i jej właściciela. Nie widziała go dobrze,  
skupiony był przy pracy przy trójnogu, zawiesił na nim obite w materiał  
drewno. Iseren nie miała również pewności czym on się dokładnie zaj-  
mował, widziała jedynie, że osoba za stojakiem smagała materiał  
pędzlem.

*„Nigdy czegoś takiego nie widziałam.”*

Nieznajomy wyjrzał zza trójnogu.

– Widzę że dotarłaś. – przywitał ją w staromowie.

Głos miał niezwykle czysty, o zrozumiałym, choć obcym akcencie.

*„Dotarłam? Zapraszał mnie tu?”*

Iseren nie odpowiedziała, zbyt bardzo zaintrygowała ją twarz  
malarza. Miał on zjawiskowo długie uszy, zaginające się ku czubkowi  
głowy. Oczy nieznajomego były nienaturalnego kształtu, przypominają-  
ce zakrzywione krople wody.

*„Inkarn? A może ktoś więcej?”*

– Czym się zajmujesz? – zdołała z siebie wykrztusić.

– Maluję to co przyszłe. – odparł jej.

Nieznajomy sięgnął po farby, wtedy Iseren zdała sobie sprawę, że  
jedynym kolorem jakiego używa był czerwony.

– Czegoż to przyszłość?

– Tego co akurat widzę.

– Rozumiem. A wspomniałeś że tu dotarłam. Jestem tu zaproszona?

– Sama prosiłaś mnie o zaproszenie.

– Jak to? Nie pamiętam bym to uczyniła.

– Byłaś tu, prawda?

Malarz spojrzał centralnie na nią. Iseren poczuła ciężar we wnętrzo-  
ściach od jego wzroku.

– Tak, nieświadomie. We śnie.

– Zachciałaś wiedzieć czyja to komnata, co już teraz wiesz. Cóż za widok ścieli się za oknem.

– Więc co jest za oknem?

– Nie pamiętam. – mimo że powiedział to szeptem, Iseren usłyszała go doskonale.

„*Niczego nie rozumiem.*”

– Nie winię. – nie odszedł od szeptu. – Lecz ktoś ci pomóc może zrozumieć. Więcej nie rzec nie zdołam. Zaraz się obudzisz.

Szept malarza rozlegał się echem po przestrzeni jej umysłu, jakby wciąż wydobywał się z ust. Pogłos pozostał jeszcze moment, póki nie zerwała się z pokładu, niby o niego poparzona. Złapała parę szybkich wdechów, coraz to głębszych i bardziej miarowych, co uspokoiło ją. Zdała spieszenie sobie sprawę, że przypatruje się jej zagadkowo Hodhoke. Oczy delikatnie mu błyskały od światła rzucanego przez gwiazdy. Musiała go obudzić, choć nie dawał po sobie tego poznać.

– Zły sen? Czy zła wizja? – zapytał bardzo cicho.

– Chyba wizja. Nie wiem.

– Mhm. – wzrok Thaelrijczyka zelżał, przestając się skupiać na skąpanej we mroku twarzy Iseren. – Czasem trudno wskazać.

– Rozumiem, że pragnąłbyś tego wysłuchać.

– Pragnąłbym. Opowiedz mi zatem.

Dziewczyna tak też postąpiła.

– ..Więc osobą, która mi pomoże jesteś ty? – dopowiedziała na koniec.

– Pomogę. Jak wróci.

– Dobrze. Udam się po twą radę gdy znów mi się on przyśni.

– On ci się nie przyśni. – Hodhoke zreflektował dziewczynę. – On ci się objawi.

„*Zupełnie jak bóg.*”

\*\*\*

Iseren spędziła resztę nocy czuwając, nie zdołała już zasnąć. Rankiem na wodzie minęli miasto, intuicyjnie wiedziała, że to nie jest stolica. Załoga sampanu nie odwróciła w jego stronę nawet głów, co chociaż dało dziewczynie wiarę, że są dobrze obeznani z układem tutejszych wysp.

\*\*\*

Była późna noc, Iseren nie mogła zasnąć. Za każdą próbą wybudzał ją nagły obraz, tak drastyczny że wymazywała go z pamięci.

„Czym on jest?” – rozdrażnił ją jej umysł. – „Dlaczego nie mogę go zapamiętać?”

Po kolejnym razie poddała się. Ciężko jej było oddychać, jakby ubranie utkane było z metalu, niczym kolczuga. Nigdy nie nosiła kolczugi, ale w Rannuldun zaszłyszała od strażników jak cięży im zbroja na barkach.

„O czym ja właściwie teraz myślę?”

Wstała. Hodhoke znowu nie spał, skierowaną miał głowę ku niebu. Przysiadła przy nim, spostrzegła, że Thaelrijczyk miał zamknięte oczy.

– Nie śpisz, Iseren. – powitał ją, nim coś zdołała powiedzieć.

– Nie śpię.

Hodhoke zamilkł.

– Obrazy mnie nawiedzają mnie od wieczora. – odezwała się Iseren. – Widziałam je ponad pięć razy.

– Liczba nie ma znaczenia. Elieor lubi dawać obraz, nie liczbę.

– Elieor? To bóg?

– Żywot wie dzie w gwiazdach. Tej co wskazuję.

Powiódł palcem po słabo widocznym firmamencie na jeszcze jasnym wieczornym niebie. Miał wciąż zamknięte oczy. Iseren nie miała pojęcia, którą z gwiazd dokładnie wskazał.

– Rozumiem. Co ci wiadomo o Elieorze?

– Tworzy dzieła. Jedynie o ponad siły woli potrafią je pojąć. Czy ty do nich należysz?

– Niestety nie. Ale.. Znałeś go? Dlaczego nie wspomniałeś wczoraj?

– Ówczas pragnęłaś bym cię wysłuchał.

– To prawda. Mogłam sama wspomnieć.

Hodhoke się nie odezwał.

– Chcę z nim pomówić.

– Przemów więc.

– W snach?

– Taką drogą odpowie.

– Nie mogę przecież zasnąć.

– Zaśniesz.

– Skąd pewność że akurat teraz?

Hodhoke wstał. Z początku myślała, że uraziła go swym zwątpieniem. Lecz Thaelrijczyk zwyczajnie otworzył oczy. Malował się w nich spokój, bliski obojętności.

– Połóż się. – przemówił. – I zamknij oczy.

Iseren usłuchała. Wyteńczyła słuch, Hodhoke począł recytować w obcym języku, brzmiał podobnie do tego, którym porozumiewał się z Zheydarem:

– *Tsu'uba arunatha ne. Gathei akujo ono ha'ani khamnekiire hanasai, ata'ani ha oyamenasa, khesute nhod okhroi ma'athi.* – wysłyszała formułę. – *Ono Shon toha'ash hkaye, khesute nhod okhroi ma'athi.*

Iseren poczuła wilgoć na twarzy, zostawianą za pociągnięciami palców Hodhoke. Ich czucie był wyjątkowo delikatne, nie przyprawiał ją o dreszcze, jaki zwykle przytrafiał się jej na czyjś dotyk.

– *Ono Shon toha'ash hkaye, khesute nhod okhroi ma'athi.* – powtórzył Hodhoke.

Koszula na Iseren szarpnęła, Hodhoke ją rozwiązywał. Pozostała nieruchomo, Thaelrijczyk rozpuścił jedynie jeden węzeł, przy obojczykach. Hodhoke natarł odsłonięte ciało, olejek będąc pod jej nosem dusił ją ciężkim, ziołowym zapachem.

Oddech sprawiał jej trudność, lecz o niego nie walczyła. Hodhoke poprawił jej ręce, usunął kosmyk z czoła. Procedura zdawała się dalej ciągnąć, lecz dziewczynie umykała ona z pamięci. Woń olejków była zbyt silna by zwrócić na coś innego uwagę.

\*\*\*

Iseren nie była już na sampanie. Szum wody uchichł, wraz z nim powtarzane formuły Hodhoke. Poczuła wzbierającą się energię, od jej nadmiaru wezbrało się jej na mdłości.

Krew, wnętrzości, ból. Cokolwiek było niegdyś człowiekiem mieszało się teraz w wodzie, tworząc rubinowe węże. Grotesk powoli ustępował abstrakcji, Iseren przestała czuć kolację wzbierającą się do jej gardła.

„*To sztuka, czy przepowiednia?*” – zadała sobie pytanie w myślach.

– Cóż, Iseren – usłyszała nagle głos Elieora – w obu przypadkach miałybyś rację.

– Skąd znasz moje imię? – Iseren trudno było pozostać przy jednym pytaniu. – I czytasz w moich myślach?

– Więc tak – nabrał powietrza – Skoro mam dostęp do twych myśli, dlaczego nie mógłbym ich wertować? To ci daje też odpowiedź skąd znam twoje imię.

– Och, no tak. Wybacz mi, ja po prostu.. Trudno mi to pojąć.

– Trudno? – Elieor przybrał mniej władczy ton. – Hm, może i.. Przyzwyczajono cię do wyłącznie materialnego realia. Pozwól, że się dostosuję.

Iseren poczuła swoje ciało, w stopy załaskotała ją miękka trawa. Unosząc wzrok spostrzegła mistycznie prezentujący się zagajnik i Elieora siedzącego elegancko na kamiennej ławie. Zwiewne szaty, które miał na sobie były idealnie skrojone, pozwalające sobie na subtelna ekspozycję ciała ich właściciela. Iseren starała się nie wodzić wzrokiem po jego smukłej sylwetce, a zwłaszcza o niej nie myśleć. Skupiła się zatem na twarzy Elieora, wyjątkowo urodziwej nawet jak na kanony piękna rasy wyższej. Gwoli dzielącego ich dystansu, Iseren zbliżyła się ostrożnie parę kroków. Ławka, na której siedział była zbyt krótka by mogła obok niego usiąść.

– Dopasuje się do siedzącego. – wyjaśnił Elieor.

Iseren nie mogła się przemóc by usiąść w powietrzu, mimo zapewnień nie czuła by ława miała się rozrosnąć, by ją pomieścić.

– Możemy stać. – stwierdził Elieor. – Bez różnicy.

W momencie gdy Elieor wstał, siedzisko wyparowało, jak gwałtownie zawrzona woda. Iseren włożyła sporo wysiłku w to by tego nie skomentować.

*„Nie jestem we śnie. Ale też nie na jawie.”*

– Masz rację. – zgodził się. – Jesteśmy w.. Korytarzu, między sieniami. Lub też alternatywnie, poza budynkami. W kreacji swego rodzaju.

– Muszę spytać. Zakłócałeś moje sny, jaki jest ku temu powód?

– Och? – Elieor wyglądał na poruszonego. – Zakłócam? Byłem ciekaw jedynie, co sądzisz o mej sztuce. Jak ci swego czasu wyjawilem, maluję przyszłość. Wiernie, ale i z tchnięciem artystycznym.

– Dlaczego akurat mnie? Coś mi dane jest wiedzieć? Przekazać?

– Wasze wyobrażenie o nas jest co najmniej urocze. – Elieor zmrużył oczy, rozczulony. – Bez daru, to tylko obrazy. Choć doceniam wasze interpretacje. Przypominają mi starania ociemniałego o pojęcie czym są barwy.

– Czyli.. Lubisz obserwować zmagania ras ziemskich, niczym znane ci przedstawienie?

– Ujęte bardzo stereotypowo. Nie jestem wszechwiedzący, nawet my, Niebianie, mamy swe granice. Ale miło jest mi przypatrywać się co niektórym z was, jesteście doprawdy interesujący. Szkoda, że zwykle na obserwacji się kończy..

– Co czyni nas interesującymi do obserwacji?

– Jesteście nam odmienni, a zarazem pewnego stopnia nam bliscy. Widzisz, z biegiem czasu zaczyna cię nudzić krystaliczne czysty ideał, znany do cna, zaplanowany. I przychodzi ci docenić piękno przypadku.

„*Ciekawe jak często mnie podglądał..*” – Iseren zapomniała, że jej rozmówca zapewne to wszystko słyszy.

– Nie przechodzę do obsesji, bez obaw. I mam wobec twojej prywatności szacunek. – odparł jej kurtuazyjnym tonem.

– Wierzę na słowo. Wiesz dlaczego widziałam twoją pracownię w snach?

– Podoba mi się ta zmiana. Z „dlaczego” na „wiesz dlaczego”. A co do twojego pytania, nie wiem. Myślałem, że chciałaś się tam znaleźć. Pozwolisz że teraz ja cię o coś spytam. Jak wspomniałem, ciekaw jestem twojej opinii na temat mych obrazów.

– Hm. – zastanowiła się nad stosownym doborem słów. – Nie w sposób mi było je zobaczyć, poza tym ostatnim. Aczkolwiek uchwycenie grotesku było nietypowo obojętne, wręcz nonszalanckie.

– Przydała mi się opinia kogoś zupełnie odmiennego nam, dziękuję. Zapewne z waszą wrażliwością takie bodźce są mniej interesujące, wręcz wzbudzające wstręt. Ale doceniam twój otwarty umysł. Odnosnie tegoż umysłu, muszę wspomnieć, iż świadom jestem co pragniesz wiedzieć. Jeśli zachcesz, poznasz prawdę z pierwszej ręki, kolokwialnie ujmując.

– Uprzejma propozycja. Lecz poznać istotę siebie pragnę poznawać w swoim zakresie. Podaną bezprecedensowo odpowiedź nie poczuję w sposób należyty.

– Poczuć odpowiedź.. Rozumiem.

– Nie sprawiam ci przykrości odmową?

– Skądże. To twoja decyzja, muszę ją uszanować. I cieszę się mimo wszystko, że mogę wreszcie z tobą pomówić. – spojrzał po niej mrocznym wzrokiem. – Choć przyszłość jaką malowałem się zdarzy.

– Domyślam się. Co mnie właściwie czeka?



– Walka, ponad ciebie.  
– Nie wiem jak to jest, ulec sile komuś.  
– To się dowiesz. Wybacz, jeśli zabrzmiało to jak groźba czy złorzeczenie w twą stronę.

– Brzmi tak. Ale traktuje je jak ostrzeżenie. Które i tak niczemu nie wskóra.

– Żadnych pytań kiedy i gdzie?

– Nie.

– Po prostu chylisz głowy ku takiemu losowi?

– Nie mam wyboru. To jedynie luksus Niebianina, móc grać zgodnie lub wbrew przeznaczeniu. Ja po prostu jak kukiełka, odgrywam swoją rolę.

Elieor uśmiechnął się nieznacznie w odpowiedzi.

Gaj przeobraził się w delikatnie szumiący strumień, nad którym zasiadł Niebianin. Gestem dłoni zaprosił ją obok siebie. Iseren siadając, próbowała brodzić nogami w wodzie. Zanurzwszy je, zamiast leniwego prądu wody poczuła coś w rodzaju podmuchów wiatru.

*„Ciekawe uczucie. To materia formowana jedynie z elementu oparu?”*

– Tak, władam oparem, ujmując to w proste słowa.

Iseren dała się pokusie dotknięcia Niebianina. Zdumiała się, gdy jej dłoń przeszła przez ciało Elieora.

– Och, wybacz. Ograniczyłem wrażenia czuciowe w mej kreacji. – przeprosił ją. – Mógłbym urozmaicić ten światek, aczkolwiek mam wątpliwość jak zniósłby to twój *yahnaeil-aytham*.

– Wyjaśnij, jeśliś łaskaw.

– *Aytham* to kataliza w ciele niebiańskim, pozwala na kontrolę nad danym elementem. Poza *nirilkash*, naturalnie.

– *Nirilkash* ma związek z Nyrem, lub też Nyrelionem?

– Kim? Nie rozumiem.

– Zbyt długo czasu zajęłoby mi wyjaśnienie. Myślałem też, że mając do mojej głowy wiesz kim jest.

– Trudno to wyeksplikować. Myśli, gdyby porównać je do stronic książki, pisane są większą literą gdy często przywoływane. I przeciwnie względem książkom, to nieotwierane stronnice blakną.

– Rozumiem. Dziękuję za objaśnienie.

Elieor kiwnął głową, zamilkł. Przy zapadłej ciszy, Iseren przysłuchiwała się strumieniowi, jego nienaturalnie brzmienie przykuło jej uwagę. Brakowało w nim bowiem chlupotu, jakby był suchy.

*„Jest poniekąd. Woda bez cieczy nie jest wodą.”*

– Czy ja mogę władać elementami? – odezwała się Iseren. – Jestem córką dwóch Niebian.

– Wiem, że jesteś *Khallan-Caern*, Noszącą Stygmaty. – Elieor uniósł głowę. – Mimo wszystko, nie dana ci kontrola nad pierwotworem materii. Siły starły się przy twym poczęciu. Zabrzmię okrutnie, ale ta fuzja pod wieloma względami cię zdegradowała. Pozostając w zapadłym temacie, czy jest coś jeszcze co pragnęłabyś poznać o nas, Niebianach?

– Nie. Za wiele już się dowiedziałam.

– Nie rozumiem cię. Włożyłaś i tak spory wysiłek by ze mną pomówić.

– Za mało bym mogła wszystko poznać.

– Ja myślę, że tobie na tej wiedzy nie zależy. – Niebianin spojrzał wzrokiem zbyt przenikliwym by mogła go zignorować.

Zakłuło ją w brzuchu, jakby przyłapano ją na poważnej zbrodni. Nie odezwała się.

– To chyba trudny temat dla ciebie. – zauważył.

– Jest. – przyznała z trudem. – Nie czytaj mi mojej głowy w tym zakresie. Proszę.

– Obiecuję. I przepraszam. Zapomnijmy o tym.

Sceneria ponownie się przeobraziła, tym razem unosili się pośród gwiazdnego nieba. Iseren nigdy w życiu nie czuła się tak lekko, nie mogła wyzbyć się wrażenia jakoby niewiele różniła się od krążącego wokół wiatru.

– Tak odczuwa się odebraną ciała wagę, gdy stajemy się jednym z kontrolowanym pierwotworem. – wyjaśnił jej. – Tak podróżujemy.

– Zawsze?

– Nie, nie zawsze, istnieją inne sposoby komunikacji. A pozwól że spytam. Jak odczuwa to osoba nie mająca styczności z tą praktyką od dziecka?

– Trudno mi o słowo które to opisze.

– Rozumiem.. Być może kiedyś będziesz zdolna udzielić pewniejszej odpowiedzi.

Zapadła na chwilę cisza.

– Wkrótce się obudzisz. – oznajmił Elieor.

- Jak to jest widzieć na przód?
- To wielki dar, ale i też bojaźń. Ponoć straszliwsza sensacja niż uj-  
rzenie kresu siebie nie istnieje. Nie sięgam tam wzrokiem, a wciąż,  
obawiam się tej pustki, czerni pośród koloru.. Nie w sposób to ująć.
- Chyba lepiej jest nie wiedzieć kiedy się umiera.
- Tak, jest o niebiosach lepiej. Doprawdy to luksus jest nie wiedzieć. W  
temacie końca, przykro mi, ale musisz już iść. Umysł źle znosi nagłe  
odejście od wykreowanego świata.
- Rozumiem. Do zobaczenia.
- To od ciebie zależy czy do takiego dojdzie. Znasz już drogę.
- Znam. Wrócę do ciebie.

Iseren zaczęła stopniowo odczuwać swoją wagę ciała. W miarę jak się oddalała od Elieora, obraz wokół niej stawał się coraz bardziej pogrą-  
żony w mirażu, w pewnym momencie zaczął ciemnieć. Iseren wybudziła  
się swobodnie, czując się lekko na duchu. Pierwszy raz w swoim życiu  
miała ochotę udać się ponownie spać, mimo, iż była wypoczęta.

## XVI.

Od rozmowy z Elieorem cykl dobowy Iseren zdawał się ulec dramatycznej zmianie; była nierozmowna, apatyczna wobec otoczenia, wszystko z minionego dnia jej umknęło z pamięci jak w mało zajmującym śnie. Nocą zaś odżyła, gotowa na kolejną rozmowę z Niebianinem.

Ułożyła się do snu, zamknęła oczy. W międzyczasie wertowała między wspomnieniami, niby stronicami woluminu.

Iseren oglądała zranione przedramię. Nad dziewczyną nachylił się Geonrod. Wymłodniał, był od niej znacznie wyższy, choć pamiętała że go przerosła o głowę już jako szesnastolatka.

– Bardzo boli? – zapytał.

Nie odezwała się, bez żadnych emocji oglądała skaleczenie. Czerpała i interpretowała nowe uczucie – ból. Czuła jego obecność jako sprawiedliwą, przechodzącą do przyjemnej. Miała jednak wrażenie, że nie zawsze będzie się jej podobał.

– Za gwałtowny było me wystąpienie dla nowicjusza. – skarcił sam siebie Geonrod, trzymany miecz oparł się o nogę. – Chodźmy, na dziś koniec pojedynków. Zajmiemy się raną, powinno obyć się bez blizny.

– Bez blizny zapomnę o tej ranie. – odezwała się Iseren. – Me pierwszej.

– Nie zapomnisz, nawet jeśli się w pełni wygoi, bo to twa pierwsza. Pamięta się tą pierwszą. I ostatnią, życzę ci byś mogła długo o owej pamiętać.

– Na pewno nie zapomnę? – upewniła się dziecinnie.

– Zaufaj mi. I chodź, dziecko. Wracamy.

Iseren kiwnęła głową, usłuchała.

*„Miał rację, nie zapomniałam.”*

Iseren otworzyła oczy, nie zastała widoku statku. Spoglądała na przyćmioną komnatę, była jedyną osobą w pomieszczeniu.

*„Spróbuję jutro. Może go zastanę.”*

\*\*\*

Następnej nocy; Iseren zasypiała powolnie, zbyt skupiona była na chęci zaśnięcia by mogła faktycznie to zrobić. W końcu udało się jej rozproszyć od tej myśli, pogrążyła się w marzeniu.

W komnacie był Elieor, jednak samo pomieszczenie zdawało się być mniej wiarygodne. W niektórych miejscach przestrzeń się zakrzywiała, umykała spod jej wzroku.

„Cóż to się stało?”

– Powoli zapominam jak wyglądała ta komnata. – wyjaśnił jej Elieor.  
– Dawno mnie tu nie było. Bardzo dawno.

– Nie chcesz dopowiedzieć co do jej wyglądu?

– Nie chcę, nie czułbym jej jako tej autentycznej.

– Chwila. Ty widzisz wyłącznie do przodu?

– Tak, wyłącznie. Nie jestem mistrzem chronomantą, a zaledwie wieszczę. Przeszłość pojmuję wyłącznie pamięcią.

– Ja dysponuję pamięcią o tej komnacie. Możesz mi wyjąć jej wizję z umysłu. – zaproponowała Iseren.

– Miło z twojej strony. Niech się jednak to miejsce osuwa, degraduje. I tak tu już nigdy nie wrócę, może i dobrze, że przestanę tu wracać.

– Dlaczego tu nie wrócisz?

– Jestem na wojnie, wszak to bezmyślny pokaz sił nie konflikt racji.

– Jak każdy.

– Nie, nie jak każdy. Wy, na Si'irsghaloh macie powód by walczyć, o surowiec, o ziemię. A niebianie? Dla nas to rozrywka.

– Separujesz się od powszechnego poglądu.

– Nie tylko ja. Wielu jest przeciw. Lecz nie moi rodzice. Posłali mnie na wojnę, ku chwale. – oczy Eliora zadrgały. – Nienawidzę solucjonizmu.

– Czego?

– Pogląd życiowy. W jego mniemaniu dla życia jest i musi być chore wyjaśnienie. Dla chociażby mojej rodziny jest to oddać się niepotrzebnej nikomu glorii, rozlewowi krwi. By nie żyć za wygodnie.

– Ciekaw jestem jaką ty filozofię życiową uznajesz.

– Nie uznaję żadnej. Życie to definicja sama w sobie.

– A jak to miewa się to twojej kontemplacji nad przypadkiem?

– Wdzięcznym za zmianę tematu. Widzisz, w zaciszu domu spędzałem godziny rozmyślając nad idealnymi, nudnymi wręcz obrazami. I je realizowałem. Perfekcja zamykała mnie na szczyptę schematów, dopra-

cowanych, ustabilizowanych. A przypadek? Niby gmach prowadzący ku kompozycjom, o których nie przyszło mi myśleć.

– Jak się maluje mogąc widzieć do przodu?

– Zbyt idealnie, wiedziałem gdzie pędzel skierować by zastać dzieło nader doskonałe, płytkie za sprawą tego. Ale teraz, zamykam to przysłowiowe trzecie oko podczas malowania. Popełniam błędy, spontanicznie je koryguję. To piękno którego nigdy wcześniej nie znałem.

– Ciekaw jestem skąd taka decyzja.

– Od obserwacji, miałem i mam na nie mnóstwo czasu. – głos Eliora uległ drobnej zmianie. – Ukłuła mnie myśl, co gdyby nie wiedzieć jaki los spotka wędrowca w lesie? Zamiast z wyższością oglądać to co już widziałem, czekałem, w niepewności. Z tej niepewności rodziła się troska, drżałem na myśl co go spotka. Zdałem sobie wtedy sprawę. Nie będąc pewien co los przyniesie, dostrzegałem więcej, choć mniej widziałem.

Niebianin zrobił długą przerwę, spoglądał w dal.

– A teraz, pozwól, że to ja o coś ciebie spytam. – odezwał się prawie szeptem.

– Słucham.

– Czy pozwolisz się namalować, Iseren?

– Pozwolę. Tylko niech będzie to przyzwoity obraz.

– Rozumiem że negliż nie wchodzi w grę. – na widok przeczącej Iseren, Niebianin zamyślił się. – Fakt, obraz by nie odzwierciedlał ciebie. Pomyślę nad tym.

– Mam zapozować?

– Nie, nie będę malował tej wizji na sztaludze. Jedynie czasem jej używam, symbolicznie. Ona i tak nie istnieje.

„*Sztaluga zakładam że to ten trójnóg.*”

– Wizja, powiadasz. – odezwała się, nim Elieor odpowiedział na jej myśli. – Zechciałbyś mi ją potem zesłać?

– Z przyjemnością. – Elieor uśmiechnął się łagodnie.

– Jeszcze jest jedna sprawa.

– Cóż takiego?

– Postaraj się o mniejszy pokład energii w swych wizjach. Ostatnim razem omal od niej nie zwymiotowałam.

\*\*\*

Od kiedy Iseren miała kontakt z Niebianinem czuła się, jak gdyby nie przesypiała nocy. Dnie zdawały się jej być niepełne, zgubiła ich rachubę. Leżała skulona pod baldachimem, próbując oprzytomnieć.

– Lepiej się czujesz? – zajrzała do niej Svjetane.

– Lepiej? Czy coś wspominałam na ten temat?

– No, tak. – kobietę zaskoczyło jej pytanie. – Mawiałaś, żeś niezdrowa, że cię głowa pali.

– Nie pamiętam.

– Boś pewnie spać nie mogła. Zdrzemnij się, jak ci teraz lepiej. Lada dzień będziemy w Tanung.

– A jest?

– Co ma być?

– Pora dnia.

– Aha. Świt mniej więcej. Idź spać.

– A ty co robisz na nogach?

– No ten – Svjetane poczerwieniała – wiem, że nie lubisz pytać czy się masz dobrze. Ale zajrzeć chciałam, wybaczyć.

– Nic mi nie jest. Też pójdź się położyć.

– Ale wołaj, jak coś.

– Dobrze.

Iseren wystarczyło zamknąć oczy by zasnąć.

\*\*\*

Iseren obudziły prędkie kroki na statku. Uniosła głowę, napotykać przed sobą imponującą panoramę miasta. W związku z widokiem nie naszała ją żadna konkluzja, spoglądała na stolicę imperium wręcz obojętnie. Była wciąż niewyspana, miała ochotę położyć i wrócić do snu.

*„Muszę się otrząsnąć..”*

Nie pamiętała jak znalazła się na nogach. Załoga łodzi przeprowadziła ich mniej zatłoczonymi ulicami, aż dotarli u stóp kamiennych schodów, które prowadziły do pałacu ulokowanego na wzniesieniu. Nie wspieśli się na stopnie, zamienili jedynie parę słów z Adaiem.

W tym czasie Iseren powiodła wzrokiem po otaczającej ją architekturze. Oglądała je zdawkowo, niezdolna do żadnego wniosku.

Szturchnięta poczęła wspinać się po stopniach, tym razem pod eskortą ciężkozbrojnych żołnierzy. W końcu dotarli na szczyt schodów, eskortujący ich żołnierze przystanęli na chwilę, pozwalając najemnikom złapać

oddech. Odpocząć potrzebowała tak naprawdę jedynie Svjetane i Adaiel, choć konsyliarz nie dawał tego po sobie poznać. Adaiel rzucił porozumiewawcze spojrzenie do jednego z żołnierzy, ponowiono przemierzanie terenu pałacowego.

Kompleks liczył sobie sporo struktur różnej wielkości i zastosowania. Po jego dwóch przeciwnych stronach piętrzyły się znacząca ponad resztę budynki, jeden z nich znajdował się tuż przy stopniach wejściowych, w jego kierunku zmierzał Adaiel.

Przeszedłwszy przez perystażę, trafili do przestronnego przedsionka, towarzyszący im wojownicy zdawali się przyjąć bardziej sztywną posturę. Mimo pałacowej straży, miejsce zdawało się być obumarłe, jakby panująca aura nader respektu oraz lęku zabiła wszelkich dworzan. Grupa niosła za sobą echo po kamiennej posadzce, póki nie zwolnili kroku przy kończącej przedsiień sali tronowej. Nie zastali władcy na siedzisku. Adaiel przystanął, dobył tuby ze zwojem. Iseren czuła przejęcie zebranych, pomogło jej to rozbudzić umysł.

– Co teraz? – dociekła Iseren, głos miała zachrypnięty gwooli długiego milczenia.

Oczy Adaiela zaświeciły się, jak dziecku, które usłyszało obelgę na swój temat.

– Co ma być? – prychnął. – Pójdziemy poszukać władcy.

„Nie wiem czy to dobry pomysł.”

Adaiel wyrwał się obrzeżem komnaty, za nim ruszył jeden z żołnierzy i Iseren. Żołdak nie wyglądał jednak by miał zamiar go zatrzymać, tak też zrobiła i dziewczyna. Sugerowana miną żołnierza, uznała, że chociaż on się domyśla dokąd konsyliarz ma zamiar pójść.

– Adaielu. – spojrzała po nim srogim wzrokiem. – Gdzież ty zmierzasz?

Chłopak nie odpowiedział. Zatrzymał się gwałtownie, rozglądając się za czymś w sali tronowej.

– *Iwoga aw urtahan aha waguutug karuyag inawang.* – poinstruował go półgłosem żołnierz wskazując na coś palcem.

– *Walnghan awonga wiyo, Hcetsa-Wya.* – odparł Adaiel, delikatnie schylając głowy.

„Wiele bym dała, by zrozumieć, o czym teraz mówię..”

Cokolwiek powiedział żołnierz, dało jasną odpowiedź konsyliarzowi, dokąd należy się udać. Wojak zamrugnął zaskoczony widząc, że konsyliarz nagle ruszył żwawym krokiem.



– *Awigtwa!* – sapnął żołnierz, spiesząc za nim. – *Awigtwa Kaunghce-Wya! Sagdon manwasanamg awa kangiawang Kaunghar-Pahgah!*

– *Wugak ha iwpuolongwe!* – Adaiel przeszedł do pisku, wyglądał na urażonego. – *An awontil wakadto bisanpa ana iw kaburutwa.*

Do dumnego oblicza żołnierza nie pasował malujący się na nim wyraz przerażenia.

– *Wblug..* – żołnierz spojrzał z desperacją po Iseren. – *Bilngwa ana ahunainiwa. Ikawala iw nakkahiwo.*

„Zakładam, że nie chce spełnić obecnej woli Adaiela, mogę się jednak mylić. Zaryzykuję, zaufam swojemu przeczuciu. Nawyżej wojskowy mnie sprostuje.”

Dogoniła Adaiela, sunącego po uboczu sali.

– Czeka! – złapała go za rąbek jego szaty. – Gdzież ci tak spieszo?

– Do jego imperialnej wysokość, a gdzie ma być? – Adaiel starał się panować nad głosem. – Czy możesz chociaż ty mi nie przeszkadzać?

– Uspokój się. Jeśli mości władcy nie ma na tronie to pewnie jest czymś zajęty.

– Jest, ma bowiem naradę ze swoimi bliższymi dworzanami, co nasz towarzysz wyjawiał. A nasze oznajminy to dobre urozmaicenie ich narad.

– Nie jest. – chwyciła go mocniej za szatę. – Zostań tu.

Adaiel odwrócił się do niej gwałtownie. Dziewczynie przeszła myśl że ją uderzy.

– Każesz mi coś? – spytał ją nieprzyjemnym tonem. – Naprawdę?

– Nie, nakłaniam. Popełniasz bowiem głupstwo.

Adaiel puścił głośno powietrze.

– Tak, zwykle ja popełniam głupstwo! – huknął jej w twarz roztrzęsionym tonem. – Myśli byłem, że choć ty mnie szanujesz!

– Ale..

– I wiesz co? Skoro jestem takim głupcem to rezygnuję z naszego układu. Dostaniesz wyłącznie srebro w nagrodę. I sobie za nie wynajmiesz mentora.

Iseren puściła szatę Adaiela, nie miała ochoty na niego patrzeć. Towarzyszący im żołnierz spojrzał po niej zaskoczony, widząc, że nagle odpuściła.

– Płonna nadzieja, że konsyliarz sobie odpuści. – wyjaśniła, nie licząc, że zna staromowę.

Nie odpowiedział, ale sugerowany mało optymistycznym tonem przybrał niewesołą minę. Pozostało im iść za Adaielem.

Konsyliarz, będąc przy rogu sali, skreślił przez jedno z przejść, wychodząc przestronny dziedziniec. Jego spory metraż podkreślało wyludnienie – jedyną żywą duszę stanowiła patrolująca straż pałacowa. Przy panującej wśród nich ciszy słyszała jak towarzyszący im żołnierz dzwonił lamelkami, zarówno od kroku jak i wzdrygnięć gwoli rosnącego lękiem.

„*Cokolwiek co grozi za przerwanie narad imperatora, musi być pa-skudne.*” – uznała Iseren, przyglądając się ukradkiem blademu już ze strachu żołnierzowi.

\*\*\*

Schemat pałacu zaczął powoli umykperać z głowy dziewczyny po przemierzeniu różnych części kompleksu; trudno jej było właściwie stwierdzić czy nie błędzą w koło. Sam Adaiel musiał począć polegać na niechętnym ku temu żołnierzowi, który bezskutecznie starał się zaniechać zakłócenia obrad. Minęli skrzydła dla dostojności, ogrody, zbrojownię, aż stanęli przed pilnie strzeżoną fasadą przysadzistego gmachu, w kierunku której udał się konsyliarz. Eskortujący ich żołnierz mruknął coś pod nosem, po tonie brzmiało jak szpetne przekleństwo.

„*Co się mu dziwić.*”

Straż zagroziła nadchodzącemu Adaielowi drogę, informując go o czymś oficjalnym tonem. Adaiel w wyniku zatrzymania dobył zwoju, zarecytował z niego parę wersów. Strażnicy z nietęgimi minami pozwolili mu przejść, spojrzeli nieufnie na podążającą za nim Iseren. Ostrzeżenie które rzucili im na odchodne wzdrygnęło wręcz żołdakiem.

„*Wolałabym nie wiedzieć przed czym była ta przestroga..*”

We wnętrzu, Adaiel ruszył niedługim korytarzem ku przesuwным drzwiom z połyskliwego drewna. Pełna otworów konstrukcja drzwi pozwoliła im podejrzeć panującą rozprawę. W sali głosu dobywali różni Inkarnowie – od dumnych żołnierzy po skurczonych ze starości mędrców. Samego władcy Iseren nie zdołała zlokalizować.

Przestała oglądać przebieg narady, skupiając się na Adaielu. Ten akurat wyjawiał coś jednemu ze straży, po minie dało się wyczytać, że konsyliarz prosi go o coś absurdalnego. Ten w końcu dał za wygraną i wszedł do sali, na której toczyła się narada. Dyskretnym gestem ponaglił resztę by poszła wraz z nim.

Stanęli za strażnikiem powtarzając po nim niski ukłon.

– Wasza wielbność, – oznajmił strażnik w starokyrridejskim – przybył raport z Khyire'de.

– Dobrze więc. – odparł mu starszego wieku Inkarn. – W imieniu wielbnego imperatora zaświadczam, iż posłucha on co kontynent ma do powiedzenia. I oby przybyli mieli dobry powód by zakłócać naszą obradę.

– Jeśli jego imperialna miłość sobie życzy, mogę stosować tanungański. – Adaiel wystąpił w głąb sali.

– W imieniu jego wielbność deklaruję, iż pozostaje to w waszej woli. – odparł. – A tych dwóch?

– Eskort, mości.. – zaczął Adaiel.

Zapadła bardzo niezręczna cisza.

– Rozumiem, iż oczekujesz mojej tożsamej. – podjął lodowatym tonem stary Inkarn. – Udzielam jedynie za tłumacza, odpowiadam w imieniu jego wielbności. Imię, które noszę jest zatem nieistotne. A co do twojej eskorty, nie powinna przebywać na sali obrad.

– Możecie ich wyprowadzić, jeśli zaszła taka potrzeba. – Adaiel omal wszedł mu w słowo swoją odpowiedzią.

– Żołnierzu – zwrócił się do strażnika przy uchylonej wciąż oddrzwi – Zabrać tą dwójkę. Poza skrzydło obradowe, na dziedziniec.

– *Natuwaga wingya aw Hcaerone-Wyar.* – przeszedł do tanungańskiego strażnika.

– *Walngan awonga wiyo, Wankhce-Wyar.* – odpowiedział pogodniejszym tonem starzec.

Iseren i towarzyszący jej żołnierz nie stawiali oporu, dali się wyprowadzić na zewnątrz.

„A mógł konsyliarz poczekać..”

Podobnej myśli musiał być żołnierz, bowiem wiódł wzrokiem po fasadzie ze stale niespokojnym wyrazem twarzy.

– Wróćmy lepiej do przedsionka sali tronowej. – próbowała przekonać żołnierza.

– *Naliiwikg awonga watlinga aw.* – odparł przepaszająco.

– Nie znam tanungańskiego.

„Pewnie powiedział to samo, lecz odnośnie staromowy.” – zasugerowała sobie w myślach.

Dopiero gdy wskazała budynek wejściowy, żołnierz zrozumiał co proponowała. Zauważyła też, że przyjmował na powrót dumniejszy wyraz twarzy.

*„Uspokoił się, dobrze. Może konsyliarz sobie sam poradzi..”*

\*\*\*

– Jesteście. Tylko gdzie Adaiel? – Svjetane szepnęła lękliwie. – Czy on..

– Nie jest aresztowany, bez obaw. Ale wprosił się na obrady.

– Iseren.. Miałas go pilnować! – szept kobiety zrobił się sykliwy.

– Graniczy to cudem. Nie słuchał głosu rozsądku mojego i tamtego żołdaka.

– Zarazo.. – Svjetane przyłożyła pięść do czoła. – Ale to dlaczego wróciliście?

Iseren poczęła streszczać przebieg zajścia.

– Że co? – przerwała jej w połowie Svjetane. – Naprawdę wydarł się tak na ciebie? I zerwał wasz układ?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Biedna.. O, wybaczone, przerwałam ci. Mów dalej.

Iseren usłuchała.

– Ale nawarzył piwska chłopaczyna. – skomentowała Svjetane, już gdy dziewczyna skończyła mówić.

– Lepiej nie ujmę.

– I nieźle zdurniał. Co on, w nas ma wrógów? Myślałam jeno, że on samojeden chce wszystkim zarządzać i pokazać jaki mądry zaradny jest.

– Ta rozmowa do nikąd nie doprowadzi. – przerwała jej Iseren.

– Pewno nie w humorze ci teraz. To nie mówmy o tym.

– Jak uważasz.

– Chcesz rozluźnisz się przy czym? – spróbowała Svjetane. – Hodhoke może nam mądrość opowie..

– Nie. – urwała ostro Iseren. – Poczekamy na konsyliarza. W ciszy.

\*\*\*

Drużynie ciężko było ocenić upływ czasu przebywając w pałacu; pozbawieni autorytetu konsyliarza nie byli nawet pewni czy mogą opuścić przedsionek. W pewnym czasie towarzyszący im żołnierze wrócili na swoje pozycje, zostali zatem pozbawieni wszelkiej możliwości kontaktu z potencjalnym przedstawicielem dworu, który mógłby zainteresować się trzema obcymi w pałacu. Jak dotąd do zmian warty straży nie doszło,

wyglądało zatem na to, że na razie nikt z dworu nie zaingeruje w kwestiach ich obecności. Iseren imponowało, jak dostojnie ustawieni na pozycjach są strażnicy. Gdyby nie przemarsz co parę sypnić klepsydr, dałaby wiarę, że ma do czynienia z posągami.

„*Ciekawe jak taki żołnierz sprawuje się w walce..*” – zamyśliła się. – „*Tak samo te ich bronie, giewie. Bardzo pomysłowe połączenie miecza z włó..*”

– Kompania? – szept Svjetany wyrwał ją z zadumy. – Możemy mieć problemy..

– Z powodu? – zapytała Iseren.

– Spójrzcie po sali tronowej.

Wychyliła się z przedsionka, napotykając na wspomnianej sali czterech żołnierzy i dostojnika w barwnej szacie. Wyglądali jakby się za czymś rozglądali, wdali się w rozmowę ze patrolującymi wewnątrz megaronu. Jeden ze straży w ramach odpowiedzi wymierzył dłonią w dokładnie ich stronę.

– Szukają nas, bez wątpienia. – zamruczała Svjetane. – Jakieś pomysły macie?

– Nie mam żadnych. – przyznała dziewczyna.

– Wyjdźmy im na czele. – zasugerował Hodhoke.

– Oszalałeś? – sapnęła Svjetane.

– Nie, nie oszalał. – poparła Thaelrijczyka Iseren. – I tak nas znajdą. Może docenią kooperację.

– No dobra. – poddała się kobieta. – Obyśmy tego nie żałowali.

Wyszli zza kolumny w przedsionku, kierując się spokojnym krokiem wprost na nieznanego dworzanina. Jego protektorzy w związku z ich przybycie nie dobyli oburącz giewii, wyłącznie posłali trójcy czujne spojrzenia. Dworzanin sam zaś odwrócił się do nich, założył władczą rękę na piersi. Iseren uchyliła głowy przed Inkarnem. Ten odwzajemnił gest. Pogodny przez chwilę wzrok oziębł, gdy zwrócił się ponownie na najemników.

– Nie spodziewałem się, że sami z siebie przyjdziecie. – akcent staromowy miał wyuczony, co stanowiło rzadkość wśród dotychczas spotkanych tanungawan. – To znacznie upraszcza proces.

– Proces? Co nas czeka jeśli możemy wiedzieć? – spróbowała dociec Iseren.

– Wyjawię wam po drodze.

Dziewczyna wyjaśniła spiesznie sytuację pozostałym, ci, nie mając innego wyboru poszli za nieznajomym. Ten począł prowadzić ich przez różne części kompleksu pałacowego, krokiem na tyle szybkim by trudno było go utrzymać.

– Z kim mamy przyjemność? – wróciła do pytań Iseren.

– Z posłańcem. Moje imię to kwestia nieistotna. Stanowię tylko przekaz słów instancji. – wyjaśnił uprzejmie posłaniec.

– Nie naciskam więc.

– Doceniam. – urwał, ukłaniając się mijanemu dworzanowi. – Ach, i tak. Obiecałem wyjaśnić co za proces miałem na myśli. Jego wielebność was oczekuje. Na prywatnym pomówieniu, już poza imperialnymi obradami.

– W temacie tych obrad to wybaczcie nam to obcesowe zajście. Nie znamy waszego prawa.

– Nie mnie przepraszajcie. Ale myślę że łaska jego wielebność znajdzie się dla was i naturalnie, że waszego.. Komicjenta?

– Konsyliarza, dla nas też i kapitana. – poprawiła go Iseren.

– Konsyliarz.. Niecodzienny to tytuł. Wiele lat nam zajmie poznać wzajemnie nasze kultury.

– Mówicie to jakby, czekała nas wspólna przyszłość.

– Bo czeka, czyż nie?

– Nie wiem, mając być szczerą.

– Zatem niech pozostanie że to nieznane. Świadom jestem, iż wzbudzanie ciekawości rozmówcy by jej nie zaspokoić wielce jest niestosowane, lecz ciążący nade mną interdykt do udzielenia informacji pod groźbą karni mnie przekonuje do ów grubiaństwa. Mogę jedynie wam rzec, że macie poparcie w sporej części obradujących.

– A kto stanowi zespół obradujących, jeśli mogę wiedzieć?

– Dostojeństwo mające przywilej służyć jego wielebnej mości dobrą radą. Wysoko postawieni żołnierze, weterani, myśliciele.

– Wojskowi też poparli pokojową koncepcją?

– Armia była ku temu pierwsza, jakby nie patrzeć. Mieli ku temu powody.

– Zapewne związane z wojną.

– Oficjalnie nie mogę ci powiedzieć.

– A nieoficjalnie?

– Jak po części wspomniałem, zbyt cenię swoje życie. – uśmiechnął się ponuro. – Cóż, jesteśmy. Kwatera gości. Wasz radczy oczekiwał waszej prezencji. A was, miło było poznać.

– Mi również. – skłoniła mu się na pożegnanie Iseren.

Trójka została sama przed wejściem do przystępnego rozmiaru domu. Rozglądając się dookoła, Iseren napotkała podobne kwatery, które jak ta okupowana przez Adaiela, budowało drewno, o lekko prezentującej się konstrukcji.

„*Aż trudno wierzyć, że większy wiatr nie zabrał ze sobą tych domów.*” – pomyślała. – „*Tanungawa i zależne jej wyspy mają doprawdy chwytającą architekturę.*”

– Iseren? – ostrożne pytanie Svjetane odwróciło jej uwagę od kwater. – Na coś czekamy?

– Nie, skądże. – otrząsnęła się. – Wejdźmy już, skoro Adaiel na nas czeka.

Zgodnie ze swymi słowami, Iseren rozsunęła drzwi do mieszkania. Za sprawą hałasu z głębi kwatery wyszedł Adaiel, widząc kto przyszedł, na jego twarz przybył mało przyjemny wyraz.

– Mhm. Jednak się znaleźliście. – oznajmił stojącym w progu. – Myślałem, że mnie zostawiliście. Gdzie wyście byli?

– Tam gdzie nam kazałeś. – odparła mu dziewczyna.

– Niczego wam nie kazałem.

Iseren zauważyła, że Svjetane zaciska pięści.

– Oczekiwałem jedynie byście byli do spiesznej dyspozycji. – ponowił przy panującej ciszy.

– To jak żeśmy mieli tego dokonać bez polecenia gdzie mamy pozostać?! – wybuchała Svjetane.

Adaiel westchnął.

– Nie wiem. – spojrzał gdzieś pod nogi najemników. – Jesteście, co za różnica jak. Nieważne to tak czy inaczej. Poślaniec wam przekazał z jakiego celu was zebrałem?

– Przekazał. – odpowiedziała mu Iseren.

– Dobrze, oszczędzi to zbędnej rozmowy. – podsumował nienaturalnym tonem. – Dzielimy kwatery, nie powinno wam to przeszkadzać. Możecie tu na razie rezydować, ale wolałbym pozostać sam przy dokumentacji dla nielicznych oczu.

– Nie będziemy zatem przeszkadzać. – zapewniła go Iseren.

– Doceniam. – odparł jej.

Nie odpowiedział, właściwie to nawet nie trzymał wzroku na swoim rozmówcy. To zwróciło uwagę dziewczyny by na niego spojrzeć.

Nie zwracała dotychczas uwagi na jego wygląd, nie potrzebowała zatem wiele uwagi by zauważyć że konsyliarz prezentował się niezdrowo, mimo wypoczęcia zdawał się być zmęczony. Iseren trudno było wierzyć, że chłopak, jak zapewniał, miał odnaleźć w swoim życiu akceptację, czy chociaż namiastkę zadowolenia.

*„Ostatnio zdaje się być nerwowy. Może przestał wmawiać sobie, że wszystko jest po jego myśli?”*

Przerwała zadumę, uświadamiając sobie, że za długo stoi w bezruchu. Odwróciła się bez słowa w towarzystwie najemników.

– Postarajcie się tym razem zostać w pobliżu mnie. – dodał do nich na odchodne. – Za dużo wysiłku kosztuje mnie was później szukać.

– A spierdalaj. – odparła mu półgłosem Svjetane, tak by nie usłyszał.

Konsyliarz zasunął za nimi drzwi z trzaskiem, ponownie zostawiając ich bezradnych. Po chwili ciszy spojrzeli po sobie pytająco.

– Co teraz? – kobieta pierwsza odniosła się do braku zajęcia.

– Dobrze pytanie. – Iseren spojrzała po opodal. – Nie powinniśmy się wybierać gdzieś daleko, o ile mamy taki zamiar.

– Napewno sterczeć tu nie będziemy. Zarazo.. Dlaczego on taki jest?

\*\*\*

Kręcili się po dworze dobrą chwilę, nim znaleźli zaciszny ogród. Rozsiedli się w nim, Hodhoke skorzystał z okazji by oddać się Aktowi. Iseren i Svjetane pograżyły się w milczeniu, pozostając tak do wieczora. Dziewczyna zapadła przez ten czas w dziwny letarg, znaczny upływ czasu odczytała jako chwilę. Nie pamiętała nawet jaka myśl ją w tym czasie zajęła by móc tak długo przesiedzieć beczynn timer.

*„Pewnie po prostu zasnęłam na siedząco.”* – zracjonalizowała fenomem.

\*\*\*

Dopiero gdy się całkowicie ściemniło, najemnicy uznali, że Adaiel miał wystarczająco czasu dla siebie. Wróciwszy do kwatery, zastali go pracującego nad dokumentami. Na ich przybycie nie zareagował.



Najemnicy w związku z tym przybrali cichszego kroku przechodząc przez główną izbę, która otwarcie prowadziła do części stanowiącej pracownię. Rozsuneli kotarę do sypalni, zdziwił ich brak jakiegokolwiek łóżka. Do środka pierwszy wszedł Hodhoke, ze stolika zabrał drewniany bibelot w kształcie grzyba. Postawiwszy go na ziemi, Thaelrijczyk położył się i oparł na nim głowę.

– A co ty wyprawiasz? – zdumiła się Svjetane. – To na tym.. Się leży?

– Leży się. – oparł ją Hodhoke.

– Chodź, Svjetane. – ponagliła ją Iseren. – Skoro tysiące lat na tym spano, nam też nie zaszkodzi.

– A mogłam ludzi łątać pod Evaismedż.. – zamruczała kobieta. – Jak mnie kark się złamię, to cię Hodhoke będę nawiedziała.

\*\*\*

Iseren obudziło bolesne uszczypnięcie w udo. Chciała krzyknąć, ale ktoś jej zasłonił usta.

– Obudzisz ich. – usłyszała szept Adaiela. – Chodź, powiernik imperialnej mości pragnie nas widzieć przed rozmową.

Otworzyła oczy, napotykając nad sobą chłopaka. Kolano trzymał na jej nodze, zapewne nieumyślnie.

– Mnie też? – przetarła powieki. – Co ja mam z tym wspólnego?

– Pragnął widzieć naszą dwójkę. Słowa jego samej wielebność. – odparł tonem, jakby go stan rzeczy zniechęcał. – Ale skoro taka jest wola jego wielebność..

Wstał z łóżka, oczekując ją przy rozsuniętej kotarze.

– A pozwolisz mi się przebrać w komforcie?

– Pozwolę. – powiedziawszy, opuścił sypialnię. – Czekam przy wyjściu. Pospiesz się.

Nie brała do siebie jego opryskliwego tonu. Po przywdzianiu koszuli wyszła z kwater. Tak jak konsyliarz oświadczył, czekał za drzwiami. Zmrużyła oczy, starając się je przyzwyczaić do porannego słońca. Jej przybycie Adaiel skwitował mało przyjaznym wzrokiem.

– Nie za zmierzwona jesteś by gościć przed wielebność? – skomentował przerywając zapadłą ciszę.

– Prosiłeś o pośpiech.

Zmierzyli się napiętym wzrokiem.

- Prosiłem. – spuścił z tonu. – Powiernik kazał się nam wstawić w megaronie. Później mamy wstąpić do komnat imperialnej mości.
- Pragnie prywatnej audiencji? Dlaczego nie na sali tronowej?
- Adaiel westchnął ciężko.
- Nie wiem, Iseren. Chodź już.

\*\*\*

Będąc już w sali tronowej Adaiel zameldował się dostojnikowi, który już na nich czekał. Dziewczyna kojarzyła go jako tłumacza z obrad, którego imienia nie знаła. Podeszłwszy bliżej do sędziwego Inkarna, Adaiel uchylił przed nim głowy, powiernik również.

– Mam nadzieję, że nie kazałem na siebie za długo czekać. – upewnił się Adaiel.

– Skądże. – zapewnił go powiernik. – Jednakże jego wielbna mość jeszcze śpi. – Proponuję więc przedyskutować poczynania i radczej mości idee.

– Odnosnie?

– Współpracy, a raczej rekonekcji.

– *Awa.. Awaton bana iw Tanungawa wata..* – wydukał Adaiel. – Nie, *wagdidiretso ngadtohaw*.

– *Usanga wasarab unawa wikang aha konaahin.* – odparł mu dostojnik. – Napewno nie chcesz przejść do staromowy?

– Nie, należy zachować dyskrecję.

– Przed kim? – uniósł brwi powiernik.

– Porozmawiamy o tym później.

– Niech tak będzie, przejdźmy do kwestii nieformalnych. Widział konsyliarz już ogrody kwiatowe?

– Warto je ujrzeć, jak mniemam.

– Słusznie mniemacie, to istny cud botaniczny, dzieło nieboszczka już wielbnego imperatora Wahiihugdy. Z jego woli zasadzono najdumniejszy kwiat z każdej podległej wyspy. Mnie osobiście urzekają ziirasy, skromne, aczkolwiek pięknie wybarwione kwiecie. A drugi mój faworyt to krzew Ziikh-Gearath, podobnoż na Timgod-pwur zasadził go Niebianin, od którego roślina zawdzięcza nazwę. Ach, i także krwawe dzwonki, zwisa jego główka rok cały aż do *Win an Buwankad*, Dnia Rozkwitu..

Do rozmawiających przybył strażnik, przerywając im rozmowę. Zdawszy raport, gestem poprosił dwójkę by skierowali się w stronę pilniej strzeżonego przejścia. Konsyliarz, nim poszedł za powiernikiem, odwrócił się przez ramię ponagłając gestem Iseren. Dziewczyna spieszonym krokiem dołączyła do nich.

Za tronem znajdowały się schody, krętym biegiem prowadząc na wyższe kondygnacje megaronu. Sugerowana gościom rozstawioną strażą, ta część budynku musiała prowadzić do prywatnych komnat władcy.

Prowadzący ich tłumacz poruszał się zaskakująco żwawo jak na swój wiek, Iseren dotąd nie zwróciła uwagi na jego żołnierski marsz. Przemierzając krótki korytarz chwycił się rękojeści sztyletu, również to wyglądało na nawyk wojskowego, niegdyś chwytający w owy sposób rękojeść miecza.

*„Jak dotąd, nie zdołałam wypatrzeć tu kogokolwiek wyżej postawionego, kto nie miał związku militariq.”* – wysnuła za sprawą obserwacji. – *„Tanungawa się wydaje niezwykle pod jej względem scentralizowana. Interesujące.”*

U kresu korytarza napotkali parę strażników, którzy bezzwłocznie uchylili im ciężkich drzwi, wpuszczając ich do obszernej sieni, wyglądającej jak jadalnia.

Ze sali stołowej rozchodziły się różne, typowo mieszkalnej funkcji pomieszczenia. W pokoju na przeciw nim majaczyło się sporego rozmiaru łóże, w jego kierunku zmierzał dworzanin. Zatrzymał się oczekując przed wejściem do sypialni, póki nie usłyszał rzuconej znudzonym głosem zgody.

Trójka zatem wstąpiła do komnaty wyglądającej jak sypialnia. Dziewczyna szukając właściciela głosu, napotkała się ze wzrokiem Inkarna w zaskakująco młodym wieku – podobnego co Iseren. Po bogatym odzieniu wywnioskowała, że musiał to być sam imperator.

Ukleknęła, w jej następstwie Adaiel i tłumacz. W sali rozległaby się cisza, gdyby imperator nie zajadał się owocami w cukrze. Leżąc na biodrze rzucił im z łóżka władcze spojrzenie. Gestem zebrał powiernika bliżej siebie, zaszeptał mu coś do ucha.

– Wasza wielbność.. Spodziewała się was później. – zaczął ostrożnie tłumaczyć powiernik.

Adaiel pobladł.

– Wielebność prosi o chwilę. – ponowił powiernik zwracając się do dwójki. – Macie.. Mamy stanąć za drzwiami. I zasunąć je, naturalnie.

Konsyliarz szturchnął dziewczynę by posłuchała się władcy, nie potrzebowała kolejnego ponaglenia. Wychodząc, ich miejsce zajęli służący.

\*\*\*

Stali za przesuwными drzwiami dobrą chwilę, nie odzywając się do siebie.

– Raczylbyś może wspomnieć, że wielebność jest rankami zajęta? – warknął Adaiel.

Powiernikowi rozszerzyły się oczy.

– Ależ w czym ta złość, konsyliarzu?

– Źle wypadliśmy. Ja źle wypadłem.

– Jego wielebność ma długą toaletę. Jest jednakże wyrozumiała gdy się ją zakłóca, ku naszej fortunie. Niemniej jednak, konsyliarzowi pewno zależy na spieszonym rozwiązaniu sprawy, skoro konsyliarz przerwał przebieg obrad swym przybyciem.

Adaiel poczerwieniał.

– Myśli wciąż jestem, że sprawa była na tyle ważna by ją wprowadzić do waszej narady. – usprawiedliwił się.

– Bez wątpienia. – na twarzy powiernika pojawił się uśmiech.

Adaiel puścił głośno powietrze nosem.

– A towarzyszką, jeśli zna staromowę – zwrócił się powiernik do Iseren – jakiej jest myśli?

– Źe konsyliarzowi bardzo zależy, stąd też jego nieroztropność. Proszę mu wybaczyć.

Iseren spokojnie zniosła jadowite spojrzenia Adaiela.

– Och. – powiernik stracił kontenans. – A myśl spoza tematu, który jakże na nas ciąży. Czy interesuje towarzyszkę botanika?

Nim podzieliła się opinią, skrzydło drzwi rozsunęło się. Do środka wprosiła ich urodziwa służka. Imperator był wciąż w łóżu, tym siedział ze skrzyżowanymi nogami. Nad władcą nachylały się służące, poprawiając mu kontury oczu. Jedna z nich utrzymywała lustro przy twarzy władcy, w którego odbicie co chwilę zerkął.

Gdy do imperatora zbliżyła się trójca, służba odsunęła się od władcy, którego uwaga przeszła na ponownie przybyłych. Powiernik począł nasłuchiwać wypowiedzi imperatora.

– Jego wielbność pyta jak wygląda. – oświadczył.  
– Znakomicie, wasza wielbność. – odparł mu konsyliarz z nader uprzejmością.

– Jego wielbność woli usłyszeć opinię towarzyszki po twojej prawicy.  
– powiernik przyjął zakłopotaną minę. – Gdyż jako kobieta wie więcej o wyglądzie.

Przez ciężkie władcy powieki trudno było jej ocenić jakim wzrokiem ją mierzy. Przy jego typowo Inkarnskiej urodzie, korekta oczu i cery była tak naprawdę zbędna.

– Dobrze to konsyliarz ujął. Znakomicie. – starała się o naturalny ton głosu. – Moim słowem, powiedziałabym, że subtelnie, wasza wielbność.

– Jego wielbność jest kontent z waszej opini. I jak stwierdza, jego nowe kosmetyczki wykonały swe zadanie poprawnie.

Służki uśmiechnęły się nerwowo.

– Ale nie po to tu jesteście. Jego wielbność prosi by wrócić do tematu z wczoraj.

– Wasza wola, o imperialna mości. – uchylił głowy Adaiel. – Wczoraj na waszych obradach poruszyłem sprawę paktu o nieagresji, do nadania mu prawnej mocy niezbędny jest imperialnej mości akt zgody, być może pieczęć. Czy pragnie zatem wasza wielbność zwołać Krąg do finalizacji podjętej wczoraj decyzji?

Imperator zamruczał, ujmując mostek nosa między palce.

– Ekhem. – powiernik zacisnął usta. – Jego wielbność powiedziała: Skoro tu już jesteście, miejmy to za sobą.

– Pragnie wasza wielbność tutaj podjąć decyzję?

– Trzeba odbyć ceremonię, bo tak tradycja nakazuje. Za dnia będzie zwołana.

– Wasza wola, o wielka wielbność. Gdzie mamy się wstawić? – dopytał się Adaiel.

– Na sali obrad. Jego wielbność prześle do was posłańca. I oznajmia koniec audiencji.

Adaiel miał zamiar coś jeszcze powiedzieć, lecz powiernik wstrzymał go nerwowym gestem.

\*\*\*

Wróciwszy do kwatery, zastali jedzenie na stole, a także najemników

przy posiłku. Widząc ich, przerwali stawę, czekając aż się do nich przysiądą. Hodhoke wstał, odsuwając krzesło dla Adaiela, ale ten zabrał parę kawałków jedzenia i udał się do pracowni.

– Nie poszło po jego myśli? – zapytała zniżonym głosem Svjetane.

– Poszło, po prostu zachowywał się nader dziecinnie i pewnie wstyd mu teraz jest.

Svjetane ścisnęła usta.

– Jesteś zła na niego? – zainteresowała się kobieta.

– To naprawdę nieistotne. – zbyła ją Iseren. – Co ważne jest, zdaję mi się że dwór, hm.. Nie traktuje Adaiela poważnie.

– Co? – Svjetane zachrypiął głos od głośnego szeptu. – Nie mów mi że my tu..

– Nie, na szczęście nie. Dwór popiera decyzję, wyjawiał nam to informator gdy prowadził nas do kwater.

– Aha. A to czemuś wcześniej nie wspominała?

– Nie pytałaś.

– A usta nigdy by się nie zamknęły, gdyby miały się dzielić tym co może być oczekiwane. – wspomniał Hodhoke.

– Święte słowa. – poparła go Iseren. – Milczenia z kolei ni w szkatule czy mieszkach przechować w sposób. A cenniejsze jest mimo tego od skarbu co w jednym czy drugim przechować można.

– Przypomnę że tu jestem, i was nic w ogóle nie rozumiem. – wtrąciła się Svjetane. – To więc sobie pozwolę o coś was spytać. Jak myślicie, co z Iveonem?

– Dobrze pytanie. – Iseren zmarszczyła brwi w zadumie. – Może coś go spotkało po drodze? Otwarcie wyraził zamiar szpiegowania fortyfikacji. A państwo jak Tanungawa zdaje się czujne mieć baczenie na swe wieże i mury.

– Brak mi pomysłu. – odparł kobiecie Hodhoke.

– A ja myślę że dostał skurczybyk na co zasłużył. – podsumowała z satysfakcją Svjetane. – I oby go skorupiaki w wodzie obgryzły do cna.

Pociągnęli resztę trunku z kubków przy skończonym posiłku. Iseren przykuło uwagę, że Hodhoke nie obwiązał sobie głowy chustą. Przez zmierzwiony kok, który nosił wypatrzyła spiczaste, typowe dla Thelrijczyka uszy. Razem z nimi jego twarz prezentował się bardziej szlachetnie, gdyby nie stosunkowo jasna cera, mogłaby go wziąć za Tanungańczyka. Wzrok Hodhoke skierował się na Iseren.

– Obserwujesz mnie. – skomentował.

– Zwykle chustę nosisz. Korzystam zatem z okazji by ci się przypa-  
trzyć, jeśli to nie problem.

– Nie jest.

– Ależ wy.. Bezpośredni. – wtrąciła się kąśliwie Svjetane. – Może  
was samych zostawić?

Iseren z Hodhoke spojrzeli po sobie.

– Co myślisz? – Hodhoke skierował pytanie do Iseren.

– Że udawanie zakochanych dla chwili spokoju od jej żarcików to  
dobry pomysł. – odpowiedziała mu.

Svjetane sapnęła, przybierając minę między obrażoną a rozbawioną.

– Się mądrale znalazły.

\*\*\*

Trójka rozgrywała partię kości, gdy do kwater wparował średniego  
wieku żołnierz w towarzystwie znanego już dziewczynie Zheydara. Z  
ich wyrazu twarzy nie wyczytała jakiego rodzaju przynoszą wieści.

– Jego wielbność pragnie przekazać swe żądania. – przemówił z  
progu Zheydar. – Obecność waszej dwójcy jest wskazana na sali obrad.  
Ręczyła jego wielbność, iż wiecie co za stoi za takim poleceniem.

– Wiemy, bez obaw, Zheydarze. – skłoniła mu się Iseren. – Pójdę po  
konsyliarza.

– To nie będzie konieczne. – oznajmił Adaiel, który właśnie wyszedł z  
pracowni. – Możemy iść.

Pozostali najemnicy przyglądali się z mieszanymi uczuciami rozmo-  
wie.

„*No przecież, nie znają staromowy.*”

– A jak sprawa się miewa odnośnie reszty naszej kompani? – poruszy-  
ła Iseren.

– Do samej sali obrad wejść nie mogą. – Zheydar spojrzał po niej  
przepraszająco. – Ale ich obecność przed budynkiem winna nie stanowić  
problemu.

Przekazawszy Svjetane i Hodhoke jak się sprawa miewa, przystanęli  
by pójść z nimi.

– O dobytek się nie martwcie. – zapewnił ich Zheydar. – Służba pała-  
cowa przeniesie wasze ruchomości na pokład łodzi.

– Rozumiem, że czeka nas odprawa na kontynent. – spróbowała  
dociec Iseren.

– W rzeczy samej. Mimo wszystko dwór waszą odprawę może przełożyć. – wyjaśnił jej. – Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– To akurat leży w interesie konsyliarza.

Zheydar skwitował to uprzejmym skinięciem głowy. Adaiel wydał rozkaz starszemu wojskowemu, na jego słowa zarówno on jak i Zheydar uchwycili drzewce broni w sposób sprzyjający marszu. Przyjęli kamienne oblicza, gdy konsyliarz wkroczył między nich. Eskorta ruszyła żwawym krokiem, Adaiel rzucił w stronę najemników jedynie ponagłające spojrzenie. Ci spiesznie domknęli przyjętą formację.



## XVII.

Zdążyła przesypać się para klepsydr nim dotarli pod fasadę gmachu obrad. W przeciwieństwie od ich pierwszego przybycia, żaden ze straży nie kwestionował ich obecności. Wręcz przeciwnie – ich pojawienie się uwieńczyli ukłonami i uprzejmymi zwrotami w tanungańskim.

We wnętrzu napotkali się z paroma radnymi, którzy prowadzili rozmowy w przedsionku. Sama sala była jeszcze pusta.

– Dobrze, jesteśmy przed czasem. – powiedział nieco do siebie Adaiel.

– Oczekujemy przybycia jego wielbność, drogi radco. – wyjawiał mu Zheydar.

Adaiel mu nie odpowiedział, co nie spotkało się z problemem żołnierza.

Konsyliarz nie zdołał sobie dobrze usiąść na ławie, gdy w przedsionku zjawił się na lektyce imperator. Niosący go musieli być albo stosunkowo silni, albo władca lekki, bowiem na ich twarzach nie gościła żadna oznaka wysiłku. U przodu lektyki kroczył strażnik w wyjątkowo zdobnym pancerzu. Gdy lektykę wniesiono na salę, w jej ślady poszli wszyscy obecni w przedsionku. Mimo sporej liczby obradujących cały proces wejścia przechodził w zaskakującym ładzie.

*„Jak tu wszystko jest uporządkowane..”*

Dostojnicy stopniowo zasiadali, formując krąg dookoła monarchy, Iseren zaś pod kierunkami straży sali usadzono przy Adaielu. Konsyliarz wdał się szeptem w rozmowę z wcześniej widywanym przez dziewczynę dworzaninem, który urwał jego wypowiedź nerwowo, widocznie w obawie przed zakłóceniem procesu.

– Zwołano mniej dostojników. – odezwała się dyskretnie Iseren do Adaiela. – Coś wiesz o tym?

Konsyliarz zignorował jej pytanie. Na sali wszelkie odgłosy kroków stopniowo cichły, aż każdy członek zgromadzenia zajął swoje miejsce. Przy zapadłej ciszy, młodego wieku Inkarn wystąpił z kręgu.

– W imieniu jego wielbność apeleluję wszczęcie obrad odnośnie działań związanych z zamorskim Imperium Khyire'de! – obwieścił w staromowie. – Dzisiaj, momentu osiemnastego *Ryaglk yawah*, jego wie-

lebna mość obwieszciała, iż pada decyzja by więź państw dawno bliskich ponownie wiązać.

– Dziękuję w imieniu jego wielbność, mości obwieszco. – odparł mu sędziwy dostojnik z długą brodą. – Wasza wielbność?

– Jego wielbność popiera i potwierdza decyzję. – przetłumaczył imperatora ochryple brzęmiący Inkarn. – A także, och, jakże tak?

Pomruki imperatora nabrały na sile, brzmiał na rozdrażnionego.

– *Wangiri bihya ngana awo an, Kaunghar-Pahgah.* – głos tłumacza zadrgał. – Cytując jego wielbność: Przejdźmy do rzeczy, jeśli łaska. Bez zbędnych formułek.

Paru na sali wyrwał się wyraz zszokowania zapadłymi słowami.

– Wola jego wielbność! – oznajmił służalczo brodaty Inkarn. – Proszę jego wielbności przynieść zwój na zawarcie paktu!

Do kręgu wstąpiło dwóch pachołków, niosących na tacy zdobne pióro ze zwojem. Padli nisko przed imperatorem.

– *Awsuga pagusuwatan gon hisuwat aw?* – władca przybrał mało chętną minę przyglądając się papierowi.

– Tak, wasza wielbność. Każdy imperator Tanungawy osobiście zapisywać zwyk..

– *Ugta aniw mawigin kwan akon.* – wskazał na starca.

Staruszek zbladł.

– Tak, wasza wielbność. – odparł prawie szeptem. – Czy pragnie wasza wielbna mość podyktować treść listu do imperatora Khyire'de?

– *Awsuga kinhwag alan wa?*

– Jest to wręcz niezbędne, bym mógł sformułować pakt o nieagresji, o wasza wielbność.

Imperator ciężko westchnął, mruknął coś w odpowiedzi, wyniku czego zabrał zwój do siebie. Brodaty dostojnik powlókł się na siedzisko, paru jego sąsiadów wlepiło w niego pytający wzrok, lecz ten zignorował wszelkie spojrzenia.

Zapadła cisza, gdy imperator podjął się spisywania dekretu. Paru na sali skrzywiło się, gdy władca począł przygryzać czubek pióra w namyśle. Gdy skończył, do trzymających dokument dołączyli się zbrojni niosący misternie zdobioną tubę na zwój, a także zapaloną lampę. Po-dawszy tubę władcy przyklękneli w milczeniu.

Imperator uniósł głowy znad pisma, co sprawiło, że wszyscy na sali zniżyli wzroku z szacunku.

– Ja, wielbny imperator Laungu, z rodu Gansun, – począł wygłaszać całkiem inspirującym tonem – pragnę uwiecznić pakt zgody naszej i Imperium Khyire'de tym oto słowem, a także dzierzonym pismem. Zbliźcie się, słudzy!

Trzymający lampę podniósł się, przykładając pod ogień kawałek wosku. Władca w tym czasie zwinął papier w rulon, po czym zapieczętował go woskiem. Imperator następnie przyjął wręczony mu sztylet. Z dźwięcznym metalicznym syknięciem uchylił ostrze z pochwy, którym począł odcinać niepotrzebne kawałki wosku. Na koniec wygrawerował parę symbolów na krawędzi.

– Ninieniejszym – ponownie przemówił, wkładając zwój do tuby – uwieńczam pakt naszej nieagresji, a dalej ją wiodącej przyjaźni..

Iseren początkowo imponowała jego przemowa, póki nie wypatrzyła za władcą dworzanina, który podszeptował imperatorowi treść przemowy.

– ..a Władcy Niebios niech strzegą naszego przymierza, by was ludzka zuchwałość nie pognębiła w ponownej nieprzyjaźni! Ja, Syn Niebios, niech decyzje swe prawe wciąż głoszę i uchwalam, by u szczytów wielomiaru i dobrobytu naród mi powierzony utrzymać. Powierniku, przybądź!

Po zapadłym zawołaniu, Adaiel wykroczył do Kręgu, padając na kolana przed imperatorem.

– Na twe wezwanie, wasza wielbność. – oznajmił mu ważnym tonem.

– Wręczam ci ten zwój na dowód mego słowa, a także sztylet by sprawował jako przykład mej hojnej i prawej woli. Niech ten przekaz napotka wzrok..

– Jego cesarskiej mość, Goteli, z rodu Laseprin.

– Niechże więc ów *cysar* – z trudem wymówił imperator – rozpozna w nas nie więcej wroga, a ponownie przyjaciela. Złóż podarki Tanungawy u stóp swego pana, powierniku.

– Tak się stanie, o wielbna mość.

– Stanie się, a stać wręcz musiało, wolą Niebios było jego dzieciom dzierżyć wspólny proporzec. Tenże i pakt uwieńcza podjętę przez mnie, a lud mój zarazem postanowienie.

Imperator skinął dłonią. Przed władcę wystąpił ponownie młodzieniec.

– Jego wielbność obwieszcza zakończenie obrad! – zawołał po sali.  
– Niech każdy z nas powstanie i skłoni głów Niebiosom!

Zebrani na sali usłuchali słów obwieszczy, opuszczając swoje siedziska, za wyjątkiem imperatora. Ten jednak jak reszta splótł dłonie i uchylił głowy na sypnięcie klepsydry.

Iseren podniosła głowy, słysząc wzmacniający się odgłos kroków. Ruszyła zatem w kierunku wyjścia, starając się trzymać ład tworzony przez dworzan. Gdzieś w trakcie wyjścia dołączyli jej towarzystwa najemnicy wraz z Zheydarem.

\*\*\*

– Mości konsyliarzu! – zatrzymał Adaiela dworzanin. – Czy nie będzie waszej mości na defiladzie?

– Obawiam się, że nie wchodzi to w grę. Muszę jak najszybciej wracać.

„*A skąd u niego ten pośpiech?*” – zastanowiła się Iseren.

– Aż tak droga wam długa? – dworzanin podzielił zaintrygowanie dziewczyny.

– Rzecz raczej już w przygotowanej nam łodzi na powrót.

„*Na sanpanie raczej nie wrócimy na kontynent. Ciekawe jaką nam łódź przygotowano..*”

Przez wyjścia ulic na doki Iseren wyglądała na turkusową wodę. Zajęta wypatrywaniem łodzi nieopatrznie wpadła na Svjetane, która jak i Adaiel z jakiegoś powodu wrosła w ziemię.

– Niechący. – przeprosiła ją Iseren. – Co się sta..

Nie potrzebowała żadnych wyjaśnień, co ich zatrzymało. Kilkanaście kroków przed nimi stał Voggtam, towarzystwie ludzi ze swojej załogi, jak i paru obcych. Pod względem wizualnym różniło ich pochodzenie – od kreoviańskiego, fridveldotskie po euvrozie. Co grupę jednało jednak, było to samo uczucie zdradzane rzucanymi przez nich spojrzeniami – nienawiść. Za liczną drużyną stał Iveon, tym razem na jego twarzy gościło nie goście rozbranie czy nonszalancja, a czysta złość.

– Znowu ty, młody Niyaranne. – wycodził w staromowie. – Wiem co zrobiłeś. Widzę co pod pazuchą niesiesz.

Zawołanie w obcym języku wywołało konfuzję wśród jego towarzyszy, lecz żaden nic nie powiedział.

– Cieszy mnie wasz dobry wzrok, pretorze. – odparł mu zdawkowo Adaiel.

– Świadom jesteś, że złamałeś postanowione Komicjum, ba słowo naszej cesarskiej mości? – kontynuował rozeźlony Iveon. – Posunąłeś się za daleko, Adaiel. Nie jesteś swoim ojcem, by móc działać ryzykownie i konsekwencji nie ponieść. To wymaga solidnego gruntu, który właśnie kruszy się pod twoimi nogami. Naprawdę dobrze się czujesz paktując kłamstwem? W imię czego właściwie?

– Pokoju.

Iveon się zaśmiał.

– Pokoju, tak? Z czym, umierającym państwkiem miesiąc drogi morskiej od choć jednego lenna Visildeii? Ten mierny, nic nie pewniący pakt który samowolnie kazałeś spisać skazał setki nam wiernym ludzi na wojnę domową, więc nie śmiej nawet wypowiadać słowa „pokój”.

– Lepiej jest mieć wsparcie wiernego, niż polegać i ugiąć się przed mniejszością.

– Ta „mniejszość” to rdzeń naszego państwa, Visildeia już nie tym Khyire’de jest co o nim się naczytałeś. – uciał Iveon. – Nie zgrywaj poprawnego, łamiąc wielowieczne prawa, jeszcze w imię głupiej idei. Wieść o pokoju po nieuzasadnionej agresji odwróci od nas ostale przy wierności ostatnie państwa na Północy, potem sięgnie dalej. Ale co cię to obchodzi.

Adaiel nie odezwał się.

– Tak, tak. Milcz sobie. – prychnął pretor. – A teraz oddawaj ten śmiechu wart papier, a może nie wspomnę kuriom czegoś się dopuścił.

– Nie zamierzam, doskonale wiesz, że prawo zabrania członkom Komicjum przerywać prawowit..

– Nie kończ tego bo nie ręczę za siebie. Jak ty śmiesz.. Spisujesz pakt przed przybyciem pełnego stronnictwa, a potem mi zarzucasz bezprawie?

– Nie złamałem żadnego prawa, nie moja wina że marnowałeś czas spiskując po okolicznej fortyfikacji. A nawet gdybym działał nieuczciwie, to i tak prawo Komicjum obejmuje jedynie tereny Visildeii.

Iseren nie przypuszczała by pretor mógł się rozłościć jeszcze bardziej.

– Skoro tak.. Podsunąłeś mi pomysł.

Wydał trzy rozkazy w różnych językach. W jednym rozpoznała senvoldzki, nakazujący przyjąć pozycję.

– Szykujcie się.. – szepnęła do najemników Iseren. – Prawdopodobnie nas zaatakują.

– Już wolę obejść się z zapłatą niż z życiem. – odparła jej przejęta Svjetane. – J-ja nie jestem gotowa..

– Bez obaw. – zapewnił ich Hodhoke. – Nasz wódz stroni od czerwieni.

Iseren poczuła ostatki nadziei. Miała zamiar dopowiedzieć w staromowie Zheydarowi o pozostaniu czujnym, lecz tanungańscy żołnierze już od dawna przyjęli pozycję gotową na nagłe starcie.

Względnie oceniła szanse w bitwie. Przeciwnicy przeważali ich liczebnością, na oko sześciokrotnie, nie licząc Svjetane i Adaiela.

„*Jakby tak każdy z nas położył po sześciu..*”

– A zatem, Adaielu. – ponowił Iveon. – Twój ostatni wybór. Oddawszy ten zwój, nie spotka ciebie i twoich najemnych krzywda. Odmówisz wręczenia, a na kontynent wrócicie w kawałkach, jako zdrajcy.

Konsyliarz wciąż milczał, zaciskał drżące pięści.

– A-Adaielu proszę.. – załamał się Svjetane głos.

Nie odezwał się, co sprawiło że kobieta zalała się łzami. Zaciśnięte dłonie Adaiela zadrgały mocniej.

Iveon spojrzał po nich prawie ze współczuciem.

– No cóż, krew się poleje, w dobrej sprawie. – pretor zamknął na chwilę oczy nim zawołał: – *Hjätema! Al tza! Ferh tenn!*

Iseren z początku odnosiła wrażenie, że ludzie Iveona go zignorowali. Zdawali się ociągać z wymierzeniem ciosu, póki nie zdała sobie sprawy że swobodnie przyjmują pierścień dookoła nich, doskonale świadomi swojej przewagi liczebnej. Wystąpiła bliżej nich, licząc, że reszta stronników postąpi podobnie. Za nich wycofał się Adaiel i Svjetane, zachowując bezpieczny dystans.

Pognała wzrokiem po oponentach. Rozpoznała parę znajomych twarzy wśród żeglarzy, teraz oglądających ją bez cienia sympatii. Zakłuło ją coś w żołądku napotykając zimny wzrok Halverda.

„*Ciężko będzie ten szyk przełamać.*”

Objęła wzrokiem drugą część półkola. Mijała wzrokiem obce twarze, przy jednej się zawahała.

„*Orthnar?*” – nie dowierzała.

Chłopak po drugiej stronie widocznie również ją rozpoznał bowiem jego pierwotnie pozbawione emocji oblicze zaczynało zalewać nieszczę-

ście. Mieszane z szokiem sprawiło, że poluźnił w dłoniach klingę. Dłoń Iseren z kolei zacisnęła się bardziej na broni.

Wyskoczyła przed niego wbijając mu ostrze w brzuch. Sapnął zaskoczony, widząc jak czerwieni się jego pancerz. Uniósł żądny wyjaśnień wzrok na Iseren, póki się nie osunął na ziemię. Dziewczyna już dawno nie miała zamiaru go oglądać, wykorzystała zamieszanie by kupić swoim sprzymierzeńcom czasu. Z półobrotu wymierzyła na nieprzygotowanych, nie miała pojęcia czy kogoś trafiła. Desperacki krzyk przechodzący do charkotu, który rozległ się chwilę po ataku dał jej odpowiedź.

Na Iseren rzuciło się pół tuzina walczących. Oponenci utrzymywali od niej dystans, powoli kierując ją pod ścianę domostwa. Jeden ruch w ich stronę sprawiłby, że dziewczyna nadziałaby się na wyciągnięte miecze. Ulica była za wąska na broń dłuższą niż sążen.

Iseren zamahiwała się na wrogów tak jak jej pozwalała kurcząca się przestrzeń, blisko jej było drapieżnej bestii, powolnie, aczkolwiek skutecznie zaganianianej w kąt przez słabszych, lecz liczniejszych łowczych. Jej przeciwnicy byli ostrożni, ale nie przerażeni walką z prawie-Niebianinem. Na jej odsiecz przybyło dwóch tanungańskich glewiarzy, pchnięciem broni zburzyli półokrąg nad Iseren. Wykorzystując dezorganizację, wykonała występ na jednego. Obrany za cel Senvoldczyk jednak uskoczył, jego towarzysz, na oko z Fridveldo, ponadto wymierzył w bark Iseren langsaksem.

Dziewczyna nie zdążyła w pełni uniknąć ataku, czubek broni przejechał jej po ramieniu. Z początku miała wrażenie, że było to zaledwie draśnięcie, lecz coraz to większy obszar koszuli zaczynał kleić się jej do skóry. Nie spojrzała na ranę, wołała o tym teraz nie myśleć.

Spośród walczących Iseren wypatrzyła wolne od człowieka doki, za wyjątkiem Iveona, korygującego pozycję walczących.

– Więcej na czarnowłosą Inkarnkę! – wysłyszała od niego senvoldzki.  
– Tam dalej, wolna przestrzeń!

Rozkazy rozprzestrzeniły się między jego ludźmi w różnych językach.

Iseren wpadła na szaleńczy pomysł.

Do Iseren zbliżyło się dwóch tarczowników, jeden zainteresował się bardziej wojskiem tanungańskim. Drugi centralnie zwrócił się ku Iseren.

– *Hne ad Mes'h zat!* – zawołał zza tarczy.

Iseren mało interesowało przesłanie tarczownika. Dziewczyna zamachnęła się nad tarczą oponenta. Ten zebrał atak swoją osłoną. Iseren wyłącznie na to czekała. Z mieczem wciąż na tarczy kopnęła go centralnie w odsłonięte kolano, z odrażającym chrupnięciem zgięło się ono w drugą stronę. Tarczownik padł na ziemię przeraźliwie wyjąc, Iseren przeskoczyła powstałą lukę, skierowała się bezpośrednio na pretora.

*„Może z mieczem przy gardle zaprzesta walki.”*

– Inkarnka się przedała! Niech się jeden cofnie! – przejrzał ją Iveon.

Iseren parła dalej, pretora i ją dzieliło tylko kilkanaście sążni. Poprawiła chwyt miecza. Do pretora miała już mniej dziesięć sążni.

– Odwróć się. – usłyszała znajomy głos. – Nie mam zwyczaju rąbać wroga w plecy.

Iseren usłuchała.

– Odejdź, Halverd. – powiedziała dziewczyna. – Chroń swych ludzi, ale nie pretora. I tak nie zrobię mu krzywdy.

– Nie mogę. Atakuj.

Iseren ponownie usłuchała, wolna od miecza ręka wylądowała na biodrze, ugięła nogi, była gotów. Nim Halverd zaatakował pierwszy, dziewczyna wykonała zwinny występ, Halverd jednak nawet się nie wycofał, wystarczyło mu skrzyżować topory by zablokować pchnięcie.

Halverd w odpowiedzi się na nią zamachnął prawym toporem. Iseren uskoczyła na bok, próbowała zaciąć na jego lewy bok. Halverd skrzywił tułów niby obrotowa kukła, atak odparł lewym toporem. Odstąpili, nabrali dystansu między sobą. Halverd gotów był natrzeć, wstrzymał się widząc, że Iseren przyjęła dogodną pozycję. Dziewczyna przestała atakować, czekała wyłącznie na ciosy mężczyzny. Halverd zaatakował lewym toporem, Iseren sparowała atak, był niepokojąco słaby. Odpowiedź dlaczego takowy poznały był, gdy pomknął na nią prawy topór, by go przyjąć Iseren wykręciła nadgarstek, w ostatniej chwili obróciła się z mieczem przy ciele, by następnie puścić go na łopatkę Halverda.

Trafiła go, płytko, lecz dezorientująco. Mężczyzna nie dawał tego po sobie poznać, poruszył zgiętą ręką, jak gdyby uwierał go rzemień na barku. Iseren zrobiła krótkie pchnięcie, Halverd złapał ostrze w topory, posłał je na ziemię. Iseren nie straciła równagi, ale ugięła się od wymuszonego ruchu. W desperacji zamachnęła się dotąd beczynną gwoździową ręką i ignorując przejmujący ją ból, posłała sierpowy w policzek Halverda. Ten zamrugał zaskoczony, nim jednak wróciły mu zmysły, Iseren uderzyła go od dołu prawą ręką, celując w skroń głowicą



miecza. Chybiła, ale na jej korzyść, głowica bowiem wylądowała w oczodole Halverda. Ryknął z bólu, oślepiony stracił refleksu. Niezdarny atak Iseren wyminęła, prześlizgnęła się przez wolną przestrzeń z mieczem, by ugodzić nim Halverda w szyję. Pchnięcie nie przebiło mu krtani, lecz było na tyle głębokie, że rana zalewała się obficie krwią. Halverd zatoczył się i upadł, z ręki osunęły mu się topory.

Iseren miała się już odwrócić, gdy jej nogawkę musnęły palce Halverda. Odwróciła się do niego i przykucnęła. Mężczyzna otworzył usta:

– A ty.. A ty pamiętasz jak żeśmy raz walczyli na wygłupy? – wyszła słaby głos Halverda.

– Pamiętam. Wyszło, że tym razem to ja wygrałam. – oznajmiła bez żadnego triumfu.

– Iseren.. – wyszeptał z trudem. – Jesteś zła? Na mnie.. Co zrobiłem?

– Nie. – nie potrzebowała namysłu na odpowiedź.

– Ten niedźwiedź.. – sprawiał wrażenie nieobecnego. – To on słabszy od ciebie był, wiesz?

Iseren usiadła, miecz odłożyła obok siebie, pozwalila mu kontynuować.

– Jam z chłopcami go rozplatał bo on wpadł w to co wpada każdy, w złość, rozumu stracił. A myślałem przynajmniej że każdy tak wpaść musi. Lecz ty się nie złościsz, a złość k-każdy umysł rozprasza.. – pona-  
wiał bardziej świszczącym głosem. – N-nic nie czujesz. Mroznas, jak s-  
surowa, owiana lodowym czarem zima.. Ja.. Ja też wiem żeś nie stąd. Że  
dom twój daleko.

– Cóż to mnie zdradziło?

– Za szybkaś. – wyszczerzył się. – I za silnaś. Śmiem stwierdzić, że  
kto z tobą miecz s-skrzyżował to się dowiedział tego. Ktoś cię kiedy  
pokonał?

– Nie.

– Ha. Nie dziwne. – twarz Halverda skrzywiła się, sapnął z bólu. –  
Ach, cóż ja czuję.. Oddalam się, wprost w objęcia twej pani, Iseren.  
Żegnaj, Córo Mrozu.

– I ty żegnaj, Tancerzu.

Halverd uśmiechnął się w odpowiedzi, przymknął sennie oczy. Iseren  
wydobyła z mieszka bursztyn i położyła go na piersi poległego, jedyną  
pamiątkę ze Senvoldu.

*„Niech ci służy na długą podróż przed tobą. Sprzedaj go rozsądnie.”*

Obok Halverda złożyła jego toporki i lirę, teraz połamaną od upadku na plecy. Instrument rozsypywał się w jej rękach, jego odłamki musiała trzymać w obu dłoniach, jakby czerpała nimi wody.

Iseren ze zwieszoną głową klęczała przy ciele, oglądając jak spod skóry Halverda wydobywają się jaśniejące płatki. Zbyła niepotrzebne myśli. Pozostało jej jedynie spacyfikować Iveona. Nie myślała nad otoczeniem, nawet jak już miała zamiar wstawać.

Nie zaskoczyła ją więc czyjaś obecność. Oponenci stojący dookoła niej pozwolił się jej podnieść na nogi, miała przed sobą trzech obcych.

– Znała ty go? – spytał jeden po senvoldzku.

– Znałam.

– Żyje on?

– Nie.

Mężczyzna po prostu kiwnął głową.

– Wie co to oznacza.

– Wiem. Zmierzymy się więc.

Była zbyt zmęczona by móc dalej walczyć, a stała zaledwie kroki od pretora. Naparli na nią nieregularnie, wiedziała, że nie będzie już w stanie każdemu odpowiedzieć kontratakiem bądź unikiem. Zdołała na jednego posłać płytke cięcie, w ramię. W drugiego zacięła od góry, odebrał jednak atak toporem. Bronią tą pchnął dziewczynę, uderzył w jej skroń drzewcem.

Rębacz obrócił toporem, zamachnął się na biodro Iseren. Poczuła jak trafiony bok jej mięknie, nim jednak osunęła się na ziemię, została ugodzona w głowę.

Przestała widzieć na prawe oko. Pół świadoma, wysłyszała czyjeś krzyki, wychwyciła słabnącym wzrokiem jak glewie rozcinają ostałych ludzi Iveona. Orszak żołnierzy rozciągnął się po ulicy, z trudem oceniała w jakim celu. Poddała się, zamknęła oczy. Ostatkami świadomości wysłyszała tanungański, a także histeryczny krzyk w wysokiej tonacji. Miała wrażenie, że brzmiał znajomo, lecz cios toporem zdawał się jej wytrącić wszelki sens z jej umysłu. Zaczynała zbierać dźwięki coraz bardziej jak spod tafli wody. Jedynie metaliczne dudnienie przechodziło w coraz to wyższe brzmienie, aż nabrało dźwięk bolesnego dla uszu gwizdu.

Nie miała już siły utrzymywać swoją świadomość, pozwoliła się pograć w zbierającej się wokół niej pustce.

## XVIII.

Obudziła się wciąż twiząc w pustce. Doskwierał jej tępy ból głowy, choć nie czuła swojego ciała. Ból nagle ustąpił, jakby sam sobie uświadomił, że bez głowy nie można go czuć. Nie czuła teraz właściwie nic, jakby adaptowała nicość w której tkwiła.

„Umarłam?” – zastanawiała się. – „Może znajduję się w kreowanym świecie?”

Spróbowała się odezwać, uświadomiła sobie wówczas, że nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie miała czym go wydać.

„No przecież, dlaczego miałabym burzyć swoim bytem nicość?” Nie obawiała się tej pustki. Odeszła myślami od przyziemnych problemów, zrelaksowała się.

„Pozostaje mi czekać.. Na kogokolwiek. Cokolwiek”.

\*\*\*

Wróciła do stanu świadomego, podjęła się próby otwarcia oczu. Po paru próbach się poddała.

„No tak, przecież nie mam oczu.”

Naszła ją inna myśl.

„Skoro nie mam na obecną chwilę ciała, lub do niego konekcji, co pozwala mi kreować te myśli?”

Rzucone pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

\*\*\*

Zaczynała tracić poczucie czasu, właściwie to pojęcie jego upływu.

„Mam wrażenie, że tkwię tak całe swoje życie..”

Nabrała powietrza do ust. Zimnego, wręcz kaleczącego jej płuca. Wystraszyła się tej nagłej zmiany.

„Odzyskuję siebie?” –trudno jej było dowierzyć. – „A może to bardzo kompleksowe złudzenie?”

Spróbowała się ponownie odezwać. Bez żadnego skutku, jak ostatnio. Nie przejął ją ten stan rzeczy.

„Pozostaje mi wciąż czekać..”

Iseren poczuła nagłą zmianę. Ponownie widziała, również prawym okiem. Znajdowała się w pozbawionej koloru scenarii, która za każdym mrugnięciem przyjmowała bardziej rzeczowy obraz polany oświetlonej księżycami. Noc była bezchmurna, jedynym ruchem na niebie były znajome dziewczynie czerwonawe rozbłyski.

„*Byłam tu z Dankardem.*” – uświadomiła sobie.

– Dźwięcznie brzmiące imię. Niepochodne naszego języka. – odezwał się niespodziewanie Elieor.

Dziewczyna z trudem podniosła się z ziemi. Z pomocą Niebianina zsiadła u stóp wzniesienia.

– Ocieranie o śmierć ci nie służy. – ponowił Niebianin. – Zresztą, chyba nikomu.

– Jesteś w stanie mi wyjawić co się stało? – nie zważała na swój zachrypnięty głos.

– Jestem. Straciłaś konekcję z ciałem, za sprawą poważnego urazu. Staralem się ciebie utrzymać przy świadomej, ale obrażenia głowy stanowią dobrą barierę wobec sztuk niebiańskich, lepszą niż wieloletnie treningi. Ale coś stawało mi na przeszkodzie, coś więcej.

– Może sama się broniłam od śmierci? – spróbowała wysnuć.

– Może. Albo nie myślałaś obrazem.

– Co to ma do rzeczy?

– Zdolnym jestem jedynie czytać obraz i głos cudzego umysłu.

– Naprawdę? Jak poznałeś chociażby moje imię?

– Potrafisz czytać. Twój umysł przekształca treści w wizję stronnic. Pewnie nieświadomie, nie zastanawiałaś się jak prezentuje się twoja myśl, jak mniemam.

– Nie zastanawiałam się.

– Z całym szacunkiem, ale nie dziwi mnie to. – oderwał od niej wzrok. – Czy odzyskałaś już zmysły?

– Myślę że tak.

Scenaria przybrała ponownie pozbawione odniesienia do rzeczywistości obiekty

– Nie chcę nas nadwyreżać. – wyjaśnił przepraszająco.

– Nas?

Elieor zwiesił wzrok.

- Co rozumiesz poprzez „nas”? – ponowiła Iseren.
- Nas dwóch.
- Więcej szczegółów, jeśli łaska.

Niebianin westchnął, załamał rękę. Wtedy Iseren ukłou, że jego dłonie były po części przejryste. Żył na nich były niewidoczne, jak gdyby Elieor był rzeźbą. Nagła myśl naszła Iseren.

„Czy on..”

- Powiedz to otwarcie. – poprosił ją.
- Elieorze. Czy ty jesteś w ogóle istniejesz?
- Istnieję, nie jestem wytworem twojej imaginacji.
- Zdajesz się być.. Obcy.
- Słusznie ci się zdaje. W pełni tu nie jestem.
- A skąd taki stan?

Niebianin spuścił wzrok.

– Nie żyję. Jestem zaledwie wspomnieniem. – zabrzmiał gorzko. – Okłamałem cię w związku z tym. I wykorzystałem.

- Wyjaśnij.
- Nie omieszka. Od czego życzysz sobie bym zaczął?
- Od kłamstwa.
- Okłamałem cię w sprawie wizyty. Umyślnie cię ściągnąłem.
- Ażeby?
- Ażebyś mnie zapamiętała.

Iseren kiwnęła głową.

– Tylko co ci z tej pamięci? I tak nie żyjesz.

– Wówczas należałem do żywych. – skorygował ją. – Uznałem że potrzebuję kogoś odpowiednio zainteresowanego Niebianinem, lecz niekoniecznie jego słowem lub innym przekazem. Padło na ciebie.

– Tu wówczas mnie wykorzystałeś, jak mniemam.

– Zgadza się. Co do tego wykorzystania, wykorzystuję twój umysł. Mógłbym nawet rzec że zachodzi między nim a mną pewnego rodzaju relacja, może być nawet symbiotyczna.

– Zdaje mi się to być widne. Chcesz powiedzieć, że istniejesz wyłącznie za sprawą tego, że o tobie pamiętam?

– Blisko. Zakotwiczyłem swój byt nad tą pamięcią. I mogę odejść, jeśli tego sobie zapragniesz.

– Nie odchodź. Powiedz mi tylko: dlaczego. Dlaczego nie chciałeś umrzeć?

- Mam niedokończone sprawy.
  - Chociaż wiem teraz dlaczego cię właściwie interesuję.
  - Nie tylko z tego powodu.
  - Nie musisz mnie okłamywać.
  - Ja.. Cenię tą znajomość.
- Elieor uniknął jej wzroku.
- Powiedz mi – wyszeptał. – Czy czegoś potrzebujesz?
  - Tak. Spraw mi wygodne łóżko. I daj mi spokój na jakiś czas.
  - Oczywiście.

\*\*\*

Otworzyła oczy, ponownie pośrodku niczego.

„Znowu tu utkwiałam?”

– Och, nie, musiałem zdjąć wizję by oszczędzać naszych sił. – przeprosił ją głos Elieora. – Czy twoich, uściślając.

– Bardzo uprzejmy z ciebie pasożyt.

Pośrodku niczego rozległ się krótki, elokwetny śmiech.

– Okropne masz poczucie humoru.

– Co do moich sił, coś się dzieje? Coś czujesz?

– Mogę wysnuć niewiele. Jednakże trafiłaś tu na dłużej niż na czas snu.

– Jestem zatem w śpiączce.

– Słuszna obserwacja. Rozumiem, że ciekawi cię poczynanie twego ciała.

– Ot, próżna ciekawość. Coś potrafisz zdziałać?

– Mogę zajrzeć do czyjejś wizji. Czy ktoś z twojego otoczenia był być może mistykiem?

– Był, rozmawiał nawet z tobą.

– Ach tak. Nim zmarłem, obdarzałem kogoś blisko ciebie naukami.

– To Hodhoke. Możliwe że teraz się mną zajmuje.

– Fortunnie się składa. Podzielę się dostępem do wizji.

Przed Iseren objawiła się toaletka, przy niej zasiadał Elieor, był zajęty pielęgnacją.

– Rozumiesz, że musisz się przyszykować.

– Skądże. Spójrz w lustro, to w nim umieściłem wgląd na wizję. Ja jedynie mam słabość do odgrywania scen. Dla immersji z wrażenia.

„Aktorski Niebianin mi się trafił.”

Iseren nachyliła się nad meblem, przy niej zmaterializowało się krzesło. Skorzystała z wygody, nim jednak zajrzała do lustra powstrzymał ją Niebianin. Naturalnie ręka Elieora przeszła przez nią.

„Jest gęstszy.”

– Gęstszy? – zaniepokoił się. – Wiesz co to oznacza?

– Że bliżej mi do ducha?

Skonstatował drobnym kiwnięciem głowy. Patrzył się centralnie w nią, wyglądał na przejętego.

– Ach, I jeszcze jedna sprawa. Spojrzeć na swe ciało z cudzej perspektywy to zaskakujące wrażenie. A w stanie jakim ono teraz jest może być nawet wstrząsające.

– Poradzę sobie.

– Bądź ostrożna mimo wszystko.

Iseren raz ostatni zerknęła na Niebianina po czym przełożyła głowę przez lustro. Nawet jej nie zdumił fakt dokonania tego.

\*\*\*

Po drugiej stronie widziała łóżko, plecione, bardzo starannie. Nad łóżkiem czuwał Adaiel, zdawał się on być poważniejszy, jego spojrzenie pozbawione było blasku zdradzającego niedoświadczenie. Po jego prawicy stał średniego wieku Inkarn, ubiór nieznanego zdradzał, że był on uzdrowicielem.

– Doktorze? – odezwał się Adaiel. – Jak rokowania?

Oczy Hodhoke wówczas skierowały się na samo łóżko. Leżała na nim Iseren. Miała zabandażowaną prawą część głowy, leżała nieruchomo. Strasznie schudła, rysy jej twarzy nieestetycznie wyszczupliły się. Gdyby nie sporadycznie unosząca się wąła pierś, można byłoby ją wziąć za kadawera.

– Wypada mi być szczery. – oznajmił lekarz. – W jej przypadku spokojna śmierć pod działaniem leków to dobry scenariusz. Zrobiłem co mogłem, pretorze. Lecz uraz głowy mógł tknąć jej zdolności kognicyjne.

– Chcesz powiedzieć, iż mogła skretynieć.

– Etyka zawodowa mi nie pozwala tak tego ująć, lecz tak jest, pretorze.

„Pretorze?”

– A jego wielebność? Bywał uzdrowiciel u niego ostatnio?

– Stan niezmienny od dnia ataku. Lata minęły, a wciąż nóg unieść sam nie może.

– Cóż za nieszczęście na chłopaka spadło, taki młody, a nagle całe zdrowie mu odjęło. Och, przepraszam. Jego wielebność cóż to spadło.

Lekarz się uśmiechnął.

– Zdarza się. Nawet najpoczciwszym jak ty, pretorze.

– Do najpoczciwszych mi daleko. Na dowód mych słów, Iseren tutaj to rezultat mojego sprawowania.

– Swoimi rękoma?

– Nie, z pomocą wściekłego członka Komicjum do tego doszło. Składałem prośby jego ułaskawienia, lecz uznali że to pod groźbami z jego strony. Cóż.. Nie będę was zadreczać tymi sprawami.

Zapadła cisza.

– Twa pretorianka musiała byś niegdyś urodziwa. – podjął lekarz.

– Bez urazy, ale etyka na taki komentarz zezwala?

– Hm. – lekarz poczerwieniał. – Nie pochwalałaby tego pytania.

– Wiesz, doktorze? Wstydzę się przyznać, ale swego czasu przyprawiła mnie ona o pąsy. Więc była w rzeczy samej urodziwa. Nadal jest.

– Przykro mi z powodu tego. – prawie szeptem odpowiedział lekarz.

– Miałem przyjaciela w armii imperialnej, znaliśmy się od dziecka, jeden udał się do koszar drugi do lazaretu. Czas przeszły w pełni zamierzony. Przyszło mi oglądać go poległego w polowym szpitalu.

– Jak się zwał?

– Icesadwga.

– Pokój niech będzie jego duszy. Jego i duszom Luanwy, Wisegady, Zheydara, Aiwbina, Tawarahty i Liyshivali. Bohaterom Bitwy w Dokach. I innych bitew co służyły sprawie inkarnskiej.

– Tak, pretorze. To oni, to ich krew, ich kość buduje kolumnę imperialnych monumentów.

– Iseren spodobałoby się to jakże poetyckie ujęcie tematu.

„*Podoba mi się, Adaielu.*”

Zgromadzeni zamilkli, zwiesili głowy.

\*\*\*

Wróciła do Elieora, Niebianinowi przez ten czas znudziło się udawanie poprawiania cery. Gdy usiadła z powrotem przy toalecie, zainteresował się przybyłą.



- Cóż udało ci się zobaczyć? – zainteresował się Elieor.
- Siebie. Bliską śmierci. Jak się ją właściwie czuje? To słuszne się jej wystrzegać?
- Trudno mi rozstrzygnąć czy ja właściwie odeszłem. To tylko moje ciało umarło.
- Nie czułeś żadnej zmiany?
- Nie. Kiedy zabezpieczyłem swoją duszę, zwyczajnie przestałem opuszczać świat kreacji. Moje ciało było już na tamten czas bezużyteczne.
- Iseren zamilkła, zwiesiła głowę.
- Nie obawiaj się śmierci. – pocieszył ją Niebianin. – Wspomniałem, nasza relacja jest symbiotyczna.
- Chcesz rzec, że nawet jeśli umrę, nie odejdziemy?
- Tak chcę rzec. Nie potrzebujesz odpocząć?
- Od ciebie? Skądże. Ale co powiesz na wspólny odpoczynek?
- Coś proponujesz, jak mniemam.
- Proponuję się gdzieś przejść. Przygotować mogę dogodny ku temu widok.
- Przystaję na propozycję. Zamknij zatem oczy i skup się proszę na widoku. Wtenczas oznajmij mi swą gotowość.
- Dziewczyna tak też postąpiła.

\*\*\*

- Otworzyła oczy na rozłorzyste drzewo skąpane w ciepłym świetle. Wokół drzewa rosła gęsto trawa, falowała leniwie pod podmuchami wiatru. W oddali od nich majaczyła się skromna osada.
- Jakże ładne to miejsce! – zachwycił się Elieor. – Nosi swoją nazwę?
  - Nie. Aczkolwiek nieopodal leży Rannuldun, nadmorska wieś.
  - Rannuldun. – powtórzył z zainteresowaniem. – Język ziemski nie przestanie mnie zasakiwać.
  - Wieś Ranna. – wyjaśniła mu Iseren. – Lecz kim on był nie dowiedziałam się. Ojczym nigdy mi nie wyjawiał.
  - Ach, dorastałaś tu.
  - Tak, tutaj lubiałam się udawać, by odpocząć od ludzi. Stąd też zdecydowałam się na ten konkretny widok, miarkuję, że wizja jest wyrazistsza gdy odnosi się do lepiej pamiętanej przestrzeni.

– Dobrze miarkujesz. Widzę, że nauki niebiańskie są dla ciebie intuicyjne.

– Widocznie. Usiądźmy pod drzewem, tam widok powinien być najbardziej wartościowy. Co wyraża jakość wizji tak właściwie?

– Jej wiarygodność. Dobrej jakości wizje bywają nawet sprzedawane, jak cieszący oko obraz czy wzruszający tomik poezji.

– Sprzedawać myśl? Jak tego dokonać?

– Jakże to wyjaśnić.. – zamyślił się. – Ażeby wody nabrać potrzebujesz naczynia. Pierwotwór, którym dyrygujemy potrafi służyć za owo naczynie, by zaczerpnąć innego tworu, czyli zamknąć w kontrolowanej przestrzeni.

– Czy ta analogia ma się również do dłoni budujących tymczasowe naczynie?

– Właściwie to tak. Naczynie z dłoni pozwala przenieść wolnotwór, lecz nie przechować.

– Obiło mi się o uszy pojęcie pierwotworu, lecz nie wolnotworu. Czym się różnią?

– Twór wolny, czyli taki, który ze względu na swoją charakterystykę jest częściowo lub całkowicie niezdatny do kontroli. *Masatish*, wola, *ahr'akhsash* widność, *nirilkash*, tchnienie. Wolnotworu jest niepoliczalnie wiele, jaki i wielotworu, czyli dzieła niejednorodnego.

– Osobiście nie widzę różnicy między kontrolą temperatury, a czyjąś wolą. Oba zdają się być równie wymagające.

– Wola to proces bardziej złożony, łatwiej jest bowiem podgrzać metalczywo na ogniu niż zagiąć czyjąś wolę.

– Można kogoś wyperswadować, zatem władać i wolą.

– Czym wyperswadować? Słowem? Dźwięk nosi *tidhra*, więc nawet i nad czysto dźwiękiem kontroli nie masz. A jedynie powierzasz to pierwotworowi, i to niezupełnie.

– Czemóż to właściwie nie można ująć wolnotworu?

– Ponieważ wolnotwór mniej niż istnieje, w kontradycji do pierwotworu.

– Bodajże temperatura mniej niż istnieje. Przynajmniej w porównaniu do widności.

– Światło niesione jest przez *tidhra*, a odczuwane za pośrednictwem *pirhine*, czy jak to ujęłaś, temperatury. Pierwotwór pozwala zamykać wolnotwór, ale nie tworzyć z nim jedności. – odparł jednym tchem Elior.

– *Aythan* służy zatem jako budulec i nośnik interpretacji.

– W rzeczy samej. – pewne podsumowanie Iseren ucieszyło Niebianina. – Tak nas ta rozmowa pochłoneła, że aż zapomnieliśmy co mamy przed oczami. A ładny to widok.

– Miałeś rację, jakość widoku jest wyczuwalna.  
W kącikach oczu Elieora zatańczyły łzy.

– Tak.. Ten spokój, autentyczna, a prosta idylla. Bardzo to cenna wizja. Ma potencjał.

– Powiedz wprost jeśli chcesz jej użyć.

– Och, nie wypadało się domagać. Nada się wspaniale, ten ogrom emocji..

– Do czego się nada?

– Nie ma powodu zatajać się przed moimi sprawami. Chcę coś zostawić po sobie, ślad, którzy otworzy dotąd zamknięte pary oczu, rozjaśni to co blaknie, postawi włos na ciele.

– I cóż takiego ma to wszystko sprawić?

– Sen, Iseren. Chcę zasilić umysły artystów weną doskonałą. Chcę stać się jednym z to co tworzę i tym co oni tworzyć będą. Poświęcić swoje istnienie w imię marzenia, pójść krok dalej niż niebiańscy dekadenci. Bowiem zamiar mam dokonać tego dosłownie.

– To absolutny nonsens. Lecz go popieram.

Elieor rozpromienił się na jej słowa.

\*\*\*

Gdy znużyli się widokiem spod drzewa, Niebianin przeniósł ich do widoku z ojczystej planety. Znaleźli się na łące, obrastał ją złoty połąć traw, przywodzących na myśl zboże o niewielkich kłosach. Niebo było granatowe, a słońce na nim znacznie mniejsze.

– Gdzież my jesteśmy? – zainteresowała się Iseren.

– Na *Drhastah-Asyrah*, mej rodzimej sferze. – oczy Elieora zabłyszczały. – Jeśli kiedykolwiek zapomnę tego widoku, równoznaczne jest to z moim nieistnieniem.

– A co z atelierem? Miałam wrażenie, że również był dla ciebie istotny.

– Wiele czasu w nim spędzałem, to fakt. Jednakowoż nie wiązała mnie z nim żadna sensacja, żadne wspomnienie. Było to po prostu moje miejsce pobytu, nic więcej.

– Nie przywiązałeś się do obrazów w nim powstałych?

– Nie w tym rzecz. A uściślając, czy malarz uznaje za memorabilie swój pędzel, czy też raczej dzieło?

– Być może sentymentalny artysta również pędzel ceni w swej pamięci.

– Może bardzo sentymentalny. Ja jednakże takowy nie jestem.

Iseren ściągnęła usta w powątpieniu.

– Dlaczego takim wzrokiem mnie mierzysz? – zaskoczył się Elieor, gdy zdał sobie sprawę, na twarzy pojawił mu się zakłopotany uśmiech. – Ach, no cóż. Za drobnie sentymentalnego uchodzić mogę.

Na chwilę zamlikli, Iseren wówczas za cel obrała sobie śledzić krążącego owada. Miał czerwony ciało, pokryte czarnym włosiem. Przelatując nad jej głową zabzyczał nisko.

– Iseren, wiesz że możesz się wybudzić? – podjął Elieor.

– Wiem.

– Więc czemuż tego nie uczynisz?

– Możesz mi to wyczytać z myśli.

– Nie chcę. Ale też nie naciskam co do odpowiedzi.

Iseren westchnęła.

– Będę zatem szczerą, skoroś taki dobroduszny. A rzecz w tym, że nie widzę powodu by wracać do życia.

– A co z twoimi naukami o Niebianach?

– Sam wiesz przecież jaka prawda się ich tyczy. Są jedynie czymś co dawało mi powód by pozostać przy życiu. Ja.. Nie wiem. Nie powinnam o tym rozmawiać.

– Nie musimy.

– To prawda. Ale zasługujesz by wiedzieć. Powiem ci.

– Niech więc posłucham.

– Nie mogę wyzbyć się wrażenia, że życie moje sensu żadnego nie ma. Lecz nie tyczy się to istnienia. W świecie kreacji, gdzie nic nie ma swego uzasadnienia i miejsca, czuję się.. Lepiej.

– Miło mi słyszeć, że odnalazłaś miejsce dla siebie.

– Więc.. Dziękuję za jego utrzymanie.

– Proszę. A co poczniesz z twoim ciałem? Chcesz by ono umarło?

– A jest inne wyjście?

– Jest. Będzie działało samoczynnie.

– To oznacza, że z ziemskiej perspektywy będę zdurniała.

– Niekoniecznie, ciało dotknąć może zarówno oligofrenia, ale też może znaleźć nowego właściciela.

- Nieodwracalna amnezja. – dokończyła Iseren.
- Tak to można ująć.
- Może ty chcesz moje ciało?
- Frenomancja to zbyt złożona sztuka, bym tak ot zapożyczył twoje ciało. Zbyt wiele zawiera wolnotworu, mało jaki Niebianin potrafi swobodnie nim kontrolować. Byle częśćka *aythan* w niedoświadczonych rękach może zrujnować ciało i duszę do nieodwracalnego stanu. A co dopiero *svadhitan*, bezpośrednio zasilające jedno i drugie. Inną kwestią jest, że zaakceptowałem swój stan, mam z nim cele do osiągnięcia.
- To jak ma znaleźć nowego właściciela?
- Wolnotwór rządzi się swoimi prawami. Stąd też nosi nazwę wyrażającą swobodę.
- Faktycznie, nierozsądnie spytałam. A wracając do twoich celów, jak postępy idą z ich spełnieniem?
- Jestem bliski opracowania wyższych wrażeń emocjonalnych w wizjach, energia która niegdyś przyprawiła cię o nudności została odpowiednio skalibrowana, tak żeby przyciągać z umysłu odpowiednie uczucia.
- Co do twojej wizji, co właściwie próbowała ona ze mnie wydobyć?
- Przyznam się, że absolutnie nic. Było to dziełem zupełnego przypadku. Dopiero, gdy dowiedziałem się o domniemanym dyskomforcie uświadomiłem sobie, że sny budowane z *tidhra* mogą mieć wpływ na wolnotwór budujący umysł.
- Dobrze, przydałam ci się do czegoś.
- Więcej jesteś niż przydatna. Mogę bez wstydu przyznać, że mam w tobie przyjaciółkę.
- Świadom jesteś że nie w sposób mi tego odwzajemnić?
- Wiem o tym, nie na wzajemności mi zależy. I tak nie świadczy to o twojej antypatii. Mógłbym zasugerować, że to nie tylko uczucie wiąże dwojga ludzi.
- A.. – Iseren zabrakło słowa. – Racja.
- Ech. Ewidentnie cierpimy na niezdrowy nawyk urządzania dysput ignorując malownicze krajobrazy.
- Ponownie się zgodzę. Wróciłabym do oglądania go.
- I ja również.

\*\*\*

– Myślę że potrzebuję nowego atelieru. – odezwał się niespodziewanie Niebianin.

Gdyby Iseren na tamtą chwilę dysponowała ciałem, zapewne by się wzdrygnęła.

– Chcesz w nim przyjmować śmiertelników godnych twego słowa?

– Nie, chcę w nim gościć jednego, który ma ostatnio straszną skłonność do żartów.

Stopy Iseren dotknęły zimnej posadzki. Rozejrzała się po łukowatym pomieszczeniu

– Wygląda na razie jak przedsień. – skomentowała.

– Hm, racja, dosyć zamknięta przestrzeń. – przyznał Elieor. – co proponujesz?

– Może ogród? Otoczony drobnej konstrukcji perystazą.

– O tak, dobry pomysł. A na kolumnach niech rośnie gęsty bluszcz. – rozmarzył się Elieor.

– Widzę na nim złote owoce.

– Tak tak. Daj mi chwilę.

Łuki pomieszczenia przekształciły się do sześciokątu, ściany między nimi ustąpiły miejsca różnego gatunku kwiatom. Po środku ogrodu wyrosła sadzawka, a dookoła niej kamienne ławy. Przy jednej z nich stała sztaluga, a także składany stół.

– Ładnie się prezentuje. – skwitowała dziewczyna. – A skąd ta decyzja?

– Chciałem uniknąć twojej dysocjacji. Ostatnio bardzo oszczędnie się odzywałeś.

– Ale ta nicość. Ona jest niewyobrażalnie wygodna.

– To owa dysocjacja. Przez wygodę nicości zapomniałabyś, że w ogóle istniejesz.

– Umarłabym, w sposób absolutny.

– Tak by było.

Dwójka podeszła bliżej sadzawki. Iseren zerknęła na jej dno doszukując się mozaiki, lecz jej uwagę zwróciło odbicie na wodzie. Na zmarszczonej powierzchni trudno było jej dokładnie dostrzec co widzi, lecz była to scena obca, nie stanowiąca odbicia ogrodu.

– Dobrze zgadłem, od razu rzuci ci się w oczy.



\*\*\*

Z początku nie widziała nic. Powoli jednak wyłoniła się przed nią scena, objawiła się dziewczynie jej własna podobizna. Imitacja Iseren spoglądała z rozpaczą na miecz ułożony w ramionach, niczym na zmarłego przyjaciela. Usta skrzywiły się w smutku, wezbrany wiatr podrzucił jej włosy i luźne szaty. Zaczęła siebie widzieć z profilu, usłyszała przeciągły kobiecy śpiew w niskiej tonacji. Ciemne oczy Iseren połyskiwały blaskiem godnym wypolerowanego lustra w misternej ramie. Błyski odbijane w zwierciadle oka zaczęły nabierać kształtu, wędrowały po soczewce układając się w konstelacje gwiazd. Śpiew przybrał na sile, wśród gwiazd objawił przypominający owada nieznajomy. W rękę trzymał czule zawiniątko, za kołderki wyglądała twarz owadziego dziecka. Za przesunięciem dłoni rodzica przybrało ono twarz bardziej ludzką, lecz zdającą się być z kamienia, nawet gdy mrugało. Dziecko opuściło rękę owadziego rodzica, wirowało posród nocnego nieba. Niemowlę przeobraziło się w czarnego ptaka, zaskrzeczał osobiwie, lecz boleśnie znajomo. Śpiew stał się krzykiem. Łopot skrzydeł. Czarne pióra o fioletowym połysku. Skryty w mroku obcy. Twarz pobruzdana bliznami. Kim on był?

Ona się obudzi i porczy on ja pocieszy koniec